



Irlandzki
sweter

NICOLE R. DICKSON

NICOLE R. DICKSON

Irlandzki i sweter

Przełożyli

JOANNA BOGUNIA I DAWID JURASZEK

Młoda archeolożka Rebecca Moray wraz z córeczką Rowan przyjeżdża na wyspę u zachodnich wybrzeży Irlandii. Zamierza poznać tradycję niezwykłych swetrów powstających w tej nadmorskiej społeczności i znaczenie poszczególnych splotów, z których każdy opowiada inną historię – o miłości, nadziei i stracie. Rebecca nie wie jeszcze, że właśnie wśród mieszkańców małej wioski rybackiej – także za sprawą pewnego rudowłosego skrzypka – odzyska radość życia.

Tymczasem Rowan uparcie szuka przyjaźni Seana, ponurego starego rybaka, choć on za wszelką cenę próbuje zniechęcić do siebie dziewczynkę. Rebecca powoli zaczyna się domyślać tajemnicy, jaką skrywa mężczyzna. Czy oboje zdołają zapomnieć o przeszłości i zdobyć się na wybaczenie?



Podziękowania

Opowieść jest niczym tkanina; tym piękniejsza, im z lepszych spleciona jest nitki. Chciałabym podziękować wszystkim, którzy przyczynili się do powstania tej książki. Zaczęło się od pomysłu - dziękuję kobiecie ze sklepu Weaving Works w Seattle za przypomnienie mi, jak się robi na drutach. Rebecce Nelson dziękuję za przepisanie pierwszej wersji książki z rękopisu; Laurie Collins - za godziny spędzone przy telefonie, kiedy czytałam jej tekst, a także za poznanie mnie z Erin, od której nauczyłam się, jak nadawać postaciom indywidualny rys. Dziękuję Orli Korten za poprawienie mojej irlandzkiej angielszczyzny, Suzie - towarzysze podróży kolejowych z Tacoma do Seattle - za pomoc w redagowaniu, a Myi Herbst za wysiłek włożony w przygotowanie wywiadu zamieszczonego na końcu książki. Dziękuję także firmom Amazon, Penguin i Hewlett-Packard za zorganizowanie konkursu literackiego ABNA. Dziękuję Gulru Hakdiyen Baykal za piękne zdjęcie. Specjalne podziękowania kieruję do mojej agentki Alexandry Machinist z Linda Chester Literary Agency, która zainteresowała się moją powieścią - jedną pośród stu wyróżnionych przez jurorów konkursu Amazon Breakthrough Novel Award. Na koniec serdecznie dziękuję redaktorce Claire Zion z wydawnictwa NAL, która nauczyła mnie bardzo wiele, ale przede wszystkim tego, że mała opowieść nie powinna być zbyt rozbudowana; mnogość wątków tworzy piękną całość.

Chcę także podziękować wszystkim tym, których spotkałam na rozdrożach w 1995 roku, a którzy towarzyszyli mi

w dalszej wędrówce. Każda z wymienionych osób wywarła na mnie szczególny wpływ i wspierała mnie w drodze do tego cudownego miejsca: Anita Galang, Luz Borromeo, Debra Hager, Dean Gomez, Marilyn Capel, Sandy Ward, Robin Lamb, Maureen French, Leigh Massenburg, Jennifer Walker, Imelda Enos, Marc Gordon, Jill Mondry, Genore Schaaf, Mary i Bob Mitchell, Doris Whitaker, Elaine Legg, Christine Schröder, panie z poniedziałkowych spotkań w San Mateo w Kalifornii, panie z poniedziałkowych spotkań z Bellevue w Waszyngtonie, Sherri, Marcy, Kris, Donna Rae Roundtree, Michelle Ransom, Gabriella Young-Trujillo, Pam Stroud, Charles P. Cavanaugh, Quoc Nguyen, Tiffany Howard-Daviss, Susan Coulter, Shana Wiesner, Rick Adams i Gail Savage. Dziękuję także tym, których poznałam dzięki uczestnictwu w konkursie ABNA: Denise Robinson, Terrie Parrish, Katrinie Neely, Mary Hanes (dziękuję zwłaszcza za chusteczkę!), Charlene Goolsby i Carol McDowell.

Chciałabym podziękować moim siostram, Laurel Dickson i Rachel Dickson, za ich troskę i miłość, bratu, Andrew Dicksonowi - za pokazanie mi, jak dotrzeć do sedna spraw, i jego żonie, a mojej przyjaciółce, Amy Dickson - za wiosłowanie, kiedy ja nie miałam już sił. Dziękuję moim siostrzenicom, Erin i Kate Lydin, za entuzjizm oraz ich ojcu, Ralphowi Lydino-wi - za ogólne wsparcie i drobne naprawy domowe. Dziękuję moim bratanicom, Emily i Arden Dickson, dzięki którym potrafię teraz spojrzeć na świat oczami dziecka i odnaleźć tam prawdziwe cuda. Dziękuję wreszcie mojej córce, Elspeth Rowan Dickson Bartlett. Bez niej nie byłabym tym, kim jestem.

Gdy pracowałam nad książką, w moich myślach obecny był pewien pokorny człowiek, który wspierał mnie w drodze ku dorosłości. Zawsze mogłam liczyć na jego pomoc, jednak wtedy nie doceniałam tego w pełni. Odwiedził mnie, kiedy trafiłam do

szpitala na operację, mimo że na szpitalnym formularzu, w rubryce „wyznanie”, nie wpisałam nic. Trwał przy mnie podczas przygotowań do ślubu i uroczystości zaślubin. Towarzyszył mi, kiedy moje małżeństwo się rozpadało, wspierał mnie również podczas rozprawy rozwodowej. Był obecny przy narodzinach mojego dziecka oraz podczas jego chrztu. Odprawił ceremonię pogrzebową mojej matki. Pamiętam, że posyłałam po niego tylko dwa razy, nigdy nie odmówił. Dziś nie pamiętam już, czy wezwała go moja matka, czy po prostu sam przyszedł w odwiedziny. Być może obie te wersje są prawdziwe. O ile pamiętam, nigdy mu nie podziękowałam; być może wynikało to z charakteru jego pracy, a może z jego osobowości. Stojąc teraz tutaj, na najbardziej zdumiewającym z dotychczasowych rozdroży, mam wrażenie, że zaraz się pojawi, ale dotąd się to nie stało. Dlatego chcę, aby wiedział, że tym razem to ja wyciągam rękę, chcąc podzielić się z nim swoimi doświadczeniami, i chociaż nie ma go tutaj fizycznie, to cały czas obecny jest w moim sercu. Niniejszym składam najszczerze podziękowania i wyrazy wdzięczności wielbnemu Richardowi B. Lesliemu.

Nabieranie oczek

Nabieranie oczek. 1. Nabieranie na drut określonej liczby oczek, które będą stanowiły pierwszy rząd robótki. Pierwsze oczko to węzełek. Następne można nabierać, stosując jedną z trzech metod: angielską, europejską lub metodę pani Blake. Pierwsze dwie wymagają użycia dwóch drutów, do trzeciej potrzebny jest jeden drut i wolna ręka. 2. Początek.

R. Dirane, *Sploty miłości*

Rebecca stała z sześciolletnią córką na przystani, patrząc, jak tłum turystów przybyłych razem z nimi promem z Doolin sunie w kierunku miasteczka. Niektórzy mieli plecaki, inni ciągnęli wózki, trzymali dzieci na barana lub prowadzili je, trzymając za rękę. Szli, śmiejąc się wesoło i wołając do siebie w różnych językach. Wzdłuż drogi, którą podążali turyści, stały niewysokie budynki. Przyjezdni minęli je i zniknęli za zakrętem. Właśnie wtedy Rebecca spojrzała na wieżę kościoła wystającą ponad dachy domów. Znajdujący się na niej krzyż lśnił, odbijając ostatnie promienie zachodzącego słońca. Wciągnęła w płuca morskie powietrze, sycąc się chwilą przybycia na wyspę.

Minęło szesnaście lat, odkąd Rebecca poznała Sharon, swoją najlepszą przyjaciółkę. Od dnia, w którym zaczęły studia

na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley, Sharon opowiadała jej o rodzinnych stronach, a Rebecca słuchała i marzyła o Irlandii oraz o tej maleńkiej wysepce położonej u jej zachodniego wybrzeża. Sharon snuła historie o połowach ryb, starych zamkach i rodzinach wylawiających z morza wodorosty służące do nawożenia jałowej gleby i o tym, jak z wielkich płyt skalnych, z których zbudowana była wyspa, pozyskiwano materiał do budowy murów, mających zabezpieczać ciężko zdobyty nawóz przed zwianiem z powrotem do morza przez hulające po wyspie południowe wiatry. Na tej cennej słonej glebie rosły rośliny, którymi żywili się ludzie, oraz trawa stanowiąca pokarm dla owiec, które z kolei dostarczały wełny do wyrobu słynnych rybackich swetrów.

Rebecca była archeologiem. Opowieści Sharon o wyspiarskich swetrach sprawiły, że zapragnęła dowiedzieć się więcej o różnych tkaninach i sposobach ich wyrabiania. Po skończeniu licencjatu drogi przyjaciółek się rozeszły. Sharon wróciła do domu, a Rebecca udała się do Los Angeles, by w ciągu kolejnych pięciu lat zdobyć tytuł magistra, a następnie doktora. Potem zajęła się nauczaniem, ale wciąż myślami powracała do wyspy i opowieści o pięknych swetrach. Zapragnęła zawrzeć w obrazach i słowach ciągle żywe tradycje rybackiego ludu. W rezultacie miała powstać nie tyle praca naukowa, co książka z fotografiami oraz życiorysami kobiet z wyspy. Trzy lata przygotowań wreszcie przyniosły rezultat. Otrzymawszy grant, Rebecca wzięła letni urlop i ruszyła w podróż na wyspę Sharon, żeby zrealizować swój projekt.

Przez mgłę przesączało się światło barwy lawendy. Rebecca westchnęła jeszcze raz, spoglądając z nadzieją ku ulicy. Razem z córką rozpoczęły ten dzień w Kalifornii, skąd udały się samolotem do Nowego Jorku, a następnie do Shannon, potem autokarem do Doolin, a wreszcie promem na wyspę przez

Zatokę Galway. W drodze od dwudziestu dwóch godzin, obie były pólżywe ze zmęczenia. I oto znalazły się u celu z bagażami. Nikt jednak nie wyszedł im na powitanie.

- Gdzie ten samochód? - mruknęła Rebecca.

- Mamo, muszę do ubikacji - powiedziała Rowan, siedząc na czarnym worze marynarskim i machając nogami.

- Nie wiem, gdzie jest ubikacja, kochanie. Wytrzymasz? Rebecca wyciągnęła telefon, żeby zadzwonić do Sharon.

Przyjaciółka załatwiła jej mieszkanie w domku należącym do rodziców jednego z jej najlepszych przyjaciół z dzieciństwa. Sama nie mogła przybyć na wyspę, aby przywitać Rebecę i Rowan, ponieważ była w zagrożonej ciąży i musiała mieszkać w Dublinie. Obiecała jednak, że kogoś po nie przyśle. W telefonie coś zatrzęszczało.

- Halo?

- Sharon? Słyszysz mnie?

- Becky, to ty?

- Przyjechałyśmy, ale nie ma samochodu.

- Nie ma?

- Nie ma.

- Hm. Ciekawe, co się z nim stało. Najlepiej idźcie do pubu...

- Do pubu? Sharon, zaraz się rozpłaczę. Jesteśmy w drodze już dwadzieścia dwie godziny. Stoję na pustej przystani z sześciolatnim dzieckiem, które chce siusiu. Mam duży wór, pięć walizek, dwa plecaki, laptopa i statyw. Jak mam z tym iść do pubu?

- Becky, bardzo cię proszę, tylko nie dramatyzuj.

- Nie dramatyzuję. Po prostu...

- Mamo, muszę do ubikacji.

- Chwileczkę, skarbie.

- Idźcie do pubu.

- A co z bagażami?
- Mamo!
- Zostaw je na przystani - powiedziała Sharon.
- Co?! - krzyknęła Rebecca.
- To przecież wyspa.
- Wiem, że to wyspa. Ale co zrobię, jeżeli ktoś ukradnie bagaże? Co wtedy?
- Nikt niczego nie ukradnie. Dokąd by z tym poszedł? To wyspa - powtórzyła Sharon.
Rebecca zazgrzytała zębami, z sykiem wypuszczając powietrze.
- Idźcie do pubu i poproście Toma o klucze do domu. Samochód jest pewnie u niego.
- Kto to Tom? - spytała ze złością Rebecca.
- No, Tom. Znasz Toma. Mówiłam ci, że jest właścicielem pubu.
-Aha.
- Becky? -Co?
- Wszystko będzie dobrze.
- Okej, okej. Wiem, dzięki. - Rebecca się rozłączyła. Chociaż marzyła o wyspie i badaniu lokalnych tradycji dziewiarskich, to jednak niepokojem napawała ją myśl o spędzeniu tu nadchodzących miesięcy. Wiedziała, że tego lata ma szansę zebrać materiał do książki, która poprawi jej pozycję zawodową i pozwoli znaleźć lepszą pracę. Po to właśnie przyjechała na wyspę. Przynajmniej tak to sobie tłumaczyła.
Ale tak naprawdę kierowała nią inna motywacja - ukryta głęboko rana sprzed sześciu lat. Wciąż próbowała zapomnieć o toksycznym związku z ojcem Rowan - Dennisem. Nie wyszła za niego, próbowała z nim zerwać już dwa lata przed tym,

jak Rowan przyszła na świat. Zdołała tego dokonać dopiero miesiąc po urodzeniu córki.

Rebeccę łączyło z Dennisem coś więcej niż tylko dziecko - były to wspomnienia, za sprawą których czuła się równie niepewnie jak wtedy, kiedy mieszkali razem. Coraz bardziej ją to przerażało. Dręczona wewnętrznym niepokojem wciąż uciekała, zmieniała miejsca zamieszkania i posady. Z każdą kolejną decyzją o przeprowadzce Rebecca wmawiała sobie, że w nowym miejscu znajdzie lepsze możliwości rozwoju zawodowego, mimo że miała świadomość, że to nie kariera zmuszała ją do ciągłej wędrówki, ale strach.

Ten dziwny stan zrodził się z braku poczucia bezpieczeństwa i mimo odzyskania wolności trwał do ostatniego Bożego Narodzenia. Wtedy właśnie powiedziałam Rowan o planie ponownych przenosin. Rozpląkała się, bo nie chciała opuszczać kolejnej najlepszej przyjaciółki. Była już na tyle duża, że potrafiła pokazać, jak bardzo ich koczowniczy tryb życia odbija się na niej. Patrząc na łzy córki, Rebecca czuła w sercu ogromny smutek. Wiedziała, że musi znaleźć sposób, by położyć temu kres.

Niedługo później Rebecca dowiedziała się, że przyznano jej grant. Wtedy też zrozumiała, że nadeszła chwila spełnienia marzeń, chwila, kiedy przestanie uciekać od swoich demonów i stawi im czoła. Z opowieści Sharon wyłaniał się obraz kraju skał i morskich fal oraz ludzi trzymających się razem - kraju, gdzie nikt nie jest unoszony niczym liść na wietrze, jak ona przez ostatnie sześć lat. Rebecca. Była jedynaczką, jej rodzice nie żyli od dziesięciu lat. W trudnych chwilach mogła liczyć tylko na Sharon. Rowan potrzebowała ciepła domowego ogniska/ ale Rebecca nie umiała jej go dać. Dlatego udała się do jedyne miejsce, które mogła nazwać domem - na rodzinną wyspę przyjaciółki.

Silnik promu zawarczał, wytrącając Rebecę z zamyślenia.

- Mamo, przyjedzie to auto? Muszę do ubikacji...

- Nie. Samochód nie przyjedzie, ale wszystko będzie dobrze - odparła Rebecca, naśladowując akcent przyjaciółki.

- Powiedziałaś to tak jak Sharon. - Rowan zachichotała.

- Chodźmy. - Rebecca uśmiechnęła się, podając córce rękę. - Musimy znaleźć Toma.

- Toma? Tego, co ma pub? - Rowan chwyciła palec matki.

- Skąd znasz Toma?

- Sharon mi o nim opowiadała.

Dziewczynka miała rozczochrane włosy, szelki jej ogrodniczek były pozwijane i krzyżowały się na plecach. Zapadał zmierzch. Rebecca wiedziała jednak, że pojawienie się cieni pod oczami córki nie jest spowodowane złym oświetleniem. Rowan powoli pocierała jej kciuk swoim palcem, tak jak zawsze, kiedy się czymś martwiła. Rebecca przypomniała sobie, że w dzieciństwie poczucie bezpieczeństwa dawał jej dotyk aksamitnego wykończenia ulubionego koca. Rowan tę samą pociechę niósł dotyk dłoni matki. Uśmiechnęła się na to skojarzenie.

- Tak sobie myślę, kochanie, że mam szczęście być twoim kocykiem.

- Co to znaczy, mamo?

Rebecca obejrzała się ku pozostawionym na przystani bagażom.

- Ze zawsze poczujesz się przy mnie ciepło i bezpiecznie -szepnęła.

Jak wcześniej turyści, matka i córka ruszyły w górę ulicy. Za zakrętem znajdował się kościół; przez jego kolorowe witraże wpadało światło, barwiąc chodnik po lewej stronie drogi. Domy naprzeciwko wyróżniały się soczystymi kolorami, biła od nich poświata, która rozjaśniała brązowe mury kościoła.

Niektóre budynki pomalowano na biało, drzwi zaś na czerwono, niebiesko zielono albo żółto; były niczym wesołe powitanie dla ludzi przybywających drogą od przystani.

Ulica, którą szły, łączyła się z lewej strony z inną. Zatrzymały się na rogu. Zaczął im doskwierać zimny wiatr, choć była już połowa czerwca. Naprzeciwko, po przekątnej, Rebecca zauważyła szyld pubu O'Flaherty'ego.

Zanim jeszcze zeszły z chodnika, trzech rowerzystów przemknęło obok pubu i skręciło za róg. Zwolniły i przystanąły przed szeregiem rowerów po drugiej stronie, gdzie prawdopodobnie znajdowała się wypożyczalnia dla turystów. Dalej Rebecca ujrzała stopnie wiodące do kościoła. Miasteczko spowijała purpurowa mgła. Droga skręcała w prawo.

Jeśli Rebecca się nie myliła, to ta właśnie droga prowadziła półtorej mili na północ, do domku, który wynajmowała, oraz do małego fortu. Większy fort znajdował się na południu, a jego stare mury smagane były bezustannie przez piasek i wiatr. Te dwa legendarne miejsca dzieliły trzy mile ziemi i skał. Z zachodu na wschód z kolei wyspa mierzyła dwie mile, a większość z jej stu stałych rezydentów mieszkała na wybrzeżu.

Rebecca wzięła Rowan za rękę i razem przeszły skrzyżowanie, udając się do pubu. Stały przed brązowymi drzwiami, na których widoczne były odpryski farby i ślady oddziaływania warunków atmosferycznych. Rebecca przez okno zobaczyła, że w środku jest tłok. Młody brunet o brązowych oczach wychylił się z okna po prawej stronie budynku, przyciskając do piersi kufel. Rebecca spojrzała na wzór jego białego, wyspiarskiego swetra, a potem na twarz. Zdumiała się, widząc, że mężczyzna patrzy na nią z zainteresowaniem. Zmarszczyła brwi.

- Zimno mi, mamie. I muszę do ubikacji. - Rowan zaszczękała zębami.

- Nie puszczaj mojej ręki. Tam jest dużo ludzi, nie chcę cię zgubić.
- Dobrze.

Chwyciwszy mosiężną klamkę, Rebecca otworzyła drzwi i niepewnie weszła do środka. Przy kilku stolikach, obok kominka po lewej stronie od wejścia, siedzieli i jedli klienci, w rogu zaś jakiś mężczyzna grał na gitarze melodię, która przywodziła na myśl odgłos końskich kopyt. Przeciskając się obok pary Niemców pijących dzin z tonikiem, wpadła na Amerykankę. Kobieta mówiła coś do grupy młodych Hiszpanów. W jej głosie dało się rozpoznać południowy akcent. Wyminawszy ich, Rebecca przesunęła Rowan przed siebie i podeszła do mężczyzny w granatowym swetrze, który opierał się o szynkwas. Uśmiechnął się do niej, w przyćmionym świetle jego niebieskie oczy zamigotały.

Barman spojrzał na nią, dopełniając kufel spienionego ale. Uwagę Rebeki zwróciły jego rude włosy oraz oczy o niespotykanym zielonym odcieniu. Miały kolor liści jaśminu rosnącego na podwórzu jej rodzinnego domu. Poczwała, jak ogarnia ją fala tęsknoty.

- Wszystko w porządku?

- Tak, dziękuję.

- Co podać?

- Szukam klucza.

- Do mojego serca? - Wyszczrzył zęby, podając kufel mężczyźnie w granatowym swetrze.

Czując, że się rumieni, Rebecca skrzywiła się, przenosząc wzrok na córkę.

- Nie. Do domu. Sharon...

- Becky? - Barman uśmiechnął się szerzej. Rebecca zamrugła.

- Jesteś Becky? Przyjaciółka Sharon ze Stanów? - zapytał mężczyzna opierający się o bufet.

- Tak - mruknęła. - Znamy się?

- Maggie! - krzyknął barman przez ramię. - Becky przyjechała. Gdzie Rowan?

- Becks? - Na końcu lady stała Maggie, siostra Sharon, którą Rebecca widziała do tej pory tylko na zdjęciach. Rebecca domyśliłaby się, że ta kobieta jest spokrewniona z Sharon, nawet gdyby ona sama nic nie powiedziała. Miała ciemnobrązowe włosy przycięte do ramion, brakowało tylko piegów na jej twarzy. Zdradzały ją jednak oczy, równie czarne i lśniące jak oczy siostry. Rebecca, odkąd znała się z Sharon, często rozmawiała z Maggie przez telefon. Na jej widok uśmiechnęła się więc od ucha do ucha.

- Hej, Mags! Rowan...

- Becks! Proszę, proszę! Nareszcie tu jesteś! - Maggie podeszła i ją objęła.

- Rowan musi iść do łazienki - szepnęła jej Rebecca.

- Rowan! - Maggie podniosła dziewczynkę. - Ale urosłaś.

- Muszę do ubikacji.

- No to chodźmy. - Maggie postawiła Rowan z powrotem na podłodze.

- Ja ją wez... - zaprotestowała Rebecca.

- Becky? - Ciemnowłosy mężczyzna, który śmiał się wcześniej przez okno, wyminął grupę Hiszpanów. - Jestem Eoman. Eoman O'Connelly. Przyjechałaś porozmawiać z moją babką, Liz O'Connelly.

- O! - Rebecca uśmiechnęła się, ściskając wyciągniętą dłoń. W tym samym czasie Rowan oddaliła się wraz z Maggie - Zaczekajcie! Maggie...

- To jest Paddy - powiedział Eoman, wskazując mężczyznę w granatowym swetrze. - Jego matka przysłała nas tutaj, żeby ci pomóc.

- Paddy?

-Aye. - Paddy podał Rebecce dłoń. - Moja mama nazywa się Rose Blake. Do niej też przyjechałaś.

- Tak! Tak, Liz i Rose - powiedziała, rozglądając się za córeczką, która przed momentem zniknęła w tłumie. - Yy... mm... Rowan...

- Napijesz się piwa? - spytał Tom.

- Nie, dzięki. Potrzebuję raczej samochodu.

- Ona nie pije piwa, pamiętasz? - zwrócił uwagę Eoman. - Sharon mówiła, że Becky lubi wino i cydr.

- Aaa, rzeczywiście. No to cydr. - Sięgnął po butelkę.

- Ee... Paddy, mój bagaż został na przystani i...

- Siadaj, siadaj. Jesteś głodna? - spytał Eoman.

Kiedy Tom postawił przed Rebeccą cydr, spojrzała w ich niebieskie, brązowe i zielone oczy. Zrozumiała, że każdy z tych mężczyzn pojawił się przynajmniej w jednej z opowieści Sharon. Paddy był rolnikiem z siedmiorgiem dzieci... a może rybakiem z jednym dzieckiem? Co Sharon opowiadała o Eomanie? Powinna znać tych ludzi, ale nie potrafiła sobie nic przypomnieć. Wszystko to, w połączeniu ze zmęczeniem po długiej podróży, sprawiło, że czuła się całkowicie zagubiona.

- Yyy... Wszystkie moje rzeczy są na przystani i...

- Nie spiesz się. - Paddy delikatnie pchnął Rebeccę w kierunku krzesła. - Zjedz kolację, opowiedz nam coś.

- Opowiedzieć coś? - Rebecca wybałuszyła oczy.

- Paddy! - Maggie wróciła. - Właśnie przyszła twoja żona z Siobhan. Siedzą przy kominku.

- Aha! - Uśmiechnął się i poszedł je przywitać.

- Gdzie Rowan? - Rebecca wstała.

- Z żoną Paddy'ego i jego córką Siobhan. Zostawiłam ją przy kominku. Mówiła, że jest jej zimno.

- Becky właśnie miała nam coś opowiedzieć - wtrącił Eoman. - Posłuchajmy o wąwozie i kozie.

- Nie - zaprotestował Tom. - Lepiej o Alcatraz.
- Aye. Alcatraz. - Eoman pokiwał głową. - Rzeczywiście to lepsza historia. Uwielbiam ją.
- Skąd znacie to wszystko? - zdumiała się Rebecca.
- Sharon nam opowiadała.
Fakt, że ci wszyscy ludzie wiedzieli tyle o jej przeszłości, wytrącił Rebecę z równowagi.
- Potrzebuję auta - wybełkotała do Maggie.
- Jaki samochód? - spytał Tom.
- John ma samochód - wyjaśniła Maggie.
- John? - spytała Rebecca.
- No wiesz, mąż Sharon.
- To on jest tutaj? - Rebecca uniosła brwi. - Sharon nic o tym nie wspomniała.
- Sharon kazała mu przyjechać z Dublina, żeby pomógł ci się zdomowić.
- Pojechał do Fitzgibbonów - włączył się Eoman.
- Co się tam stało? - dopytywał Tom.
- Pszczoły i Trop - wyjaśnił Eoman.
Wybuchnęli śmiechem. Rebecca tylko patrzyła. Zaczęła podejrzewać, że albo oni są obłąkani, albo ona.
- Opowiedz o Alcatraz. John nieprędko się tu zjawi. - Tom zachichotał.
Rebecca westchnęła.
- Przepraszam. Jestem taka... zmęczona.
- Wszystko już w porządku - powiedziała łagodnie Maggie, obejmując Rebecę. - Rowan jest z Siobhan.
- A kto to?
- Sześcioletnia córka Paddyego. Może się zaprzyjaźnić z Rowan.
Rebecca spojrzała w czarne oczy Maggie. Emanowały siłą i pewnością, jak oczy jej siostry.

- Zaprzyjaźnią? - szepnęła Rebecca, przetykając ślinę.

- Czemu nie? W każdym razie Paddy i jego żona Annie dobrze się o nie zatroszczą. Becky, to mała wyspa. Nikt nie może potajemnie tu przyplłynąć lub stąd odpłynąć. Na całym świecie nie ma bezpieczniejszego miejsca.

- Nie ma - potwierdził Tom.

- Nie ma. - Eoman kiwnął głową.

Rebecca powoli przeniosła wzrok z Eomana na Toma, a potem na Maggie. Skoro wiedzieli o Alcatraz i wąwozie, to musieli również usłyszeć od Sharon wiele o niej samej. A skoro wszyscy ją zapewniali, że wyspa jest bezpieczna, to zapewne byli też świadomi, jak bardzo boi się o Rowan. Przez chwilę Rebecca poczuła się przytłoczona tym, że Sharon tak wiele o niej opowiadała i przestraszyła się, że mogą wiedzieć o Dennisie. Potem jednak przypomniała sobie, dlaczego w ogóle przybyła na tę wyspę.

- Becky, wiesz, że możesz nam zaufać - zadeklarowała Maggie.

Rebecca powoli skinęła głową, obiecując sobie, że spróbuje. Wiedziała, że Rowan potrzebuje ciepła domowego ogniska i że musi je córce zapewnić.

- To dobrze. Napij się cydru. John przyjedzie, jak tylko załatwi sprawy z Fitzgibbonami.

- Opowiedz nam o Alcatraz - powtórzył Eoman. Rebecca odchyliła się na krześle. Uniosła szklankę do ust i pociągnęła kilka łyków.

- Może później, Eomanie. - Maggie poklepała młodego mężczyznę po ramieniu. - Dajmy Rebecce odpocząć.

Paszkot

Paszkot (łac. Turdus viscivorus). 1. Ptak o szarym upierzeniu skrzydeł oraz nakrapianej czarno-białej piersi. Buduje małe, okrągłe gniazda, mieszczące wiele jajek. Choć nie należy do ptaków agresywnych, żażarcie broni gniazda i potomstwa, walcząc nawet z drapieżnikami. W przeciwieństwie do innych ptaków, które milkną, gdy nadchodzi burza, paszkot właśnie wtedy śpiewa. Jego samotną pieśń można usłyszeć podczas najcięższych wichrów, którym stawia czoła śmiałym trelem. 2. Irlandczyk.

R. Dirane, *Sploty miłości*

Sean odchylił się na krześle, patrzył w ogień i próbował ignorować otaczający go hałas. Ostatnio rzadko zachodził do O'Flahertyego. Promami przyływało zbyt wielu turystów, więc w pubie zawsze było pełno obcokrajowców. Sean za nimi nie przepadał. Przyjeżdżali tu w poszukiwaniu czegoś, co, jak sądził, opuszczało wyspę wraz z ich przybyciem, uciekało w pośpiechu przed harmidrem rowerów, gadaniną, rozwrzeszczanymi dziećmi i ich głośnym śmiechem.

Dla Seana to, po co turyści przyjeżdżali na wyspę, istniało tylko w samotności. Lubił samotność, choć na wyspie nie było o nią łatwo, bo każdy znał tu każdego zbyt długo. Z powo-

dzeniem jednak odstraszał już trzecie pokolenie miejscowych dzieci. Większość dorosłych zostawiała go w spokoju i to samo kazała robić swoim pociechom. Sean zawsze jednak znajdował czas dla Paddyego i Eomana, byli bowiem rybakami, jak on przed wielu laty. Robił więc wyjątek dla Siobhan, córki Paddy'ego mimo że dziewczynka rzadko się do niego odzywała.

Poprawiając się w fotelu, stary poczuł, że strzyknęło mu w krzyżu. Siedział, wpatrując się w płomienie, szukając szczególnego odcienia żółci z domieszką błękitu i oranżu. Rozmyślał o tym, jak pewnego zimnego, jesiennego poranka jego najmłodszy syn postawił swój pierwszy krok. Sean wrócił wtedy do domu po nieudanym połowie. Martwił się, czy będzie w stanie wyżywić rodzinę.

- Niech Bóg błogosławi - powiedział Sean, zanurzając palce w muszelce z wodą wiszącej przy drzwiach, i się przeżegnał. Na podłodze siedział dwunastomiesięczny Brendan i - zerknąwszy na ojca - wykrzywił usta w prawie bezzębnym uśmiechu. Potem, jak gdyby robił to od wielu lat, podsunął pięty pod pupę, uniósł się na chwiejnych nóżkach i z otwartymi ramionami ruszył niezgrabnie w kierunku taty. W tej właśnie chwili słońce przebiło się przez chmury i wlało do środka przez okno nad chłopczykiem. Światło zatańczyło na płowej czuprynce Brendana, tworząc migotliwą złocistą aureolę.

Sean zamrugał. Tak głęboko pogrążył się we wspomnieniach, że nie zauważył dziewczynki stojącej ze złożonymi rączkami między nim a ogniem. Jej proste brązowe włosy sięgały pasków patchworkowych ogrodniczek. Szczekała zębami i cała drżała, jednocześnie wpatrując się w ręce Seana. Spojrzał

po sobie i zobaczył, że porusza nimi, jak gdyby robił na drutach. Położył dłonie na kolanach i zmarszczył brwi.

- Na co tak patrzysz?! - warknął.

Zdumiona dziewczynka cofnęła się, skierowała spojrzenie mahoniowych oczu ku jego twarzy. Jak na Irlandkę miała zbyt ciemną karnację.

- Rodzice nie nauczyli cię dobrych manier?

- Sean, spokojnie - powiedziała Annie. Obejrzał się i zobaczył, że żona Paddy'ego siedzi przy stoliku za nim.

- Ona nie ma dobrych manier.

- Mam - mruknęła dziewczynka, cofając się jeszcze dalej.

- I do tego jeszcze Jankeska. Nie dziwota! - prychnął Sean.

- Rowan, wszystko w porządku. - Paddy przecisnął się pomiędzy stolikami. Za nim z dwiema szklankami mleka szła Siobhan.

- Proszę - powiedziała nieśmiało Siobhan, podając Rowan jedną ze szklanek i patrząc kątem oka na Seana.

- Rowan - powtórzył Sean drwiąco. - Co to za imię dla dziewczynki? To przecież nazwisko, nie imię.

Dziewczynka zmarszczyła brwi.

- To takie drzewo - powiedziała cicho - o magicznej mocy*.

- To irlandzkie nazwisko, dobre dla rodziny, a nie dla małej dziewczynki - upierał się Sean.

- To tylko dziecko - przerwał Paddy. - Zostaw ją.

Nagle dziewczynka podeszła odważnie do Seana i zbliżyła twarz do jego nosa; wbiła w niego spojrzenie niepokornych oczu. Stary zadrżał i odsunął się szybko.

* *Rowan* (ang.) - jarzębina, w legendach anglosaskich drzewo obdarzone magiczną mocą (przyp. tłum).

- Rowan to dobre imię! - powiedziała. - To jest moje imię. A ty... ty jesteś niemiły!

Sean siedział w bezruchu przez sekundę, wpatrując się oniemiały w te przenikliwe mahoniowe oczy i próbując znaleźć jakąś odpowiedź. Kiedy wreszcie wstał, Paddy wziął Rowan w ramiona. Sean wyduł wargi i w milczeniu minął siedzących przy stolikach ludzi patrzących na niego z ciekawością. Otworzył drzwi do pubu, ale zanim wyszedł, obrócił się jeszcze w stronę paskudnej małej Jankeski.

- Rowan to nie jest imię dla ciebie - rzucił i wyszedł.

- Właśnie że jest! To magiczne drzewo! - Odpowiedź dziewczynki przerwało trzaśnięcie drzwiami.

Sean stał podenerwowany wśród podmuchów zimnego wieczornego wiatru. W pubie było kilku miejscowych, którzy przyglądali się jego sporowi z dziewczynką. Widzieli nawet, jak nie wytrzymał jej oskarżycielskiego spojrzenia. Za dziesięć minut dowie się o tym całe miasteczko.

- Cholerni Jankesi - mruknął i poprawiwszy na wykrzywionych ramionach stary, krótki, wełniany płaszcz, poczuł, jak osiemdziesiąt trzy lata życia coraz bardziej mu ciążyą na grzbiecie. Spojrzawszy w górę, ujrzał paszkota pędzącego przez mroczne niebo. Ptak zatoczył dwa kółka, a potem zniknął za kościołem.

Na głębokim fiolecie bezchmurnego nieba lśniła wieczorna gwiazda. Chociaż słaby wiatr pachniał solą i wodorostami, czuło się, że na południu zbiera się na burzę. Sean poznawał to po zapachu ziemi - woń pól uprawnych w morskiej bryzie nie zapowiadała niczego dobrego.

- Kiedy... - szepnął, smakując wiatr. - Jutro. Nie, pojutrze. Uderzy dopiero za dwie noce. Powiem Paddy'emu jutro.

Zmierzając do domu, Sean rozmyślał o paskudnej Jankesce, jej bezczelnych oczach i o tym, co powinien był jej powiedzieć.

Wkrótce jednak, kiedy opuścił miasteczko, jego umysł wypełnił się znów płomiennym złotem, blaskiem słońca wpadającym przez okienko i aureolą. Brendan.

Ścieg francuski

Ścieg francuski. 1. Najprostszy ścieg składający się wyłącznie z samych oczek prawych lub samych oczek lewych. 2. Powtarzać wciąż to samo, pozwalając, by czas przemijał, ale duch się nie rozwijał.

R. Dirane, Sploty miłości

Trzymając szklanę, Rebecca podziwiała złoty płyn. Wzrok jej się zamglił - nie miała pewności, czy było to spowodowane zmęczeniem, czy też wypiciem cydru na pusty żołądek. Chciała właśnie zapytać Maggie o kolację, kiedy ujrzała mężczyznę, którego wcześniej nie dostrzegła. Zbliżał się chyba do czterdziestki, nosił ciemną, skórzaną kurtkę i biały T-shirt, a oczy miał tak czarne, że nie widać było w nich źrenic. Ale jej uwagę przyciągnęły jednak przede wszystkim jego włosy. To dlatego milczała, chociaż otworzyła usta.

Te włosy nie były ani soczyście kasztanowe, ani jaskrawo-rude. Miały odcień aksamitnej czerwieni rozjaśnionej złotymi refleksami. Pokręcone kosmyki okalały jego uszy. Mężczyzna miał przystrzyżone wąsik i brodę, a po prawej stronie ust, spod wąsów, wystawała cieniutka szara kreska - dawna blizna.

- Becky, to jest Fionn. - Głos Maggie dobiegł Rebecę z oddali.

- Fionn? - powtórzyła niewyraźnie.

- Tak, Fionn. No wiesz, Sharon, John, Fionn...

- Ach! - wykrzyknęła Rebecca, otrząsając się z otępienia. -Fionn!

Fionn był przyjacielem Sharon z dzieciństwa - tym, za którego nie wyszła, bo wybrała Johna. Rebecca z uśmiechem wyciągnęła rękę, ale Fionn nie odwzajemnił gestu. Patrzył na jej dłoń i kobieta przysięgłaby, że zagryzł lekko wargi. Spojrzała na jego lewą rękę i dostrzegła, że trzyma ją Rowan.

- Najlepsza przyjaciółka Sharon i wita mnie tylko uściśnięciem dłoni?

- mruknął, wbijając w nią spojrzenie czarnych oczu. Wyraz jego twarzy przypominał Rebecce wzrok rozczarowanej Sharon. Szybko cofnęła rękę i spojrzała na Maggie, ale wtedy odezwała się Rowan.

- Mamo, to jest Fionn.

- Tttak, Rowan. Maggie już mnie poinformowała. - Rebecca zmarszczyła brwi. - Znasz Fionna?

- Sharon mi o nim opowiadała, tak jak o Tomie - wyjaśniła Rowan.

- Co ty w ogóle robisz? - spytał Fionn.

- Słucham? - zdziwiła się Rebecca.

- Nie powinnaś tracić czasu na przesiadywanie w pubie i popijanie cydru. Masz pracę do wykonania. Dostałaś dwa miesiące i niewielki grant. Tak niewielki, że nie stać cię nawet, żeby zatrzymać się w Dublinie i odwiedzić przyjaciółkę, która niebawem urodzi pierwsze dziecko.

- Chwileczkę...

- Czas na nas. Mała jest zmęczona. - Fionn odwrócił się i ruszył z Rowan przez tłum.

- To moja córka - zaprotestowała Rebecca, podążając za Fionnem. Wpadła na Amerykankę i dwóch Hiszpanów.

- Pa, Becks! - zawołała za nią Maggie. - Do zobaczyska.

Rebecca zamachała, mijając parę Niemców. Kiedy Fionn wychodził z pubu, deptała mu po piętach, jednocześnie próbując sięgnąć po drugą rękę Rowan. Gdy już prawie ją złapała, podszedł do niej wysoki mężczyzna o kasztanowych włosach upiętych w kucyk.

- Becks!

Szeroko uśmiechnięty John chwycił obie dłonie Rebeki i pocałował ją w prawy policzek.

- Cześć - powiedziała Rebecca, śledząc wzrokiem Fionna prowadzącego Rowan do motocykla.

- Dobrze wreszcie poznać cię osobiście - ciągnął John. - Zająłem się już twoim bagażem. Chcesz już jechać do domu?

John podszedł do maleńkiego samochodu zaparkowanego przed pubem i otworzył drzwi od strony pasażera. Duży brązowy labrador rzucił się na Rebecce, głośno szczekając. Podskoczyła.

- Trop! - krzyknął Fionn. Pies znieruchomiał.

- Siad.

Pies usiadł, wymachując ogonem i patrząc na nią przyjaźnie.

- Wabi się Trop - przedstawił psa Fionn. - John, zabierz Becky i Tropa. Ja wezmę Rowan.

- Wolałabym, żeby Rowan została ze mną. - Rebecca podeszła do Fionna.

- Z psem i bagażem się nie zmieści. Najlepiej jeśli pojedzie ze mną. - Fionn dosiadł dużego motocykla i uruchomił silnik.

- Motocyklem?! - zawołała Rebecca.

Jej ojciec był strażakiem i często opowiadał jej o wypadkach motocyklowych, przez co nawet gdy dorosła, śmiertelnie się bała tych maszyn.

- Ojej, mamó, proszę! - Rowan podskakiwała z ekscytacji.

- W samochodzie brak miejsca - potwierdził John.

- Nie ma kasku - zapiszczała Rebecca.

Fionn włożył kask na głowę Rowan. Zachichotała.

- Będę jechał ostrożnie - obiecał.

- Nie lubię motocykli - wyznała Rebecca. - Są niebezpieczne.

- Becky, na wyspie jest tylko jeden samochód. Ten tutaj. -Fionn wskazał ręką. - Pogoda jest piękna jak twój uśmiech...

Rebecca zmarszczyła brwi. Spojrzał na nią.

- To znaczy piękna jak twój uśmiech na zdjęciach z Sharon. Zaufaj mi, nic złego się nie stanie.

- Mamó, proszę - nalegała Rowan. W kasku wyglądała jak laleczka.

Rebecca westchnęła.

- Będziesz jechał powoli?

- Jakbym pedałowal na rowerze w niedzielne popołudnie. Rebecca niechętnie skinęła głową.

Fionn posadził Rowan za sobą.

- Do zobaczenia w domu! - zawołał, odjeżdżając. Rowan odwróciła się i pomachała do matki. Na końcu ulicy

Fionn dodał gazu i skręcił z piskiem opon. Czerwone światelko motocykla zniknęło błyskawicznie. Rebecca jęknęła.

- Powiedział, że będzie jechał wolno! - krzyknęła, a serce mało co nie wyskoczyło jej z piersi. Tego było już za wiele. Długa podróż, tłum nowych ludzi, wydarzenia pędzące jak ten motocykl.

- E, on się tylko wygłupia.

- Nie z moją córką! - Rebecca czuła, że zaraz zacznie krzyczeć.

- Wszystko będzie dobrze. Do domu jest tylko parę minut.

- Wszystko będzie dobrze - powtórzyła Rebecca. - Wszyscy tak mówicie.

- Wszyscy?

- Przepraszam. Nieważne. - Kobieta potrząsnęła głową. - Jestem zmęczona.

Zajrzała do samochodu. Jej bagaż zajmował tylne siedzenie po sam sufit.

- A co z psem?

- Usiądzie między nami. - Wyszczerył zęby John. Wsiadła do samochodu, uśmiechając się przy tym zimno.

Trop od razu wskoczył jej na kolana. Zazgrzytała zębami.

- Chodź tutaj, Trop - powiedział John, siadając za kierownicą. Nie bez trudu zamknął drzwi. Pies ułożył się między nimi. Rebecca westchnęła głośno.

- Czyj to pies?

- Fiona. Mieszka u jego rodziców, to znaczy kiedy w ogóle mieszka w domu. Przeważnie biega po wyspie, zwykle po zachodnim brzegu.

Rebecca patrzyła na to wielkie zwierzę zajmujące miejsce między nimi.

- Jak będziesz zmieniał biegi?

- To mała wyspa, tu nie jeździ się szybko. Można wylądować w oceanie.

Ziejąc, Trop polizał Rebecę w policzek. Wywróciła oczami i odepchnęła psi pysk. John się zaśmiał.

Kiedy odjeżdżali, Rebecca spojrzała na sylwetkę kościelnej wieży. Rozbolała ją głowa, gdy tylko wyobraziła sobie Rowan leżącą w ciemności na wąskiej irlandzkiej drodze przy kręcących się w powietrzu kołach motocykla, których skrzypienie miesza się z hukiem fal. Gdy jechali, widziała niskie, kamienne murki ciągnące się wzdłuż drogi jak starożytne zabytki. Kan-

ciaste i nieregularne, w świetle reflektorów rzucały po polach długie cienie.

- A jeśli będzie mieć wypadek? - szepnęła do swego odbicia w szybie.

- Nie będzie miał wypadku. Wychował się tu ze mną i Sharon. Razem uciekaliśmy ze szkoły z mszy, razem pakowaliśmy się w kłopoty. Znamy każdy kamień i każdą kępę trawy na tej wyspie. Patrz, już jesteśmy na miejscu.

Po lewej wznosił się piętrowy dom, biały jak latarnia morska. Miał zielone drzwi, nachylony dach i pięć okienek w zielonych futrynach. W szybach odbiło się światło reflektorów, gdy samochód zwolnił i kołyszając się, skręcił z głównej drogi. Rebecca pamiętała, co powiedziała jej Sharon: że wynajęty domek przylega do posiadłości właścicieli. Gdy mijali drzwi wejściowe, zauważyła rabatę, na której kołysały się róże. Powoli jechali żwirową drogą. Daleko na przedzie Rebecca dostrzegła drugi budynek. Przy niebieskich drzwiach stał samotny motocykl Fiona, z komina unosiła się smużka dymu.

- Oto twój dom - obwieścił John.

Koła samochodu zachrząściły na żwirze, auto stanęło. Rebecca z impetem otworzyła drzwi. Była pewna, że słyszy rozpaczliwe wołanie Rowan. Trop zaszczekał, przetoczył się przez kolana Rebeki i wypadł z auta.

- Cholerne psisko! - syknęła, wstając z siedzenia. Zostawiwszy otwarte drzwi, pobiegła przez kłęby kurzu wzbite przez koła samochodu pewna, że Rowan ją woła. Wpadła przez frontowe drzwi. - Rowan?! - zawołała w panice, przebiegając przez maleńki przedpokój. - Rowan!

Wparowała do kuchni i stanęła jak wryta. Fionn znieruchomiał z garnkiem w dłoniach przy otwartym piekarniku i wpatrywał się w nią. Rowan siedziała przy kuchennym stole, jedząc ciastko i rysując na niebieskiej kartce papieru. Rebecca

zamrugła i przekrzywiła głowę. Przecież słyszała wyraźnie, jak córka ją woła. Rowan spojrzała na nią znad rysunku.

- Cześć, mamó. - Ugryzła ciastko.

- Cześć, Rowan - odpowiedziała Rebecca cicho. Serce wciąż biło jej szybko.

- Może zjeść kilka herbatników przed kolacją? - spytał Fionn. - Wyglądała na głodną, a kolacja, którą przygotowała moja matka, będzie gotowa dopiero za parę minut.

- W porządku - wyszeptała Rebecca. Fionn włożył naczynie do piekarnika.

- Becky przydałoby się piwo - zaproponował John, gdy mijał kuchnię, dźwigając bagaże. Za nim wtoczył się pies.

- Trop! - zawołał Fionn. Zwierzę się zatrzymało.

- Siad.

Pies usłuchał.

- Piwo - powtórzył John, kierując się w stronę wyjścia.

- Becky nie lubi piwa - powiedział Fionn. - Pamiętasz? Tak mówiła Sharon. Ale Becky jest teraz w Irlandii, a Irlandia jest częścią Unii Europejskiej, tak jak Francja, gdzie robią najlepsze wina na świecie. Patrz, tu stoi kieliszek bordeaux i napowietrza się, czekając na Becky.

Fionn podniósł kieliszek i przeszedł przez małą kuchnię. W jego czarnych oczach odbijał się blask wina, które jej podał. Rebecca spojrzała na Fionna, a potem na Rowan.

- Pędziłeś jak wariat...

- Dojechała cała i zdrowa bez ciebie, prawda?

Oczy Fionna były jak nocne niebo - czarne, nieruchome i czyste.

- Nnno tak - wyjąkała Rebecca.

- Więc nie ma o czym mówić. Kolacja dochodzi w piekarniku, ogień pali się w kominku, a łóżko czeka pościelone. Jesteś

teraz w domu, na malej wyspie pośrodku oceanu, gdzie wszyscy się znajdują. Nigdzie nie znajdziesz bezpieczniejszego miejsca niż to.

- Święta prawda - dobiegł ją głos Johna, który znów mijał kuchnię, tym razem z wielkim marynarskim workiem Rebeki.

- Napij się - szepnął Fionn, wkładając jej kieliszek w prawą dłoń i ściągając torebkę z lewego ramienia.

Rebecca wolno podniosła naczynie do ust.

- Zrelaksuj się - powiedział rudzielec, kierując się w stronę drzwi.

- Mamo?

Rebecca spojrzała na Rowan.

- Nie rozumiem, co on mówi.

- Ma bardzo mocny akcent. Możesz go poprosić, żeby mówił wolniej, jeśli nie...

- Nie o to chodzi. Spytał, czy lubię herbatniki, a ja mu powiedziałam, że nie, ale jemu chodziło o te ciastka - wyjaśniła Rowan cicho.

- O tak. Tutaj nazywają różne rzeczy inaczej. Jeśli czegoś nie rozumiesz, po prostu zapytaj.

- Ale ja zrozumiałam. I nie lubię herbatników, ale on mówił o ciastkach. Skąd miałam wiedzieć, że nie rozumiem?

- Gdzie to postawić? - wtrącił John, trzymając w rękach kamerę cyfrową i statyw.

- Może koło sofy? - zaproponowała. - Dziękuję, że to przyniosłeś.

- Trop! - zawołała Rowan. - Chcesz herbatnika? Pies podbiegł do stołu i wziął ciastko z ręki Rowan.

- Napijesz się piwa? - zagadnął Johna Fionn.

- Chętnie.

- Będziecie pić? - zdziwiła się Rebecca. - Nie musicie wracać do miasteczka?

- A potrzebujesz czegoś? - spyta! John.
- Nie, ale... Nie będziecie nocować w miasteczku?
- Dziś śpimy tutaj - odparł John.
- Tutaj? - Rebecca spojrzała na małą kanapę.
- Ta, tutaj - Fionn, podając przyjacielowi piwo z lodówki, wskazał Rowan - ustawiła dziś starego Seana Morahana. Nie słyszałeś?
- Nie! - wykrzyknął z niedowierzaniem John.
- Kim jest Sean Morahan? - chciała wiedzieć Rebecca.
- Najokropniejszy człowiek na świecie.
- I właśnie to Rowan powiedziała mu prosto w oczy przy wszystkich.
-Nie!
-Aye. - Fionn błysnął okiem.
- Co on ci zrobił? - dopytywała Rowan Rebecca.
- Śmiał się z mojego imienia, więc mu powiedziałam, że jest niemiły.
- Sean jest nieszkodliwy. Rowan mu się odgryzła i nie wiedział, gdzie oczy podziać - wyjaśnił Fionn.
John wybuchnął śmiechem.
- Dobrze, że umiesz walczyć o swoje. - Rebecca pogłaskała córkę po policzku. - Ale nie wiem, co w tym śmiesznego.
- Przepraszam, po prostu kiedy byłem mały, ten człowiek mnie przerażał - wyjaśnił John.
- Jeśli Sean znowu będzie z tobą rozmawiał, daj mi znać - powiedziała Rebecca, szukając w kredensie talerzy.
- Becky, on jest nieszkodliwy - powtórzył Fionn.
- Jeśli Sean Morahan nie wiedział, gdzie oczy podziać, kiedy spotkał moją córkę - Rebecca spojrzała wilkiem na Fionna - nie pozbiera się, jeśli zadrze ze mną. Rowan, skarbie, idź umyć ręczki. Niedługo jemy.

Rowan ześlizgnęła się z krzesła i poszła do łazienki. Kiedy Rebecca nakrywała do stołu, a w kuchni zapanowało milczenie, znów wyobraziła sobie czerwone światło motocykla Fionna mknącego z jej córką pośród mroku. Rebecca nie znosiła tego - gdy ktoś mówił jedno, a robił drugie. Wyciągając zastawę z szuflady i kładąc ją głośno na stole, pomyślała, że Fionn właśnie tak wobec niej postąpił.

Ścieg pończosznicy

Ścieg pończosznicy. 1. Wzór powstały z przerabiania naprzemiennie rzędów oczek prawych i lewych. Robótka ma wtedy strony „lewą” i „prawą”. Prawa strona przypomina wzór w jodelkę, lewa natomiast jest guzkowata. 2. Prochy przeszłości.

R. Dirane, *Sploty miłości*

Sean potrafił po ciemku trafić do domu. Wystarczał mu odgłos morza. W miarę jak oddalał się od miasteczka, z zachodu coraz wyraźniej dobiegał go szum oceanu. Zatokę Galway i centrum wyspy miał po lewej stronie, na wschodzie, i słyszał to wyraźnie. Pochodził z tej wyspy. Był tak stary i tak zachodni, jak tylko zachód być potrafi.

Fiolet zmienił się w szarość. Sean mógł wejść na jezdnię, ale nie lubił chodzić po asfalcie. Nawierzchnia była nowa i skrywała pod sobą wspomnienie drogi, po której wracał do domu w dzieciństwie. Nie lubił nowości, nie lubił asfaltu. Dlatego zawsze wybierał pobocze. Jego stopy wydeptały w ziemi wstęgę. Chodził tędy od lat i znał tu każde zagłębienie, kamień i korzeń. Była to droga do domu - droga na zachód.

Grzmot oceanu narastał. Gdy huk osiągnął apogeum, Sean spojrzał ku zachodowi. Schodząc z wydeptanej ścieżki na żwirową dróżkę, stary patrzył na fale przewalające się za samot-

nym, ciemnym kształtem jego domu. Późną wiosną wiatry powinny nawiewać wodę z północnego zachodu, ale tym razem fale nacierały na maleńką plażę od południowego zachodu. Potwierdziło się więc to, co Sean wyczuł wcześniej. Za dwa dni woda nadciągnie od południa, spychając piach na północ. Takie zjawisko na początku czerwca nie było czymś normalnym. Ta myśl sprawiła, że Seana przeszedł dreszcz.

Z westchnieniem podszedł do drzwi. Morze i plaża zniknęły za domem. Przekręcił gałkę i wszedł do środka.

- Niech Bóg błogosławi - powiedział w ciemność i pustkę. Zanurzył palce w przyczepionej do ściany po prawej stronie muszelce z wodą, uniósł dłoń do czoła, ale się nie przeżegnał. W mroku patrzył, jak kropla wzbiera na czubku palca.

- Tata! - zawołał z zewnątrz czternastoletni Matthew, najstarszy syn Seana.

- Claire, patrz! - Sean przykucnął, obserwując, jak Brendan maszeruje na własnych nogach. - Chodź, syneczku, chodź.

- Wygląda na to, że w curraghu będzie najszybszy z nas - rzekł dwunastoletni Joe, średni syn Seana, wchodząc za ojcem do środka i zanurzając palce w wodzie.

-Aye. - Matthew zachichotał z tyłu. - Ja i ty przeciwko tacie, Liamowi i Brendanowi. - Zanurzył palce w wodzie. - Niech Bóg błogosławi.

- Wy dwaj nas pokonacie - przyznał Sean. - Masz Joego i fujarkę.

- Jesteś, tato, coraz lepszy - odpowiedział Joe.

Brendan wpadł Seanowi w objęcia akurat wtedy, kiedy Claire wyszła z kuchni, trzymając za rękę trzyletniego Liama. Wstając, Sean spojrzał w niebieskozielone oczy Claire. Widział w nich dumę z osiągnięć Brendana, ale widział także, że są

mokre od łez. Niewielka, ale ciągle obecna zmarszczka na czole pogłębiła się, kiedy Claire rozejrzała się po podłodze w poszukiwaniu tego, czego Sean nie przywiózł z morza. Od trzech tygodni nie miał dobrego połowu. Starsi chłopcy też to widzieli.

- Zjem chleb z herbatą - ogłosił Matthew, wymijając ojca. - Jestem zmęczony i kiepsko się czuję.

- Ja też. - Joe ruszył za starszym bratem.

Sean patrzył, jak Matthew mija matkę i znika w kuchni. Joe obejrzał się, rzucając ojcu spojrzenie i kiwając lekko głową. Sean odwzajemnił gest. Joe był jeszcze chłopcem, ale Sean już widział w nim mężczyznę.

Spojrzał teraz na żonę. Stała w milczeniu, mocując się z rozbrykanym Liamem.

- Maluchy głodne. Będą chciały gulasz - szepnęła. -Aye. Zjem chleb z herbatą.

- Ja też. - Odwróciła się i poszła w stronę kuchni.

Sean spojrzał na Brendana, którego wciąż trzymał w ramionach, i na aureolę wokół jego włosów. Z modlitwą na ustach pocałował syna w policzek.

- Niech Bóg błogosławi - powtórzył szeptem. Nikt nie odpowiedział, w domu słyhać było tylko jego głos i lekki wiatr buszujący w strzesze. Przeżegnał się w zamyśleniu i zamknął drzwi.

Przez chwilę myślał o rozpaleniu ognia, ale potem znów wspomniął Brendana, aureolę i jego małe stopki, które dzielnie dźwigały ciężar dziecka, a w przyszłości miały dźwigać ciężar mężczyzny. Wiedział, że ma robotę do wykonania, udał się do kuchni, zostawiając za sobą ciemny pokój. Odkręcił gaz na kuchence i sięgnął po zapalki. Jeden ruch nadgarstka

i maleńki kawałek drewna rozjarzył się płomieniem, roztaczając wokół złoty blask. Stary przyłożył zapałkę do palnika, który błysnął błękitem. Wstawiwszy czajnik na palnik, zdjął okrągły imbryczek z półki nad kuchenką. Wsypał do niego trzy łyżki herbaty, na stole zaś postawił cukier i filiżankę. Następnie przeszedł do pokoju chłopców.

W ciemności zapalił zapałkę i przyłożył płomień do knota zanurzonego w oleju w muszli leżącej na stole. Patrzył na pełgający płomyk, szukając w nim tego samego odcienia żółci, który zobaczył w kominku w pubie. Nigdy przedtem takiego nie widział. Kolejną zapałką zapalił następną muszlową lampkę. Wspomnienia przepływały przez jego głowę niczym płonące knoty unoszące się na oleju. Wracał myślami do dzieciństwa, kiedy jedynym światłem, jakie znała jego rodzina, był ogień rozpalany z wyrzuconych na brzeg morza gałęzi oraz te małe muszelkowe lampki. Potrząsnął głową.

- Nie, nie to wspomnienie. Brendan. - Zacisnął powieki, zmuszając się, by widzieć tylko żółtą, opalizującą barwę. - Miała błękitny odcień - wyszeptał do knota. Żółty kolor, który dostrzegł w kominku pubu, miał błękitny odcień, przypominający niebieski płomień poniżej. Sean szukał w pamięci czegoś podobnego do tamtej chwili, kiedy Brendan postawił swój pierwszy krok. Przez chmury przedzierało się słońce, a wraz z nim przez okno spłynął do wnętrza kolor nieba. Sean zaśmiał się ze szczęścia, że tak łatwo znalazł coś, co kojarzyło mu się z wymarzoną barwą. Stanąwszy przy stole, wyciągnął spod niego pudełko z żółtym i niebieskim barwnikiem, nalał też wody do dużej muszli. Nagle zamarł, wpatrując się w nią. Lampki nadawały jej cienistemu wnętrzu odcień mahoni. Sean wciągnął głośno powietrze i się wyprostował.

- Rowan - szepnął. Słyszał jej głos. Była tu nowa, a on nie lubił nowych rzeczy.

- Ma moc magiczną - powiedział, wpatrując się w muszlę. Słuchając własnych słów, zobaczył cierpienie w oczach dziewczynki. Cierpienie, które sam jej zadał.

Ile czasu minęło, odkąd po raz ostatni odezwało się do niego jakiegokolwiek dziecko, choćby ze złości? Zwykle uciekały przed nim jak suche liście przed zimnym, jesiennym wiatrem. Rowan nie przestraszyła się, nie uciekła, stawiała mu czoła, a teraz była tutaj - jej cierpienie, oczy i głos jak gdyby zmaterializowały się w jego umyśle i nie przestawały go dręczyć.

- Magia-szepnął, powtarzając w myślach jej słowa. Potrząsnął głową.
- Nie. Brendan.

Znów zacisnął powieki. Żółć z błękitem. Potrzebował próbek.

Nazywam się Rowan. A ty jesteś niemity.

- Co ty, u diabła, o mnie wiesz? Idź sobie! - rozkazał.

Zimno i pustka bijące z gniewnego spojrzenia Rowan poraziły Seana. Znał to uczucie. Doświadczył go już kiedyś, gdy mało co nie został pochłonięty przez odmęty oceanu. Jego serce biło jak szalone. Złapał się za pierś.

- Rowan to nie jest imię! - jęknął, próbując przywołać wspomnienia okien, aureoli i chleba z herbatą na kolację. W kuchni

zagwizdał czajnik. Sean wyszedł z pokoju synów. Wspierając się o blat, nalał wody do imbryka i nakrył go pokrywką. Odetchnął głęboko, wyciągnął mleko z lodówki i wlał odrobinę do pustej filiżanki. Postawił imbryk na stole i usiadł, czekając, aż herbata się zaparzy, a serce uspokoi.

- Przekleści Jankesi - powiedział, kaszląc.

Odpoczywając, patrzył, jak para ucieka z imbryka. Unosiła się w świetle dochodzącym z pokoju chłopców i znikwała w ciemności pierwszego pokoju. Przez tworzącą się mgiełkę Sean widział, jak czternastoletni Matthew i dwunastoletni Joe jedzą chleb, popijając herbatą, a Claire karmi Liama i Brenda-

na. Wszystkim doskwierały głód i ziąb, ale byli razem. Teraz Sean został sam. Zmarszczył brwi, nalewając herbaty do filiżanki. Po zmieszaniu się z mlekiem przybrała kolor mahoni.

- Magiczne drzewo - wycodził. Wziął łyżeczkę i zamieszał herbatę, która zrobiła się beżowa. - Nie masz dobrych manier - wyszeptał do filiżanki.

Ściągacz

Ściągacz. I. Wzór przypominający grzywy fal na oceanie, powstały z przerabiania naprzemiennie oczek prawego i lewego. Ścieg ten wykorzystuje się głównie do robienia mankietów, dekoltów i dolnej części swetra, jest bowiem elastyczny i łatwo się rozciąga. 2. Zagadka.

R. Dirane, *Sploty miłości*

Rebecca sączyła resztkę bordeaux z kieliszka. Wciąż czując w brzuchu przyjemne ciepło po zjedzonej kolacji, słuchała, jak John i Fionn opowiadają Rowan o co ciekawszych rzeczach, jakie można robić na wyspie. Polecali wycieczkę na skały na południe od miasteczka, gdzie ponoć było wiele jezior, w których można było znaleźć ukwiały. John mówił, że trzeba uderzyć ukwiał i szybko cofnąć palec, a wtedy tryśnie wodą. Do ulubionych rozrywek należało zakładanie się, czyj strzeli najdalej. Wielką frajdę sprawiała także jazda na starej kłaczce należącej do ojca Fionna. Najatrakcyjniejszy szlak wycieczek konnych prowadził połą ścieżką, wzdłuż drogi wiodącej na południe do plaży Seana Morahana i dalej w kierunku większego fortu. Szczególne wrażenia zapewniała wycieczka tuż przed zmierzchem. Nikt na wyspie nie oglądał piękniejszych

zachodów słońca niż Sean Morahan, bo tylko jego dom stał nad prawdziwą plażą.

Dobrej zabawy dostarczała też gra w poszukiwaczy skarbów. Ktoś zawsze wpisywał na listę „płatki róży koloru malinowego”, a te można było znaleźć tylko w ogrodzie ojca Michaela. Nikt z własnej woli tam nie zachodził, bo złapanym przez księdza groziła rozmowa przy herbacie o grzechach śmiertelnych.

Słyszając to, Rowan spytała, co to grzech śmiertelny. Fionn i John szeroko otwartymi oczami spojrzeli na Rebecę. Ta niedbale wzruszyła ramionami i zaczęła głaskać Tropa.

Przysłuchując się rozmowie, Rebecca zauważyła, że na wyspie, zrobienie czegokolwiek wymagało obecności innych, a we wszystkie gry trzeba było grać z przyjacielem. Poprawiając się na krześle, pomyślała o życiu Rowan - o ciągłych przenosinach z jednej uczelni do drugiej, o dzieciństwie zagubionym gdzieś w drodze między miastami. Tak przynajmniej widziała to Sharon. Gdy Rebecca przyglądała się Fionnowi i Johnowi, tłumaczącym Rowan, jak to jest być dzieckiem na wyspie, poczuła w sercu pustkę. Przyłożyła dłoń do piersi z nadzieją, że w ten sposób uda się ją ukoić.

Dwa lata Rebecca próbowała uwolnić się od Dennisa. Mimo to przez cały ten okres wciąż był obecny w jej życiu. Z zegarkiem w rękę odmierzał czas jej powrotu do domu. Wychodząc z pracy, musiała zadzwonić. Jeśli nie pojawiła się w domu dokładnie trzydzieści pięć minut później, wpadał w szal. Cały dzień dzwonił i zostawiał wiadomości na jej sekretarce w biurze. Podczas wykładów Rebecca słyszała w korytarzu dzwoniący bez przerwy telefon. Jeśli szła do sklepu lub kina, szedł z nią. Przez te dwa lata nie miała ani chwili dla siebie, chyba że uczyła się w bibliotece, i w tym wypadku zresztą mogła sobie pozwolić tylko na trzy godziny tygodniowo, bo inaczej Dennis

tracił panowanie nad sobą. Nie znajdowała w ogóle czasu, by zastanowić się nad tym wszystkim.

Kiedy wreszcie odzyskała wolność, nie chciała już więcej nikomu się meldować. Pragnęła chodzić, gdzie jej się podobało i kiedy jej się podobało. Nie pozwalała Rowan przywiązywać się do żadnego miejsca, aby udowodnić sobie, że wciąż jest wolna. Ale dzięki tej wolności wcale nie odnalazła spokoju, a jej córka nie zyskała dzieciństwa..

- Komuś chyba chce się spać - powiedział Fionn. Rebecca ocknęła się i spojrzała na Rowan, która siedziała przechylona na bok w fotelu, opierając głowę na dłoni.

- Wcale nie. - Dziewczynka przetarła oczy.

- Chodź. - Fionn wstał. - Umyjesz zęby, a ja sprawdzę, czy pod łóżkiem nie ma duszków.

- Sharon powiedziała mi, że tylko ty widzisz duszki - odpowiedziała Rowan, idąc za Fionnem. Trop ziewnął i dołączył do nich.

- Tylko kiedy krążą wokół Sharon. - John mrugnął porozumiewawczo. Rebecca spojrzała na niego pytająco.

- Kiedy za dużo wypije - wyjaśnił z uśmiechem. - Ja będę zmywał, a ty wycieraj.

Rebecca wzięła ścierkę do naczyń i zaczęła sprzątać ze stołu.

- Sharon pewnie już śpi - mruknął John nad zlewem.

- Jest późno - odparła Rebecca.

- Późno czy wcześniej, ona śpi cały czas.

- Ma już pewnie spory brzuszek, prawda?

- *Aye*. - John się zaśmiał. - I kiedy stoi, to zawsze ją boli, dlatego leży. A kiedy leży, to śpi.

- Ostatni miesiąc przypominał piekło.

- A tak dokładniej to dwa tygodnie. Zobaczymy, jak to będzie. Kilka razy już krwawiła.

- Okropne - przytaknęła Rebecca, wspominając telefon od Sharon sprzed miesiąca. - Musi jeszcze trochę wytrzymać.

- *Aye* - zgodził się John.

Wycierając naczynia, Rebecca rozglądała się po kuchni. W szafkach stało pełno zup i warzyw w puszkach, sosów w paczkach, był też cukier i pojemniki na sól i pieprz. Dwa bochenki świeżego chleba, owinięte w bawełnianą ściereczkę, leżały na blacie obok misy z jabłkami i gruszkami. Po lewej stał kosz żółtych cebul i ziemniaków. W lodóweczce znalazła jajka, mleko, masło i śmietanę.

- Skąd to jedzenie? - spytała.

- Rose i Liz przyszły dzisiaj pomóc mamie Fionna posprzątać. Uznały, że przyda ci się trochę zapasów.

Nie mogła wyjść z podziwu dla tej szczodrości. Rebecca chciała zapłacić za wynajem domku, ale Sharon wyjaśniła, że nikt nie weźmie od niej pieniędzy. Wszyscy byli podekscytowani perspektywą poznania osoby, o której tak dużo słyszeli. Patrząc na jedzenie, Rebecca zrozumiała, że musi w jakiś sposób im się odplacić.

- Te zapasy wystarczą do końca lata! John się zaśmiał.

- Zero duszków - zameldował Fionn, zaglądając do kuchni. - John, zbieramy się.

- Idziecie? - zdziwiła się Rebecca. - *Aye*. Obie jesteście zmęczone.

- Myślałam, że zostajecie.

Fionn zbliżył się do Rebeki, która przyciskała do piersi, niczym tarczę, dopiero co wytarty talerz. Mężczyzna spojrzał na nią ciepło.

- Dzięki za zaproszenie, ale łóżko nie pomieści całej naszej czwórki i psa. - Wyszczrzył zęby i odwrócił się w stronę drzwi.

Rebecca zakłopotana wbiła wzrok w podłogę.

- Wiesz, moi rodzice mieszkają niedaleko. Mama zrobiła kolację i podrzuciła ją tutaj, a potem pojechała z tatą do Doolin. Gdyby nie to, że odwiedzają mojego brata Dannyego na łądzie, na pewno by cię tutaj powitali - rzucił przez ramię.

-O!

- Dobranoc, John! - Ubrana w koszulkę nocną Rowan stanęła w otwartych drzwiach sypialni.

- Dziękuję za pomoc - dodała Rebecca.

- Nie ma za co. Klucz jest na stole obok kominka, chociaż nie ma potrzeby go używać - odparł John i skierował się do samochodu.

Fionn przystanął w drzwiach.

- Dobranoc - powiedziała do niego Rowan.

- Dobranoc - odparł.

- Kochanie, pora do łóżka - poleciała Rebecca. Rowan zniknęła w sypialni.

- Cieszę się, że poznałem wreszcie Becky, przyjaciółkę Sharon. - Fionn się uśmiechnął.

- Fionnie... Właściwie to jak masz na nazwisko? - zapytała, nie odwzajemniając uśmiechu.

-O'Flahe...

- Obiecałeś, że będziesz jechał wolno.

- A, tylko się wygłupia...

- Nie interesuje mnie, czy jesteś przyjacielem Sharon, Johna, czy nawet samego Pana Boga. Jeśli jeszcze raz narazisz moją córkę na niebezpieczeństwo, pożałujesz, że się w ogóle urodziłeś.

Rebecca zatrzasnęła mu drzwi przed nosem. Zrobiła krok w tył, spoglądając na niebieskie drzwi i nagle poczuła, jak zapiera jej dech w piersiach, a krew dudni w uszach. Wyteżyła słuch, by przeniknąć ciszę za drzwiami.

- John, widziałeś gdzieś moją twarz? - To był Fionn.

- Co?! - odkrzyknął z dala John.

- Moją twarz. Rebecca właśnie zdarła mi twarz i zastanawiam się, czy gdzieś ją tu rzuciła, czy zabrała ją do środka razem ze swoją uroczą osobą.

John się zaśmiał. Rozległ się zgrzyt kroków Fionna na żwirze i odgłos zapuszczanego silnika samochodu. Motocykl także zawarczał. Rebecca usłyszała jeszcze odgłos szurających opon, a potem zapadła cisza.

- Cholerni Irlandczycy - szepnęła Rebecca, opierając czoło o drzwi.

- Mamo! - zawołała Rowan z sypialni. - Idę.

Rebecca była wyczerpana całodniową podróżą. Przez chwilę zastanawiała się, czy może źle postąpiła, zatrzasnąwszy drzwi przed Fionnem, ale przecież odjechał z jej córką na pełnym gazie, choć obiecał, że będzie prowadził ostrożnie. Zaufała mu, a on ją zawiódł, kiedy powiedział jedno, a zrobił drugie. Kobieta zgasiła światło w salonie i weszła do sypialni.

- Dziwnie tu pachnie - stwierdziła Rowan.

- Do nowego miejsca trzeba się przyzwyczaić.

- Fionn mówił, że pudełko na komodzie jest od Sharon i że kupiła świece oraz kadzidełka, żeby ładnie pachniało.

Na komodzie Rebecca znalazła paczkę wielkości pudełka na buty owiniętą papierem w kalifornijskie maczki. Wzięła ją do łóżka i otworzyła razem z Rowan. W środku znalazły trzy świece i plastikową torbę z setkami kadzidełek. Między świeczkami znajdowało się pudełko zapalek oraz kadzielniczka.

- Zapalimy kadzidelko?

- Tak. - Rowan położyła się na łóżku.

Rebecca przyłożyła płonącą zapalniczkę do kadzidelka, które po chwili zajęło się ogniem i zaczęło trzaskać.

- Cholera! - krzyknęła, upuszczając je na kołdrę.

- Mamo! - zawołała Rowan, skopując pościel, żeby ochronić się przed iskrami.

- Przepraszam. Choroba! - poprawiła się Rebecca, złapała żarzący się patyczek i pobiegła do łazienki. Tam wrzuciła go do umywalki i odkręciła kran. Kadzidelko zaskwierczało i zgasło z sykiem, dymiąc przy tym nieznacznie. Szybko wróciła do sypialni.

- Łóżko w porządku? - Już kiedy pytała, ujrzała, że na niebieskiej poszwie nie ma śladów ognia.

- Sharon kupiła zimne ognie. - Rowan wybuchnęła śmiechem.

- Najwyraźniej. Pewnie myśli, że jest zabawna.

- Bo jest zabawna. - Rowan znów się zaśmiała. - Chciała, abyśmy myślały, że zimne ognie to kadzidelka.

- Ha, ha, ha. - Rebecca poprawiła pościel. - Zobaczmy, czy są tam też prawdziwe kadzidelka.

Wytrząsnęły zawartość torebki i zaczęły w niej szperać.

- Nie zobaczę w tym roku fajerwerków. - Rowan westchnęła, wachając zimne ognie.

- Sharon chyba o tym wiedziała. - Rebecca się uśmiechnęła, niebezpieczeństwo już minęło. - Jest dobrą przyjaciółką.

-1 nie pojedziemy też do Redding. Zawsze wybierałyśmy się tam na Dzień Niepodległości.

Rebecca poczuła nagle, jak coś ściska ją w gardle. Wychowała się w Redding. Jej ojciec uwielbiał Dzień Niepodległości i zawsze z tej okazji urządzał ogromne przyjęcie dla całego sąsiedztwa. Choć jej rodzice już nie żyli - zginęli w wypadku

samochodowym dziesięć lat temu - rodziny, które mieszkały na ich uliczce, wciąż podtrzymywały tę tradycję. Rebecca zawsze zabierała wtedy Rowan ze sobą do Redding, by chociaż przez chwilę mogła побыć z dziadkami.

- Wiem. Muszą nam wystarczyć zimne ognie, dobrze?

- Dobrze - wyszeptała Rowan.

W sumie w torbie znalazły tylko trzy kadzidełka. Rebecca zapaliła jedno, wsadziła do kadzielniczki i postawiła na komodzie. Poszperała w walizkach, wyjęła piżamę, szczoteczkę do zębów i poszła z powrotem do łazienki.

- Jest fajny, co, mamó? - usłyszała głos Rowan.

- Kto taki?

- Fionn.

- Jest... - Urwała. Szukała odpowiedniego słowa, marszcząc przy tym brwi: - Uprzejmy.

- I ma rude włosy.

- To też - zgodziła się Rebecca, wyciskając pastę z tubki.

- Spytałam go, czy potrafi grać na skrzypcach.

- Co? - Rebecca wróciła do sypialni, myjąc zęby.

- Przecież mówiłaś, że mężczyzna, za którego wyjdiesz, będzie miał rude włosy i będzie grał na irlandzkich skrzypcach.

- Chyba mu tego nie powiedziałaś?! - zawołała. Rebecce te słowa wymknęły się tylko raz, w zeszłym roku,

gdy Rowan nie przestawała jej pytać, czy będzie kiedyś mieć tatę. W przeblysku inspiracji Rebecca oświadczyła, że poślubi rudego mężczyznę grającego na irlandzkich skrzypcach. Niewielu mężczyzn ma rude włosy, a znalezienie takiego, który dodatkowo grałby na irlandzkich skrzypcach w Los Angeles, Virginii czy jakimkolwiek innym stanie, w którym akurat by mieszkały, wydawało się wielce nieprawdopodobne. Jednak ta uwaga przyniosła oczekiwane rezultaty: Rowan przestała py-

tać. Rebecca nie przypuszczała, że córka zapamięta tę rozmowę.

- Nie - naburmuszyła się dziewczynka, marszcząc brwi, a potem odwracając się do niej plecami.

- Przepraszam, kochanie. Nie chciałam zranić twoich uczuć.

- W porządku, mamó.

W łazience Rebecca skończyła myć zęby i przebrała się w piżamę. Gdy wróciła do sypialni, usłyszała chrapanie. Nie była to jednak Rowan, która leżała na łóżku z otwartymi oczami.

- Kto tak chrapie?

- Trop.

- A co on tu jeszcze robi?

- Fionn twierdzi, że dobrze łapie duszki. - Rowan zachichotała.

- Zostawił tu psa?! - Rebecca prawie krzyknęła.

- Żebyśmy się czuły bezpiecznie w nowym domu. Tak powiedział.

Rebecca potarła twarz. Z jej ust dobyło się długie westchnienie.

- Dobrze się czujesz, mamó?

- Tak - odpowiedziała Rebecca i zgasiła światło. - Widzisz kaczidółko?

-Aha.

Rebecca wsunęła się pod kołdrę i przyciągnęła do siebie Rowan.

- Jakaś ty ciepłutka - oznajmiła córce.

Dobiegał je huk przyboju uderzającego o ściany domku, przypominający dudnienie wielkiego bębna.

- Słyszę ocean - szepnęła Rowan.

- Cudowny dźwięk, prawda?

- Pójdziemy jutro na plażę?

- Zobaczymy. Nie wiem, czy w pobliżu domu znajdziemy w ogóle jakąś plażę. Na wyspie jest wiele klifów, ale niewiele plaż. Tak mówiła Sharon.

- Możemy jutro poszukać?

- No pewnie.

Gdy ocean zaryczał, Rebecca pomyślała, jak małej jest ten dom, jak mała sama wysepka. Przeszedł ją dreszcz i ścisnął jej żebra. Poczwała, że się dusi. Przez chwilę wydawało jej się, że zaraz zemdleje, i wtedy przywołała w myślach słowa Fionna, słowa wszystkich, których dziś spotkała: nie ma bezpieczniejszego miejsca.

- Za mocno mnie ściskasz - sapnęła Rowan, próbując wydostać się z objęć matki.

- Przepraszam.

Wzięła głęboki oddech i spróbowała pomyśleć o czymś innym niż to, że jest sama z Rowan pośrodku wielkiego oceanu. W tym momencie przypomniała sobie piękne rude włosy Fionna.

- Rowan?

- Tak, mam?

- I czego się dowiedziałas? O skrzypcach? -Nic.

- Nie odpowiedział ci?

- Tylko się zaśmiał.

Bąbelki

Bąbelki. 1. Ścieg, który wygląda jak kuleczki. Bąbelki różnią się rozmiarem w zależności od liczby rzędów, na których są zrobione. Ścieg ten jest bardzo ważny, gdyż przydaje trójwymiarowości swetrowi. Bąbelki mogą się pojawiać we wzorze pojedynczo lub w grupie (tworząc własny wzór). 2. Rzeczy ożywione, jak zwierzęta lub drzewa. 3. Ludzie.

R. Dirane, *Sploty miłości*

Rebecca leżała obok Rowan, słuchając huku fal. Czerwonoróżowe światło wdzierało się pod jej powieki, oznajmiając tym samym nastanie poranka. Nie miała wcale ochoty otwierać oczu ani wstawać z wygrzanego łóżka. Wciąż nie wybudziła się ze słodkich snów o lataniu, w których podziwiała domy i ocean obmywający odległy brzeg. Przynajmniej tak jej się wydawało, że jest daleki. Mógł jednak być bardzo blisko. Tak czy owak, nie śniła o Dennisie: nie spadała, nie widziała białego swetra ani nie słyszała rozpaczliwego wołania o pomoc, i dlatego właśnie się uśmiechała.

Rebecca przekręcała się właśnie na bok, żeby znów zapaść w sen, kiedy usłyszała trzy ciche uderzenia o szybę. Otworzyła oczy i szybko spojrzała w kierunku okna naprzeciwko drzwi. Białe bawełniane zasłony były szczelnie zaciągnięte, między

nimi widniała tylko cienka szczelina, w której Rebecca ujrzała czarne oczko. Usiadła. Obok łóżka czekał Trop, patrząc w okno z nastawionymi uszami i najeżoną sierścią.

- Spokojnie, piesku - szepnęła, wstając. Pogłaskała go i ruszyła w stronę okna, stąpając po zimnej kamiennej podłodze. Powoli rozsuwając zasłony, ujrzała siedzącego na parapecie ptaszka. Miał szare skrzydełka i nakrapianą czarno-białą pierś. Mrugnął na nią, strosząc piórka. W porannym słońcu wyglądał, jakby się uśmiechał. Potem sfrunął na krzak jeżyny rosnącej pod oknem. Spojrzał znów na Rebecce, a potem ostrożnie zanurkował w zakurzone i cieniste wnętrze krzewu.

Wyciągając szyję, Rebecca dojrzała zarys brązowego gniazdka z przytulonymi do siebie czterema jajeczkami ogrzewanymi promieniami słońca.

- Proszę, czyli masz rodzinę.

Ptaszek pochylił główkę i dziobnął gałązkę, która wysunęła się z gniazdka.

- Strasznie u ciebie ciasno. Myślisz, że twój domek pomieści te wszystkie dzieci?

Ptaszek wcisnął kijek z powrotem na miejsce, ale w tej właśnie chwili z drugiej strony wysunął się inny. Przeskakując nad jajkami, ptaszek złapał niesforną gałązkę i ją wyrwał.

Rebecca zachichotała.

- Domy potrafią być frustrujące, co?

Nagle uświadomiła sobie, jak zimno jest w pokoju, i zadrżała.

- Dzięki za pokazanie mi gniazdka. Muszę iść poszukać grzejnika.

Rebecca po cichu sięgnęła do bagażu w poszukiwaniu szlafroka. Pod ogrodniczkami Rowan znalazła swój stary, wystrzępiony szal. Wyciągnęła go i dotknęła nieregularnego ściegu pończoszniczego - niektóre rządki splotła ciasno, inne luźno.

Była to pierwsza rzecz, jaką zrobiła na drutach, efekt lekcji dziergania udzielonej jej przez Sharon.

- Potrzebujesz pomocy?

Rebecca podniosła wzrok znad robótki i ujrzała dziewczynę o czarnych oczach i włosach, stojącą w drzwiach jej pokoju w akademiku. Westchnęła ze złością.

- Potrafię matematycznie wykreślić okrąg wokół osi i zrobić torus. Potrafię wytłumaczyć, dlaczego elektrony przeskakują na wyższe orbity, wyjaśnić, dlaczego samochody ruszają, zanim zapali się zielone światło, i nawet poprawnie nazwać to antycypacją celu. Wszystko to potrafię, więc dlaczego, u licha, nie wychodzi mi równo trzydzieści oczek w każdym rzędzie?

Dziewczyna zaśmiała się, weszła i klapnęła na łóżko obok.

- Pomogę ci z robótkami, jeśli ty pomożesz mi z chemią -powiedziała z irlandzkim akcentem.

- Jesteś na kursie chemii? -*Aye*, w twojej grupie.

Rebecca uśmiechnęła się blado. Nie przypominała sobie tej dziewczyny.

- Nie widziałas mnie wcześniej? - Dziewczyna roześmiała się i wzięła druty od Rebeki. Ta spojrzała na nią kątem oka, zdumiona, że ta najwidoczniej czyta jej w myślach.

- Pochodzę z wyspy, gdzie wszyscy robią na drutach - wyjaśniła, podnosząc druty ku światłu.

- Skąd jesteś?

- Z Irlandii.

- Tyle się domyśliłam. - Rebecca się rozpromieniła.

- Jak odgadłaś? - Dziewczyna spojrzała Rebecce prosto w oczy, a na jej ustach pojawił się krzywy uśmiech.

- *Aye*. - Rebecca uniosła brwi.

- Jestem Sharon O'Connelly z zachodnich wysp.

- Rebecca Moray z... z... z północnego Reddingu. Obie wybuchnęły śmiechem.

- Redding leży na północ stąd, tak? - spytała Sharon, przerabiając oczko za oczkiem.

- Tak, konkretnie na północny wschód. Moja rodzina pochodzi ze środkowej Kalifornii.

- Wszyscy są chemikami? - Sharon zaczęła pruć, ciągnąc włóczkę łagodnym ruchem.

- Mój ojciec jest strażakiem, a mama pochodzi z rodziny farmerskiej specjalizującej się w uprawie migdałowców. Farmerzy są trochę jak chemicy. A twoja rodzina zawodowo para się robieniem na drutach?

- Zajmują się rybołówstwem. Nic się nie da uratować, trzeba całe spruć.

- Okropne. - Rebecca się skrzywiła.

- Trzeba spruć i zacząć od nowa. Ja będę ciągnęła, a ty zwijaj motek.

Rebecca patrzyła na poszarpane końce szalika szeroko otwartymi oczyma. Niestety, nie mogła powiedzieć, że od czasu wydziergania tej pierwszej robótki nabrała większej wprawy. A tyle czasu minęło od dnia, pomyślała, gdy poznała Sharon. Wszystkie wspomnienia dotyczące przyjaciółki kończyły się na Święcie Dziękczynienia przed sześciu laty. Tamte chwile na poboczu autostrady numer 1 podczas ciemnej i zimnej nocy, kiedy ramiona przyjaciółki oplatały talię Rebeki, spaliły na popiół pamięć o wcześniejszych wspólnie spędzonych chwilach. Była to również jej ostatnia noc z Dennisem.

Od tamtego czasu Rebecca i Sharon nadal były sobie bliskie, ale Rebecca prawie nie potrafiła już rozmawiać z przyjaciółką

o sprawach innych niż pogoda i praca. Zawsze unikała poruszania tematu wydarzeń tamtej nocy - nie potrafiła zmierzyć się ze wspomnieniami i wciąż przed nimi uciekała. Sharon zawsze jednak cierpliwie przy niej trwała. Teraz, gdy Rebecca przesuwiała palcami po nieregularnym ściegu, w jej umyśle pojawił się obraz czarnych włosów przyjaciółki, zwisających nad drutami podczas wspólnych lekcji dziergania. Uśmiechnęła się na wspomnienie pierwszych nieśmiałych, ale pełnych ciepła, chwil przyjaźni. Rebecca schowała szal z powrotem pod ogrodniczki Rowan i wyjęła parę skarpetek oraz szlafrok.

- Myślałam, że jest lato - szepnęła, zgrzytając zębami. Rozejrzała się w poszukiwaniu termostatu, ale go nie znalazła. Potem usłyszała pukanie do drzwi. Zamarła w bezruchu. Może to Fionn? Co mu powiedzieć?

- Becky? - Głos należał do kobiety.

Przeszedłszy przez salon, przekreśliła gałkę i otworzyła skrzypiące drzwi. Po drugiej stronie stała pani w średnim wieku ze szpakowatym kucykiem i o błyszczących orzechowych oczach.

- Dzień dobry, Becky. Jestem Sheila, Sheila O'Flaherty. Mama Fionna.

- O! - zawołała Rebecca, otwierając szerzej drzwi. - Dziękuję za kolację.

- Nie ma za co. Fionn mówił, że nie miał okazji pokazać ci, jak dorzuca się do pieca.

- Dorzucić do pieca?

-Aye. Dom jest ogrzewany piecem. Trzeba dorzucić do niego wieczorem, żeby rano było ciepło. Bardzo jest zimno?

- Nie tak bardzo - skłamała Rebecca.

- Mogę wejść rozpalić ogień?

- Och, przepraszam. - Rebecca odsunęła się na bok. - Proszę.

- Tak długo czekaliśmy, żeby cię poznać. - Sheila weszła do środka i udała się w kierunku pieca.

- Chyba wszyscy mnie tu znają.

- Nikt z nas nie podróżował tak daleko jak Sharon. Kiedy wracała, siadaliśmy i słuchaliśmy jej opowieści. Zawsze się w nich pojawiałaś.

- Wszystko robiłyśmy razem.

- Tęskniła za tobą, gdy wróciła.

- Ja też za nią tęskniłam.

Ułożywszy kilka brązowych cegiełek w stożek na szarym popiele i podłożywszy pod nie kępkę trawy, Sheila zapaliła zapalniczkę i przytknęła do zielska, które zaczęło się tlić.

- Czy to torf? - spytała Rebecca.

-Aye. Chociaż doprowadziliśmy bieżącą wodę i korzystamy z centralnego ogrzewania, to mój mąż nie chce rozstać się z torfem. Mówi, że pachnie domem. Więc jeśli chce, jak to mówi, nawąchać się domu rodzinnego, przychodzi tutaj i rozpala w piecu.

Sheila się roześmiała. Lizany płomieniami torf zaczął dymić.

- Dziś ci pomogę, a potem pokażę, jak dorzucać do pieca na noc. Zrobię ci śniadanie, żebyś miała czas się tu odnaleźć, i popilnuję ognia. Zdaje się, że musisz się rozpakować.

Prawdę powiedziawszy, Rebecca musiała to zrobić.

- Nie chciałabym robić kłopotu - powiedziała, idąc za Sheilą do kuchni.

- Ależ to żaden kłopot. Kawa czy herbata?

- Poproszę herbatę.

Sheila pokiwała głową z uśmiechem.

Rebecca cicho otworzyła drzwi do sypialni. Po drugiej stronie siedział Trop i machał szybko ogonem.

- Chodź - szepnęła.

Trop ruszył za Rebeccą do pokoju. Zatrzymał się w kuchni i wbił wzrok w Sheilę.

- Tu jesteś. - Sheila obejrzała się przez ramię.

- Był tu całą noc.

- On też lubi zapach torfu. - Sheila znów zaśmiała się cicho. - To dla nas duże wyzwanie, kiedy wynajmujemy domek turystom. Możesz go wypuścić?

- Trop, chodź! - zawołała Rebecca. Otworzyła drzwi, a pies wypadł na rozświetlone porannym słońcem podwórze. Powietrze było rześkie, łagodne, a chłodny wiatr unosił końce kasztanowych włosów Rebeki i zwiewał je na plecy. Uśmiechnęła się i zamknęła drzwi.

- Pachnie tu zielenią - powiedziała. - Nigdy wcześniej nie czułam woni koloru.

- Najbardziej lubię poranki późną wiosną - skomentowała Sheila, wbijając jajko do białej misy.

Rebecca po cichu otworzyła drzwi do sypialni. Chciała wziąć ubrania, nie budząc przy tym Rowan. Dziewczynka zachichotała.

- Aaa, już wstałaś. Śniło ci się coś śmiesznego?

- Nie. Ten mały ptaszek, tam.

Rebecca spojrzała w stronę okna i ujrzała ptaszka, który znów wyglądał zza zasłony.

- Ze mną też się przywitał. Zjemy śniadanie i wyjdziemy na spacer. Mama Fionna jest w kuchni.

Gdy Rebecca sięgała do walizki, Rowan wyskoczyła z łóżka jak strzała.

- Czy Fionn będzie na śniadaniu? - spytała stojącą w oddali Sheilę.

- Nie. Pojechał rano do domu. Prawdopodobnie nie będzie ich aż do Bożego Narodzenia. To ty jesteś Rowan?

-Tak.

Rebecca wciągnęła dzinsy oraz sweter i ruszyła do łazienki. Ulżyło jej, że Fionn opuścił wyspę, a to, że wróci dopiero, kiedy ona będzie już dawno w Stanach, pokrzepiło ją jeszcze bardziej. Chociaż poprzedniego wieczoru z zawrotną prędkością powiózł jej córkę w ciemność, Rebecca czuła w żołądku nieprzyjemny ciężar, gdy wspominała, jak zatrzasnęła mu drzwi przed nosem.

Kiedy wyszła z łazienki, ktoś zastukał do drzwi. Sheila obejrzała się na Rebeccę, która stała teraz w wejściu do kuchni.

- To na pewno mój mąż. Też nazywa się Fionn. - Sheila poruszyła patelnię. - Wyczuł zapach jajeczniczy na bekonie.

Rebecca otworzyła drzwi i po drugiej stronie zobaczyła uśmiechniętego od ucha do ucha mężczyznę o kręconych rudosiwych włosach i czarnych oczach.

- Aleś ty ładna.

- Dziękuję. - Rebecca nie mogła się nie uśmiechnąć. Otworzyła drzwi szerzej.

- Tom mówił, że jesteś ładna.

- Naprawdę?

Rebecca poczuła dziwne rozczarowanie. Podświadomie założyła sobie, że taką opinię rozgłaszał o niej Fionn.

- Mmm. Mówił także, że nie lubisz flirtować. Rebecca wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się.

- Fionn, daj jej spokój! - zawołała Sheila z kuchni. - Tom jest jak jego ojciec. Gdyby rzeczywiście mieli coś złego na myśli, razem z Maggie kazałybyśmy im zamieszkać w pubie.

- I to byłby nasz koniec. A to kto? Czy aby nie legendarna Rowan Moray z pubu O'Flaherty'ego?

Rowan się rozpromieniła.

- Twoja odwaga stała się tematem wielu opowieści i piosenek! Niech no uściskam twoją dłoń. Sean już na pewno się teraz do ciebie nie zbliży! Chichocząc, Rowan uścisnęła rękę Fionna seniora.

- Jeśli twoja mama nie będzie miała nic przeciwko, może po śniadaniu pójdziemy razem na łąkę? Pojeździsz na koniu.

- Yyy.. - Rebecca potrząsnęła głową.

- Mogę, mamó, mogę? - poprosiła Rowan, podskakując na krześle.

- Niech idzie. Fionn przynajmniej nie zapomni, kiedy się wraca do domu. Czasem, kiedy się zagada z krowami, muszę po niego iść.

Rebecca zastanowiła się chwilę. Przypomniała sobie, jak poprzedniej nocy John i Fionn rozmawiali o dzieciństwie i koniach. Rowan natomiast nigdy nie jeździła konno, w przeciwieństwie do dzieci, które wychowały się na wyspie. „Nie ma bezpieczniejszego miejsca” - przemknęło jej przez myśl i niechętnie skinęła głową.

- Dziękuję, mamó. - Rowan przytuliła się do nogi matki, a potem pobiegła do sypialni z deptającym jej po piętach Tropem.

Spojrząwszy z powrotem na Fionna, Rebecca zdała sobie sprawę, że mężczyzna jej się przygląda. Z szerokim uśmiechem podszedł do Sheili.

- Ogień z torfu. Gotowe śniadanie i ty. Jestem szczęśliwym człowiekiem.

- Przydaj się na coś i nalej Becky herbaty.

- Herbata dla Becky, ogień z torfu, gotowe śniadanie i ty. Jestem szczęśliwym człowiekiem.

Sheila się roześmiała. Fionn mrugnął i podał Becky herbatę. Gdy spojrzała w jego czarne oczy, ujrzała, jak niewiele różnią się od oczu jego syna, Fionna juniora, którego poznała dzień

wcześniej. Zmarszczyła brwi, przypominając sobie trzaśnięcie drzwiami.

- Wszystko w porządku, Becky? - spytał Fionn senior, kładąc jej rękę na ramieniu.

- Przepraszam. Tak. Tak, wszystko w porządku.

7.

Oczko przekręcone

Oczko przekręcone. 1. Oczko przekręcone tworzy się poprzez wsunięcie drutu w pętelkę oczka od zlej strony. Choć zazwyczaj powstają w wyniku błędnego wykonania oczka prawego lub lewego, to niektóre wzory tworzy się poprzez celowe przerabianie oczek przekręconych (np. ściągacz z oczek przekręconych). 2. Pewne cechy wyrobione sobie przez człowieka w trakcie życia, które stanowią o unikatowości jego duszy. 3. Dotyk matki.

R. Dirane, *Sploty miłości*

Po śniadaniu Rowan poszła z Fionnem na łąkę. Rebecca i Sheila obserwowały, jak idą po żwirowej drodze, a za nimi podąża Trop.

- Dlaczego wasz pies wabi się Trop? - spytała Rowan, biorąc Fionna za rękę.

- Należy do mojego syna. Nazwał go tak, bo pies chodzi za panem krok w krok i tropi jego ślady.

Rowan zachichotała.

- Uważaj na siebie! - zawołała za nią Rebecca.

- Zaopiekuję się nią. - Fionn im pomachał.

Rebecca skrzyżowała ramiona na piersiach, wyobrażając sobie, jak Rowan spada z konia.

- Jak duży jest ten koń? - spytała.

- Nie za duży. I bardzo sędziwy. - Sheila przytuliła Rebecę, chcąc jej dodać otuchy. - Chodź, pomogę ci się rozpakować.

Rebecca patrzyła, jak Rowan biegnie po dróżce, a potem wróciła do domu. Sheila zamknęła drzwi.

- Spodobało jej się, gdy pochwalił ją za odwagę - zauważyła Rebecca.

- Wszyscy o tym mówią.

- Naprawdę?

- Poznałaś Seana? Rebecca potrząsnęła głową.

- W sześćdziesiątym siódmym Sean stracił czterech synów. Utopili się w czasie burzy. Od tamtej pory bardzo się zmienił. Zresztą już wcześniej nie był zbyt miły. Teraz rozmawia tylko z Paddym i Eomanem, a i to zwykle tylko o pogodzie.

- Spotkałam wczoraj Paddy'ego i Eomana. Kim są?

- Pochodzą z najstarszych rodów rybackich na wyspie. Paddy Blake z Blake'ow, a Eoman O'Connelly z Fitzpatricków ze strony babki. No, do tej grupy zaliczali się jeszcze Morahanowie, ale został tylko Sean. Paddy i Eoman pracują razem.

- Paddy ma córkę, której na imię Siobhan - mruknęła Rebecca. Odkąd się wyspała, zaczęły jej się przypominać dawne rozmowy z Sharon.

- Zgadza się.

- Rowan poznała ją wczoraj. A ten farmer, który ma siedmioro dzieci?

- Fitzgibbon.

- Tak, właśnie. O! Miał wczoraj jakiś problem. John musiał tam iść. Dlatego trafiłam do pubu.

- Jaki problem? - spytała Sheila, odkręcając wodę nad zlewem.

- Yyy... Coś z pszczołami i Tropem. Sheila wybuchnęła śmiechem.

- Co w tym śmiesznego?

- Sama się przekonasz. Zresztą i tak będziesz musiała porozmawiać z jego żoną, Mairead. W jej rodzinie znano wiele ściegów. Pochodzi z wyspy leżącej na północ stąd.

- Mairead - powtórzyła Rebecca, dołączając do tego imienia nazwisko Fitzgibbon i słowo pszczoły. - Muszę sobie to wszystko zapisać.

Wróciła do sypialni, uklękła, odpięła czarny worek i sięgnęła do środka po zeszyt i ołówek.

- Sheila, powiem ci szczerze, wszyscy zaczynają mi się już mieszać! Fionn junior i Tom to bracia. Maggie, siostra Sharon, jest żoną Toma. Eoman O'Connelly to Fitzpatrick ze strony babki. Sharon jest żoną Johna Fitzpatricka z rodziny O'Connellych, z czego wynika, że Eoman i John są spokrewnieni.

- Są kuzynami. - Sheila oparła się o futrynę i wytarła ręce w ręcznik. - I nie ma żadnego Fionna juniora. Jest „mój Fionn”, czyli ten starszy, i jest po prostu Fionn, ten młodszy.

Rebecca klapnęła na podłogę. Sheila się roześmiała.

- Beznadzieja. Nigdy się w tym nie połapię. Rozmawiałam o tym z Sharon przecież tak dawno temu.

- Ach, Becky. Popatrz, ilu nas tu jest. My słyszeliśmy o tobie od Sharon, ale ty... ty musiałabyś spamiętać tyle opowieści o nas wszystkich. To wróci.

Rebecca spojrzała w orzechowe oczy Sheili, wyrażające pewność. Pokrzepiło ją to.

- Robisz na drutach? - spytała. - Aye.

- Pracujesz teraz nad czymś?

- Robię prezenty świąteczne.

Rebecca wstała.

- Mogę zobaczyć?

- Nie chcesz się najpierw rozpakować?

- To może poczekać. - Rebecca przecisnęła się obok Sheili w kierunku salonu. - Chcę już zacząć.

Wzięła aparat, kamerę cyfrową oraz statyw i otworzyła drzwi.

- Moje wzory nie są jak te, które tworzą Rose czy Liz - mówiła Sheila, idąc za Rebecca.

- Ale są twoje. Tylko to się liczy.

- Więc jesteś doktorem?

- Archeologii. Konkretnie archeologii tkanin.

- Tkanin?

- Ubrań, gobelinów. Specjalizuję się w tkaninach europejskich. Moja praca doktorska dotyczyła tkactwa tabliczkowego Wikingów żyjących w dawnej Irlandii. Badam, opisuję, czyszczę i konserwuję tkaniny. Sporo można się dzięki temu dowiedzieć o dawnych ludach.

- Czyli przyjechałaś tu badać naszą sztukę tkacką? Rebecca obejrzała się z uśmiechem.

- Chcę zapisać wasze opowieści, żeby naukowcy nie musieli się głowić, o co wam chodziło, kiedy was już nie będzie.

- Rozumiem.

Wiatr wiał Rebecce w plecy, gdy słuchała huku fal. Celem jej życia było zgłębianie, badanie. Skupiona i milcząca, pozwalała umysłowi wydobywać opowieści i znaczenia z przeszłości, zaplecionej w wełnie i bawełnie. Przypominało to układanie łamigłówek, której elementy porzrzucano. Niektóre mogły trafić na półkę biblioteki w Nowym Jorku, inne do szuflady muzeum w Paryżu. Rzadko wszystkie znajdowały się w jednym miejscu, ale do tego projektu dotyczącego słynnych wyspiarskich swetrów Rebecca miała już wszystkie części układanki. Wkra-

czała w przeszłość z ludźmi nierozzerwalnie z nią związanymi. Musiała tylko siedzieć, słuchać i zapisywać. Z tego też powodu jej serce przepełniała radość.

Kiedy razem z Sheilą dotarły do piętrowego budynku, ta otworzyła drzwi i bez słowa ruszyły wąskimi schodami na górę. Statyw Rebeki uderzył w poręcz.

- Przepraszam.

Sheila zaprowadziła Rebeccę do małej sypialni po prawej stronie. Tam, na łóżku zasłanym bawełnianą morelową pościelą, leżały schludnie złożone dwa białe swetry. Sheila podniosła je i rozłożyła na łóżku

- Są takie piękne! - Rebecca westchnęła.

- Dziękuję za komplement od eksperta.

- Przybyłam tu jako uczeń, aby uczyć się od mistrzów. - Rebecca mrugnęła.

- No, to chyba od Rose i Liz, ale nie ode mnie. - Sheila uśmiechnęła się blado.

- No, nie wiem. Spójrz na te swetry. Są cudowne. Opowiedz mi o nich.

- Co chcesz wiedzieć?

- Na przykład jak długo zabiera ci zrobienie jednego? - Rebecca rozłożyła statyw.

- Jakies czterdzieści godzin, mniej więcej. Po co ten aparat?

- Potrzebuję fotografii do książki oraz filmu z twoim głosem. Chcę nagrać to, co mówisz i jak mówisz. Powiedz mi po prostu, dla kogo je zrobiłaś, dlaczego wybrałaś ten wzór, co tylko chcesz.

- Czyli zapiszesz to wszystko?

Rebecca pokiwała głową, montując kamerę na statywie.

- Oba są w jodełkę z bąbelkami - zanotowała.

- Wiele rodzin ma wzory, które szczególnie lubi stosować w swoich gansejach - odpowiedziała Sheila. - Aha, nie nazywamy ich swetrami.

- Rozumiem. - Rebecca wycelowała kamerę w sweter i nacisnęła przycisk. - Ganseje, okej. Te ganseje są takie podobne. Jeden ma podwójny zygzak, drugi pojedynczy. Sweter, to znaczy gansej, z pojedynczym zygzakiem sprawia jednak wrażenie bardziej wymyślnego. Dla kogo zostały zrobione?

- Dla męża i dla Fionna. Fionn przypomina ojca, tylko jest bardziej skomplikowany.

- Czyli ten z pojedynczym zygzakiem to gansej Fionna? Sheila skinęła głową.

- Ten dla twojego męża ma warkocz. Opowiedz mi o nim.

- Zrobiłam ten wzór dla siebie i mojego Fionna. To piątka naszych dzieci. Nazywa się „pięciokrotny warkocz z wysp Aran”.

- Warkocze to dzieci?

- Tylko dla mnie.

- Ale zygzak zwykle coś oznacza.

- Podwójny - małżeństwo. Czasem wzloty, czasem upadki.

- A pojedynczy?

- Zwykle oznacza klify czy coś podobnego. Dla mnie to, że Fionn idzie sam. Nie jest żonaty, a latka lecą. - Sheila stłumiła chichot.

Rebecca się uśmiechnęła.

- O... - szepnęła. -Co?

-Nic.

- Co się stało?

- Na ganseju twojego syna jest przekręcone oczko. Nie zauważy. - Rebecca machnęła ręką.

- Nikt nie zauważa - odpowiedziała Sheila.

Rebecca spojrzała w jej uśmiechnięte oczy, a potem uważniej przyjrzała się swetrowi.

- Tu wszędzie są przekręcone oczka.

- *Aye*. On też jest trochę przekręcony.

Po wyjściu Sheili Rebecca stała jeszcze chwilę nad swetrami. Wycelowała aparat w gansę Fionna, zrobiła zdjęcie i się roześmiała.

Romb

Romb. 1. Jak sama nazwa wskazuje, ścieg ten przedstawia romby; wykonuje się je w postaci pojedynczej kolumny, gdzie koniec jednego rombu jest początkiem następnego. 2. Tradycyjnie romby symbolizują kamienne murki otaczające poletka na wyspie. 3. Społeczność ludzi, którzy zawsze trzymają się razem, wspólnie przetrzymują burze, cieszą się słońcem, śmieją się, płaczą, żyją, umierają i spoczywają na wieki.

R. Dirane, *Sploty miłości*

Nazajutrz Rebecca i Rowan stały na cementowym ganeczku domu, w którym wychowała się Sharon. Trzymając córkę za rękę, Rebecca marzyła o tym, żeby ta potarła jej dłoń palcem. Potrzebowała wsparcia.

Po raz ostatni Rebecca widziała Peg, matkę Sharon, sześć lat wcześniej na lotnisku w San Francisco. Peg wracała właśnie do Irlandii razem z córką. Płakała, gdy szła przez bramki i machała Rebecce na pożegnanie.

Rebecca, trzymając miesięczną Rowan w ramionach, również machała, daleka była jednak od płaczu. Potrzebowała samotności, żeby zapomnieć o tym, co stało się z Dennisem dwa tygodnie wcześniej, w Święto Dziękczynienia. Stały tam przy

niej, na poboczu autostrady numer 1, i Rebecca nie mogła zapomnieć o tym całym koszmarze, póki z nią przebywały.

A teraz znalazła się pod domem Peg z bagażem sześciu lat, które próbowała wymazać z pamięci. Ilekroć myślała o odwiedzinach, wracało do niej wspomnienie Dennisa. Serce waliło jej jak młotem. Przełknęła ślinę, żeby się uspokoić. Zapukała.

- Mamo, za mocno ściskasz mi rękę.

- Przepraszam, skarbie - szepnęła Rebecca.

Czekały razem, nasłuchując odgłosu kroków i imion dobiegających zza brązowych drewnianych drzwi. Rebecca poprawiła wystającą metkę ogrodniczek Rowan z napisem „Zrobione własnoręcznie przez R. Moray”. Ze wszystkich ubrań, które uszyła, najbardziej lubiła właśnie te ogrodniczki, bo w miarę jak córka rosła, ona mogła używać tego samego wykroju - wydłużała tylko nogawki i zmieniała tkaninę. Dzisiaj Rowan miała na sobie czarną parę z tygryskami szalejącymi na jej brzuszku i nogach. Był to jej ulubiony strój.

Drzwi uchyliły się i ukazała się w nich twarz Maggie i ośmiu innych osób w różnym wieku.

- Mamo, to Becky! - ogłosiła Maggie.

- Dzień dobry - przywitała się Rebecca.

- Witaj, Becks.

- Wszystkie twoje? - spytała Rebecca. Maggie wybuchnęła śmiechem.

- Dzieciaki lubią mnie odwiedzać.

- Szczęściara. Roześmiały się obie.

- Becky! - zawołała Peg, przedzierając się przez tłumek dzieci.

- Witaj, Peg.

Kobieta delikatnie dotknęła twarzy Rebeki. W jej oczach błysnęły łzy.

- Och, Peg, nie trzeba. - Rebecca przytuliła kobietę.
- Tyle czasu - szepnęła Peg.
- Oto jestem - odpowiedziała Rebecca ze ściśniętym gardłem.
- Rowan! No proszę! Ostatnio gdy cię widziałam, byłaś takim małym dzieciaczkiem! - zawołała Peg, puszczając Rebeccę i biorąc dziewczynkę w ramiona.

Dziewczynka niepewnie spojrzała na matkę.

- Peg to mama Sharon. Przyjechała do Kalifornii, kiedy się urodziłaś. Na pewno nie pamiętasz.

- Słyszałam, że wpadłaś... jak to nazwała Sharon? - Maggie spytała matkę.

- W ten swój ton.

- I to przy Fionnie - dokończyła Maggie.

- Widzę, że wieści szybko się tu rozchodzą. - Rebecca wzruszyła nerwowo ramionami.

- Jako żona właściciela pubu znam wszystkie plotki. - Maggie zachichotała.

- Dobry powód, żeby wyjść za mąż - odparowała Rebecca. -Aye. Na dodatek to małe miasteczko. Nigdy nie brak towaru.

Roześmiały się. Rebecca przeczesła palcami włosy.

- Lepiej już idź, Becky. Rose i Liz czekają. Kiedy skończycie, kolacja będzie gotowa - poradziła Peg.

- Wszystko w porządku? - Rebecca spytała Rowan.

- Nie martw się, Becks, popilnujemy jej z mamą. Wiesz, jak dotrzeć do domu Rose Blake?

- Minać kościół, za rogiem, na końcu drogi.

- Zgadza się.

Rebecca pochyliła się i pocałowała Rowan.

- Zaopiekujemy się nią - zapewniła ją Peg.

- Dziękuję. Do zobaczenia.

Rebecca odwróciła się z nadzieją, że zostawia wspomnienie tamtego Święta Dziękczynienia na progu domu Peg. Niestety, ciągnęło się za nią po stopniach i za bramę niczym cień. Białe światła karetki, maleńka Rowan w pieluszcze siedząca na noszach, głośne syreny, dłoń Peg - wszystkie te obrazy zalały umysł Rebeki. Jęknęła i szybko skręciła w lewo, próbując oderwać się od przeszłości.

- Uważaj na turystów na rowerach - ostrzegła ją jeszcze Peg.

Rebecca zamachała, skręciła i ruszyła w kierunku kościoła. Minęło ją kilkoro rowerzystów.

- Dzień dobry, Becky.

Rebecca zatrzymała się i obróciła. Pod pubem stał Tom z miotłą, a obok Eoman z liną przerzuconą przez ramię. Nie potrafiła stwierdzić, który z nich ją zawołał.

- Dzień dobry.

- Uważaj na rowery - ostrzegł ją rybak.

- Peg już mi mówiła.

- To w porządku.

Poprawiwszy plecak, Rebecca szła dalej ulicą. Minęła zimny i podniszczony kościół po przeciwnej stronie ulicy. Cztery młode kobiety, rozmawiając i śmiejąc się głośno, zbliżały się do niej. Ich akcent na pewno nie był irlandzki. Rebecca musiała zejść z chodnika, żeby zrobić im miejsce, a kiedy podniosła wzrok, zobaczyła trójkę pędzących w jej kierunku rowerzystów. Odskoczyła, czując powiew powietrza i metaliczny chrzęst, kiedy ją wymijali. Szybko wróciła na chodnik.

- Uważaj na rowery - mruknęła do siebie, przyciskając ręce do piersi, aby uspokoić rozkołataną serce. Rozglądając się dookoła, ujrzała szczupłego mężczyznę o krótkich kasztanowych włosach, stojącego obok szeregu rowerów. Uśmiechał się.

- Becky! Jestem John Herson.

- Cześć.
- Tom mówi, że potrzebujesz roweru.
- O nie, raczej nie. Nie mam aż tak daleko do miasteczka.
- Ale będziesz go potrzebować, żeby dojechać w drugą stronę, do Fitzgibbonów.
- Ile to kosztuje? - spytała. Nie planowała wcześniej wynajęcia roweru.
- Nic. Przecież jest ci potrzebny. Będziesz jadła kolację u Peg?
- Tak.
- Podrzucę tam rower.
- O, bardzo dziękuję!
- Nie ma sprawy. Jeśli będziesz czegoś potrzebować, daj znać mnie albo Anne.
- Annie Blake?
- Nie, mojej żonie Anne Hernon. Siostrze Toma i Fionna. Rebecca pokiwała niepewnie głową. Musiała to sobie wszystko zapisać.
- Czyli córce Sheili i Fionna seniora? Jeszcze jej nie poznałam.
- Poznasz. No, ruszaj w drogę.
- Tak, dziękuję.
Mijając go, Becky zajrzała w okno. Napis na szybie głosił: „U Hernona”. W środku kłębił się tłum ludzi z plecakami, torbami i dziećmi.
- Dużo ludzi.
- To dopiero początek. Poczekać do lipca. - John uśmiechnął się, wracając do wypożyczalni. - Do zobaczenia.
Za rogiem Rebecca natknęła się na zajazd U Dooleyów z małym ogródkiem i staroświeckim szyldem. Po drugiej stronie ulicy zobaczyła dwie starsze kobiety stojące przed domem, tyłem do niej. Jedna była drobna, zgarbiona i miała czerwo-

ny szal, a druga lawendową sukienkę i biały rozpinany sweter. Podchodząc do nich, Rebecca uśmiechnęła się szeroko. Kobieta w szalu obejrzała się.

- Becky? -Tak!

- Dobrze cię wreszcie poznać. Jestem Rose Blake, a to Liz O'Connelly.

- Bardzo mi miło. - Rebecca serdecznie uściskała wątlą dłoń Rose.

- Dobrze spałaś?

- Tak, dziękuję. - Podała rękę Liz.

- Siądź sobie. - Rose wskazała Rebecce jedno z trzech krzeseł przed domkiem. - Liz, zerknij na herbatę.

Liz zniknęła w domu.

- Widzę, że masz kołowrotek. - Rebecca wskazała przyrząd leżący obok jednego z krzeseł.

- Warto umieć prząść.

- Rozumiem.

- Mamy dla ciebie wrzeciono.

- Słucham?

- Wrzeciono. Zacziesz od tego, a potem przejdiesz na kołowrotek.

- O, nie muszę uczyć się prząść. Chcę tylko porozmawiać z wami o gansejach.

- Najpierw nauczysz się prząść, potem robić na drutach, a potem pokażemy ci nasze ganseje - powiedziała Liz, wracając z herbatą na tacy.

- Cukru?

- Tak, poproszę. - Rebecca skinęła głową. - Potrafię robić na drutach.

- Kto cię nauczył? - Rose zmierzyła Rebecce sceptycznym spojrzeniem zielonych oczu.

- Sharon.

- Wspaniale! - Liz postawiła brązowy imbryk na stolyczku obok kołowrotka. - Więc musisz tylko nauczyć się prząść i wtedy pokażemy ci nasze ganseje.

- Nie mam wystarczająco dużo czasu, żeby...

- Becky, żeby naprawdę coś zrozumieć, zawsze trzeba czasu. Masz na to całe lato. Zdażysz nauczyć się prząść i robić na drutach. - Rose ruszyła chwiejnym krokiem w stronę krzesła.

- Ojciec Michael! - zawołała Liz.

Ulicą zbliżał się szpakowaty ksiądz. Koloratka lśniła w słońcu.

- Dzień dobry.

- Ksiądz poznał już przyjaciółkę Sharon?

- Nowa mieszkanka naszej wyspy. Witaj, Becky. - Ksiądz podał wstającej Rebecce dłoń.

- Nazywam się Rebecca. Nie jestem mieszkanką, tylko gościem - odpowiedziała, ściskając jego rękę.

- Do zobaczenia na mszy w niedzielę.

- O nie, nie jestem katoliczką.

- Wierzysz w Boga?

- Mmm... nie bardzo.

- W porządku. Zatem do zobaczenia w kościele. Dobrego dnia.

Ojciec Michael ruszył dalej.

- Nie pojawię się w kościele, ojczy! - zawołała za nim Rebecca.

- Do zobaczenia w niedzielę - odpowiedział, nie odwracając się.

Rebecca zmarszczyła brwi, wstała i pobięła za nim.

- Przepraszam, ojczy. Ksiądz przystanął.

- Tak, Rebecca?

- Nie pojawię się na mszy w niedzielę. Badam wierzenia religijne w ramach swojej pracy. To tylko twory społeczne. Bez urazy, ale nie uważam, aby były niezbędne do osobistego rozwoju.

Ksiądz odwzajemnił nieruchome spojrzenie Rebeki, jak gdyby czekając na jej dalsze słowa. Mrużąc oczy, potrząsnęła głową. Uśmiechnął się szeroko.

- Dobrze. Zobaczymy się w niedzielę. - Odwrócił się i ruszył przed siebie.

- Nie zobaczymy się! - krzyknęła za nim.

- W niedzielę! - odkrzyknął i zniknął za rogiem.

Drabina

Drabina (również drabina życia lub drabina Jakuba). 1. Biegący pionowo wzór w robótce, przypominający żerdzie i szczeble drabiny. 2. Tradycyjne odniesienie do drabiny Jakuba - drogi do nieba i wiekuistej szczęśliwości lub dokładniej - jedności z Bogiem. 3. W angielskim słownictwie dotyczącym poławiania ryb drabiny Jakuba to liny biegnące z pokładu łodzi do takielunku. 4. Połączenie, które skutkuje zmianą.

R. Dirane, *Sploty miłości*

Sean się spieszył. Zapomniał powiedzieć wczoraj Paddy'emu o nadchodzącej niepogodzie, ponieważ całą jego uwagę zajęła Rowan, jej mahoniowe oczy, aureole, promienie słońca wpadające przez okno i małe tuptające stopy. Mimo wczesnej pory turyści tłoczyli się już na chodnikach, przez co musiał iść ulicą, narażając się na potrącenie przez rower.

- Muszę uważać - mruknął do siebie, skręcając. Stał jak wryty.

W bramie chowała się mała Janeska w dziwnych ogrodniczkach. W tej chwili zza rogu wybiegła Siobhan i zatrzymała się trzy metry od ukrytej Rowan.

- Znajdę cię, Rowan! Zaraz cię znajdę! - zawołała.

Rowan wciągnęła brzuch, jak gdyby chciała stać się jeszcze bardziej niewidoczna. Rozejrzawszy się, jej koleżanka przebiegła na drugą stronę ulicy. Rowan spoglądała z bramy za przyjaciółką i śmiała się do siebie.

- Widzę, że twoja matka nie umie cię także właściwie ubrać. - Sean podszedł do dziewczynki, zadowolony, że ma szansę się odegrać.

Rowan odwróciła się i spojrzała mu w oczy. Nie wyglądała jednak na przestraszoną czy urażoną. Patrzyła na niego, jak gdyby... jak gdyby wcale go tam nie było. A potem obróciła się i spokojnie odeszła.

- Wypada odpowiedzieć, kiedy ktoś do ciebie mówi! Rowan stanęła w miejscu, ale się nie odwróciła.

- Nie muszę być miła dla niemiłych ludzi.

- Gapiałś się na mnie. To niegrzeczne.

- Nie gapiłam się.

- Gapiałś się.

Rowan obejrzała się na niego.

- Patrzyłam tylko na dłonie.

Sean przechylił głowę, słysząc coś w oddali.

- Moje dłonie?

- Tak. Wyglądały, jak gdyby robiły na drutach. Zawsze patrzę, jak moja mama robi na drutach. Jest mi wtedy miło i czuję się senna.

Sean nastroszył brwi.

- W pubie chciało ci się spać?

- Dopiero co przyjechałyśmy.

- Skąd?

- Z Kalifornii.

To było na drugim końcu świata. Sean się skrzywił.

- Nie wiedziałem, że patrzysz mi na ręce.

- Wypada spytać, zanim się na kogoś nakrzyczy.

Sean poczuł mrowienie spoconych dłoni. Wytarł je o spodnie i wziął głęboki oddech. Nie pamiętał, kiedy ostatnio kogoś przeproszał. Czy kiedykolwiek przeproszał dziecko? Nawet swoje? Szukał w pamięci, ale nie znalazł takiego przypadku. Zakasłał niepewnie.

- P... przepraszam, Rowan, że na ciebie nakrzyczałem. Rowan popatrzyła na niego.

- Powiedziałeś, że to imię nie jest dla mnie dobre. To zraniło moje uczucia.

Patrząc w jej mahoniowe oczy, Sean ujrzał wyraz cierpienia. To on zadał jej ból. Jego serce zabiło mocniej. Przycisnął dłoń do piersi, jak gdyby chciał je uspokoić.

- Przepraszam, że zraniłem twoje uczucia. Rowan to... dobre irlandzkie imię. Pasuje do ciebie.

- Dlaczego nie podobają ci się moje ogrodniczki? - spytała dziewczynka, dotykając tygryśka na piersi.

- Nie zauważyłem, że są w tygryski. Teraz mi się podobają - odparł szybko.

- Moja mama je namalowała. To moje ulubione zwierzę. A jakie zwierzę ty najbardziej lubisz?

Sean poprawił czapkę.

- Nie wiem. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

- Ja najbardziej lubię tygryski, bo one tak głośno mruczą. Słyszałeś kiedyś, jak mruczy tygrys?

- Nie przypominam sobie.

- Mają łapy tak duże jak twoja głowa.

- Naprawdę?

- Tak. A ich paski są magiczne.

- Magiczne?

- No. Tygrysy łążą po zielonej dżungli, ale nie można ich zobaczyć, choć są czarno-żółto-pomarańczowe. Wtapiają się w tło, chociaż wyglądają inaczej. Bo paski są magiczne!

Sean przytaknął. Z pobliskiej uliczki dobiegł ich głos Siobhan wołającej przyjaciółkę.

- Lepiej już idź. Siobhan cię woła. Rowan się uśmiechnęła.

Seanowi oddech uwiązł w piersi, gdy jej mahoniowe oczy rozbłyły niczym leśne duszki. Ile to czasu minęło, odkąd ostatni raz dziecko obdarowało go uśmiechem?

- Do widzenia, panie Morahan - powiedziała rozpromieniona.

- Miłego dnia - wykrztusił, nie mogąc rozluźnić gardła. Rowan wybiegła na ulicę. Patrząc za nią, Sean poczuł w sercu ból.

- Rowan! - zawołał.

Zatrzymała się, wciąż z uśmiechem na ustach.

- Mów mi Sean. I uważaj na rowery!

- Do zobaczenia, Sean! - odpowiedziała, znikając za rogiem. Sean złapał się za pierś i oparł o ścianę, pewien, że ma atak

serca. Ale nie zemdlął ani się nie przewrócił. Oddychał płytko, zmuszając mięśnie żeber, żeby odciążyły serce i płuca. Z oddali dobiegł znany mu odgłos. Burza.

- Paddy - wyszeptał i z trudem odpychając się od budynku, ruszył chwiejnie ku dkom, wciąż trzymając się za pierś.

Mech

Mech (amerykański ryż). 1. Wypukły wzór powstały przez przerabianie na przemian oczek prawych i lewych przez dwa rzędy. Następne dwa rzędy tworzy się poprzez naprzemienne przerabianie oczka lewego i prawego. Ściegu tego można użyć samodzielnie lub jako wypełnienia rombu czy kwadratu. 2. Tradycyjnie symbolizuje ziemię uprawną (wyspa jest skalista, a gleba powstała z mchu i wodorostów). 3. Ziemia, gdzie kwitnie życie.

R. Dirane, *Sploty miłości*

Po kolacji Rebecca siedziała na sofie i patrzyła, jak Peg trzymając w lewej ręce kądziel, skręca przedzę i jak prawą dłonią obraca ręczne wrzeciono, które wirując, spada na podłogę. Jej uszu dobiegał również miarowy stukot kołowrotka Rose, który działał na nią uspokajająco.

Cały dzień uczyła się praść, jednocześnie martwiła ją perspektywa powrotu do domu Peg na kolację. Miała nadzieję, że nie będzie musiała spędzić zbyt dużo czasu sam na sam z mamą Sharon i uniknie rozmów o Dennisie. Poczła ulgę, kiedy Paddy przyszedł do Rose przed kolacją, zapakował kołowrotek mamy do jedyne go samochodu na wyspie i we czwórkę

ruszyli, jadąc powoli między przechodniami i rowerzystami, ku domowi Peg.

Jej przędza pękła. Gdy westchnęła, Liz siedząca na krześle po przeciwnej stronie pokoju wstała, żeby jej pomóc.

- Musisz trzymać prawą rękę z dala od trójkąta. Inaczej skrećasz wełnę, zamiast ją prząść.

- To właśnie przedzenie własnej wełny sprawia, że nasze ganseje wyglądają, jak wyglądają - zauważyła Rose. Jej przędza wysnuwała się lekko z kądzieli. - Przędza robiona maszynowo ma ten sam rozmiar i jednolitą fakturę, a ta domowej roboty ma małe guzki, widzisz?

Rose przerwała pracę, żeby pokazać drobną nieregularność przędzy.

- To nadaje dzianinie charakteru - powiedziała Liz.

- Pamiętasz przędzę Claire? - spytała Rose, wprawiając znów kołowrotek w ruch. - Na mszy siedzieliśmy za Seanem i chłopcami. Zawsze nosili ganseje do kościoła, a my próbowałyśmy zapamiętać wzory.

- Wiele nauk nam przez to umknęło. Roześmiały się obie.

- O jakiej Claire mówicie? - dociekała Rebecca.

- Morahan - odparła Liz.

- Zonie Seana Morahana?

- Tak. Wyjechała stąd lata temu. Nigdy nam nie powiedziała, skąd brała wzory. Gdy ją pytałyśmy, uśmiechała się tylko i wzruszała ramionami.

- Straszna historia z jej synami - zauważyła Rebecca.

- Tak. Tuż po tym, co się stało, opuściła wyspę i wyjechała do Galway.

- Aye - przytaknęła Rose. - Mój Padrig ją tam zabrał. Nigdy się nie dowiedzieliśmy, dlaczego wyjechała. Ale Sean był dla niej surowy, i to jeszcze zanim stracili chłopców.

- Surowy?

- Trzymał ją krótko - szepnęła Liz. - Nie lubił, kiedy spędzała czas poza domem bez niego albo dzieci.

- Zaborczy - mruknęła Rebecca.

- Zaborczy? - zaciekała się Rose.

- Odebrał jej wolność - rzuciła Rebecca zimno. Wspomnienie o Dennisie rozbrzmiało w jej pamięci. On zawsze na nią czekał i zawsze ją obserwował.

- Skąd to wiesz, Becky? - dopytywała Rose ze wzrokiem utkwionym w przędzy.

Rebecca wygładziła białe włókna. Schyliła się, podniosła wrzeciono i położyła je na kolanach.

- Inaczej nie miałyby nic przeciwko temu, że wychodziła bez niego lub chłopców. Chciał kontrolować, z kim rozmawia, gdzie idzie, co robi. Nie była wolna, skoro nie mogła samodzielnie podejmować decyzji. Musiała zajmować się tylko tym, na co on jej pozwalał.

Rose spojrzała na nią przenikliwymi zielonymi oczami.

- Skąd to wszystko wiesz?

- Ponieważ to, co o nim mówicie, przypomina mi kogoś, kogo kiedyś znałam.

- Becky, musimy już wracać do domu. - Paddy wszedł do pokoju. - Idzie burza.

Rebecca była mu wdzięczna za to, że się zjawił właśnie w tej chwili. Wrzeciono Rose zatrzymało się nagle, tak nagle, że Rebecca aż drgnęła. Kiedy podniosła wzrok, zobaczyła, że Rose i Liz przyglądają jej się, marszcząc brwi. Rebecca wzruszyła ramionami. Poczowała ukłucie niepokoju.

- Bywały już gorsze burze - rzucił Paddy, mrugając do matki.

- W takim razie lepiej wracać do domu - zdecydowała Liz. - Pogoda jest jeszcze dobra, ale lepiej być w domu, kiedy się pogorszy.

- No cóż - skwitowała Rebecca i zaczerpnęła głęboko powietrza, kładąc wełnę z wrzecionem na sofie. - Dziękuję za lekcję.

- O nie. - Liz podała jej wełnę i wrzeciono. - Zabierasz to ze sobą i ćwiczysz w domu. Przy drzwiach stoi cała torba wełny.

- Cała torba? - Rebecca wytrzeszczyła oczy na widok dużej bawełnianej torby pełnej surowej wełny. - Liz, to za dużo...

- Nie spiesz się. Musisz trochę poćwiczyć. Potem pokażemy ci nasze ganseje - odparła Liz.

- Niech i tak będzie. - Rebecca się roześmiała. - A gdzie Rowan?

- Tutaj, mamó - odezwała się dziewczynka, wpadając do pokoju z Siobhan.

- Może mogłabyś kiedyś spać u nas? - spytała Siobhan. - Poszłybyśmy łowić ryby na skałach.

- Mogę, mamó? Mogę? - Rowan natychmiast zapaliła się do pomysłu.

- Jeśli Paddy i Annie się zgodzą.

Dziewczynki zachichotały i się przytuliły. Rebecca uśmiechnęła się szeroko.

Założyła plecak, Liz chwyciła za worek z wełną i razem z Rose, Paddym, Annie, Siobhan i Eomanem ruszyli do drzwi, wkładając kurtki i swetry. Rebecce wydawało się, że oto całe miasteczko wychodzi teraz gęsiego z domu Peg. Nie rozumiała, jak to się stało, że na kolacji pojawiło się tyle osób. Chwyciła Rowan za rękę i wtopiła się w tłumek.

- Do jutra, Mags! - Podeszła do roweru, który John wcześniej tu dla niej zostawił.

- Do zobaczenia, Becks.

- Becky, uważaj na ten wiatr - przestrzegła ją Peg. - Może cię złapać zniecka na drodze północnej.

Z Rowan na kierownicy Rebecca odjechała w narastającym mroku.

Dziewczynka pomachała, a jej matka skierowała się w stronę pubu.

- Becks! Twój dom jest w drugą stronę! - krzyknęła Maggie.

- Wiem! Muszę tylko coś szybko sprawdzić! - odkrzyknęła przez ramię.

Rebecca ruszyła pod wiatr, w stronę kościelnej wieży. Mijając pub, usłyszała śmiech i dobiegające zewsząd wesołe śpiewy. Kilkoro turystów szło chwiejnie do zajazdu U Dooleyów. Rebecca zatrzymała się przy kościele.

- Czemu tu stajemy? - spytała Rowan.

- Chcę sprawdzić, o której są msze.

- A po co?

- Żeby wtedy tu nie przyjść. - Rebecca się skrzywiła.

Nie znalazłszy jednak tego, czego szukała, postanowiła, że nazajutrz niby mimochodem zapyta Maggie lub Peg, o której godzinie zaczyna się niedzielna msza. Zadowolona z siebie, wróciła na rower i ruszyła do domu.

Podmuchy wiatru uderzały w rower, gdy matka i córka pędziły ciemną drogą. Rebecca wiedziała, że byłoby gorzej, gdyby nie kamienne murki wzdłuż drogi.

Kiedy zbliżały się do domku, poczuła się dumna, że bez szwanku przejechała rowerem wyspę smaganą wiatrem. Gdy zjechała z asfaltu przy domu O'Flahertych i jechała po podjeździe, ku jej zaskoczeniu drzwi otworzyły się i stanęła w nich Sheila z Tropem u boku.

- Wszystko w porządku?

- *Aye!* Możesz zostawić rower w szopie - oznajmiła Sheila, wskazując na lewo.

Rowan zeskoczyła z kierownicy, a Rebecca zaprowadziła rower do szopy znajdującej się obok domu, a następnie podążyła za córką w stronę ich chaty.

- Będzie dziś porządnie wiało - zawyrokował Fionn senior, gdy Rebecca stanęła w drzwiach. - Idzie z południa. Przynieśliśmy więcej torfu i świece, w razie gdyby wysiadł prąd.

- Będzie słyhać, jak wiatr tarnosi strzechą - wtrąciła Sheila

- ale Danny, nasz najmłodszy syn, przyjechał zeszłego lata z Doolin i razem z Tomem wymienili wtedy dach, więc nie musisz się bać, że wichura go zerwie.

-Aye. Danny to świetny dekarz.

- Nic wam tu nie grozi, ale zawsze możesz przyjść do nas

- zaprosiła ją Sheila.

- Nie, nie, dam sobie radę.

- Z tego, co tam się pali, będzie dużo węgla. Zgarnij je na kupę, dorzuc ze dwie bryły torfu po bokach jakieś pół godziny przed pójściem spać, tak jak ci wczoraj pokazałam.

- Mały, równy ogień lepiej grzeje niż duży - dorzucił Fionn senior. - Zużywa mniej opału i nie osmali ci wąsów.

- Ja nie mam wąsów - nadała się Rowan.

- Ale Trop ma. Dziewczynka zachichotała.

- Będziemy mieć na was oko - obiecała Sheila, kierując się do drzwi. - Na pewno dasz sobie radę? Sean mówi, że to nie byle jaka burza, a on się nigdy w takich sprawach nie myli.

- Tak. Będzie dobrze - odparła Rebecca. Sheila otworzyła drzwi; do wnętrza wpadł wiatr.

- Ten dom stoi tu już ponad sto lat - Fionn poinformował Rowan. - Jeszcze go nie zwiało. Jeśli będziesz się bała, to coś sobie zaśpiewaj.

Wyszedł z domu, trzymając Sheilę za rękę. Rebecca z wysiłkiem zamknęła drzwi i podeszła do okna. Patrzyła, jak Fionn otacza ramieniem żonę, zapewne po to, by uchronić ją przed porywami zazdrosnego wiatru. Obróciła się i krzyknęła zaskoczona.

Obok Rowan stał Trop i wymachiwał ogonem.

- A co on tutaj robi?

- Chce ze mną zostać. - Rowan podrapała psa za prawym uchem.

Rebecca przewróciła oczami.

- No dobrze. Wskakujemy w piżamy.

- Boisz się, mamó? - zapytała Rowan, idąc za matką do sypialni.

Prawdę mówiąc, Rebecca się bała, ale zapewniła dziecko:

- Nie. Słyszałaś, co powiedział pan O'Flaherty. Dom stoi tu już ponad sto lat, a oni mają na nas oko. W ogóle się nie boję.

Rowan przytaknęła.

Przebrawszy się w piżamę, Rebecca wyciągnęła kilka książek i razem z Rowan czytały, a Trop leżał na podłodze przy łóżku.

Wiatr hulał po dachu, wyjąc jak wielka mewa śmigająca nad wyżłobionym przez morze klifem. Rebecca nie była pewna, czy to sam wiatr, czy dach. Zapaliła kilka świec, a gdy tylko zdmuchnęła zapałkę, prąd się wyłączył.

- Nie możemy czytać - wyszeptała Rowan.

- Czas spać - zakomenderowała Rebecca. - Ja pójdę jeszcze dołożyć do ognia.

Zapaliła kadzidelko i włożyła je do kadzielnicy. Przykrywszy dokładnie córkę, przypomniała sobie o latarce, którą kupiły wcześniej. Po poranku spędzonym z Sheilą Rebecca rozpakowała bagaże i poukładała rzeczy, więc teraz z łatwością odnalazła urządzenie w szufladzie komody. Wyciągnęła je i położyła koło łóżka.

- Jak będziesz się bała, to ją włącz.

- Nie, mamó. Będę śpiewała. Tak poradził mi pan O'Flaherty.

- Hm, pewnie wie, co mówi.

Rebecca ucałowała Rowan w czoło. Nie zamykając za sobą drzwi, wyszła do salonu. Burza szalała na zewnątrz i serce biło

jej coraz szybciej. Wiatr napierał falami, to narastając, to znów cichnąc.

- Wyje jak potępieniec - wymamrotała.

Rozglądając się wokół, pomyślała, jak mały jest ten domek i jak blisko znajduje się morza; od oceanu dzieliły go tylko splekane klify.

- Stoi tu już ponad sto lat - powtórzyła, a jej dłonie i stopy pokryły się potem. Może powinny były jednak pójść z Sheilą i Fionnem? Obracając się w miejscu, nie mogła zdecydować, co należało zrobić. Odgarniając włosy ze spoconych skroni, zauważyła małą kępkę wełny wystającą z plecaka.

„Musisz tylko nauczyć się praść”.

Wyciągnąwszy wrzeciono i wełnę, zadrzała, bo w tej właśnie chwili na dachu coś przenikliwie zazgrzytało. Sztywnym krokiem podeszła do sofy, położyła wełnę i wrzeciono na poduszkach. Potem zbliżyła się do kominka i chwyciwszy łopatkę, zgarnęła rozżarzone węgielki na kupkę. Gdy ułożyła po bokach dwie bryły torfu, tak jak pokazywała jej Sheila, zatliły się. Uniósł się z nich szaroniebieski dym, który zawirował nad paleniskiem. Wnet miał ulecieć kominem i stać się wolny - tak jak i ona. Rebecca pomyślała o Rose i Liz oraz ich rozmowie o Seanie i jego żonie. Obróciwszy się, dojrzała swoje odbicie w małym lustrze wiszącym na ścianie salonu w pobliżu drzwi wejściowych. Kasztanowe włosy opadały jej na ramiona, a ze szczupłej twarzy w kształcie serca spoglądały szeroko otwarte mahoniowe oczy.

- Był zaborczy - wyszeptała do swego odbicia.

Rebecca stała przed dużym lustrem, nie mogąc się nadziwić, jak wspaniale leży na niej zielona, wełniana sukienka. Chociaż Sharon wyjechała do domu cztery lata wcześniej, za-

raz po ukończeniu nauki, wciąż musiała dobrze pamiętać wygląd przyjaciółki, aby zrobić na drutach coś takiego. To był zdecydowanie najpiękniejszy prezent urodzinowy, jaki Rebecca kiedykolwiek otrzymała. Uśmiechając się do siebie, czuła się tak ładna jak na balu absolwentów.

W tym momencie do sypialni wszedł Dennis i zasłonił jej zwierciadło, kierując się do łazienki.

- Okropna sukienka - powiedział cicho, zatrzymując się, by poprawić włosy przed lustrem. - Wyglądasz w niej jak wieloryb.

- A... a mnie się podoba. - Rebecca skrzywiła się na te kąśliwe słowa.

- Jest brzydka.

- Nieprawda - wyszeptała, wygładzając fałdy.

Dennis odwrócił się i spojrzał na nią zimnymi, niebieskimi oczyma. Postąpił w jej kierunku. Cofnęła się, czując, jak serce podchodzi jej do gardła.

- Włóż coś innego.

- Nie. To proszona kolacja, a to najładniejsza rzecz, jaką mam.

- Nie chcę, żeby mnie widziano z wielorybem. - Zbliżył się do niej jeszcze bardziej.

- Już włożyłam tę sukienkę i bynajmniej nie przeszkadza mi to, że wyglądam jak wieloryb.

- Ale to ja będę musiał cię oglądać cały wieczór. Albo sama to ściągniesz, albo ja to zrobię. Wybieraj.

Rebecca cofnęła się, łzy wezbrały jej w oczach.

- Dlaczego to dla ciebie takie ważne?

- Zdejmuj albo ja to zrobię! - powtórzył, robiąc znów dwa kroki w jej kierunku.

Rebecca szybko ściągnęła sukienkę przez głowę. W samej bieliźnie zaczęła się trząść.

- Daj mi ją. - Dennis wyciągnął rękę.

Rebecca potrząsnęła głową, przyciskając materiał do piersi.

- Dawaj ją, Becky - powtórzył głośniejszym głosem.

- Ale to mój prezent urodzinowy... - zaprotestowała cicho. Dennis wyrwał jej sukienkę.

- Jest moja!

- Chcesz mnie jeszcze bardziej rozzłościć? - zawrzał.

- Nie - wycofała się.

- Załóż coś innego. I to szybko! Spóźnimy się przez ciebie. Wyszedł z sypialni z sukienką.

- To mój prezent urodzinowy... - wyszeptała, ocierając łzy trzęsącymi się rękoma. Wiedziała, że już nigdy nie ujrzy tej sukienki.

Rebecca odwróciła się od lusterka i obserwowała, jak dym oraz wspomnienie kłębią się nad paleniskiem. Czekala, aż uniosą się do komina i znikną. Ale tylko smużka dymu ulotniła się bez śladu. Wspomnienie zostało. Rebecca wciąż widziała Dennisa odchodzącego z jej sukienką.

- Był zaborczy - powtórzyła, czując zimną pustkę w sercu. Wzięła wrzeciono i usiadła na sofie.

Ustawiła je na podłodze, a następnie wprawiła w ruch. Drugą ręką sięgnęła po węgł. Długie pasmo białej nici skręciło się. Rebecca patrzyła na cieniutkie włókna odrywające się od kądzieli. Tworzyły trójkąt, którego podstawa spoczywała na kądzieli, a wierzchołek wskazywał przód przy wrzecionie. Ponownie zakreśliła wrzecionem i dotknęła prawą ręką białych włókien, dwa cale pod trójkątem.

- Nie za bardzo napięte - szepnęła, patrząc, jak puch w jej lewej ręce zmienia się w przędzę. Na zewnątrz hulała burza,

a ona skręcała wełnę. Kiedy już cała zniknęła z jej lewej ręki, kobieta spojrzała na wrzeczono leżące na podłodze. Owijała je piękna, biała przędza. Rebecca się uśmiechnęła.

- Mamo?! - zawołała z sypialni Rowan. - Słyszę, jak ptaszek śpiewa.

- Ptaszki nie śpiewają w czasie burzy - odparła, odkładając robótkę i idąc za głosem córki.

- W takim razie co to?

Rebecca przechyliła głowę i zaczęła nasłuchiwać. Zza okna sypialni dobiegł ją trel.

- Masz latarkę?

Rowan zaszeleściła pościelą i włączyła urządzenie. Rebecca otoczyła córkę ramieniem, podeszła do okna i odsunęła zasłony. Na krzewie jeżyny dojrzały tego samego ptaszka, który powitał ich o poranku po przyjeździe. Trzymał się gałązki, stawiając czoła wiatrowi, a deszcz smagał go po piórkach i dzióbku.

- Mamo, on śpiewa, bo się boi?

- A czy wygląda, jakby się bał? -No...

- Może chce, żeby wiatr wiedział, że bez względu na to, jak mocno wieje, on się bał nie będzie. Widzisz gniazdko?

Rebecca poświeciła latarką w głąb krzaka. Oświetliła drugiego ptaka siedzącego na gnieździe.

- Czy to jest mama?

- Może tata. Też nie wygląda na wystraszonego.

- A są tam dzieci?

- Teraz to tylko jajka. Wracajmy do łóżka...

Rebecca położyła córkę, a potem wzięła latarkę do przedpokoju i zdmuchnęła świecę. Sprawdziwszy po raz ostatni ogień, wróciła do sypialni, wyłączyła światelko i się położyła.

- Mamo, ja też się nie boję wiatru.

-Ani ja - szepnęła Rebecca i zasnęła, trzymając dziecko w ramionach, kołysana pieśnią małego ptaszka, śpiewającego głośniej od najtęższej wichury.

Diagonal

Diagonal (ścieg ukośny), t. Wzór uzyskany poprzez przerabianie oczek przekreślonych. Przypomina głębokie rowki ułożone po przekątnej, przydaje dzianinie trójwymiarowości. 2. Proces uczenia się i jego istota.

R. Dirane, *Sploty miłości*

Wiatr ucichł. Następnego dnia wczesnie rano Rebecca wyszła w dopiero co podnoszącą się mgłę. Powoli przespacerowała się po rower. Kiedy wróciła, Rowan wybiegała właśnie z budynku, goniona przez psa. Razem ruszyły w kierunku domu Sheili.

Matka i córka trzymały się blisko siebie. Droga była mokra i szara, a pod ich stopami zgrzytał żwir. Rebecca wyciągnęła rękę, żeby sprawdzić gęstość mgły. Nie uważała jej po prostu za zjawisko atmosferyczne, tylko żywą istotę. Podobnie opary wznoszące się z łąnów oczeretów w Kalifornii miejscami różniły się stopniem skupienia, jak gdyby nie mogły się zdecydować, gdzie chcą osiąść. Czy to w sadzie migdałowym dziadka w Turlock, czy w drodze do szkoły w Redding, mgła była przyjacielem Rebeki.

Jej dłoń rozplynęła się w szarości. Kobieta uśmiechnęła się, patrząc, jak truchtająca obok psa córka znika jej z oczu.

- Czy to Rowan Moray? - rozległ się głos Fionna seniora.

- Tak! - krzyknęła dziewczynka, a teraz tylko cień po jej prawej stronie.

Rebecca powoli prowadziła rower po żwirze w kierunku ciemnej zjawy.

- Chcesz zajrzeć ze mną do krów?

- Wybieramy się do miasteczka - wtrąciła Rebecca. - Pobawi się z Siobhan.

- Wezmę ją ze sobą. Krowy i tak są na południu. Klacz powinna tam dojść.

- Mogę, mamó, mogę?

Rebecca spojrzała na stojących we mgle Rowan i Fionna. Przez chwilę wahała się, myśląc, że czułaby się pewniej, gdyby dziecko zostało z nią, ale potem przypomniała sobie, jak dobrze bawiło się ostatnio z Fionnem i klaczą. Na jej wargach pojawił się lekki grymas.

- Nie ma bezpieczniejszego miejsca - podsumowała. - *Aye* - potwierdził Fionn.

- W takim razie w porządku. Śmiało, Rowan.

- No, to chodźmy.

Fionn przeniósł Rowan nad murkiem. Trop przeskoczył za nimi, rozganiając mgłę ogonem. Rebecca patrzyła, jak ich sylwetki rozpływają się w szarości i stają się niczym zjawy unoszące się w gęstym powietrzu.

Odetchnęła głęboko i dotknęła zerodowanych kamieni. Wydawały się zimne, chropowate i omszałe. Powinna była iść do miasteczka porozmawiać z Rose i Liz, ale nagle przypomniała sobie, że gdzieś na północ od domku wznosi się mały fort. Zamknęła oczy z nadzieją, że usłyszy zew jego pradawnych murów. Zamiast tego jednak usłyszała zgrzyt kroków dochodzący od strony domu Sheili.

- Sheila?! - zawołała.

- Nie - odezwał się męski głos, a z mgły wyłonił się Fionn junior. Przez prawe ramię miał przerzucone sakwy, a w lewej ręce trzymał różowe kartonowe pudło obwiązane sznurkiem.

Rebecca poczuła, jak serce podchodzi jej do gardła. Przyłgnęła plecami do murku.

- Witaj, Rebecco.

- Cześć - odpowiedziała oschle.

- Wymarzony poranek na herbatę i gorące paszteciki.

Nie skomentowała tego. Stała tam jak ten zimny mur, o który się opierała. Fionn westchnął.

- Przykro mi, że tak popędziłam na motorze, odwożąc twoją córkę.

- Czyżby?

-*Aye*. Powiedziałem, że tego nie zrobię, a jednak zrobiłem. I cóż, w ten sposób nie... zdobędę twojego zaufania. -Fakt! I..

- Myślałem po prostu, że znasz mnie, bo jestem przyjacielem Sharon. Ze wiesz, iż nie naraziłbym Rowan na niebezpieczeństwo. Dziecko powinno mieć poczucie, że matka ochroni je przed wszystkim, gdy brakuje ojca. Rozumiem to, Becky. I przepraszam.

Patrzył na nią tymi swoimi bardzo czarnymi oczami tak spokojnie i łagodnie, że Rebecca poczuła, jak coś ściska ją w gardle. Zakasłała.

- Dziękuję - odrzekła ochryłym głosem.

- Dobrze. Teraz mam prośbę.

- Prośbę?

- *Aye*. Jeśli zrobię coś, co cię wkurza, wolałbym, żebyś nie czekała z kontratakiem do momentu, aż będę odchodził, i żebyś nie zatrząskiwała mi drzwi przed nosem.

-To ty...

- Wkurzyłem cię, a ty zatrzasnęłaś mi drzwi przed nosem.

- Odjechałeś z moją cór...

- Przeprosiłem. Przyjęłaś przeprosiny. Trzymasz się tego tylko po to, by nie przyznać, że postąpiłaś źle.

Fionn miał oczywiście rację. Wiedziała o tym już wtedy, kiedy to zrobiła. Nie znosiła nie mieć racji.

- Okej. - Spuściła wzrok. - Od razu ci powiem, jeśli coś mnie będzie wkurzać.

Spojrzenie Fionna zmieniło się, nabrało głębi. Oczy wciąż miał łagodne, lecz nimi nie poruszał. Ignorując kroplę rosy, która zwieszała mu się z rudego kosmyka nad lewym okiem, patrzył na nią, jak gdyby nic nie powiedziała, tak samo jak pierwszego wieczora, kiedy poznali się w pubie. Rebecca przestąpiła z lewej nogi na prawą, czując się nieswojo pod tym ostrzałem.

- W porządku. Przepraszam, że zatrzasnęłam ci drzwi przed nosem.

- Doskonale. - Uśmiechnął się szeroko i wyminął ją, kierując się do domku. - Pora na herbatę.

- Ale... właśnie wychodziłam - wyjąkała.

Fionn zatrzymał się i odwrócił. We mgle jego postać była tylko zarysem.

- Dokąd?

- Yyy... Do fortu.

- Pójdę z tobą. Herbatę wypijemy potem. - Ruszył znów w kierunku domu.

-Ale... Rowan idzie do Siobhan! - zawołała za nim Rebecca. - Dzisiejszy dzień miałam spędzić sama.

- Wiesz, gdzie jest fort? - Jego pytanie dobiegło z bezcielesnej pustki.

-Nie.

- Więc ktoś musi ci wskazać drogę, zwłaszcza w tej mgle. Chodźmy.

Rebecca skrzywiła się, ale zawróciła rower i niechętnie ruszyła za Fionnem. Jego obecność nie była dla niej przyjemna. Miał nie wrócić na wyspę aż do świąt. Chciała być sama, chciała sama zwiedzać fort. Odkąd skończyło się jej wspólne życie z Dennisem, wszystkie badania przeprowadzała sama. Potrzebowała samotności, żeby utrzymać w życiu równowagę.

Drzwi stały otworem. Niechętnie oparła rower o ścianę i weszła do środka.

Na sofie leżała fujarka, podręcznik do nauki grania i pięć książek w twardej oprawie. Fionn wyszedł z kuchni.

- Przyniosłem Rowan fujarkę i książkę o tym, jak na niej grać. Wszyscy na wyspie to umieją.

- Dziękuję, że o niej pomyślałeś.

- Dla ciebie też coś mam.

Rebecca zrobiła krok w tył, patrząc z obawą na Fionna, który wskazał na sofę.

- Moja mama mówi, że pewnie przydadzą ci się książki o irlandzkich robótkach.

- O! - wykrzyknęła Rebecca z lekkim uśmiechem na ustach.

- Chodźmy - powtórzył Fionn.

Rebecca skierowała się na zewnątrz. Podążył za nią, zamykając drzwi.

- Do fortu idzie się tamtędy. - Skreślił w lewo od żwirowego podjazdu.

- Nie wiedziałem, czego ci potrzeba, więc poprosiłem bibliotekarza w Trinity College o pomoc. W tej książce są wzory. Sharon mówiła, że od dłuższego czasu przymierzasz się do napisania książki o gansejach.

- Tak. Kilka lat starałam się o grant na ten projekt. Fionn dotarł do murku i - położywszy na nim lewą dłoń

- przeskoczył przezeń z taką łatwością jak przedtem Trop. Od-

wrócił się i wyciągnął do Rebeki rękę. Przyjęła ją niechętnie. Wcisnęła prawą stopę w szczelinę między kamieniami, uniosła lewą nogę i znalazła się po drugiej stronie. Powoli uwolniła dłoń z uścisku Fionna i przeczesała palcami włosy.

Fionn przekrzywił głowę, odwrócił się i ruszył przez zarośla sięgające do połowy kolana. Rebecca podążyła za nim. Stapała ciężko po nierównej, porośniętej trawą ziemi, tak że jej stopy wykręcały się w różnych kierunkach. Za każdym razem, kiedy myślała, że stawia nogę na płaskiej powierzchni, ześlizgiwała się w prawo albo w lewo, bo kamienie i błoto ustępowały pod jej ciężarem.

- Razem z Sharon i Johnem ścigaliśmy się po mszy do fortu. John zawsze wygrywał - rzucił Fionn przez ramię.

- Biegał najszybciej?

- Nie. Sharon i ja walczyliśmy całą drogę, więc byliśmy zbyt zajęci, żeby przejmować się zawodami. - Zaśmiał się.

- Walczyliście?

- Nie na pięści, tylko na słowa. Bez przerwy się o wszystko kłóciliśmy i przez to mieliśmy kłopoty, więc po mszy udawaliśmy się do fortu.

- Dlaczego? - spytała Rebecca, odzyskując równowagę po przeskoczeniu kałuży.

- Bo niedzielne kolacje odbywały się u mnie w domu i ojciec Michael zawsze się na nich zjawiał. Chcieliśmy mieć z Sharon przerwę między kazaniami.

- Nie mógł iść gdzie indziej?

- O! Jak najbardziej mógł, ale uważał, że potrzebujemy szczególnej opieki duchowej. Biedny John, wpadł w to wszystko przez nas.

Czubek lewego buta Rebeki utknął w szczelinie. Wyszarpnęła go, wydając przy tym jęk. Zbliżyli się do kolejnego murku, Fionn przeskoczył go i znów wyciągnął do niej rękę.

- Sama spróbuję - wydyszata. Oparłszy lewą dłoń o kamienie, niezdarnie wdrapała się na przeszkodę i wnet ją pokonała. - Poszło gładko - sapnęła.

- Aye. - Jej towarzysz uśmiechnął się i ruszył dalej.

Rebecca spojrzała na swoje kolana, smagane wysokimi zielonymi i złotymi trawami. Tu i tam rosły czerwonawe rośliny, których nasiona przyklejały się do nogawek jej spodni. Spomiędzy zarośli wystawały szare głazy. Deszcze splukały glebę z nagiej skały do głębokich szczelin, tworząc laty ziemi pełne roślinności. Schyliła się i dotknęła głazu.

- Pewnie trudno było wydobyć życie z tego kamienia -mruknęła do siebie.

- Trudno samemu - zauważył Fionn. Podniosła wzrok. Stał tuż przed nią.

- Na pewno trudno, i tyle.

-Aye. Ale przeciwności łatwiej znosi się razem. Przynajmniej tak mówi mój tata.

Rebecca wstała i spojrzała na Fionna i jego rude włosy. Stał pośród mgły i wyglądał, jak gdyby on też wyrósł z tych skał. Pochodził z tej wyspy, chociaż ją opuścił. Widziała to. Bez trudu potrafiła sobie wyobrazić, jak ze swoim ojcem stawiają czoła falom w maleńkich rybackich łodziach, których, według opowieści Sharon, wciąż używano na tej wyspie. Od fal strzegły rybaków tylko wiosła, wołowa skóra, smoła i drewno.

- Słyszałeś kiedyś o tym?

- O czym?

- Kobiety z tych wysp robią wyjątkowe swetry. Każdy jest inny, każdy jest odzwierciedleniem duszy osoby, dla której został wykonany. To na wypadek, gdyby któraś z łodzi...

- Curraghów.

- Tak, curraghów. Jeśli curragh zaginie na morzu, a fale wyrzucą ciało na brzeg, będzie wiadomo kto to. Wtedy żona może godnie pochować ciało i zamknąć ten rozdział życia.

- Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś tak to ujął. - Fionn błysnął zębami w uśmiechu.

- Znasz takie przypadki?

- Tak, ale z tego, co wiem, stało się to tylko raz, gdy Sean Morahan stracił synów. Morze wyrzuciło na brzeg tylko jedno ciało, które i tak rozpoznano. Po ganseju ustalili jedynie, że to Matthew, najstarszy syn Seana.

Fionn powoli odwrócił się na pięcie i ruszył dalej. Rebecca patrzyła, jak pewnie stapa po ziemi. Próbowwała iść po jego śladach.

- Ciągłe robicie tutaj curraghy? - *Aye*. Mój tata ma taki. Minęli kamienny wzgórek.

- Chciałabym go kiedyś zobaczyć - poprosiła, przyspieszając. Kiedy dotarli do następnego murku, Rebecca szła już z Fion-

nem ramię w ramię. Oparła się i przeskoczyła. Zachichotała triumfująco, gdy Fionn podążył za nią. Zawtórował jej.

- Mogę cię o coś zapytać? - zagadnęła.

Skinął głową i wskazał dłonią wschód. Ruszyli razem.

- Dlaczego stąd wyjechałeś? Spojrzał na nią.

- Z wielu powodów. Sharon studiowała w Stanach, a John wyjechał, by zająć się muzyką. Bez nich nie czułem się tu już u siebie. Zresztą tego, czego szukałem, nie było wtedy na wyspie.

- A czego szukałeś?

- Domu. Każdy z rodziny O'Flahertych ma swój. Oprócz mnie. Trudno mieszkać w miejscu, gdzie wszyscy mają coś, czego tobie brak.

Mewa przeleciała im nad głową, krzyżąc przez mgłę. Rebecca też nie miała domu - była jak ten ptak, przemieszczając się z miejsca na miejsca, nigdzie nie osiadając na dłużej. W przeciwieństwie do Fionna nie miała jednak rodziców, rodziny. ..

- Dom twoich rodziców nie jest twój? - spytała, wspinając się na pagórek. Łąd kończył się nagle jakieś czterysta metrów dalej, wpadając do morza. Tam ciemnoszare wody kotłowały się pod ustępującą mgłą.

- To jest dom, ale nie mój. Nie ja go zbudowałem. Rebecca odwróciła wzrok od morza i napotkała łagodne spojrzenie Fionna. Przełknęła ślinę.

- To dlatego wracasz tu tylko na święta? - szepnęła.

- Kto tak powiedział?

- Twoja matka.

- Rozmawiasz o mnie z moją mamą? - Mężczyzna mrugnął.

Rebecca wzruszyła ramionami, marszcząc brwi.

- Opowiadała mi o twoim swetrze... to znaczy o ganseju. - Zaczęła schodzić ze wzgórza, zostawiając za sobą Fionna i jego czarne oczy.

- No proszę, robi mi nowy gansej! Najwyższa pora. Długo musiałem czekać.

- Dlaczego? - zapytała przez ramię, omijając duży kwadratowy kamień.

- Ma pięcioro dzieci i jedenaścioro wnucząt, a rocznie robi tylko dwa albo trzy, chyba że akurat ktoś ma bierzmowanie. Każdy dostaje sweter na bierzmowanie.

- No to jak w końcu się mówi, sweter czy gansej?

Trawa była już tak niska, że wystawały ponad nią nawet drobne kamienie. Rebecca szła coraz szybciej, bo wreszcie widziała wyraźnie, po czym stąpa.

- To zależy, gdzie się jest. Czego się jeszcze dowiedziałaś od mamy?

- Niczego.

- W takim razie co mówił mój sweter? - dociekał. Rebecca się skrzywiła.

- No? Co mówił?! - zawołał za nią.

Zachichotała, zbiegając coraz szybciej po stromiźnie. Obok przemknęła mewa, krzycząc głośno.

- Co tam szykuje moja rodzicielka?

Rebecce było wesoło na myśl o przekreślonych oczkach.

- Kiedy jest msza? - spytała nagle.

Dotarła do stóp wzgórza i stanęła na mierzącym cztery stopy murze oporowym.

- Słyszałem, że się nie wybierasz - odpowiedział zdyszany.

- Tylko się zastanawiam.

- Co ty planujesz?

- Gdzie ten fort? - spytała, schodząc z muru.

Patrząc z klifu na ocean, Rebecca zobaczyła cztery mewy kołujące we mgle. Podleciały tak blisko, że przysięgłaby, iż ich skrzydła dotykały zboczy. Fionn nie odpowiadał, więc spojrzała na niego przez ramię.

Stał nieruchomo na szczycie, z lekkim grymasem na twarzy.

- Co? - zaciekawiła się.

- Właśnie przeszliśmy przez fort.

Zdumiona Rebecca obróciła się i spojrzała w górę. To, co wzięła za wzgórze, było fortem, a mur oporowy stanowił jego fundament.

- O! - zawołała zdziwiona, że się nie zorientowała.

- Niezły z ciebie archeolog! - Zeskoczył z muru. Spojrzeli na siebie i się roześmieli.

Jeżyna

Jeżyna (Trójca). 1. Ścieg, który tworzy wzór poprzez przerabianie trzech oczek razem. 2. Tradycyjnie symbolizuje jeżyny lub częściej Świętą Trójcę - Ojca, Syna i Ducha Świętego. 3. Prawdziwa Święta Trójca - dziecko i rodzice.

R. Dirane, *Sploty miłości*

Po wycieczce do fortu Fionn i Rebecca wrócili do domku i usiedli przy herbacie, rozmawiając o pasztecikach, curraghach i mszy. Wychodząc, Fionn obiecał, że wróci za tydzień po książki. Rebecca patrzyła, jak idzie po zwirowym podjeździe w kierunku domu rodziców. Mgła zdążyła się już podnieść, jego rude włosy lśniły w słońcu.

Przez resztę dnia - czwartego, który spędzała na wyspie -zajmowała się otrzymaną od Liz i Rose wełną. Kiedy wieczorem Annie podrzuciła Rowan, kobiety umówiły się, że ich córki spotkają się po mszy. Potem Rebecca miała odwiedzić Rose i Liz. Żywiła nadzieję, że kiedy uprzedzie wełnę, w końcu dane jej będzie obejrzeć ich ganseje.

Niedziela, po deszczowej i mglistej sobocie, zapowiadała się rześka i przejrzysta. Z córką na kierownicy i torbą przędzy

w koszu Rebecca ruszyła do domu O'Flahertych. Trop biegł za nimi po żwirze i zatrzymał się dopiero, kiedy wjechały na asfalt. Tam Rebecca przyspieszyła, a Rowan pomachała mu na pożegnanie.

Słońce i wiatr sprawiały, że kamienne murki, pola i fale wydawały się tętnić życiem, dzięki czemu i nastrój Rebeki się poprawił. Może przyczyniła się do tego także zmiana pogody i wyjście z domu? A może była to ekscytacja spowodowana perspektywą spotkania po mszy ojca Michaela. Nie do końca wiedziała dlaczego, ale czuła się lekka jak obłoczki na irlandzkim niebie.

Kiedy zatrzymały się pod kościołem, ojciec Michael stał już na zewnątrz, żegnając swoje owieczki znów wyruszające w świat. Gdy Siobhan zbiegła ze schodów, Rowan zostawiła Rebecę i pomachawszy jej, odeszła z rodziną Blake'ów.

- Piękny poranek, Rebecco! - zawołał ksiądz. - Może do mnie wstąpisz?

- O nie, dobrze mi tutaj. - Uniosła lekko kąćki ust. - Próbowałam wytłumaczyć ojcu, że nie przyjdę w niedzielę do kościoła.

- A jest niedziela? - zapytał zdumiony.

- A nie?

Ojciec Michael spojrzał na wieżę, a potem na kobietę. Zamrugał oczyma. Rebecca zmarszczyła brwi. Ksiądz wszedł w ciemne wnętrze, uśmiechając się jak kot z Cheshire przed zniknięciem.

- Dzień dobry, Becky.

Zaskoczona Rebecca obróciła się i ujrzała Liz.

- Chodź, upiekłam dla ciebie specjalne ciasto. Obejrzymy twoją przędzę, póki ksiądz nie jest gotowy.

- Gotowy? - Rebecca jeszcze bardziej zmarszczyła brwi, ale Liz wzięła ją za łokieć i poprowadziła na plebanie.

- Wełna, którą ci dałyśmy - Liz zmieniła temat - nazywa się *bainin*.
Podoba ci się ten kolor czy wolałabyś coś bardziej beżowego?

- *Bainin* - powtórzyła Rebecca, opierając rower o drzwi plebanii i
wyjmując torbę z kosza. - Czy to ważne, jaki kolor mi się podoba?

- Tylko pytam. Sharon nauczyła cię irlandzkiego? - Staruszka weszła
do ogrodu różanego.

Na krzewach znajdowały się nierozwinięte pąki, niegotowe na
przyjęcie wiosennego słońca. Ogród podzielono na części przez
kamienne ścieżki. Na lewo od wejścia stał stolik z kutego żelaza. Krzesła
były brudne - czekały całą zimę, aż ktoś na nich usiadzie.

- Próbowала, ale nie mam smykałki do języków. Pamiętam tylko, że
dubh znaczy czarny, *afalt* włosy, i jeśli chciałabym powiedzieć, że Sharon
ma czarne włosy, to powinno to brzmieć: „czarne włosy są na Sharon”.
Zawsze mnie to bawiło, bo to tak, jak gdyby włosy mogły zdecydować, że
mogą sobie wstać i pójść gdzieś indziej.

- Tak jest przecież z mężczyznami. Im włosy wychodzą -odparła
Irlandka.

Chichocząc, ruszyły po schodach do kuchni. Liz otworzyła drzwi,
Rebecca weszła za nią. Kuchnia księdza była mała i słoneczna. Pod
oknem po prawej stał stół. Rebecca położyła na nim przedzę, a Liz
wstawiła czajnik. Potem wyjęła robótkę z torby.

- Ooo, Becky, popatrz tylko! To wygląda, jak gdybyś całe życie nic
innego nie robiła.

- Może dlatego, że tyle już czasu przypatruję się starym tkaninom?

- Może. Widzę, że jesteś już gotowa na kołowrotek.

- Kołowrotek? - Rebecca uniosła brwi.

- Rose ci pomoże.
- Ale ja muszę porozmawiać z wami o gansejach.
- I porozmawiasz. Ale najpierw kołowrotek. Proszę, usiądź. Liz wlewała właśnie wodę do imbryka, gdy zjawił się ojciec Michael.
- Jadłaś już może ciasto Liz? - spytał Rebeci.
- Jeszcze nie.
- To ulubione ciasta ojca - zakomunikowała Liz, stawiając na stole imbryk oraz talerz pełen kawałków ciasta i racuszków.
- Powiem Rose, że zaraz u nas będziesz. Pij herbatę, póki gorąca. - Starsza pani wyszła, zamek szczęknął głośno.
- Amerykanka poczuła się nieswojo, gdy ksiądz usiadł naprzeciwko. Patrzył przez okno, jak Liz zmierza do domu przyjaciółki. Ciszę zburzył bulgot nalewanej przez niego herbaty.
- Nie wiem, po co tu jestem - zaczęła Rebecca.
- Napić się herbaty i dać mi szansę się poznać.
- Nie zamierzam zostać katoliczką.
- Nie zamierzam cię nawracać. Cukru?
- Poproszę.
- Zawsze, kiedy chcę z kimś porozmawiać, ludzie myślą, że mam jakiś ukryty motyw.
- Skoro jest się księdzem...
- Jestem człowiekiem. Jeśli obawiasz się ukrytych motywów, na twoim miejscu uważałbym na Liz i Rose. Wydaje się, że to miłe starsze panie, ale pozory mylą. W tym miasteczku należą do radykałów.
- Te słowa rozweseliły Rebecę.
- Jeśli dobrze rozumiem, piszesz o gansejach?
- Raczej o kobietach, które je robią, o ich uczuciach zaklętych w ściegi, o wspomnieniach zapisanych każdym splotem.
- Miłość zawarta w dziele sztuki - dodał rozmówca.

- Tak. Wiersze napisane wełną i oczkami, wieczorową porą, gdy świat zwalnia.

- Kiedy świat zwalnia, łatwiej usłyszeć głos serca.

- Myślę, że tutaj o wiele łatwiej.

- Jak to?

- Po prostu... Żyje się tu wolniej. Nikt się nie spieszy.

- W Stanach jest inaczej?

- Tam na nic nie starcza czasu. Zwłaszcza na samotne macierzyństwo.

Rebecca wyjrzała za okno i zobaczyła przejeżdżających rowerzystów.

- Od kiedy wychowujesz ją sama?

- Czemu ojciec pyta? - spytała, spoglądając na księdza kątem oka.

- Próbuję tylko lepiej cię poznać.

- A może trafić do mojej głowy?

- Trafić do twojego serca. I nic więcej. Czy tak trudno się ze mną rozmawia?

Rebecca sączyła herbatę, mierząc ojca Michaela pełnym sceptycyzmu wzrokiem. Szczerze wierzyła w naukę. To nie tak, że według niej nie było Boga; raczej jego istnienie lub nieistnienie nie miało znaczenia. Jako archeolog badała epoki. Postrzegała Boga i religię jako nośniki kultury niemające znaczenia osobistego.

Tak czy inaczej nigdy wcześniej nie rozmawiała w taki sposób z duchownym. Wszystko, co wiedziała o księżach, usłyszała od Sharon. Z tego, co rozumiała, potrafią wyciągnąć z człowieka osobiste sekrety podczas pogawędki przy herbacie czy kolacji, zanim ten się zorientuje. Nie zamierzała zaczynać dyskusji na temat swoich osobistych spraw, zwłaszcza tam, gdzie w grę wchodziła Rowan. Chciała wstać, ale poczuła się obezwładniona bezruchem panującym w kuchni. Wzięła głęboki

oddech, jak gdyby zamierzała skoczyć z trampoliny do wody daleko w dole.

- Odkąd się urodziła.

- Czyli?

- Od sześciu lat.

- Sześć lat. To długo. Trudno ci?

- Nie. Samej jest łatwiej. Wszędzie widać ludzi kłócących się o dzieci, w sklepie spożywczym, w kolejce na stacji benzynowej, w parku. A ja nie muszę się z nikim spierać.

- A ty, kłóciłaś się z ojcem Rowan?

- Nie. Po prostu chcieliśmy od życia czegoś innego.

- Czego ty chciałaś?

- Domu, ogrodu, dzieci, psa. Nic szczególnego. Grilla na czwartego lipca. A on... nie jestem pewna.

- Nie powiedział ci?

- Nie. Może chciał samotnie przemierzyć pustynię. Kto to wie?

- Trudno wychować dzieci, wędrując przez pustynię.

- Chyba że jest się australijskim Aborygenem. - Rebecca się roześmiała. - Ale to już za mną.

- Ty nigdy nie będziesz Aborygenem? - zapytał lekko.

- Różne są związki. Trudno winić człowieka za to, kim jest.

Kobieta wgryzła się w ciasto, wyglądając znów za okno. Pąki róży w kolorze malinowego sorbetu zdrzały na delikatnym wietrze, podobnie jak jej serce.

Rebecca stała tuż na brzegu klifu i drżała owiewana letnią bryzą. Jej volkswagen garbus, rocznik sześćdziesiąty ósmy, znajdował się na poboczu, mijany przez samochody kierujące się na południe autostradą numer 1 w kierunku Half Moon

Bay. Zamarła. Jeśli któryś z nich choćby drasnął kraniec jego zderzaka, ona i jej samochód spadłby ze zbocza wprost do oceanu. W ciągu tych dziewięciu lat, odkąd zaczęła naukę w college'u, wydarzyło się tak wiele. Sharon wróciła do ojczyzny zaraz po zrobieniu licencjatu, pięć lat wcześniej. Rebecca prosto z Berkeley udała się na południe, do Los Angeles, by rozpocząć studia magisterskie, które ukończyła po dwóch latach. Dzień po ceremonii rozdania dyplomów jej rodzice zginęli w wypadku na autostradzie numer 5 w drodze do domu. Nie dając sobie czasu na żałobę, podjęła studia doktoranckie. Nauka i badania szły jej dość mozolnie. Nie potrafiła się na nich dostatecznie skupić, gdyż nie otrząsnęła się po stracie bliskich. Teraz, po trzech latach studiów, zaczęła pisać pracę doktorską. Jednak ciężar żałoby wciąż spoczywał na jej barkach. Nikt nie przyjdzie na obronę. Z nikim nie obleje sukcesu. Nie miała domu. Nie miała rodziny. Stojąc i patrząc na Pacyfik, zaczęła płakać, bo nie знаła nikogo, kto mógłby przyjechać i pomóc jej z zepsutym autem.

- Hej! - Usłyszała za sobą.

Odwróciła się i ujrzała młodego mężczyznę, w jej wieku, o blond włosach i niebieskich oczach. Miał na sobie szorty w hawajskie kwiaty i stał tuż przy samochodzie.

- Wszystko w porządku? - spytał, liżąc lodowego rożka trzymanego w prawej dłoni.

- Mój... mój samochód się zepsuł - odparła, wycierając oczy.

- To nie powód do płaczu. - Uśmiechnął się. - Takie rzeczy naprawia się z łatwością. Potrzyмай to.

Wyciągnął rękę z lodem, ale gdy sięgnęła po niego, szybko ją cofnął.

- Nie zjedz mi go!

-Nie... nie zjem - obiecała, biorąc rożek. Pachniał malinami.

Mężczyzna przeszedł na tył pojazdu i uniósł pokrywę silnika w kształcie półksiężyca. Rebecca podążyła za nim i zauważyła, że jego niebieski pontiac firebird stoi tuż za jej maszyną. Miał włączone światła awaryjne, a do bagażnika na dachu przymocowaną żółtą deskę surfingową.

- Surfujesz? - Zerknął na nią znad silnika.

- Tylko na leżaco.

- Uwielbiam plaże - ciągnął, majstrując przy silniku.

- Ja też.

- Lubisz sorbet malinowy? -Tak.

- To dobrze. Możesz sobie go zjeść. To trochę zajmie. - Wyprostował się, odsłaniając białe zęby. - Jestem Dennis Mattos.

- Rebecca Moray.

Rebecca zerwała się z miejsca, kiedy zobaczyła, jak mały ptaszek z nakrapianą czarno-białą piersią wylądował na gałązce róży. Patrzył na nią, mrugając w słońcu. Wyglądał tak samo jak jej sąsiad z jeżyny przy oknie sypialni. Serce zabiło jej mocniej, gdy podniosła chłodną dłoń do gorącej twarzy.

- Rebecca?

Popatrzyła na księdza nieufnie. Nie była gotowa na tę rozmowę.

- Powinnam już iść - wychrypiała.

- Zdenerwowałaś się.

- Przepraszam. Po prostu...

- Mówiłaś, że nie możesz obwiniać go za to, kim jest.

- Bo nie mogę. On... on po prostu nie był dla mnie.

- Zamierzasz jeszcze kiedyś wyjść za mąż?

- Och! Nie byliśmy małżeństwem - odparła zamyślona. Starła się uspokoić bicie serca. - Nie popełniłam tego błędu.

- Czekala z grymasem na ustach, jak ksiadz zinterpretuje te informacje.

Pokiwal glowa.

- A wiec z ojcem Rowan wszystko skonczone.

- Do przodu mozna pojść tylko wtedy, kiedy zostawi się przeszłość za sobą.

- To prawda - zgodził się.

- Naprawdę muszę się zbierać - powtórzyła.

Ptaszek odlecial, a Rebecca, która go obserwowala, zauwazyła teraz starego mężczyznę mijającego chwiejnym krokiem plebanie. Zastanawiała się, czy to przypadkiem nie był Sean.

- Mam kilka gansejów, które zrobila moja babka. Chcesz je obejrzeć? Są bardzo stare.

Twarz Rebeki się rozswietlila.

- Moze mogłabyś przyjść tu w przyszłą niedziele pomóc mi odszukać je na strychu?

Wstal.

- Bardzo chętnie.

- Przedstawilaś się jako Rebecca. Mam zwracać się do ciebie per Rebecca czy Becky?

- Rebecca. Moja rodzina nazywa mnie Becky.

- A wiec, Rebecco, do zobaczenia w przyszłą niedziele. -Otworzył kuchenne drzwi.

Skinęła głową i wyszła.

- Dziękuję za herbatę.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Uważaj na...

- Rowery - dokończyła wesoło. - Tak, wiem.

Warkocz

Warkocz, t. Prosty ścieg, który sprawia wrażenie bardzo trudnego, przypomina bowiem splecione ze sobą dwa sznury tworzące pojedynczy warkocz. Do jego wykonania najlepiej wykorzystać drut pomocniczy. 2. Tradycyjnie symbolizuje liny mocujące sieci do łodzi, które są wytrzymałe oraz zapewniają bezpieczeństwo i ciągłość dostaw pożywienia (synonimu życia). 3. Związek kobiety i mężczyzny zapewnia kontynuację cyklu życia - mowa tu oczywiście o dziecku zrodzonym z tego związku.

R. Dirane, *Sploty miłości*

Sean otworzył frontowe drzwi. Stojąc na progu i popijając herbatę, poczuł zapach morza i niedzielnego poranka. Wiał łagodny wschodni wiatr omiatający niewielkie wzgórze ciągnące się z północy na południe ku środkowi wyspy. W powietrzu nie wyczuwało się chłodu, jednak nie niosło ono ze sobą również ciepła od nagrzanego lądu. Wróciwszy do domu, Sean odłożył filiżankę na stojący pod oknem stół i włożył stary, wełniany płaszcz oraz czapkę. Zanim zamknął drzwi, sprawdził poziom wody święconej w muszelce - wciąż sięgała do połowy. Uzupełnianie muszli stanowiło jedyny powód, dla którego chodził

do kościoła. Nie uczestniczył bowiem we mszy, odkąd Claire wyjechała. Dziś do kościoła iść nie musiał.

Wyszedł na dwór. Jakiś ruch z lewej strony odciągnął jego uwagę od grupy rowerzystów kierujących się na południe. To listek jeżyny poruszył się na wietrze. Sean patrzył na niego przez chwilę, zapamiętując kolor. Potem zszedł z progu na żwirową dróżkę prowadzącą do głównej drogi.

Zbliżając się do miasteczka, Sean rozmyślał nad szczególnym odcieniem zieleni tego jednego listka. Przywodził mu na myśl kolor sosnowych szpilek, chociaż odcień miał nieco bardziej błękitny, ze srebrnym połyskiem. Listek drżący w porannej bryzie przypominał mu sposób, w jaki na powitanie zawsze machała mu Claire.

Stojąc na plaży w srebrnej mgłę, Claire czekała, aż fala wyniesie curragh Seana na brzeg. Miała na sobie niebieską sukienkę, ale morze i mgła nadawały jej zielonkawą odcień. Odkładając wiosła, Sean zadumał się nad łopocącą na wietrze tkaniną i urodą żony.

Dopiero co się pobrali i stworzyli dom. Z kontynentu jednak dochodziły złe wieści. Pierwsza wojna światowa skończyła się dziewiętnaście lat wcześniej, a pogłoski o konflikcie na wschodzie docierały na wyspę przez zatokę Galway jak pachnąca ziemią bryza przed sztormem. Sean i Claire wiedzieli, że być może nie będzie im dane długo cieszyć się sobą, jeśli ta zawierucha przerodzi się w wojnę.

Choć męża nie było tylko trzy godziny, twarz Claire znaczył niepokój. Wyczuła w wietrze nadchodzący sztorm tak samo jak on - i to właśnie sprawiło, że wrócił dziś wcześniej. Zacznie się od krótkiej, ulewnej burzy, ale zaraz za nią przyjdzie długotrwała nawałnica. Sean zignorował falę, która prze-

toczyła się pod jego curraghem, a która mogłaby sprowadzić go na brzeg. Chciał jeszcze popatrzeć na Claire stojącą na brzegu, zapamiętać na zawsze ten piękny widok, gdy czekała tak na jego powrót.

Piskliwy dźwięk fujarki wytrącił go z rozmyślań. Podniósłszy głowę, ujrzał Rowan. Siedziała na występie skalnym opodal domu Paddyego Blakea i dmuchała w blaszany instrument, trzymając książkę na kolanach.

- Niezłą masz fujarkę! - zawołał. - Skąd?

- Od Fionna.

- Aha. Powinien wiedzieć, że irlandzkiej muzyki nie da się nauczyć z książki. Trzeba uczyć się od innych. Pokazał ci, jak grać?

- A on umie?

- Wszyscy z rodziny O'Flahertych potrafią muzykować. Patrz! Z rękawa znoszonego błękitnego gansaja wyciągnął flet.

- Grasz?

- Pewnie. Przeważnie kiedy łowię. To przyciąga ryby. Popatrz. Kiedy się jeszcze uczysz, odpowiednie ułożenie ust jest ważniejsze niż ustawienie palców.

Sean zaczął grać.

- Ekstra!

- Żeby wydobyć wyższe dźwięki, musisz zacisnąć usta, a rozluźnić je do niższych. Nie dmuchaj mocno. Spróbujmy razem.

Sean zagrał cztery dźwięki gamy.

- Jeszcze raz, proszę.

Gdy Sean grał, Rowan dotykała jego palców na otworach fletu. Mahoniowe oczy były tak łagodne jak mała dłoń. W jego piersi znów wezbrał ból. Przerwał, chwytając się za serce.

- Wszystko w porządku? -*Aye*. Teraz ty - wychrypiał.

Rowan zagrała grę. Na ostatnim dźwięku flet zapiszczał.

- Nie dmuchaj tak mocno - szepnął, powoli nabierając powietrza i chcąc w ten sposób pozbyć się bólu. - Zaciśnij usta po bokach, jak gdybyś się uśmiechała.

Rowan spróbowała ponownie. Zerkając przez ramię, Sean dojrzał Siobhan wychodzącą z domu. Dziewczynka zatrzymała się na jego widok.

Rowan przestała grać, podążając za jego wzrokiem.

- Siobhan! Sean gra na flecie!

Siobhan ani drgnęła, wpatrując się w starego.

- Grasz? - zapytał.

- Troszkę. Mama mnie uczy.

- Dobrze. Chciałabyś potowarzyszyć Rowan? Wzruszając niechętnie ramionami, Siobhan zeszła ze schodów i usiadła przy koleżance.

- Dobrze - wysapał. - Pokaż teraz Siobhan, jak się gra. Rowan zaczęła grę. Sean bacznie obserwował małą Jankekę. Mrugała i otwierała szeroko oczy, kiedy objaśniała tajniki gry. Rzuciła mu jasne spojrzenia, przenikające jego pomarszczoną twarz, wsączające światło w mroczną duszę. Grała czysto jak Joe, a wydobywane przez nią dźwięki przywodziły na myśl curragh unoszący się na łagodnych falach letniego morza, gdy oślepiający blask odbitego w toni słońca padał na ciało i dodawał otuchy. Sean często rozmyślał o żonie i Matthew, a także o Liamie i najmłodszym synu Brendanie. Gdy jednak zaczynał wspominać Joego, czuł pustkę, której nie potrafił wypełnić. Starał się więc myśleć o nim jak najrzadziej. Kiedy tak słuchał Rowan grającej równie gładko, jak mewa lata nad brzegiem morza, nie potrafił opanować bólu w piersi.

- Bardzo dobrze, Rowan. Ty też Siobhan. Dobrze gracie. -Wstał.

- Idziesz już? - spytała Rowan, chwytając go za lewą dłoń, żeby nie stracił równowagi.

-Aye. Muszę nałowić ryb, inaczej nie będę miał kolacji. Wy tu sobie ćwiczcie.

Nasunął czapkę na oczy i ruszył w kierunku wypożyczalni Hernona. Wokół było gwarno, ale Sean słyszał tylko dźwięk fujarki Rowan. Przeszedł ulicę obok pubu O'Flaherty'ego. Spoglądając w kierunku kościoła, zobaczył w oknie kuchni plebanii kobietę o krótkich kasztanowych włosach. Przeszło mu przez myśl, że to może być matka Rowan. Potem zniknął w wypożyczalni.

Na widok turystów stanął jak wryty i mruknął do siebie. Wszyscy śmiali się i rozmawiali. Kolejka ciągnęła się od lady, zakręcała obok drzwi i kończyła przy lodówce z tyłu pomieszczenia.

- Morahan, trzeba ci czegoś?! - zawołał John Hemon.

- Przyszła moja wełna? -Aye, aye. Chodź na zaplecze.

Sean przecisnął się przez tłum. Turyści uśmiechali się do niego, ale on to zignorował. Kiedy dotarł na tyły sklepu, John stał już na stołku, ściągając z półki dużą, białą bawełnianą torbę.

- Potrzebujesz pomocy, żeby zanieść to do domu?

- Nie, dziękuję.

- W porządku.

John podał worek staremu.

- Może wyjdiesz tyłem? -Aye.

Sean zarzucił sobie tobolek na lewe ramię. Strzyknęło mu w krzyżu. Przeciskając się między Johnem i półkami, ostrożnie wyszedł na tyły i skierował się na południe.

Słońce świeciło mocno. Zanim doszedł do skraju miasteczka, był już cały spocony, a jego plecy ugięły się pod ciężarem wełny. Podskoczył, poprawiając torbę na ramieniu. Próbował policzyć, ile takich worów już niósł tędy do domu. Kiedy tylko mógł, schodził z asfaltu na miękką ziemię. Nasłuchiwał szumu oceanu, licząc na to, że wiatr ochłodzi mu czoło. Z dali dobiegały dźwięki fletu, wznoszące się i opadające jak głuptyk szybujący nad wyspą. Zatrzymał się nagle, oglądając się za siebie. Dziewczynka była przecież zbyt daleko, by jej muzyka do niego dotarła, a jednak słyszał melodię niesioną przez wietrzyk całujący jego szorstki policzek, tak jak małe dziecko cmoka dziadka.

- Rowan - szepnął i chwycił się za serce. Poczuł, jak słone krople łez spływają po policzkach do kącików warg. Idąc dalej, wmawiał sobie, że to tylko pot.

Kosz

Kosz. 1. Ścieg, który przypomina ciasno pleciony koszyk, tworząc wzór w kratę. 2. Tradycyjnie symbolizuje kosz poławiacza, obfity połów, szczodrość. 3. Szczere zamiary.

R. Dirane, *Sploty miłości*

Chłodny wiatr smagał rozgrzane policzki Rebeki, kiedy przemierzała różany ogród ojca Michaela. Przed wypożyczalnią rodzice usadzili dwójkę dzieci na fotelikach rowerowych. Wsiadając na swój pojazd, Rebecca spojrzała w błękitne niebo i ujrzała puszyste, białoszare obłoki. Pływały wolno na północ, podczas gdy ona jechała na południe. Skreśliła przy zajeździe U Dooleyów i się zatrzymała.

Grupa dwudziestu rowerzystów stała pośrodku ulicy, dyskutując nad mapą, dokąd jechać. Rebecca zsiadła i próbowała się między nimi precyzyjnie. Kiedy dotarła już do połowy, jednocześnie wsiedli na rowery i ruszyli niczym ławica ryb umykająca z falą. Szmer łańcuchów odbił się echem w jej uszach. Postanowiła przebyć resztę drogi do Rose pieszo.

Gdy dotarła do białego domku, nikt na nią nie czekał. Oparłszy rower o ścianę, Rebecca wyjęła z sakw aparat, kamerę i statyw. Chciała właśnie zapukać, gdy nagle żółte drzwi się otworzyły.

- Dzień dobry, Becky - powiedziała Rose. Czerwony szal osunął się z jej ramienia.

- Dzień dobry.

Rebecca weszła do środka. Jej oczy bardzo powoli przyzwyczajały się do półmroku wnętrza.

- Dobrze ci się rozmawiało z księdzem?

- Tak, dziękuję - skłamała, kładąc na stole aparat i kamerę.

- To wspaniale. Nastawiłam wodę na herbatę.

- Czy mogę dziś zobaczyć jakiś gansej? Przyniosłam kamerę, aparat i muszę...

- Nadal uważam, że powinnaś najpierw nauczyć się prząść na kołowrotku - mruknęła Liz, wchodząc z ulicy.

- I tak się stanie - zapewniła ją Rose. - Ale mamy jej tyle do pokazania. Pracować na kołowrotku może nauczyć się później.

Liz powoli położyła sweter na stole i przeszła do kuchni. Rebecca z niedowierzaniem przeniosła wzrok z Liz na Rose, a potem na gansej. Powoli, jak gdyby nie chciała, by przestraszony odleciał, podeszła do stołu.

Gansej okazał się bardzo stary - poznała po spłaszczonych przedziach i pożółkłych wzorach. Na mankietach i łokciach były widoczne przetarcia, ale nie dziury. Zachowując spokój, Rebecca radośnie rozstawiła statyw. Filiżanki brzęknęły, gdy Liz postawiła je na stole. Rebecca zamontowała kamerę, włączyła ją i skierowała na gansej.

- Zaczynaj, kiedy będziesz gotowa - powiedziała cicho do Liz w obawie, że w jej głosie ujawni się euforia.

- Jako mała dziewczynka odwiedzałam babcię na łądzie. Co rano dawała mi koszyk, żebym zebrała do niego jeżyny. Zalewała je potem śmietaną i kroїła do tego pajdę ciepłego chleba - to było moje śniadanie. Zapach pieczywa prosto z pie-

ca i tych owoców zawsze przypomina mi babcię. Czulaś kiedyś zapach jeżyn w ciepły letni poranek?

- Tak. W moich stronach rosną wszędzie.

- A skąd pochodzisz? - spytała Rose, siadając obok i uruchamiając kołowrotek.

- Z Redding w północnej Kalifornii.

- Nagrzane krzaki jeżyn - powtórzyła Liz z zamkniętymi oczami. - Tak musi pachnieć niebo.

Postawiła imbryk na stole i usiadła obok swetra. Rebecca uśmiechnęła się i spojrzała na wyświetlacz kamery. W kadrze znalazła się Liz i jej gansej.

- Pewnego ranka zbierałam owoce na śniadanie, kiedy przybiegł jakiś chłopiec. Spytał, co robię, i pomógł mi dokończyć zbiór. Rozmawialiśmy swobodnie, jak byśmy znali się całe życie. Gdy skończyliśmy, podziękowałam mu i poszedł w swoją stronę. Na drugi dzień stał przy murze, gdzie rosły krzaki, i czekał na mnie. Znowu sobie porozmawialiśmy. Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek wcześniej tak się śmiała, ale nie pamiętam już, co mnie tak rozbawiło. Ogołociliśmy wtedy z jeżyn cały spód krzaka. Trzeciego dnia, gdy zbliżałam się do tamtego miejsca, usłyszałam jęki. Krzak się ruszał. Rzuciłam kosz, podbiegłam do muru i zobaczyłam, że chłopak tam utknął.

- Ała! - wykrzyknęła Rebecca.

- Aye. Bardzo się namęczyliśmy, zanim się wygramolił z tego ciernistego krzewu. Krwawił wszędzie, szczególnie głęboką ranę miał tutaj. - Liz wskazała środkową część prawej brwi. - Musiałam go zaprowadzić do domu, żeby babcia go opatrzyła. Pytała, co się stało, ale do niczego jej się nie przyznał. Gdy wyszła po coś, chciałam się dowiedzieć, co tam robił. Ponoć wdrapał się na mur, żeby zebrać dla mnie najlepsze jeżyny z samej góry, i stracił równowagę. - Westchnęła. - Miał piękne oczy. Nie mo-

głam się powstrzymać i pocałowałam go w tę krwawiącą brew. Potem sobie poszedł i więcej tego lata go nie spotkałam.

- Pewnie się wstydził - zauważyła Rebecca.

- Też tak myślałam. Rok później znowu byłam u babci i pierwszego poranka poszłam z kobiałką po jeżyny. A tam, na murze, stał największy kosz jeżyn, jaki kiedykolwiek widziałam. Co roku, kiedy odwiedzałam babkę, pierwszego dnia znajdowałam taki prezent. Skończyło się to dopiero, gdy miałam siedemnaście lat.

- Co się wtedy stało?

- Wyszedł za niego. - Liz zachichotała, patrząc w obiektyw. Rebecca odwzajemniła uśmiech. Właśnie takich opowieści szukała do swojej książki.

Liz rozlała herbatę do filiżanek, a archeolożka podeszła do swetra.

- Owoce jeżyny? - spytała, dotykając wypukłości.

- Tak. Ten ścieg nazywa się trójca.

- A ten to koszykowy? - Rebecca wskazała obok jeżyn.

- Tak. Zgadnij, co znajdowałam na stole co rano w rocznicę ślubu?

- Koszyk jeżyn. - Rebecce było wesoło.

- A zgadnij, co ja mu dawałam? Rebecca wzruszyła ramionami.

- Całusa. O tutaj - szepnęła Liz, dotykając prawej brwi Rebeki. Uśmiechnęła się i zapatrzyła nieobecny wzrokiem na sweter. Podążając za jej spojrzeniem, Rebecca zauważyła drobny ścieg obok grupy rombów. Miał pół cala szerokości i przypominał jej śmigła samolotów latających nad polami w Redding. Dotknęła go i w tym momencie łza spadła z oka Liz na jej palec.

- Jego blizna? - wyszeptała Rebecca. Liz skinęła głową.

Kołowrotek szemrał cicho za Rebeccą, która pochyliła się, by wziąć aparat ze stołu.

Rose zaczęła nucić, a potem powiedziała:

- Jest taka stara piosenka. Zapomniałam melodii. Chcesz usłyszeć słowa?

- Proszę.

- Jak to szło?... Liz, wiesz, jaką mam pamięć. Liz przetarła powieki.

- „Mówią, że duchy nie mają serca, ale czują teraz smutek. Śmiertelnym duszom, które tęsknią z dala, zesłały kołowrotek. Kołowrotku, przedź ciepłą wełnę. Zapomnij o duszach. Przedź dla mężczyzn śmiałych i prawych, strzegących morza fal”.

-*Aye*. Tak to leciało. Podasz mi herbaty? - poprosiła Rose, znów kręcąc kołowrotkiem.

- Byliśmy małżeństwem pięćdziesiąt siedem lat - zakończyła Liz, rozlewając napój. - Zasnął w Panu pięć lat temu.

- Przykro mi - odparła Rebecca.

- Kiedyś znów go zobaczę.

Liz poklepała swoją towarzyszkę po ramieniu i wstała zanieść Rose herbatę.

Przez resztę dnia Rebecca robiła zdjęcia ganseja i rozmawiała z kobietami o ich przeszłości. Zaczęła także uczyć się prząść na kołowrotku. W porze kolacji wyszła, aby odebrać Rowan. W domu Siobhan znalazła nie tylko Annie i obie dziewczynki, ale także Maggie, która wspomniała, że Mairead Fitzgibbon czeka na spotkanie. Uzgodniwszy, że udadzą się tam nazajutrz, Rebecca zabrała Rowan do domu.

Zapadały już ciemności, gdy dotarły na miejsce. Pod drzwiami leżał Trop. Wstał, kiedy tylko je zobaczył. Rowan zeskoczyła ze śmiechem z kierownicy i pobiegła do psa, który energicznie wymachiwał ogonem wokół nóg dziewczynki. Rebecca była pewna, że gdyby miała krótkie spodenki, roztrzaskałby

jej rzepki. Zostawiwszy córkę i psa przy drzwiach, odstawiła rower do szopy. Z sakw wyjęła aparat i kamerę oraz worek surowej wełny. Po powrocie zobaczyła, że drzwi są otwarte, a Rowan i Trop zniknęli. Cały dzień był słoneczny i ciepły, ale teraz z północy nadpływały ciemne chmury. Rebecca patrzyła, jak suną powoli, lecz nieubłaganie na południe, w kierunku jej domu. Weszła do środka i położyła sprzęt oraz wełnę na podłodze. Obróciła się, by zamknąć drzwi, kiedy nagle potężny podmuch wiatru wdarł się do środka i wyrwał je z jej rąk. Wpadłszy do pokoju, przewrócił świecę i przerzucił kartki książki leżącej na kanapie. Potem stracił na podłogę podręcznik do nauki gry na flecie należący do Rowan i rozszał się w kominku, rozwiewając wokół popiół.

-Aaa! - zawołała Rebecca, chwytając znów drzwi i opierając się o nie całym ciężarem ciała. Wiatr napierał, nie pozwalając ich zamknąć. Zebrawszy siły, Rebecca zatrzasnęła je i zaszurała zasuwą, kończąc całą sprawę.

- Dobry Boże! - zawołała, odgarniając włosy z twarzy i patrząc, jak popiół opada na podłogę.

- Co się stało?! - zawołała z kuchni Rowan.

- Cholerny wiatr. - Rebecca odwróciła się i zobaczyła, że obok córki stoi pies. - Rowan, pies nie może tu zostać.

- Ale on lubi ogień torfowy.

- Mówiłaś mi, ale państwo O'Flaherty będą się niepokoić.

- Pan O'Flaherty twierdzi, że Trop zwykle siedzi tutaj albo w domu pana Fitzgibbona.

- Fitzgibbon. Ten od pszczół?

- Tak! Pan O'Flaherty mówi, że nikt nie chciał być burmistrzem wyspy, więc pan Fitzgibbon podczas gry w strzałki w pubie z ojcem Michaeliem mianował nim Tropa.

- Mianował psa burmistrzem? - powtórzyła powoli Rebecca.

- No. Podobno Trop chodzi, gdzie chce. Został burmistrzem, więc cała wyspa to jego dom.

Rowan relacjonowała to tak. poważnie, że Rebecca mogła tylko patrzeć. W identyczny sposób - z rozbijającą szczerością - Sharon opowiadała całkowicie absurdalne historie. Zazwyczaj Rebecce zajmowało dużo czasu, zanim zrozumiała, że Sharon ją nabiera. Teraz, przyglądając się córce, też musiała się zastanowić. Powoli na ustach Rowan pojawił się uśmiech. To był uśmiech Sharon. Uśmiech Irlandki.

- Tak - mruknęła Rebecca. Dziecko zachichotało.

- Poszukajmy czegoś na kolację - zaproponowała kobieta, głaszcząc Rowan po głowie.

- Mogę w przyszłym tygodniu popłynąć z Siobhan i jej tatą na ryby? - spytała mała, idąc za matką do kuchni.

- Zobaczymy.

- Annie mówi, że robi mi *pampooties*, takie jak ma Siobhan. Wiesz, co to są *pampooties*?

- Opowiedz mi - Rebecca zasugerowała, myjąc ręce. Oczywiście wiedziała, w końcu dla archeologa tkanin dawne ubrania nie kryją żadnych tajemnic. Ale po co psuć Rowan przyjemność dzielenia się nową wiedzą?

- To takie skórzane buty, które obwiązuje się wokół kostek paskiem. Sean twierdzi, że kiedy był chłopcem, na noc wkładali je do wody, żeby nie sztywniały.

- Sean Morahan? - Rebecca rzuciła Rowan, również myjącej ręce, ostre spojrzenie. - Rozmawiałas z nim?

- Tak - potwierdziła cicho dziewczynka, nie patrząc na matkę.

- Prosiłam cię, żebyś mi powiedziała, jeśli znów będzie cię zaczepiał.

- Przepraszam.

- Masz się trzymać od niego z daleka.
- Sean nie jest zły, mamó.
- Tutejsi mieszkańcy wolą go unikać.
- Mnie się wydaje, że go nie rozumieją.
- Dziecko, on na ciebie nakrzyczał. Mili ludzie tak nie robią. Nie rozmawiaj z nim.

- Przeprosił mnie.

Rebecca patrzyła w twarz córki. Oczy Rowan były szeroko otwarte i wilgotne.

- Posłuchaj. Na tym świecie żyją ludzie, którzy mogą się wydawać bardzo mili, ale jeżeli człowiek lepiej ich pozna, odkryje, że nie przez cały czas są tacy. Potrafią być bardzo nieprzyjemni. Myślę, że Sean właśnie do nich należy. On przed tobą tylko udaje miłego.

- Przeprosił mnie - powtórzyła Rowan.

- Ciebie przeprasza, ale wszystkim innym dzieciom w miasteczku dokucza. Pamiętasz, jak John bał się Seana? To znaczy, że Sean pewnego dnia zrobi ci przykrość. Nie chcę, żeby to się stało, więc masz się do niego nie zbliżać.

- Nauczył mnie grać na flecie - protestowała Rowan przez łzy.

Rebecca pogładziła ją po policzku i westchnęła. Potem wzięła dziewczynkę w ramiona i usiadła na krześle. Wiatr kołatał w okno, gdy przeczesywała palcami włosy córki. Trop kręcił się po pokoju, jego pazury stuknęły o kamienną podłogę; w końcu jednak się położył.

- Wiem, że to niełatwe. Widzę, że go lubisz.

- On wcale nie jest zły, mamó - wymamrotała Rowan.

- Posłuchaj. Mądra kobieta powiedziała mi kiedyś zagadkę. Jesteś zgrzana, głodna i przechodzisz koło sklepu. Ktoś ze środka zaprasza cię na... malinowy sorbet. Myślisz, że ta osoba jest miła, więc wchodzisz i siadasz. Wtedy ten człowiek mówi:

„Jeśli zjesz sorbet, uderzę cię. Jeśli nie zjesz sorbetu, uderzę cię”. Co ty byś wybrała? Rowan przetarła policzki.

- Mogę wybrać coś innego?

- A jaki masz inny wybór? Powiedziano, że masz zjeść sorbet albo nie. Nieważne co zrobisz, zostaniesz ukarana.

- Mogę sobie iść.

- Tak! Właśnie tak! Ta osoba ma coś, czego ty chcesz albo nawet potrzebujesz, ale skrzywdzi cię, jeśli zostaniesz, więc lepiej, żebyś sobie poszła.

Rowan pociągnęła nosem.

- To może się nauczę grać na flecie z książki.

- No pewnie! Jesteś bardzo zdolna! - Rebecca pocałowała córkę w czubek głowy. - Pamiętaj, kiedy dorosniesz, nikt nie da ci wyboru. Ty sama go sobie dasz. Zawsze możesz wstać i wyjść. Jesteś wolna. Chcę, żebyś to zapamiętała.

Rowan skinęła głową i wytarła oczy w ręcznik. Przez chwile siedziały razem w milczeniu.

- Mamo! - zawołała nagle Rowan. - Posłuchaj.

Rebecca miała wyrzuty sumienia, że pozwoliła sześciolatce tak swobodnie chodzić po mieście. Nie od razu też odpowiedziała.

- Mamo?

Teraz skupiła się, ale nadal była rozgniewana.

- A co się tam dzieje?

- Ptaszek.

Rzeczywiście, wraz z wyciem wiatru od strony sypialni dochodził śpiew.

- Myślisz, że ma już dzieci?

- Sprawdźmy po kolacji.

- Okej.

Rowan grała na fujarce, siedząc na stole, a Rebecca obrała dwa ziemniaki i wrzuciła do wody. Z lodóweczki wyjęła cztery kiełbaski i zaczęła je smażyć. Woda zawrzała, a kiełbaski pękły. W Rebecce także coś pękło. Tak senna była ta wyspa, tak mała, przyjazna, bezpieczna. Po raz pierwszy od sześciu lat Rebecca rozluźniła się i oczywiście, jak się tego zawsze spodziewała, coś zagroziło Rowan. Kiedy ugniatała ziemniaki, dźwięczał jej w głowie głos Dennisa, jego słowa, które powtarzał w kółko, od kiedy tylko dowiedział się, że jest w ciąży.

„Jesteś za głupia, żeby sama wychowywać dziecko. Pewnie umrze, bo się zagapisz”.

W czasie pięciu dni na wyspie, tak jak przewidział Dennis, przestała uważać.

- Jestem za głupia - szepnęła Rebecca, krojąc dwa jabłka.

Wiatr uderzał o dach, a one jadły. Potem razem umyły naczynia. Rowan opowiadała o starej klaczy, która chodziła do miasteczka i z powrotem tą samą drogą. Nie trzeba było jej prowadzić, ponieważ tak jak wszyscy na wyspie wiedziała, co trzeba zrobić, i robiła, co do niej należało. Przynajmniej tak twierdził pan O’Flaherty.

Po kolacji podeszły do okna sypialni. W krzewie znajdował się tylko jeden ptak i akurat siedział na gnieździe, więc nie widziały, czy pisklęta już się wykluły.

- Co się stało z tatą ptaszkiem? - dopytywała Rowan, myjąc zęby.

- Może to jest właśnie tata.

- Śpiewa jak mama. Może tacie stało się coś złego.

- Nie wiem. - Rebecca nie chciała za bardzo zagłębiać się w temat. - Wyglądał na odważnego i silnego ptaka. Myślę, że poleciał po kolację dla mamy. Zwierzęta tak robią.

Rowan skinęła głową i wypłukała usta.

- Pora spać.

Położywszy dziecko, usiadła przy kominku. Patrzyła w popiół, a do jej uszu dobiegał szmer padającego deszczu oraz kwilenie ptaszka. Rowan nic się nie stało, ale czuła niepewność. Znów słyszała, jak Dennis nazywa ją głupią.

- Nie. To tylko Sean. Wyspa jest bezpieczna - szepnęła do siebie. - Nie ma bezpieczniejszego miejsca.

Rebecca wstała rozpaść ogień i zobaczyła obok drzwi wór wełny. Była biała. W kolorze małego ganseja Rowan, który Sharon przywiozła z wyspy, kiedy razem z matką przybyły, aby zaopiekować się nią po porodzie. Tamten gansej z wełny *bainin* okrywał maleńkie ciało Rowan w Święto Dziękczynienia sześć lat wcześniej. Drżąc, Rebecca siadła na krześle, a wspomnienie wróciło do niej z całą mocą.

Rebecca siedziała w fotelu, a Dennis stał przy drzwiach wejściowych, trzymając maleńką Rowan opatuloną w biały irlandzki sweter. Sharon przywiozła go z Irlandii, mówiąc, że na wyspie, z której pochodzi, wszystkie noworodki dostają taki prezent. Ma on magiczne właściwości i dziecku, które go nosi, nie powinno się przytrafić nic złego. Gdy tylko Rebecca usłyszała, jak Dennis parkuje na podjeździe, przyjechawszy na swoją pierwszą wizytę zgodnie z ustaleniami sądu, założyła dziewczynce to ubranko. Tylko tyle mogła zrobić, aby zapewnić bezpieczeństwo córeczce.

- Myślisz, że możesz tak po prostu ode mnie odejść? - spytał.

- Nie pasujemy do siebie - odparła, uważając, by ton jej głosu go nie rozwścieczył.

- Zawsze będę obecny w twoim życiu. Mamy dziecko. Nigdy się od tego nie uwolnisz. - Był cały spięty, jak zwykle kiedy jej groził.

- Proszę cię, nie skrzywdź dziecka.
- Należy do mnie. Mogę robić, co mi się podoba.
- Ona należy do siebie.

Rebecca zaczęła płakać, czując dławienie w gardle na widok dłoni Dennisa, którą niczym szponami przyciskał dzieciątko do piersi.

- Becky?! - zawołała z góry Sharon. - Chcesz, żebym zeszła już z mamą?!

- To wszystko przez tę dziwkę - warknął Dennis, odwracając się i wychodząc.

Rebecca popędziła do drzwi. Patrzyła, jak Dennis zapina Rowan w foteliku na tylnym siedzeniu audi.

- Becky?

Sharon stanęła tuż za nią.

- Szczęśliwego Święta Dziękczynienia, dziwko! - wrzasnął Dennis i trzasnął drzwiami samochodu.

- Nic jej nie będzie, Becky.

- Jesteś pewna? - Rebecca wcale nie była przekonana.

Rozległ się huk gromu. Rebecca zerwała się z sofy, wydając przy tym cichy okrzyk. Trop szczeknął.

- Mamo?

- Wszystko w porządku! Przestraszyłam się grzmotu - zapewniła Rebecca; serce waliło jej jak młotem.

Zgasiła lampę w salonie i udała się do sypialni. Kiedy tam weszła, ujrzała Tropa leżącego na łóżku.

- Co on tutaj robi?

- Piorun strzelił i wskoczył. Może zostać? Chyba się boi.

- No dobra.

Rebecca zrzuciła ubranie i wdziała koszulę nocną. Zgasiła światło i weszła pod kołdrę, przytulając się do Rowan i Tropa.

Pies wgramolił się między nie, wtykając śmierdzący pysk pod poduszki.

- Pan O'Flaherty chyba zapomniał powiedzieć Tropowi, żeby śpiewał, jeśli się boi burzy. - Rowan zachichotała. Rebecca przytaknęła.

Odwróciła się od Rowan i psa i wsłuchiwała w burzę, ptaka za oknem i Dennisa krzyczącego w jej głowie.

Plaster miodu

Plaster miodu. 1. Ścieg, który, jak sama nazwa wskazuje, przypomina plaster miodu. Jego komórki mogą być większe lub mniejsze w zależności od liczby oczek. 2. Tradycyjnie symbolizuje ciężką pracę i zapłatę za nią. Sweter wykonany w całości tym ściegiem ma wyrażać coś, o czym warto pomyśleć.

R. Dirane, *Sploty miłości*

Ponieważ mało spała tej nocy, a Rowan od rana źle się czuła, Rebecca postanowiła, że zostaną tego dnia w domu. Zadzwoiła do Maggie, ale ta nie chciała o tym słyszeć. Godzinę później Maggie, Annie i Siobhan stały już u drzwi Rebeki z grami planszowymi, kartami i świeżym chlebem od Rose w ręku. Chciały dotrzymać Rowan towarzystwa, żeby Rebecca mogła pójść na spotkanie z Mairead Fitzgibbon.

- No nie wiem, Annie. A jeśli to zaraźliwe? - Rebecca szukała wymówki, żeby nie opuszczać córki. Nie chciała znowu okazać się za głupia. - Siobhan się zarazi, maluchy Maggie też. Wszyscy. Tak to wygląda na wyspie.

- Daj spokój, Becks. - Maggie nie dawała za wygraną. - To dla mnie przyjemność. Annie powiedziała, że zostanie z dziewczynkami, więc mam dziś wolne od pracy i maluchów. Rzadko mi się to zdarza.

- Idź z Maggie. My sobie tutaj poradzimy. - Annie wypchnęła Rebecę za drzwi. - Poza tym Mairead bardzo się cieszy na to spotkanie. Nieczęsto ma gości.

Marszcząc brwi, Rebecca założyła plecak z aparatem i kamerą, włożyła statyw do jednego z koszyków i ruszyła żwirową dróżką za Maggie, która jechała na rowerze. Wjechawszy na asfalt, obejrzała się, ale błękitne drzwi już były zamknięte.

- Wszystko będzie dobrze - wyszeptła. - Bawią się w domu. Po drodze nie czuła wiatru ani nie widziała żadnych oznak

nocnej burzy. Jedynie małe kałuże lśniły w słońcu wzdłuż kamiennych murków. Jadąc przez miasteczko, pomachały Johnowi Hernonowi i ojcu Michaelowi, a potem, przyspieszając nagle, przemknęły obok domu Maggie oraz pubu, tak aby nikt ich nie zauważył. Maggie była kobietą z misją - ale dziś miała wolne.

Przejechawszy przez miejscinę, skierowały się w stronę grupy piętnastu turystów, którzy zmierzali właśnie do dużego fortu z epoki kamienia, znajdującego się na najdalej wysuniętym na południe krańcu wyspy. Zwolniły, trzymając się tyłu grupy; kałuże migotliwym blaskiem przywodziły wspomnienia.

Rebecca przypomniała sobie, jak Sharon snuła opowieści o nocnych eskapadach z Johnem i Fionnem do fortu. Siadywali tam, palili i obserwowali Drogę Mleczną na nocnym niebie. Rebecca się uśmiechnęła. Uwielbiała tę historię, bo sama czuła pociąg do starych miejsc, i zastanawiała się, czy fort kiedykolwiek stał opustoszały. Czy mogłaby zabrać tam Rowan, by spędzić noc w miejscu, gdzie pradawni ludzie spali w minionych wiekach?

- To dom Seana. - Maggie wskazała samotny biały budynek w pobliżu piaszczystego brzegu. - Widzisz? Ma plażę. Przydaje się, kiedy łowi się z curraghu.

- Przy moim domu nie ma czegoś takiego.

- Na północny zachód od ciebie jest kamienna ścieżka prowadząca do maleńkiej kamienistej zatoczki. Jest tam też trochę piasku. Dziadkowie Fiona wyprawiali się stamtąd na cur-raghach. Powinnaś pokazać to Rowan.

Rebecca skinęła głową.

Ujechawszy milę, Rebecca i Maggie odłączyły się od turystów i skręciły na wschód. Wjechały na wzniesienie, a potem zjechały i zatrzymały się przy starym, piętrowym budynku. Dwie złotowłose dziewczynki patrzyły na nie szeroko otwartymi oczami.

- Dzień dobry, Ciaro - powiedziała Maggie. - Meara, gdzie wasza mama?

- W domu, przy Tadhgu.

- A tata?

- Przy pszczołach.

- Jak zwykle. - Maggie mrugnęła do Rebeki.

Opierając rowery o kamienny murek, Maggie i Rebecca patrzyły, jak dziewczynki wbiegają do środka.

- Bliźniaczki - rzuciła Maggie. - Pierwsza ciąża i od razu bliźniaki.

- Co to jest „Tadhg”?

- Raczej kto. To najmłodszy. Jeśli dobrze pamiętam, ma półtora roczku.

Zbliżyły się do domu i Maggie zawołała z progu:

- Mairead?!

- W kuchni!

Rebecca weszła do małego salonu pełnego zabawek, kartek, kredek i układanek. Na podłodze siedziało też trzech chłopców i dziewczynka; dzieci były w różnym wieku. Wszystkie spojrzały na Rebecę jednocześnie, a potem z powrotem skierowały wzrok na telewizor. Miseczki płatków śniadaniowych schły na stoliku do kawy, a ubrania rzucono niedbale na poręcz

schodów. Przekrzywione abazury lamp sprawiały wrażenie, że cały pokój jest ukośny.

Rebecca zobaczyła Mairead, gdy tylko przekroczyły próg. Widać było wyraźnie, że jest w ciąży, pod oczami miała też wyraźne cienie. Siedziała przed wysokim krzeselkiem z łyżką w dłoni.

- Mairead, Becky. Becky, Mairead.

- Poszłabym po sweter, ale jeśli zostawię Tadhga, będzie wrzeszczał jak potępieniec - stwierdziła Mairead. - Jedyne gansje, jakie znalazłam, trzymam na górze.

Maggie wyminęła Rebecce, by go przynieść. Mały chłopczyk odwrócił wzrok od tacki i spojrział na Rebecce z czymś w rodzaju pogardy, a potem włożył sobie do buzi garść fasolki szparagowej.

- Który miesiąc? - spytała Rebecca.

- Siódmy. Znowu bliźniaki. Niesamowite, prawda? Rebecca uśmiechnęła się współczująco. Jedno to kłopot, ale dziewięcioro? Nie bardzo wiedziała, co powiedzieć.

- Musi być ci ciężko. Ja mam tylko jedno dziecko.

- Wcale nie. Za to jest dużo pracy i mało snu. Nie da się leżeć wygodnie z tak wielkim brzuchem.

- Mąż pewnie też nie śpi.

- Śpi dobrze, a potem idzie do pracy.

- Czym się zajmuje?

- Rolnictwem ekologicznym. To znaczy ja z dziećmi pracuję w polu, a on hoduje pszczoły.

- Ty pracujesz w polu?

-*Aye*. W moim stanie praca jest coraz trudniejsza, zwłaszcza przez Tadhga. Dzięki Bogu za dziewczynki. - Mairead posłała córkom uśmiech.

- Pomagają w pracy?

- Razem z chłopcami pilnują malucha, gdy ja pracuję.

- A twój mąż hoduje pszczoły. -*Aye*.

- Becky, proszę.

Rebecca się obróciła, by zobaczyć gansej trzymany przez Maggie. Był jasnobezowy i zrobiony jednym ścięciem - plastrem miodu. Rebecca spojrzała na Mairead, która wyszczerzyła zęby.

- Mam od niego tylko miód, więc on ma ode mnie tylko ten jeden ścięg.

Maggie wybuchnęła śmiechem.

- Nie lubisz pszczół? - spytała Rebecca.

- Rozejrzyj się. Jak myślisz?

- Potrzebujesz odpocząć. -*Aye*.

- Becky chce poznać twoje ścięgi, a żeby to zrobić, musicie mieć trochę czasu dla siebie. Być może Becky porozmawiałaby z twoim mężem? W końcu jest jej ziomkiem.

Rebecca spojrzała na Maggie ze zdziwieniem.

- Jest na tyłach. Ciaro, zabierz Becky do taty. Dziewczynka wzięła Rebecę za palec i wyprowadziła ją z salonu.

- Zaparzę herbatę! - zawołała za nimi Maggie.

Rebecca i Ciara minęły róg domu. Na niewielkim poletku, oddalonym o jakieś dwadzieścia metrów, stały dwie szopy, czy raczej jedna szopa z prowizoryczną przybudówką. Ciara zatrzymała się nagle przy murku oddzielającym pole od domu.

- Tato! - zawołała. - Mamy gościa.

Bardzo chudy i wysoki mężczyzna wystawił głowę zza drzwi szopy.

- Witaj! - zawołał z wyraźnym amerykańskim akcentem. - Jesteś pewnie przyjaciółką Sharon.

- Tak. - Rebecca puściła dłoń Ciary. - Jesteś Amerykaninem?

- Nie, Irlandczykiem. To znaczy teraz Irlandczykiem. Urodziłem się w Kalifornii.

- Też pochodzę z Kalifornii.

- Naprawdę? - Uśmiechnął się. - Skąd?

- Wychowałam się w Redding.

- Ja urodziłem się w Westminster. - Podszedł bliżej. - Jestem Jim, Jim Fitzgibbon.

- Rebecca Moray.

- Też się tu przeprowadzasz?

- Nie. Przyjechałam tylko na lato.

- Tak, prawda. Pisziesz książkę.

- Jak tu trafiłeś?

- Moja babka stąd pochodziła. Należała do rodziny Dirane. Kiedy umarła, mój kuzyn powiedział mi, że sprzedaje tę posiadłość. Babka była ostatnim członkiem rodziny z tego pokolenia, a kuzyn nie widział sensu, by tu zostać. Ostatni Dirane na wyspie miał żonę z Doolin. Trudno go winić, że chciał wyjechać. Dokończyłem więc studia na uniwersytecie w Davis, spakowałem się i kupiłem to siedlisko. Od tamtej pory mieszkam tu i uprawiam ziemię przodków.

- I hodujesz pszczoły.

- Tak. Chcesz miodu?

- Jasne.

- No to chodź.

Obrócił się i wszedł do szopy, nie oglądając się za siebie. Rebecca, nie widząc nigdzie furki, pospiesznie przesadziła murek i potruchtala za nim.

- Masz go aż tyle? - wydyszała.

- O tak. Będziemy go sprzedawać, tylko Mairead musi jeszcze zrobić etykiety.

- Jakie etykiety?

- Na słoiki. Wiesz, na miodzie można zarobić.

- Mairead nie zrobiła jeszcze etykiet... - nie dowierzała Rebecca. - Ale czy nie jest już dość... zajęta?

- Aye. Ale to artystka. Bardzo kreatywna.

- Tak. Widziałam twój sweter.

- Świetny, co? - Jim obrócił się do niej z szerokim uśmiechem i otworzył drzwi. - Ona wie, że kocham pszczoły.

Rebecca skinęła głową i wzruszyła ramionami. Zajrzawszy do środka, wstrzymała oddech. W skrzyniach po sam sufit stały setki słoików miodu.

- Sporo etykiet - mruknęła.

- Pracowite pszczołki. To nie taki zwykły gatunek, brązowe pszczoły z tych wysp. Przystosowały się do pogody i roślinności. Nigdzie indziej nie znajdziesz takiego miodu.

Rebecca kiwnęła głową z lekkim uśmiechem, kiedy Jim podał jej słoik.

- Dzieci ci pomagają? - spytała.

- O nie. To zbyt niebezpieczne. Może kiedy podrosną.

- Trzeba mieć sporo czasu. To znaczy pszczół.

- Hodowla zawsze wymaga czasu i uwagi.

- Racja.

Południowe słońce rozświetlało swoim miodowym blaskiem oczy Jima. Rebecca przymknęła powieki, próbując przypomnieć sobie, skąd zna ten wyraz oczu. Nagle ją olśniło. To samo puste spojrzenie widziała na zakurzonych fotografiach wiszących w muzeum Sutter's Mill. Mężczyźni dotknięci gorączką złota w latach czterdziestych dziewiętnastego wieku patrzyli na świat tymi samymi pustymi oczami, utrwalonymi po wsze czasy na fotografiach w sepii. Jima także dotknęła gorączka i został samotnym poszukiwaczem samorodków, niezważają-

cym na to, że życie przecieka mu przez palce. Przynajmniej jego samorodki nadawały się do jedzenia.

- Dzięki za miód - mruknęła, wychodząc z szopy.

- Najlepiej smakuje z chlebem Rose.

- O! Dostałam dziś bochenek.

- Najlepsze śniadanie na świecie.

Rebecca wróciła do murku. Przycisnąwszy słoik do piersi, wygramoliła się z pola i ruszyła z powrotem. Za rogiem spotkała Maggie. Opierała się o frontowe drzwi, popijając herbatę.

- Smutne, prawda? - powiedziała. -Co?

- Jim.

- Smutniejsze chyba dla Mairead i dzieci, nie sądzisz?

- Wszyscy to mówimy. Próbowaliśmy z nim rozmawiać. Ojciec Michael też. Ale do Jima nic nie dociera.

- Rzeczywiście, słusznie zauważyłaś, nic a nic. A najgorsze jest to, że jemu naprawdę podoba się sweter Mairead.

- Wiem. - Maggie się zaśmiała. Rebecca potrząsnęła głową.

- To jest ciężka sprawa, Becky.

- No chyba. -*Aye*.

Rebecca dojrzała na ustach Maggie krzywy uśmiezek.

- Mags, co tam knujesz?

- Podobała nam się twoja historia. Trzeba coś zrobić.

- To tylko rodzinna opowieść.

- Wszyscy próbowaliśmy już pomóc Jimowi. Tu trzeba amerykańskiego podejścia.

- Wy tutaj nie jesteście zbyt dobrzy w otwartej konfrontacji, co?

- Za to wy jesteście.

- Ale on mówi, że jest Irlandczykiem.

- Może w sercu i duszy. - Maggie zachichotała. - Ale ciało i umysł wciąż ma amerykańskie.

Rebecca zmrużyła oczy.

- Coś trzeba będzie wymyślić.

- Aye. Napijesz się herbaty?

- Tylko z czystej filiżanki.

Splot celtycki

Splot celtycki. 1. Ściegi te różnią się rozmiarem i zawilóścią, ale wszystkie powstają z oczek krzyżowanych i przekreślonych. Węzły celtyckie są bardzo skomplikowane i najlepiej uczyć się ich od zaawansowanych dziewiarzy. 2. Muzyka.

R. Dirane, *Sploty miłości*

Słońce wlewało się jasnym strumieniem przez okno w sypialni synów i ogrzewało żółtą próbkę, którą Sean trzymał w dłoni. Sześć dni zajęło mu uzyskanie właściwego odcienia, a za każdym razem, kiedy dodawał niebieski barwnik do żółtej cieczy, otrzymywał coraz chłodniejszą barwę. Na podłodze leżały dwadzieścia dwie odrzucone próbki, podobne do kwiatów mleczy, jakie chłopcy Morahana zerwali w pewien wiosenny poranek jakieś sześćdziesiąt lat wcześniej, by wręczyć matce. Kilka z nich wypadło wtedy spomiędzy ich paluszków na podłogę.

- Nie to wspomnienie. - Sean się uśmiechnął. - Aureole i stópki dziecka.

Kątem oka dojrzał jakiś cień przemykający za oknem i podążając za nim wzrokiem, zobaczył ptaszka fruującego wokół domu. Musiał przylecieć od strony morza. Unosił się radośnie

na tle niebieskofioletowego nieba, czystego jak dźwięk dobywający się z fujarki Joego. Na tę myśl Sean aż podskoczył na krześle i spojrzał w górę. Nie widział nieba o tak fioletowym odcieniu od czasu piętnastych urodzin Matthew. „Boję się, tato”.

Sean chwycił się za głowę, chcąc zmusić się do myślenia o Brendanie i aureolach.

- Nie! - wrzasnął w podłogę. - Nie to wspomnienie.

Ale niebo nie posłuchało, tylko patrzyło groźnie z góry, bez krzty litości wdzierając się do jego mrocznego domu i serca.

- Boję się, tato - powiedział Matthew cicho, patrząc błagalnie w twarz ojca.

- Sam chciałeś rower.

- Sean, daj chłopcu trochę czasu - wtrąciła Claire. W ramionach trzymała dwuletniego Brendana.

- Pogoda już lepsza nie będzie - odpar! Sean, wskazując na niebieskofioletowe niebo. - Jest sucho. Twoi bracia sporo poświęcili, żebyśmy mogli kupić ci ten rower. Teraz będziesz musiał nauczyć się na nim jeździć.

- Ale ja się boję.

- Wsiadaj. Popchnę cię.

Najstarszy chłopiec chwycił drżącymi rękoma kierownicę i uniósł stopy do pedałów.

- Czekaj, tato! - krzyknął Matthew, gdy Sean popchnął go ze zbocza. Claire jęknęła.

- Zamknij się - wycedził Sean, nawet na nią nie patrząc. Rower pędził po zboczu, gdy nagle podskoczył na wyboju

i Matthew stracił nad nim panowanie. Chłopak spadł do rowu i uderzył głową o ziemię.

- Matthew! - krzyknął Liam, wymijając matkę i biegnąc w kierunku miejsca, gdzie leżał nieruchomo jego brat.

Sean trzepnął czterolatka w brodę; Liam zatoczył się z powrotem do Joego.

- On jest jeszcze mały, tato! - krzyknął Joe na ojca i złapał Liama, zanim ten upadł na ziemię. Joe miał trzynaście lat i osiągnął już wzrost Matthew. Sean odwrócił się gwałtownie do niego, a ten patrząc mu w twarz, zacisnął zęby i wypiął pierś. Ojciec podszedł ku niemu.

- Sean! - Claire złapała trzynastolatka ze rękaw ganseja i odciągnęła go.

- Mówiłem ci, żebyś się zamknęła!

- Matthew jest ranny - wyszeptał Liam.

- Nie rusza się - wyjąkała Claire.

- Matthew! - wrzasnął Sean ze złością, pokazując Joemu zęby. Odwrócił się w stronę rowu, a potem zbiegł po pochyłości. - Matthew, wstawaj wreszcie!

Sean stanął nad bezwładnym ciałem syna. Zszedł do rowu i potrząsnął nim.

- Matthew!

Ten nie zareagował. Sean uderzył go w twarz.

- Sean! - krzyknęła Claire.

- Zamknij się! Matthew! Matthew zamrugał.

- Tata?

- Wstawaj!

Syn powoli wstał, ale kiedy chciał oprzeć się na prawej ręce, ugięła się pod nim.

- Moja ręka...

- Wstawaj i wsiadaj na rower. - Sean schylił się i chwycił Matthew za kołnierz jego niebieskiego ganseja, odsłaniając przy tym zranioną rękę.

- Moja ręka!

- Nic ci nie jest - Sean wysyczał ze złością w ucho syna. - Matka martwi się, że stało ci się nie wiadomo co. Wsiadaj na ten rower i pokaż jej, że wszystko w porządku.

Matthew rzucił spojrzenie matce, zwieszając bezwładną rękę wzdłuż ciała. Drugą pomachał do niej słabo.

- Dobrze. A teraz wsiadaj.

Matthew spojrzał na ojca. W jego szeroko otwartych, przerażonych oczach odbijało się niebieskofioletowe niebo. Spływające po policzkach łzy zalśniły w słońcu. Chłopak chwycił kierownicę tylko lewą dłonią i jęknął, stawiając stopy na pedałach. Sean pchnął rower. Matthew nie był w stanie utrzymać równowagi ze zranioną ręką i znów się przewrócił. Gdy uderzył o ziemię, z jego ust wydobył się cichy jęk. Nie odwrócił się.

- Nigdy nie będziesz mężczyzną - ogłosił Sean i odszedł, zostawiając syna leżącego na ziemi.

- Sean! - krzyknęła za nim Claire.

Nie spojrzał za siebie. Nie odpowiedział. Odszedł.

Sean wciąż trzymał się za głowę. Kolana ugięły się pod nim, gdy wspominał płacz syna leżącego na ziemi. Dopiero tydzień po tym zdarzeniu zabrał Matthew do szpitala w Galway, by nastawili mu rękę.

Sean poczuł podmuch późnowiosennego wiatru. Jego myśli podążyły teraz w innym kierunku. Widział Matthew przy ołtarzu, całującego swą świeżo zaślubioną żonę Mary dziesięć lat po tamtej historii z rowerem. Seanowi o wypadku przypominało skrzywienie prawego przedramienia Matthew - okaleczenie, którego był winny. Matthew przyciągnął do siebie Mary przed księdzem tą właśnie zdeformowaną ręką, a Joe grał na fujarce.

Nagle Sean uwolnił głowę z objęć. Nasłuchiwał. Gdzieś zza warsztatu dobiegała muzyka. -Joe?

Dźwięk był czysty, nie zakłócała go żadna niepotrzebna nuta. Sean przeszedł przez pokój, powłócząc nogami i rozgarniając żółte próbki. Otworzył drzwi i przeczłapał przez kuchnię. Tony stały się wyższe, łaskotały starzejące się uszy Seana. Gdy dotarł do salonu, zorientował się, że muzyka dochodziła z zewnątrz.

- Rowan?

Rozwarł drzwi wejściowe i wychylił się na czyste poranne powietrze. Za domem ryczał ocean. Wiatr pachniał trawą i rosą. Muzyka nie dochodziła ze wschodu, zachodu, północy ani południa. Po prostu była, a Sean stał bosymi stopami na zimnym progu nieruchomo jak głaz i nasłuchiwał.

- Joe.

Wsadził próbkę do kieszeni, a z obszarpanego rękawa wyjął swoją piszczałkę. Uniósł ją do wysuszonych ust i dmuchnął, ale w dźwięku zabrzmiał zbędny świst, niczym kaszel. Sean urwał i zamknął oczy, szukając muzyki. Fale biły o brzeg. Przez chwilę nie słyszał nic poza nimi.

- Nie... - wyszeptał, robiąc krok wprzód. Gdy fala odpływała, fujarka zagrała gamę przypominającą maleńki wodospad.

Sean porwał szybko czapkę i płaszcz z haczyka na drzwiach i zostawiwszy dom na pastwę żywiołów, popędził boso na plażę. Zbiegając po wydmie, nie słyszał już gamy, tylko melodię - jasną i pogodną, dochodzącą do niego falami, chwilami zagłuszaną przez morze.

- Czeka! - zawołał, rozwiązując liny w curraghu i ciskając je na piach. Stęknąwszy, obrócił łódź, wrzucił do środka wiosła, płaszcz i czapkę, a następnie wypchnął ją w stronę morza. Piach zbierał się w wielkie kopce przed dziobem i wdzierał

między palce, próbując zatrzymać starca na lądzie. Jednak jak wszyscy rybacy Sean wiedział, że gdy tylko łódź dotknie wody, ocean pochwyci ją i poniesie w dal.

- Już idę! - krzyknął, kiedy fala uderzyła w dziób.

Zimna, słona fala bryzgnęła mu w twarz i zaszczypała w oczy, gdy tylko łódź oderwała się od piasku. Chwyciwszy burtę curraghu, Sean wskoczył do środka i upadł na plecy. Szybko odzyskał równowagę, usiadł, umieścił wiosła w dulkach i pociągnął do siebie. Gdy je podniósł, dziób wspiał się na fale, a woda uderzyła w curragh. Zanurzył je więc, ciągnąc całą mocą steranych życiem pleców i pchając zgrzytającymi kolanami. Następna fala była mniejsza i kiedy odbił powoli od brzegu, usłyszał wyraźniej dźwięk fujarki.

Wiosłował miarowo. Niebieskofioletowe niebo zdawało się wisieć tak nisko, że niemalże muskało jego głowę. Sięgnął po czapkę i włożył ją na przerzedzone włosy. Skierował się na północ, gdzie, jak wiedział, rosły krasnorosty. To tam w łagodne wiosenne poranki morze było najspokojniejsze. Znalazł to miejsce sześćdziesiąt osiem lat temu, w dniu, kiedy jego ojciec przestał z nim rozmawiać, a on sam stał się mężczyzną. Miał wtedy piętnaście lat i dzień wcześniej opuścił rodzinny dom, by spędzić noc w stodole rodziców Claire. Wrócił dopiero po śmierci ojca.

Sean wiosłował w obranym kierunku, jego ciało z trudem walczyło z żywiołem. Ale nie baczył na ból. Słyszał piosenkę Joego. Kiedy dotarł na miejsce, wciągnął wiosła do łodzi. Curragh zwolnił i w końcu zatrzymał się nad wielkim zielonym lasem wodorostów w głębinie. Sean zamknął oczy i nasłuchiwał.

To był Joe. Grał tę samą melodię co wtedy, gdy po raz pierwszy wypłynął z ojcem curraghiem. Sean zdążył już zapomnieć o dźwiękach fujarki syna - tak czystych i oszczęd-

nych. Wspomnienie żyło jednak w nim, chociaż przyćmione upływem czasu i cierpieniem, a szczegóły melodii rozplynęły się w przeszłości. Ale teraz słyszał ją tak wyraźnie, jak gdyby Joe siedział obok w curraghu, otoczony cichym morzem pod niebieskofioletowym niebem.

Sean wyciągnął z rękawa fujarkę i przytknął ją do ust. Muzyka ucichła. Zaskoczony wstał, wyteżając słuch, by złowić choć jeden dźwięk, jedną nutę, ale tylko morze szumiało, uderzając o burty w nieruchomym powietrzu poranka.

- Wróć! - zawołał, ale odpowiedziała mu cisza. - Wróć do mnie! - krzyknął w niebo.

Cisza. Opadłszy na ławkę, stary obrócił fujarkę w palcach. Przytknął ustnik do warg i zagrał, ale dźwięk był chropawy, melodia bezbarwna. Czuł się jak ktoś, kto od dawna nie śpiewał, a teraz próbował zanucić pieśń sprzed lat. Pamiętał, jak powinien brzmieć głos, ale jednocześnie nie potrafił już trafić w odpowiednie tony. Sean się wzdrygnął.

- Wróć - wyszeptał.

To Joe. Tylko Joe tak potrafił.

Jak mało kto umiał grać na fujarce. To on uczył braci. Pomagał im z palcówkami i zamykaniem otworów. Gdy Matthew koncentrował się na melodii, Joe skupiał się na harmonii, aż kolejny syn dorósł do grania. Potem, wieczorami przed kominkiem, Joe dzielił się z nimi własną wersją piosenek, które znał. Co wieczór przez wiele lat dom Seana wypełniało wspólne muzykowanie, czy wiał wiatr, czy był ciepły wieczór. Ale w miarę jak synowie dorastali, coraz rzadziej siadali razem do instrumentów, aż w końcu na plaży Seana rozbrzmiewał tylko jeden - Joego. Grał gdzieś z dala od ojcowskiego kominka.

- Proszę, wróć - błagał, ale odpowiadał mu tylko wiatr. Wyciągnął z kieszeni żółtą próbkę. Pod palcami wyczuwał francuski ścieg, a na plecach ciepło słońca. Od dawna nie my-

ślał o Joem. A już na pewno nie o jego fujarce. Kiedy jednak usłyszał, jak gra Rowan, jak gdyby od lat nic innego nie robiła - jak gdyby urodziła się na wyspie - wtedy pomyślał o swym drugim synu.

Schowawszy instrument do rękawa, zawrócił łódź i skierował ją do brzegu. Ciężyły mu wiosła, a do tego na sercu kamieniem kładły się wspomnienia. Wolno zмагаł się z morzem. Wpatrując się w horyzont, skupił się na muzyce, która wibrowała w jego umyśle nieskazitelnymi dźwiękami. Może to jednak Rowan? Może, gdy grała, wiatr porwał jej piosenkę i rozniósł po wyspie. Ale przecież Rowan nie znała żadnych melodii, tylko game...

Sean skierował łódź na wschód, dobił do brzegu i wyskoczył boszo z curraghu. Piasek gromadził się w kopce przed dziobem, najwyraźniej zły, że Sean ośmielił się opuścić plażę. Wzdychając ciężko, stary przewrócił curragh i zostawił go, nie przywiązując do skał. Podniósł płaszcz, wsłuchując się w huk fal, i wspiał się po wydmie.

Różane krzewy pod domem były teraz tylko uschłymi badyłami i kiedy minął róg, zobaczył, że drzwi wejściowe są otwarte, tak jak je zostawił. Na wschodzie ujrzał grupkę turystów przypatrujących mu się z drogi.

- Wynocha - wymamrotał i wszedł do domu, zamykając za sobą drzwi. Odwiesiwszy czapkę i płaszcz na hak, zanurzył palce w muszli z wodą.

- Niech Bóg błogosławi. Nikt nie odpowiedział.

W kuchni nalał zimnej herbaty do filiżanki. Zabrał ją ze stołu i poszedł, szurając stopami, do pokoju synów, gdzie podniósł duży wór wełny. Usiadł na krześle stojącym samotnie przy zimnym palenisku. Postawił filiżankę na podłodze, otrzepał stopy z piasku i przyciągnął kołowrotek.

- Muszę zrobić Brendana - powiedział do wrzeciona, nakładając pustą szpulkę. Bardzo ostrożnie wyciągnął pasemko wełny z wora, przywiązał do szpuli i przełożył przez haczyki i otwór. Zrobił węzełek i kładąc prawą nogę na pedale, sięgnął po herbatę. Popijając, kątem oka wyrztał przez okno i spojrzał w niebieskofioletowe niebo. Zapuścił kołowrotek. Pusty dom rozbrzmiał dźwiękiem, szprychy obracały się przed nim jak w kołach roweru Matthew.

Bąbelki ze ściągaczem

Bąbelki ze ściągaczem. 1. Wzór z pojedynczym ścięciem ściągaczowym między bąbelkami. Ściągacz wygląda wtedy jak sznur pomiędzy dwoma wypustkami; może stanowić równą linię albo mieć kształt litery „S”. 2. Nowy przyjaciel.

R. Dirane, *Sploty miłości*

Przez resztę tygodnia Rebecca próbowała trzymać Rowan blisko siebie, nie obrażając przy tym nikogo. Siobhan spędziła u nich cały wtorek. W środę Rebecca wybrała się do domu Rose, zachęcając Siobhan, by towarzyszyła jej i córce, gdy ona będzie się uczyć obsługiwać kołowrotek.

W czwartek Tom zachorował i Maggie poprosiła Rebeccę o pomoc w pubie - naturalna prośba, jak to ujęła Maggie, ponieważ według Sharon Rebecca była w college'u „superkelnerką”. Rebecca chętnie się zgodziła, bo dzięki temu mogła zaprosić Siobhan do zabawy z Rowan i dwoma synkami Maggie na zapleczu pubu.

Tom nie wyzdrowiał do piątku, więc i tego dnia Rebecca i Rowan pojechały na rowerze przez gęstą poranną mgłę do pubu. Słońce ledwo znaczyło swoje nadejście na wschodzie. Annie, Paddy i Siobhan czekali na nie przed domem Blake'ów. Paddy trzymał wędki, a Siobhan latarki.

- Czas coś złowić! - zawołał.

- Och! Miałam z Rowan pomagać Maggie w pubie! - Rebecca się skrzywiła. Wciąż nie była gotowa pozwolić małej na pełną swobodę. Jeszcze nie wymyśliła, jak trzymać Seana na dystans.

- Pozwól jej - poprosiła Annie. - Ja pomogę w pubie.

- Kiedy wrócicie? - spytała nerwowo Rebecca.

- Idziemy tylko na skały na południu - wyjaśnił Paddy. - Jeśli będziesz jej potrzebować, po prostu przyjdź. Nic się jej nie stanie, poza tym że ubrania przejdą jej zapaszkami ryb.

Rebecca zaśmiała się i skinąwszy głową, ucałowała Rowan w czoło. Dziewczynka w podskokach pobiegła z Siobhan za Paddym.

- Chodźmy. Maggie na pewno zrobiła śniadanie - rzuciła Annie.

Obejrzawszy się po raz ostatni, Rebecca zostawiła Rowan Paddy'emu i morzu.

W miasteczku panowała cisza. Nikt nie śmiał się głośno, nie śpieszył się i nie mówił w obcych językach, nikt nie mknął na rowerze. Najwyraźniej turyści nie wstawali przed wschodem słońca. Sądząc po gęstości mgły, zapewne mieli zamiar poleżeć w łózkach jeszcze jakiś czas. Rebecca przypuszczała, że tutejsze poranki były zazwyczaj ciche tak jak ten, a wiatr znad oceanu szeptał słone sekrety tym, którzy zdecydowali się wstać przed świtem.

Minęły front pubu i przeszły na tyły. Zastukały lekko do drzwi wiodących do kuchni. Otworzyła je Annie.

- Dzień dobry, Maggie!

- Dzień dobry, Annie, dzień dobry, Becks. - Maggie nawet na nie nie spojrzała, skupiona na kiełbaskach piekących się na grillu. - Weźcie sobie kawy. - Gestem wskazała parujący dzbanek na blacie.

- Dzięki - powiedziała Annie, biorąc dwie filiżanki z dwunastu stojących na tacy przy ekspresie.

- Gdzie Rowan?

- Paddy zabrał ją i Siobhan na ryby. Na pewno będą świetnie się bawić. - Annie postawiła pełną filiżankę przed Rebeccą, która usiadła przy stole do mięsa, znajdującym się na środku kuchni.

- Becky, rozmyślałaś o problemach Mairead? - zagała Maggie.

- Tak. Przy siedmiorgu dzieciach najlepiej będzie, jeśli zabierzemy gdzieś Mairead na cały dzień. Mój ojciec miał tylko mnie, więc lekcja trwała dłużej. Zdziwię się, jeśli Jim przetrzyma nawet kilka godzin.

- Mama prosiła Mairead, żeby ją odwiedziła. Pochodzi z wyspy na północy. Razem z podróżą wyjdzie akurat jeden dzień - powiedziała Annie, siadając naprzeciwko Rebeki.

- Czyli wiesz, o co chodzi? - Rebecca uniosła brwi.

- Tak. Sharon nam opowiadała. -Aha.

- Może Paddy ją zabierze? - podpowiedziała Maggie, biorąc do ręki dwa jajka. - Becks, lubisz jajecznicę, prawda?

-Tak, dziękuję. Paddy może? Będzie musiał pojechać po nią tego samego dnia.

- Odebrać ją może jej brat Iollan. Też rybak, ma łódź - podsunęła Maggie.

- Chyba że akurat przecieka. - Annie wyszczerzyła zęby. - Zapytam Paddy'ego, a on pomówi z Iollanem.

Rozległo się ciche stukanie do drzwi i do środka zajrzał Fionn. Wyjechał tydzień wcześniej i wrócił, tak jak obiecał.

- Dzień dobry - przywitał się. Nikt nie odpowiedział. -Przerwałem wam?

- Co ty robisz w domu? - Maggie zmarszczyła nos.

- Też się cieszę, że cię widzę. - Mężczyzna zamknął za sobą drzwi.
 - Przyjechał po książki, które wypożyczył dla mnie z biblioteki - wyjaśniła Rebecca z uśmiechem. Fionn miał przepiękne włosy.
 - Tak, to jeden z powodów, dla których wróciłem. Ale są jeszcze dwa inne. Przywiozłem wieści od Sharon. - Nalał sobie kawy.
 - Wieści od Sharon? Urodziła już? - spytała szybko Annie.
 - Jeszcze nie. I trzeci powód: muszę porozmawiać z ojcem.
 - Z ojcem - powtórzyła Maggie. -*Aye*. Maggie, zaraz przypalisz te jajka.
 - A - syknęła, odwracając się z powrotem do patelni. - Przepraszam, Becks.
 - O czym tu spiskowałyście, kiedy wszedłem? Rebecca poruszyła się niepewnie.
 - Rozmawialiśmy o problemach Mairead - odpowiedziała Annie.
 - Świetnie.
 - To ty wiesz? - spytała Rebecca.
 - Tak. Sharon...
 - Jakżeby inaczej - przerwała mu Rebecca.
 - Zabieramy Mairead w odwiedziny do matki, a z dziećmi zostanie Jim. Teraz ustalamy datę.
- Drzwi otworzyły się i stanął w nich Fionn senior.
- Synu, co tu robisz?
 - Przyjechał z trzech powodów, z których ostatnim jest spotkanie z ojcem. - Maggie uniosła brwi, stawiając przed Rebeccą talerz jajek, bekonu i pomidorów.
 - Spaleś wczoraj u Toma? - spytał senior, przytulając juniora.

- Nie, u ojca Michaela. Annie zagwizdała.

- Musi coś szykować, skoro wytrzymał u księdza cały wieczór - skomentowała Maggie.

Roześmieli się.

- Wyszło już coś? - spytał Fionn senior.

- Dopiero wychodzi - odpowiedział Fionn. - Mairead musi jechać do domu w związku z ich problemami rodzinnymi.

- Naprawdę? Kiedy?

-Może jutro? Skoro tu już jestem... Możemy ją zabrać w curraghu. Becky chciała popłynąć curraghiem.

- Nie - zaprotestowała Rebecca. - Nie chcę nigdzie płynąć. Chcę zoba...

- Świetnie - przerwała jej Annie. - Paddy pewnie będzie chciał nadrobić dzisiejszy dzień, bo zamiast łowić, wziął dziś dziewczynki na skały.

- No to ustalone - podsumował Fionn senior. - Maggie, przychodzę ci powiedzieć, że pod drzwiami stoi kolejka głodnych ludzi.

- Niech to - wytarła dłonie w fartuszek. - Zapomniałam otworzyć drzwi.

- Ja to zrobię. - Annie wstała i przeszła kuchennymi drzwiami do pubu.

- Pójdę sprawdzić curragh - oznajmił Fionn senior i wymknął się tylnymi drzwiami.

- Idę z tobą. - Fionn odstawił filiżankę i poszedł za ojcem.

- Czekaj! - zawołała Annie. - Jakies wieści od Sharon? -Aha. To dla Becky. Nie mogę przywozić ci już książek.

Musisz sama jechać po nie do Dublina. Pamiętaj, że to nie ode mnie wiadomość - wyszczerzył zęby - tylko od Sharon.

Zamknięciem drzwi Fionn zakończył rozmowę. Rebecca wstała, marszcząc przy tym brwi. Nie tak to sobie wyobrażała.

Miała przecież zadanie do wykonania! Musiała napisać książkę. Dostała grant i tylko dwa miesiące na przeprowadzenie badań. Tymczasem już dziesięć dni po przyjeździe wmieszała się w sprawy Mairead, była kelnerką w pubie i miała przepłynąć wielki ocean w maleńkiej łódce.

- Maggie! - Annie weszła do kuchni. - Jajecznica z bekonem, pomidorami i kawa.

- Becks, jesz śniadanie?

Rebecca patrzyła, jak Maggie przekłada jajecznicę na talerz. Westchnęła i potrząsnęła głową.

- Zaniesiesz...? - spytała Maggie, patrząc na Annie.

- Mężczyźnie przy oknie. - Annie naląła kawę do trzech filiżanek.

Rebecca zniosła talerz do pubu. Skierowała się między stolikami do szpakowatego mężczyzny w średnim wieku, który siedział sam przy oknie.

- Jajecznica na bekonie z pomidorami? - spytała.

- Tak, zgadza się. Mogę prosić kawę? Sądząc po akcencie, był Szkotem.

- Proszę bardzo. - Annie postawiła naczynie na stole.

- Przepraszam! - zawołała młoda kobieta siedząca z dwoma równie młodymi mężczyznami. Rebecca zbliżyła się do ich stolika przy kominku.

- Poprosimy kiełbaski z puree ziemniaczanym. I czy można by rozpalić w kominku? Trochę tu zimno.

Rebecca skinęła głową i wróciła do kuchni. -Trzy razy kiełbaski z ziemniakami - złożyła raport. -Gdzie są zapalki?

- Przy dzbankach z kawą. Powinnaś jechać do Dublina, zobaczyć się z Sharon.

- Nie mam czasu. Jestem tu już dziesięć dni, a zbadalam dopiero dwa ganseje.

Rebecca wyszła z zapalnikami. Obok kominka leżał torf i koszyk wyschniętej trawy. Ułożyła z trzech kostek torfu tipi i -przypominając sobie, jak robiła to Sheila jej pierwszego poranka na wyspie - wsunęła trawę pod torf, potarła zapalnik o draskę i podpaliła. Spłonęła szybko, ale Rebecca dokładała podpalnik, aż torf zaczął dymić.

- Zaraz powinno się rozpaść - poinformowała młodą kobietę i wróciła do kuchni.

- Proszę, kielbaski z ziemniakami - oznajmiła Maggie.

- Mam doktorat z archeologii, a nie potrzebowałam nawet dwóch tygodni, żeby znów zostać kelnerką.

Maggie roześmiała się, podając Rebecce talerze.

- Widzę po twoich ruchach, że się w tym sprawdzałaś. Sharon zawsze to powtarzała.

- Pewnie - szepnęła Rebecca i wróciła do sali. Ogień pełgał wesoło.

- Trzy razy kielbaski z ziemniakami. - Położyła talerze na stole.

- Mogę prosić jeszcze kawy? - spytała kobieta.

- Chwileczkę.

Rebecca skierowała się do kuchni, gdzie Annie stała z uśmiechem na ustach i dzbankiem w ręce. Na stole przygotowano termos i brązową, papierową torebkę.

- Włożyłyśmy tam parę babeczek i zrobiłyśmy ci herbaty. - Annie wskazała na pakunki. - Zjesz śniadanie, gdzie chcesz. Zrób dzisiaj coś tylko dla siebie.

- Maggie potrzebuje pomocy - zaprotestowała Rebecca.

- Ma mnie. Może pójdziesz obejrzyć duży fort, zanim turyści wygramolą się z łóżek?

- Lubisz stare miejsca, Becks - stwierdziła Maggie.

- Ale więcej turystów zgłodnieje i tu zajrzy, powinnam zostać i pomóc.

- Miałam być tu dziś z tobą. Jestem z Annie. Może wpadniesz na coś, co ci się przyda do książki?

- Jesteś pewna?

- Zrób sobie wolne, Becks. Kiedy po raz ostatni nie musiałaś się o nic ani o nikogo troszczyć?

Rebecca spojrzała na Annie.

- Poradzimy sobie. - Annie podała jej torbę i termos.

- Paddy zajmie się Rowan. No, idź już - nalegała Maggie. - Jedź drogą obok domu Rose, tą samą co do Mairead.

- Pamiętam. - Rebecca, unosząc kąciki ust, wzięła jedzenie i wyszła w poranną mgłę. Opary rozwiały się już nieco, a na horyzoncie rozlewał się świt. Zapakowawszy posiłek do sakw roweru, Rebecca ruszyła w kierunku kościoła.

Wiatr łagodnie rozpraszał mgłę i tworzył małe, białe chmurki, które Rebecca rozjeżdżała. Pusta droga i samotność pomogły jej się uspokoić. Od tak dawna go nie zaznała. Jej życie w Stanach składało się z pracy i zmartwień. Tutaj przybyła odnaleźć spokój. Co jakiś czas w jej myśli wdzierali się Rowan i Sean. Zwalniała wtedy, zastanawiając się, czy nie powinna wrócić, ale potem przypominała sobie, że Rowan jest z Paddym. Był ojcem, miał własną córkę, potrafił zapewnić obu dziewczynkom bezpieczeństwo. Dlatego Rebecca jechała dalej, aż wreszcie zza mgły ukazał się czarny ogrom.

Przed nią roztaczał się widok płaskiej i skalistej wyspy. Wielkie fale uderzały w klify, a setki ptaków unosiły się nad grzywaczami, śpiewając pod irlandzkim niebem. Po lewej stronie, między głazami i trawą, rysowały się trzy koncentryczne półkola z czarnych kamieni. Zbocze opadało ku Rebecce, a wierzchołki skał urywały się tam, gdzie ład opadał stromo ku morzu.

Zsiadła z roweru i poprowadziła go kawałek po asfalcie, a potem oparła o kamienny murek; dalej już nie mogła go ze sobą zabrać. Z termosem i papierową torebką w dłoni podeszła

do pierwszego muru. Dzięki wprawie nabytej na wycieczce z Fionnem przeskoczyła przeszkodę i ruszyła pewnym krokiem po skalistej ziemi. Tu, na krańcu wyspy, wiatr hulał dziko. Ze szczelin wychylały się niepewnie żdźbła traw, drżąc, jak gdyby bały się, że jeśli wyrosną zbyt wysoko, rozpędzone powietrze zerwie je i strąci do morza. Włosy Rebeki targały raz po raz silne podmuchy, tak że biły po policzkach i kłuły w oczy, gdy pokonywała kolejny mur. Fort powiększał się w miarę, jak się zbliżała. Oceniała, że wewnętrzny gzyms, zbudowany z kamieni, miał prawie dwadzieścia stóp wysokości. Zębate bryły niczym ogromne odpryski czarnej skały leżały porzucone pod zewnętrznym murem fortyfikacji. Wymijała je ostrożnie.

Zbliżywszy się do krawędzi klifu, ominęła drugi mur i wspięła się na wewnętrzny gzyms. Serce łomotało jej w piersi niczym fale rozbijające się o skały poniżej. Słyszała tylko ponawiany werbel przyboju. Wodny żywioł dziko atakował wyspę, nasączał powietrze wilgotnymi drobinami soli.

Rebecca stała samotnie, patrząc na morze po południowo-zachodniej stronie wyspy i rozmyślając o Sharon, Johnie i Fionnie siedzących tu pod gwiazdami. To była historia, którą przyjaciółka dzieliła się z nią chyba najczęściej. Rebecca wyobraziła sobie trójkę szepczących i roześmianych nastolatków, otoczonych ciszą, leżących głowa przy głowie i patrzących na Drogę Mleczną. Ale to nie było możliwe, cisza tu nie istniała. Nie mogła więc się tu toczyć szeptana, senna rozmowa na kępach zielonej, irlandzkiej trawy. To miejsce, w którym wyczuwało się twardość, siłę i wieczność, wytrwale stawiało czoła naporowi oceanu, rykiem wzywającego wszystkich, by trwali i żyli. To miejsce nie pozwoliłoby ustąpić nikomu, kto mieszkał u jego skalistych brzegów.

Usiadła na ziemi pośród falujących na wietrze traw, kurczowo uczepionych podłoża, jakby w obawie, że zostaną zwiane.

Słyszała dźwięki, z którymi Sharon obcowała całe życie. Wyjęła bułeczkę z torby. Była tu sam na sam z pradawną czarną fortecą. Poczowała spokój. Nalała sobie herbaty i zjadła śniadanie pośród huku oceanu.

Jodełka

Jodełka. 1. Wzór, w którym oczka zbiegają się pod kątem, niczym na wojskowych epoletach. 2. Chwila, kiedy następuje gwałtowna zmiana kierunku.

R. Dirane, *Sploty miłości*

Sean zdążył chwiejnym krokiem do kościoła. Muszla z wodą święconą, wisząca przy jego drzwiach, była już pusta. Tylko dlatego się tam wybrał. Mgła rzedła, Sean wiedział, że niebieskofioletowe niebo będzie dręczyło go jeszcze jeden dzień. Zdawał sobie sprawę, że jest tam, ponad mgłą, płonąc i jaśniejąc, a wraz z nim wspomnienie roweru Matthew, które zawisło tuż poza zasięgiem wzroku, ale wciąż było obecne.

- Witaj, Morahan.

Sean rozejrzył się, rozmyślając, jak zawędrował aż na skały, na południe od miasteczka. Ujrzał Paddy'ego z wędką i córką u boku.

- Szykujesz dziecko, żeby przejęło schedę po tobie, Blake? Paddy uśmiechnął się i kiwnął głową.

Sean zauważył Rowan bawiącą się w jolce Starego Dirane'a. Biało-niebieska farba odpadała z boków strudzonych całymi dziesięcioleciami wiatrów i dziecięcych zabaw. Była to pierw-

sza łódź, do której wchodziły dzieci na wyspie, kiedy udawały rybaków polujących na ławice w zatoce Galway.

- Mogę prosić cię o przysługę? Dzieciaki napiłyby się herbaty i coś zjadły. Zostaniesz przy nich, gdy ja pójdę po śniadanie?

Sean rozpromienił się. Ile czasu minęło, odkąd łowił ryby z dzieckiem?

- Oczywiście.

- To dobrze. - Paddy podał staremu wędkę.

- Dzień dobry, Rowan - przywitał się Sean, gdy Paddy odszedł.

Rowan nie odpowiedziała, patrzyła tylko na niego z kamienną twarzą i ledwo pomachała mu ręką. Poczul złość, bo nie tego oczekiwał. Miał już powiedzieć, że zabolalo go to. Rzeczywiście, to, co poczul, to nie złość, tylko ból. Przełknął ślinę.

- Wszystko w porządku? - spróbował się dowiedzieć. Skinęła głową i obróciła się do niego plecami.

- Siobhan, zaraz wrócę. Słuchaj pana Morahana i rób, co mówi! - zawołał jeszcze Paddy przez ramię.

-Aye, tato.

- Ty też Rowan.

- Okej. - Rowan nie odwróciła się.

Sean stał nieruchomo, słuchając, jak fale składają delikatne pocałunki na skałach, na których się znajdowali. Daleko z południa, zza mgły zalegającej na toni, dochodził samotny odgłos boi. Sean rzadko tu przychodził, wolał zachód wyspy. Tylko latem pozwalano sobie tu na wyprawy na łodzi wiosłowej, bo o innej porze roku prądy morskie na północy i południu były zbyt silne. Przemierzanie tych rejonów przypominało wiosłowanie przez błoto - bez względu na to jak mocno ciągnęło się wiosła, stało się w miejscu. Sean przyplęwał tu tylko łodzią motorową, bo doki znajdowały się w miasteczku, a ono leżało

na wschodzie. Od czterdziestu lat nie miał takiej łodzi. Bez synów ani żony - rodziny, którą mógłby utrzymywać - i niechętny do pracy z ludźmi, Sean żył samotnie, łowiąc ryby z curra-ghu. Gdy ta myśl przyszła mu do głowy, napiął żyłkę.

Przypomniawszy sobie ostatnie spotkanie z Rowan. Nie zachował się niemiło ani obcesowo. Sądził, że rozstali się w przyjaźni. Wspominał ich rozmowy od chwili, kiedy zobaczył ją w pubie, aż do momentu, gdy odchodził, słysząc dźwięk jej piszczałki. Nagle coś pociągnęło go za rękaw z lewej strony. Rowan patrzyła na niego ze zmarszczonym czołem.

- Czyżbym zrobił coś, co znów zraniło twoje uczucia? - Spytał łagodnie.

- Sean - szepnęła. - Czy udajesz, że jesteś dla mnie miły? Spojrzał jej głęboko w oczy i znalazł w nich... znalazł... Co oznaczało to spojrzenie?

- Ktoś ci powiedział, że tylko udawałem miłego w stosunku do ciebie? Rowan milczała.

- Jak sądzisz, jeśli kogoś nie lubię, to ten ktoś o tym wie? Pokiwała głową.

- No, więc skoro mnie znasz, to czy myślisz, że jeśli kogoś nie lubię, będę mówił inaczej?

Dziewczynka powoli pokręciła głową.

- Widzisz. Ja nie udaję.

- Lubisz mnie więc?

-*Aye*. Jesteś... dobrą przyjaciółką.

Uśmiechnęła się, kiwając głową. W tym momencie jej twarz rozświetliła różowa poświata. Sean spojrzawszy w kierunku horyzontu i ujrzał, jak słońce przebija się przez mgłę. Setki puszystych obłoczków pstrzyły morelowo-różowe niebo. Obraz roweru Matthew zniknął zastąpiony wspomnieniem dnia pierwszego połowu Liama.

- Widzisz tamte chmury? -Aye.

- Wyglądają jak maleńkie owieczki, prawda? Mój tata zwykł mawiać, że kiedy niebo tak wygląda, to znaczy, że Wszechmogący zbiera trzódkę.

To samo powiedział Joemu, Matthew, Liamowi i Brendanowi. Kiedy pomyślał o swoich czterech synach, poczuł, jak w jego sękatą dłoń wsuwają się maleńkie i miękkie paluszki Rowan. Objął je delikatnie i ogromny ból, jaki wezbrał mu w sercu, wycisnął z jego oka samotną łzę, która ściekła mu po policzku.

Sean spojrział w prawo, skąd nadchodziła Siobhan.

- Będziemy łowić ryby?

- Tak sądzę. - Kaszlnął, próbując powstrzymać kolejną łzę, zwisającą niebezpiecznie z kącika prawego oka. Przełknął ślinę, pochylił się i wetknął wędkę w szczeliny między głazami. Potem wziął przyrząd od Siobhan i zrobił z nim to samo. Żyłki zniknęły w różowej wodzie odbijającej na wschodzie światło słońca.

- W porządku. Skoro wędki już mamy zabezpieczone, czas coś zagrać.

- A ryby się nie przestraszą? - spytała Siobhan.

- Patrzcie - powiedział, kucając tak, by jego oczy znalazły się na poziomie oczu dziewczynek. Wyjął fujarkę z rękawa i zaczął grać. Melodia brzmiała różowo i złoto, była jak wschód słońca. Sean wzywał istoty pływające w głębinach, by przybyły obejrzeć blask światła na powierzchni. Oczywiście go usłyszały, jak zawsze, bo nagle obie wędki zaczęły drżeć. Przestał grać, mrugając do towarzyszek i uśmiechając się.

- Rowan, trzymaj tę. - Podał jej wędkę Paddyego. - Siobhan, ty drugą. Ostrożnie wyjmijcie je spomiędzy głazów.

Siobhan wydobyła wędkę ze szczeliny. Sean przytrzymał jej plecy, pomagając zachować równowagę.

- Nie wolno wyciągać ryb zbyt szybko. Trochę popuszczajcie, a potem ciągnijcie. Nie chcemy zerwać żyłki i stracić kolacji, prawda?

- Nie. - Rowan zacisnęła zęby, walcząc z ciężarem miotającej się ryby.

- Siobhan, nawiń trochę - polecił Sean. - Powoli, już, prawie...

Uważaj, Rowan.

Rowan pokręciła kołowrotkiem i nagle z fal poniżej głazu, na którym stała, wyskoczyła makrela.

- Mam rybę! Mam rybę! - zawołała triumfująco.

Sean przyniósł podbierak Paddy'ego i zagarnął zdobycz. Siobhan odchyliła się, wyciągając z wody jeszcze większą makrelę. Ryba uderzyła o skały i zaczęła się szamotać.

- Nie utrzymam jej! - zawołała. - Jest za ciężka. Sean przyskoczył szybko i złapał łup w sieć.

- Masz większą. - Rowan się zaśmiała.

Sean ostrożnie ruszył przez kamienie, wydostając ryby z sieci, usunął haczyki i wrzucił je do wiaderka.

- Twój tata byłby zaskoczony, co? - powiedział do Siobhan z uśmiechem. Zdjął czapkę i wytarł czoło.

- Aye. - Dziewczynka tryskała dumą. - Czy twój tata nauczył cię tej piosenki?

- Nie. - Skierował się do jolki. - To mój syn Joe znał takie melodie. Ja byłem dobrym rybakiem, a on świe... - W gardle utworzyła mu się gęła i zamiast zakończyć zdanie, tylko kaszlnął.

Wsiadł do podniszczonej łódki. Nad sobą miał jasne, czyste niebo.

- Wiecie, czyja to łódź? - zmienił temat. Siobhan i Rowan dołączyły do niego i usiadły na ławeczce naprzeciwko.

- Starego Dirane'a - przypomniała sobie Siobhan.

- A kim on był?

- *Seanchai*.

- A co to znaczy? - spytała Rowan.

- Bajarz, gawędziarz. *Seanchai* to Irlandczycy, którzy przechowują historię, podróżują z miasta do miasta, z wyspy na wyspę, opowiadając dzieciom o wielkich wydarzeniach z przeszłości, żeby nikt o nich nie zapomniał.

- I ta łódź należała do niego? - Rowan przesunęła palcami po burcie.

- *Aye*. Diraneowie słynęli jako znakomici rybacy.

- Tata twierdzi, że kiedy jego tata był chłopcem, nadciągnęła straszna wichura - powiedziała Siobhan. - I że Stary Di-rane wracał wtedy tą łódką z dużej wyspy. Ale zgubił się, nie widział nic przez deszcz i wiatr, nagle łódka podskoczyła i zobaczył, że wylądowała właśnie tu.

- Tak było - potwierdził Sean.

- Sean, ty wtedy już się urodziłeś? - zaciekała się Rowan. - *Aye*. Wtedy właśnie wróciłem z wojny. Od tamtej pory nikt nie ruszył tej łodzi.

- Tata mówi, że wszystkie dzieci na wyspie bawią się w niej, bo je wzywa - oznajmiła Siobhan. - Jest magiczna.

- Magiczna? - Rowan przyglądała się splekanemu dnu łodzi.

- Tu się uczymy ruszać na morze. Ta łódka zdradza nam różne tajemnice. - Siobhan nachyliła się do Rowan, jak gdyby chciała zdradzić jej sekret.

- Niektórzy mówią, że to sam Stary Dirane do was szepcze - dodał Sean.

Rowan spojrzała na starca mahoniowymi oczami, w których malowało się zaskoczenie.

- Panie Morahan, nauczy mnie pan grać tę melodię, co wzywa ryby? - Siobhan chciała wiedzieć.

- *Aye*. Ale sama melodia nie wystarczy. To język irlandzki wzywa ryby. Tego nauczył mnie Joe. Mówisz po irlandzku?

- Oczywiście, że mówi! - zawołała Rowan. - Nie słyszysz?

- Co takiego?

- Ze mówi po irlandzku.

Sean i Siobhan popatrzyli na siebie i się roześmieli. Rowan zmarszczyła brwi.

- Przepraszam, skarbie. Nie mówimy wcale po irlandzku. Dla ciebie mówimy po angielsku z irlandzkim akcentem.

- To istnieje taki język?

- Wiesz co, Siobhan i ja nauczymy cię irlandzkiego, a ja nauczę was obie paru rybackich melodii. Posiedzimy tu sobie i posłuchamy, co Stary Dirane ma do powiedzenia, czekając na śniadanie.

- Okej.

- To jak, Siobhan, od czego zaczniemy naukę?

- Może od oceanu?

- W porządku. Jak nazywamy wodę?

- *Uisce*.

- *Uisce* - powtórzyła Rowan.

- A rybę? - spytał Sean.

- *lase* - odpowiedziała Siobhan.

- *lase*.

Sean słuchał, jak Siobhan poprawia wymowę Rowan. Siedząc tak, patrzył na oczy Rowan, skupiając się na ich barwie. Chociaż wiedział, że niebo jest teraz niebieskofioletowe, widział tylko mahoń.

Gubienie oczka

Gubienie oczka. 1. Ma miejsce, kiedy oczko lub cała grupa oczek zsunie się z drutu i nie zostanie przerobiona. Powinno się od razu je złapać. Jeśli oczko zostanie ominięte, w najlepszym razie spowoduje to małą wadę w robótce. W najgorszym wypadku może się to skończyć spruciem całości. Istnieje jednak później szansa, by to naprawić za pomocą szydełka. 2. Zapamiętana lekcja.

R. Dirane, *Sploty miłości*

W e wczesny sobotni poranek Sheila i jej syn Fionn zapukali do drzwi Rebeki. Otworzyła je przygarbiona i zmęczona. Nie zmrużyła w nocy oka, rozmyślając o czekającej ją rozmowie z Jimem o problemach Mairead. A kiedy nie zastanawiała się nad tym, wyobrażała sobie Rowan na kruchej łódeczce przemierzającej olbrzymi ocean w kierunku innej wyspy. Przez głowę co rusz przemykały jej obrazy przewracającej się łódki, próbującej dopłynąć do odległego brzegu Rowan i napierających sztormowych fal gaszących jej życie. Takie rzeczy działy się na tych wyspach, mówiła o tym sama Sharon.

Ale teraz, kiedy Rebecca otworzyła drzwi, było przejrzyste. Słońce, oderwawszy się od horyzontu, wspinało się na chabrowe niebo. Wzięła głęboki oddech, a słona bryza wypeł-

niła jej płuca, rozwiewając nocne strachy i zachęcając, by stała się równie rześka, co pogoda.

Sheila i Fionn weszli do środka, a Rebecca naszykowała im śniadanie. Dyskutowali o wszystkim, tylko nie o problemach Mairead.

- Poczekamy tu na ciebie - zapewnił ją Fionn po śniadaniu. Stał w drzwiach, pogryzając bekon, gdy Rebecca jechała rowerem po żwirowym podjeździe. Kiedy dotarła do asfaltowej nawierzchni, skręciła w prawo w kierunku miasteczka. Pedalując, wspominała swego ojca. Tato uwielbiał o tym opowiadać, więc kiedy Rebecca, jak co roku, zapraszała Sharon do domu na Dzień Niepodległości, nieodzownie zaczynał snuć tę historię, zawsze jakby robił to po raz pierwszy.

Gdy Rebecca była mała, jej ojciec, strażak, często przebywał poza domem - wiele czasu poświęcał swoim hobby. Do szczególnie ulubionych zaliczał się golf, więc kiedy nie pracował, dużo czasu spędzał na grze. Wszystko to sprawiało, że mama wychowywała Rebecę sama, *de facto* jako samotna matka.

Jej tato, podobnie jak mama, pochodził z rodziny rolniczej. Dziadkowie mieli wielkie sady migdałowe w Turlock, małym miasteczku w Kalifornii. Rebecca jeździła tam z matką z Redding. Do jej najszcześniejszych wspomnień z dzieciństwa należało bieganie przez sady wiosną, kiedy z drzew leciały miliony białych płatków.

Ale tak często przyjeżdżały same, że dziadek zaczął się niepokoić. Farmerzy przywiązywali się do ziemi i rodziny. Starszy pan Moray wiedział, że żywe istoty - takie jak dzieci - potrzebują do odpowiedniego rozwoju czasu i uwagi. Uczył tego syna, ale ten postępował inaczej.

Pewnego więc dnia dziadkowie Rebeki przyjechali do Redding i zabrali jej matkę na wycieczkę do Calistoga, zostawiając niespełna trzyletnią Rebecę pod opieką ojca. Ten musiał

z kolei wymyślić, jak pogodzić obowiązki ojcowskie z golfem. Chociaż bardzo się wzbraniał, rodzice odjechali z jego żoną, a do tego zamiast wrócić wieczorem, nie pojawiali się przez trzy tygodnie. Lekcja była trudna, zwłaszcza rozwiązanie problemu, co robić z trzylatką, gdy trzeba iść do pracy. Ale ojciec Rebeki zawsze powtarzał, że podczas nieobecności żony nareszcie dowiedział się, co to znaczy doceniać życie. Dopiero wtedy bowiem zwolnił tempo i mógł zwrócić uwagę na małe rzeczy, które zauważają dzieci. To tamte trzy tygodnie sprawiły, że stał się mężczyzną.

Rebecca zatrzymała się przed samym miasteczkiem. Jak to się stało, że ona, oczko w głowie ojca, zakochała się w kimś, kto miał o niej tak złe zdanie? Często zadawała sobie to pytanie, ale jak zwykle nie znalazła odpowiedzi. Na początku Dennis chętnie niósł pomoc i był radosny, dzielił się sorbetem, deską surfingową, życiem. Z czasem jednak zaczął się zmieniać. Lubił podkreślać, że wywodzi się z rodziny bankierów, prawników i przedsiębiorców, podczas gdy jej krewni to tylko rolnicy i strażacy. Uważał się za lepszego od Rebeki, a ponieważ wciąż to powtarzał, sama zaczęła w to wierzyć. Aby dostosować się do oczekiwań Dennisa, zaczęła się zmieniać - to, kim była, jak się ubierała, co myślała. Pracowała nad sobą ciężko, z nieustającą nadzieją, że odpłaci jej taką samą miłością, ale z każdą kolejną transformacją ten mężczyzna, który dawno, dawno temu zatrzymał się, żeby naprawić jej samochód, cenił ją coraz mniej, traktował coraz gorzej. A im bardziej Rebecca się zmieniała, tym mniej uważała się za oczko w głowie ojca, aż prawie całkiem zapomniała, kim niegdyś była.

Nad jej głową przemknął cień. Podniosła wzrok i ujrzała ptaszka lądującego na murku po prawej stronie. Wyglądał identycznie jak ten z krzaku jeżyny obok domku. Przekrzywił główkę i mrugnął paciorkowatym oczkiem.

- Czy ty wiesz, dlaczego związałam się z kimś takim? - spytała.

Ptaszek nastroszył się, znów przekrzywił główkę i zaczął sobie czyścić piórka. Rozejrzawszy się, Rebecca odkryła, że zatrzymała się tuż przy drodze wiodącej do domu Seana Mo-rahana.

- Ja też nie - szepnęła. Nacisnęła pedały i ruszyła. Ptaszek przestraszył się i odleciał. Niebawem skręciła z gładkiej drogi i ruszyła po wzniesieniu w kierunku domu Mairead. Na szczycie spotkała Ciarę. Dziewczynka stała obok jedyne go samochodu na wyspie.

- Maggie! - zawołała Ciara. - Już przyszła!

Rebecca zeskoczyła z roweru w chmurę pyłu, która snuła się za nią po drodze jak podmuch podążający za pociągiem. Maggie wystawiła głowę zza drzwi.

- Gotowa? - spytała Maggie.

- Chyba tak. Gdzie Jim? - Rebecca oparła rower o ścianę.

- Z pszczołami. Gdzieżby indziej?

- Świetnie. Lepiej już idźcie. - *Aye*. Mairead, pora na nas.

Mairead wytoczyła się z domu i pocałowała córkę w czubek głowy.

- Ciaro, pomagaj tacie. I siostrze też powiedz.

- Poradzą sobie - pokrzepiła ją Maggie. - To tylko jeden dzień.

Maggie pomogła Mairead wsiąść do samochodu. Obchodząc pojazd, wesoło wyszczerzyła zęby do Rebeki. Z jej gardła dobywał się cichy chichot.

- Chciałabym zostać i się przyglądać - szepnęła, a potem zaśmiała się diabolicznie.

Rebecca pokiwała głową i zamknęła drzwi od strony kierowcy.

Maggie wychyliła się z okna.

- Niech to nie trwa za długo. Trzeba ruszyć, zanim przyplływ się zmieni. Trudno wyprowadzić łodzie na wodę, kiedy morze cofa się z plaży O'Tlahertych.

- Zdażę.

Maggie uśmiechnęła się i uruchomiła silnik. Powoli, spokojnie zaczęła cofać samochód po podjeździe. Ciara i matka machały do siebie, aż samochód zniknął za wzgórzem. Rebecca zaczerpnęła głęboko powietrza, a potem szybko je wypuściła i spojrzała na dziewczynkę.

- Mogę popatrzeć, jak pomagasz tacie? - spytała Ciara. Z wnętrza domu dobiegł jęk.

- Jasne - odpowiedziała Rebecca i weszła do środka. Kiedy przekroczyła próg, Tadhg krzyknął. Stał przy telewizorze w pieluszcze i górze od pizamki.

- Najlepiej będzie, jak popilnujesz Tadhga, aż tata wróci. Takich małych dzieci nie można zostawiać samych.

Ciara zrobiła rozczarowaną minę, ale skinęła głową.

-Ale nie musimy budzić twojej siostry. Tata zaraz przyjdzie zrobić wam śniadanie - zapewniła ją Rebecca i wyszła z powrotem na zewnątrz. Pokonała kamienny murek i ruszyła w kierunku szopy. Usłyszała dobiegające z przybudówki brzękanie szkła. Kiedy się zbliżała, Jim wyszedł z plastrem miodu w ręce.

- Rebecca? - zdziwił się.

- Świetne wyczucie czasu! - zawołała z uśmiechem równie wesołym jak ten Maggie. - Tadhg już wstał i chyba chce jeść.

- O czym ty mówisz? - Jim przekrzywił głowę, patrząc w kierunku domu. - Gdzie jest Mairead?

- Pojechała zobaczyć się z matką.

- Jak to pojechała? Nic mi nie mówiła.

- Jesteś pewien?

-Tak!

- Jesteś pewien, że nie powiedziała ci nic, kiedy byłeś zajęty pasieką? Jim zawahał się, patrząc z niepokojem na Rebeccę.

- Hmm...

- Tak? - Rebecca znów się uśmiechnęła.

- Kto w takim razie pilnuje dzieci?

- Wygląda na to, że ty. - Rebecca odwróciła się i zaczęła odchodzić. Obracała w głowie definicję istoty ojcostwa, autorstwa jej dziadka, niczym kulkę w automacie do gry. Tylko czekała na słowa, które sprawią, że rozbrzysną światła i rozlegną się fanfary. Miała nadzieję, że Jim je wypowie.

- Nie mogę dziś siedzieć przy dzieciach! Mam robotę... No i proszę! Świetnie! Rebecca zachichotała pod nosem, a potem opanowała grymas, obróciła się i spojrzała na Jima.

- Ojciec nie będzie siedzieć przy własnych dzieciach? Jim wybałuszył oczy.

- Jim, masz gorączkę złota, które znajduje się w tych słoikach w szopie.

- O czym ty mówisz?

- Mówię o Ciarze, Mearze, Kieranie, Lukę'u, Jimie juniorze, Katy i Tadhgu. Mówię o tym, że zrzuciłeś na Mairead wszystkie obowiązki domowe i gospodarskie. Czy jesteś w stanie spojrzeć na żonę z taką samą troską jak na te złote słoiki? Ty pracujesz jak pszczołka, a Mairead musi być zarazem mamą i tatą dla waszych dzieci. Ona jest bliska załamania. Obarczanie takiej osoby wszelkimi możliwymi obowiązkami to najgorsze, co może być. Ja jestem tu nowa i to widzę. Ojciec Michael to widzi. Cała wyspa to widzi.

Rebecca przerwała na chwilę, żeby się przekonać, czy Jim ma coś do powiedzenia. Nie miał. Stał tylko, potrząsając głową

i mając jakieś słowa, które nie mogły opuścić jego ust. To normalna reakcja, której Rebecca się spodziewała.

- Mairead pojechała do domu odwiedzić matkę - ciągnęła. - Pora, żebyś teraz ty był tatą i mamą. Musisz znaleźć w swoim pszczelim grafiku miejsce na ojcostwo. Jeśli potrzebujesz pomocy, możesz o nią poprosić. Większość kobiet to robi. Podnieś słuchawkę. Prawie każdy w miasteczku może ci pomóc.

Z tymi słowami Rebecca podeszła do murku i z łatwością przezeń przeskoczyła. Kiedy wsiadła na rower, Tadhg znów krzyknął, jak gdyby stawiając wykrzyknik na końcu tej rozmowy.

Śmiejąc się do siebie, ruszyła po podjeździe, machając, ale nie odwracając głowy. Zmierzając na północ, odkryła, że ulica wypełniła się rowerami zmierzającymi w drugą stronę, do dużego fortu. Pierwszy tego dnia prom musiał już przycumować. Przejechała przez miasteczko, uważając, żeby nie wpaść na turystów spacerujących opodal wypożyczalni Hernona i pubu. Opuściwszy miasteczko, już rzadziej spotykała ludzi. Niebawem skręciła w lewo do domu. Fionn i jego matka stali pod drzwiami.

- Rowan, czas na nas! - zawołał Fionn do środka.

Trop wybiegł z sypialni, machając ogonem. Za nim szła córka Rebeki.

- Zjadłaś śniadanie? - spytała Rebecca, przekazując rower Sheili.

- *Aye*.

- Chodźmy - ponaglił Fionn. - Tata pomógł Mairead zejść po schodach na plażę, gdzie mamy curragh. - Wziął Rowan za rękę. - Na razie, mamo. Trop, zostań.

Pies pochylił głowę, chowając ogon między nogi, i usiadł. Jego smutne, wilgotne oczy patrzyły na Rebecę, jak gdyby błagając, żeby unieważniła polecenie mężczyzny. Rebecca wzruszyła bezradnie ramionami i poszła za Fionnem i Rowan. Prze-

szli dwa murki i trzy pola, aż dotarli do skalnego występu na północno-zachodnim krańcu wyspy.

- Twoja rodzina stąd wyprawiała się na ryby?

-*Aye*. I przez całe pokolenia przenosiła połów aż do twojego domu. Uważaj na stopnie. Są mokre i śliskie. - Podniósł Rowan.

Trzymając się prawą dłonią skalnej ściany, Rebecca ruszyła po schodach. Nie były to zresztą schody, tylko płytkie, nieregularne nacięcia w kamieniu. Pośliznęła się dwa razy, a kiedy już Fionn bezpiecznie postawił jej dziecko na piasku, wyciągnął ręce, żeby pomóc jej pokonać ostatni stopień wznoszący się trzy stopy nad powierzchnią plaży.

- Wnosili ryby stąd? - Rebecca obróciła się i spojrzała w górę z podziwem.

- Nie tylko ryby, ale także wodorosty i piasek na głębę. - Witaj, Rowan Moray z pubu O'Flahertyego! - zawołał

Fionn senior.

Rowan roześmiała się i pobiegła po małej plaży w kierunku curraghu, przy którym stał starszy pan. Łódź była czarna, a woda szara. Mairead siedziała już w środku, kuląc się z zimna.

- Wsiadaj. - Fionn senior przeniósł Rowan na łódź. Rebecca przeszła po piasku w jego kierunku.

- Zakładaj kapok! - zawołała do córki.

- Nie ma kapoka - odparł za nią Fionn. Rebecca przystanąła.

- Co to znaczy, że nie ma kapoka?

- Nie potrzeba. Pogoda jest dobra.

- Nie możemy wyprawiać się na otwarty ocean bez kapoków - powiedziała ostro Rebecca.

- Miałaś na sobie kapok, kiedy płynęłaś tu promem?

- No nie, ale...

- To taki mniejszy prom.

- Co się dzieje? - spytał Fionn senior, podchodząc.

- Becky myśli, że powinniśmy mieć kapoki.

- Pogoda jest dobra - stwierdził Fionn senior.

- A co będzie, jeśli fala uderzy z boku? Co będzie, jeśli...

- Patrz, Rowan się nie boi. - Fionn senior wskazał córkę Rebeki, która stała w curraghu i patrzyła w ich stronę. - Na tej wyspie nie ma żadnych „jeśli” - ciągnął cicho, biorąc Rebecę za łokieć i prowadząc w kierunku łodzi. - Gdybyśmy żyli tym, co mogłoby być, mój pradziadek i nikt z tamtych pokoleń by tu nie przetrwał. To tylko skała. Jak na skale uprawiać rośliny i się zadomowić? Ale udało się. Nauczyliśmy się morza. Przemierzamy te wody od lat. Fionn, ja, mój ojciec i jego ojciec. Dzisiaj po prostu odprowadzamy Mairead do domu.

Łomot krwi w uszach sprawił, że Rebecca nie słyszała już szumu przyboju. Koszmary, które nękały ją w nocy, teraz wróciły.

- Wsiadamy. - Irlandczyk pomógł Rebecce przekroczyć burzę.

- Zajęłam ci miejsce z przodu. - Mairead poklepała ławeczkę naprzeciwko siebie.

- Nie mam kapoka. - Rowan usiadła obok Rebeki.

- Nie potrzeba - uspokoiła ją Mairead. - Zaraz będziemy na drugim brzegu.

Łódź zatrzęsała się i plusnęła, gdy Fionn razem z ojcem zepchnęli curragh w wodę. Rebecca krzyknęła i złapała się burty.

- Zmoczyło nas. - Mała się zaśmiała. - Jak wtedy w parku, na zjeżdżalni wodnej...

Ale to nie zjeżdżalnia. Serce Rebeki biło jak oszalałe. Musiała wysiąść. Musiała postawić Rowan z powrotem na suchym lądzie. Wstała akurat w chwili, gdy Fionn wyszedł z wody i usiadł naprzeciwko ze spodniami mokrymi po kolana.

- Siedź, Becky - nakazał.

Obejrzała się przez ramię i ujrzała, jak fala zbliża się do dziobu.

- Spokojnie, Becky - poleciła Mairead.

Fionn wziął dwa wiosła i spuścił je w wodę. Fala chlusnęła o dziób. Mairead trzymała Rebeccę za rękę, usadzając ją w miejscu.

- W porządku, mamó?

Rebecca przycisnęła podbródek do piersi. Kasztanowe kosmyki włosów włożyły jej do oczu.

- W porządku - powiedziała przez zęby, ściskając dłoń Mairead.

Ocean bił w burty łódki. Rebecca nie była w stanie oddychać przez ściśnięte gardło. Skupiła się na odgłosie wiosła; szum fal uderzających o plażę przycichł. Fionn śpiewał. Rebecca spojrzała na niego przez zasłonę włosów i strachu. Zobaczyła, jak jego spokojne czarne oczy zbliżają się do niej i oddalają, kiedy robił zamachy.

Przestał nucić, pewnie patrząc na Rebeccę. Ujął wiosła lewą ręką, a prawą odgarnął jej kosmyki z czoła.

- Śpiewaj jeszcze - poprosiła Rowan, wyciągając piszczałkę z rękawa.

Spełnił prośbę. Rebecca patrzyła mu w oczy i słuchała jego głosu. Jej serce i umysł uspokajały się powoli, aż wreszcie tylko plusk wiosła dotrzymywał rytmu piosence. Niebawem Rowan śpiewała razem z nim, a kiedy umilkli, zaklaskała.

- Jak się nazywa ta piosenka?

- *My Lagan Love** - odpowiedział Fionn, wciąż patrząc na jej matkę.

* Ludowa pieśń irlandzka z XV wieku; Lagan to nazwa rzeki w Belfaście (przyp. tłum.).

Rowan przytknęła piszczałkę do ust i zaczęła grać od nowa.

Rebecca spojrzała na zachód. Ruch wiosła sprawiał, że curragh przyspieszał i zwalniał, ale mimo to płynął gładko. Słyszała tylko piszczałkę Rowan, wiosła i wiatr. Nie było tu samochodów, samolotów, żadnych tych drażniących dźwięków - tylko pięcioro ludzi unoszących się na powierzchni nieskończonego morza. Za Fionnem Rebecca widziała wyspę wznoszącą się na horyzoncie niczym zielono-brązowy wschód słońca.

- Becky, jesteśmy prawie na miejscu - zakomunikował Fionn.

Wkrótce zbliżyli się do brzegu. Fionn pociągnął za prawe wiosło, zwalniając i razem z ojcem kierując łódź lekko na wschód. Jakaś fala poderwała curragh, sprawiając, że serce podskoczyło Rebecce do gardła. Instynkt kazał jej złapać Rowan za rękę. Łódź pędziła ku brzegowi i w chwili kiedy fala załamała się, Fionn wyskoczył z curraghu i wciągnął go na plażę. Rebecca odwróciła się i zobaczyła, że senior pcha łódź od tyłu.

Fionn trzymał curragh, a jego ojciec przeniósł Mairead nad falami na brzeg. Wciągnęli łódź na piasek. Rowan wyskoczyła i pobiegła brzegiem.

- Rowan, zaczekaj! - zawołała Rebecca, wychodząc z curraghu.

Mairead i Rebecca ruszyły za dzieckiem po plaży. Dotarwszy do grzbietu wydmy, dziewczynka się zatrzymała. Kiedy Rebecca do niej dołączyła, zobaczyła wąską asfaltową dróżkę i jednopiętrowy biały dom otoczony kamiennym murem. Budynek był dłuższy niż ten, w którym mieszkały, a przy drzwiach miał ogródek ziołowy.

- Do zobaczenia później - powiedział Fionn senior, stając z synem na drodze.

- Nie wchodźcie? - zdziwiła się Rebecca.

- Zobaczymy, jak sobie radzi Iollan. Ten chłopak zawsze miał kłopot z łodzią.

Rebecca przeszła przez drogę i podążyła za Mairead i Rowan przez małą czerwoną furtkę. Z komina, wystającego nad strzechę, unosił się dym. Czerwone drzwi otwarto na oścież.

- Mamo! - zawołała Mairead.

- Tu jestem! - odkrzyknęła z kuchni jej matka.

- Przywiozłam Becky, przyjaciółkę Sharon ze Stanów, i jej córkę Rowan.

Odwracając się od kuchenki, matka wzięła Mairead w ramiona. Była to chuda kobieta ze srebrzystymi włosami ujętymi w kok. Miała na sobie dzinsy i granatową dzierganą bluzkę. Ten kolor, odbijając się w jej oczach, nadawał im barwę lazuru.

- Aha, przyjechałaś obejrzeć ganseje. -Tak!

- Rebecco, to jest moja matka, Ina.

- Bardzo mi miło.

- Chodźcie, siadajcie. Zaraz podam herbatę.

Rebecca rozgościła się przy stole obok kominka. Rowan uklękła przy ogniu, zaglądając do torby z wełną obok wrzeciona.

- Nie dotykaj - rzuciła Rebecca. Rowan znieruchomiała i spojrzała na matkę.

- Może mi pomóc - oznajmiła Ina, stawiając herbatę na stole. - Umiesz prząść?

- Razem z Siobhan uczymy się od jej mamy.

- No to sobie poćwicz - zaproponowała. Rowan podniosła wrzeciono i wełnę.

- To Mairead zrobiła dla ciebie ten gansej *seanchai* - powiedziała Ina. Rebecca uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

- Był piękny. - Starła się opanować oddech. Nie chciała mówić, że w ten mały magiczny sweter ubrała Rowan podczas pierwszego pobytu córki u Dennisa.

- Każde dziecko urodzone na wyspie dostaje taki. Moja teściowa nauczyła mnie, jak je robić, a ja przekazałam tę wiedzę Mairead. A ty uczysz Rowan robić na drutach? - Ina rozlała mleko do trzech filiżanek.

- Nie... Jeszcze nie.

- Dobrze, żeby opanowała to teraz, skoro tu trafiła. - Ina podała herbatę.

Mairead usiadła przy stole i podsunęła Rebecce cukiernicę.

- Mamo, jeśli pracujesz teraz nad jakimś gansejem, może Becky mogłaby go obejrzeć?

Ina skinęła głową, podnosząc filiżankę do ust i patrząc na Rebeccę lazurowymi oczami.

- Rzeczywiście pracuję, i to nad dwoma. Dla dzieci. - Przechyliła się i poklepała córkę po brzuchu.

Rebecca łyknęła herbaty. Płyn parzył.

- Myślę, że skoro Becky widziała już gansej *seanchai*, to ten jej nie zainteresuje - zauważyła Ina.

Rebecca nie odpowiedziała. Krew zbyt głośno łomotała jej w uszach. Bała się, że jeśli otworzy usta, będzie chciała go przekrzyczeć.

- Becky, wiedziałaś, że niektórzy twierdzą, że ganseje robili mężczyźni?

- Mężczyźni? - szepnęła Rebecca, próbując zapanować nad głosem.

- Kiedy rządili tu Anglicy, podobno kobiety przędły wełnę, a mężczyźni robili ganseje. Była to zakodowana informacja, którą przekazywali sobie bez słów, idąc obok siebie albo

potrzęsając dłońmi, spotykając się po mszy albo pijąc piwo w pubie.

- Nie wiedziałam o tym - zafrapowała się Rebecca. - Znasz jakiegoś mężczyznę, który robi je teraz?

Ina potrząsnęła głową. Popijając herbatę, spojrzała na Rowan.

- Niektórzy mówią, że tak powstały wzory. W ten sposób przekazywano informacje, kiedy nie można było mówić otwarcie. Posługujemy się słowem mówionym. Wyobraź sobie życie w świecie przewróconym do góry nogami, w świecie, gdzie nie można mówić własnym językiem, nie można opowiadać dzieciom o tym, co się ceni, o legendach, mitach. Taki był nasz świat przez setki lat. Więzienie zbudowane z milczenia. Poradziliśmy sobie z tym, jak niektórzy mówią, właśnie dzięki wzorom na gansejach. Za ich pośrednictwem planowaliśmy wolność. Ojciec tworzył dla synów przyszłość.

- To piękna legenda - skomentowała Rebecca. Ina się uśmiechnęła.

- Jest wiele historii o tym, jak powstały ściegi. Słyszałaś pewnie tę o ciałach wyrzuconych na brzeg?

- Tak, opowiadała mi ją w college'u Sharon.

- A teraz poznałaś drugą, o mężczyznach kodujących informacje. Jest jeszcze jedna. O błędach.

- O błędach - powtórzyła Rebecca, żałując, że nie wzięła notatnika ani kamery. Tak się martwiła wyprawą na łodzi, że nawet nie pomyślała o przygotowaniu się do rozmowy. Tak działał na nią stres. Zapominała o najważniejszych rzeczach, a potem miała do siebie pretensje.

- Niektórzy mówią, że wzory wzięły się z błędów podczas robienia na drutach. Są więc tak naprawdę tylko pomyłkami.

- To nie bardzo... to znaczy, to nieprawda, tak?

Ina się roześmiała.

- Nikt naprawdę nie wie, gdzie leży prawda. Ta hipoteza na pewno nie jest tak romantyczna jak inne, ale może dlatego prawdziwa.

Rebecca zamyśliła się przez chwilę, a potem zachichotała.

- Wyobrażacie sobie, że dostaję ten grant, a potem piszę coś takiego? Te swetry są świetne, ale to po prostu jedna wielka pomyłka!

Wszystkie się roześmiały, a najgłośniej Rebecca. - *Aye*. Niezbyt dobra książka. Ale to daje do myślenia - skomentowała Ina.

Ton jej głosu zwrócił uwagę Rebeki.

- Co daje do myślenia?

- Ze coś, co jest naprawdę piękne, może powstać z błędu. Szeroko otwartymi oczami Rebecca spojrzała w lazurowe źrenice Iny. Starsza kobieta uśmiechnęła się do niej, a potem spojrzała na Rowan.

Zygzak z bąbelkiem i ściągaczem

Zygzak z bąbelkiem i ściągaczem w środku. 1. Pojedynczy zygzak składający się na przemian z bąbelków i ściągacza. 2. Wspomnienie ukochanej osoby.

R. Dirane, *Sploty miłości*

Gdy Rebecca zbierała ze stołu Iny pozostałe po lunchu kanapki i filiżanki, w drzwiach stanęli Fionn, jego ojciec oraz mężczyzna w wieku Eomana o kasztanowych włosach i orzechowych oczach.

- Mamo?
- Poznałaś już mojego syna, Iollana? - spytała Ina.
- Cześć, Iollan. - Rebecca się uśmiechnęła.
- Rowan, jesteś gotowa zapolować na kolację? - spytał Fionn.
- Taaak! - Rowan natychmiast upuściła wrzeciono i wędnę.
- Co ty wyprawiasz? - zatroskała się Rebecca.
- Skoro już wszyscy tu jesteśmy - zaczął Fionn senior - pomyśleliśmy, że Rowan spodobałoby się łowienie z curraghu. Nie ma bezpieczniejszego miejsca do łowienia niż curragh u brzegu w pogodny dzień, z trzema rybakami w środku.
- Rzeczywiście, przydałoby się coś na kolację - zgodziła się Ina.

Rebecca spojrzała na Fionna, gdy ten szedł ku niej przez pokój.

- Będziemy wyjątkowo ostrożni - obiecał, krzepiąco ścisnąwszy ją za ramię. - Mój tata, ja i Iollan. Nie ma żadnego „a co, jeśli”.

- Żadnego „a co, jeśli” - powtórzyła Rebecca, chociaż łatwiej przyszło jej wypowiedzieć te słowa, niż w nie uwierzyć.

- Świetnie - skwitował Fionn. - Rowan, chodź.

Rebecca i Mairead poszły z mężczyznami i Rowan na plażę. Mała usiadła sama w curraghu, a Iollan i obaj Fionnowie zepchnęli łódź na fale. Potem jednocześnie wskoczyli do środka, Fionn i Iollan chwycili za wiosła, a senior usiadł koło Rowan.

- Będzie się świetnie bawiła - zapewniła koleżankę Mairead. - Woda jest dziś bardzo spokojna.

- Sharon mówiła, że pogoda potrafi się tu szybko zmienić - odparła Rebecca, patrząc, jak łódź podskakuje na falach.

- Aye. Kto jak kto, ale Sean się na tym zna. Jeszcze nigdy się nie pomylił.

- Sean? - Rebecca odwróciła się do Mairead.

- Ojciec Fionna potwierdził rano pogodę u Paddy'ego. Sean zawsze mówi Paddy'emu, jeśli pogoda ma się zmienić.

- Aha. Ale skoro on nigdy się nie myli co do pogody, to jak to się stało, że stracił synów?

Mairead spojrzała na Rebecce, przechylając głowę i marszcząc brwi, jak gdyby nasłuchiwała czegoś z oddali.

- Przepraszam, nie chciałam cię zdenerwować...

- Nie w tym rzecz. Chodzi o to, że kiedy myślę o tamtej nocy, zawsze przypomina mi się Claire. Była siostrą mojej babki.

- Och!

- Sharon opowiadała ci o ciałach wyrzucanych na brzeg, które można było rozpoznać tylko po gansejach?

- Tak.

- Z tego, co mi wiadomo, wydarzyło się to tylko raz. A wiem, bo przecież jestem Dirane.

- Tak. Shana...

- *Seanchai*. Ciało Matthew wyrzucone na brzeg. Ranek tego dnia, kiedy wyruszyli, był pogodny tak samo jak dzień i dwa wcześniej. Joe, drugi syn Seana, pomyślmy, miał wtedy jakieś dwadzieścia siedem lat, mówił wszystkim rodzinom, że nadchodzi sztorm. Powtarzał to od ośmiu dni, bo paszkot śpiewał, chociaż nie wiało.

- Paszkot?

- Taki ptaszek, który śpiewa podczas burzy.

- O! Zdaje się, że ma gniazdo przy naszej sypialni! - ucieszyła się Rebecca.

- Te ptaki przynoszą szczęście. No więc Joe mówił, że idzie sztorm, a Seana zawsze bolą wtedy plecy. Gdzieś pośrodku utkwiał mu odłamek szrapnela, pamiątka po nazistach z czasów wojny. Tydzień przed tym wypadkiem szrapnel przemieścił się, kiedy Sean rozwieszał sieci, tak stwierdził doktor. Kazał mu leżeć do czasu, kiedy będzie mógł popłynąć na ląd i zrobić rentgen, żeby sprawdzić, jak blisko kręgosłupa jest ten odłamek. Potem popsuł się silnik i w dniu sztormu łódź wciąż nie była sprawna, więc jego synowie nie wypłynęli przed świtem z resztą floty. Wszyscy inni złowili ryby, sprzedali i wrócili, zanim łódź Morahanów została naprawiona. Niebo było czyste i chłopcy Seana w końcu wypłynęli, gdy nagle wszystko się zmieniło, z południa nadeszła wielka wichura. Bardzo dziwne. Wiało tak, jakby chciało zwiać wyspę. I chłopcy znaleźli się w samym środku. Tylko ciało Matthew, najstarszego, wyrzuciło na brzeg, na piasek w pobliżu twojego domu.

- Tam, skąd dziś wyruszyliśmy?

-*Aye*. Nie mogli zidentyfikować ciała, więc Padrig Blake, ojciec Paddyego, słyszałaś o nim? - Rebecca przytaknęła. - No

więc Padrig ściągnął sweter z ciała i przyniósł do domu Seana. Kiedy Mary, żona Matthew, go zobaczyła, doznała takiego wstrząsu, że zaczęła rodzić.

- Była w ciąży?

- W szóstym miesiącu. Urodziła w domu Seana, ale przedwcześnie.

- Dziecko nie umarło? - wyszeptała Rebecca.

- Umarło. Dziewczynka. Nazwali ją Claire. Mary zaczęła krwawić, a nie mogli jej zabrać do szpitala z powodu sztormu.

- Och! Ona chyba nie umarła? - Rebecca pokręciła głową, niepewna, czy chce słuchać dalej.

- Umarła.

Mairead zamilkła na chwilę.

-To było straszne - podjęła. - To wydarzenie odcisnęło piętno na wszystkich. Starsi ludzie po dziś dzień milczą, kiedy się o tym wspomina. Niedługo potem siostra mojej babki, Claire, wyjechała.

- Rose i Liz wspominały o tym. Mówiły, że nie wiedzą, dlaczego to zrobiła.

Mairead znów zamilkła, wpatrując się w ocean. Rebecca podążyła za jej spojrzeniem. Curragh zniknął.

- Gdzie oni się podziali? - zapytała tak spokojnie, jak gdyby stała w kościele.

- Znając mojego brata, popłynęli na zachód. Mówił, że widział tam łososie. Jadłaś kiedyś łososia z deski?

Rebecca pokręciła głową.

- Ach! - Mairead uśmiechnęła się szeroko. - Chodź. Moja babka nie pochodziła stąd i nawykła do dębiny. Brat zawsze pilnuje, żeby nam jej nie brakowało. Ma łódź ojca. Starą, ale da się na niej zarobić.

- Łowi dębiny? - zapytała zdezorientowana Rebecca, wspinając się po wydymie do domu Iny.

To bardzo rozweseliło Mairead.

- Nie, łososie! Dębinę wozi z Galway. Ale jeśli widział łososie, to na pewno przyniesie je do domu.

Wciąż zdezorientowana Rebecca dała się prowadzić Mairead. Przeszły na tyły i w szopie znalazły stos drewnianych desek. Mairead wyciągnęła cztery. Wracając z drewnem wzdłuż wschodniej ściany domu, Rebecca znalazła dziurę w ziemi, a obok niej drwa na opał. Pod domem stało duże wiadro. Napelniły je wodą z kranu przy drzwiach wejściowych. Ina dołączyła do nich na zewnątrz i wrzuciła deski do wiadra, a Rebecca zabrała się do rozpalania ognia.

Słońce sunęło na zachód, podczas gdy ogień rósł w siłę. Na wydmie pojawiła się Rowan z okrzykiem triumfu, a za nią Fionn, jego ojciec i Iollan niosący wypatroszone łososie. Iollan owinął jedną rybę w papier i dał ją matce na przechowanie. Pozostałe dwie sztuki sprawił, robiąc cztery filety, a potem ułożył cztery namoknięte deski na węglach.

Fionn i Rebecca pilnowali ognia, a Iollan, Fionn senior i Rowan wrócili do curraghu wyciągnąć sieci rybaka. Gdy skończyli, deski dymiły już i trzaskały. Iollan obrócił je osmaloną stroną do góry, na każdej ułożył filet skórą do dołu, posypał solą, a potem przykrył dziurę dużym aluminiowym rondlem.

Ina zagotowała wodę w czajniku i zaparzyła herbatę, a Iollan nalał cztery piwa - po jednym dla każdego rybaka oraz Rebeki. Ina i Mairead przygotowywały w domu ziemniaki i jarmuż, a pozostali pilnowali ognia na zewnątrz. Rowan kilkakrotnie zagrała *My Lagan Love*, a Rebecca rozgrzana piwem, ogniem i muzyką patrzyła na Fionna, który śmiał się, gdy jego ojciec próbował wtórować dziewczynce. Ale ton jej piszczałki był za wysoki dla jego głosu. W ciemnych oczach Fionna odbijał się żar i Rebecca pomyślała, że są jak letnie, nocne niebo - łagodne i czarne. Odwzajemnił spojrzenie. Szybko spuściła

wzrok, uśmiechnęła się do Rowan, która siedziała przy ogniu i ziewała.

Minęło czterdzieści pięć minut, nim łososie się dopiekły. Iol-ian w końcu wyciągnął je z ognia i zaniósł do domu. Dębowe deski wciąż dymiły i trzaskały. Wszyscy podążyli za Iollanem i siedli do posiłku przy stole Iny. Zbrązowiała ryba pachniała dymem. Gdy Rebecca włożyła kawałek do ust, łagodnie słony smak rozpląnął się w jej ustach. Był to, jak nie omieszkała wszystkim oznajmić, najlepszy łosoś, jakiego kiedykolwiek jadła.

Niebo przybrało barwę purpury, kiedy Fionn i jego ojciec odbijali od brzegu. Rebecca obejrzała się i pomachała Inie oraz Iollanowi na pożegnanie. Gdy łódź kierowała się na południe, Rowan zwinęła się obok matki i zasnęła. Rebecca patrzyła na wschód i na zachód, ale nie na południe, ponieważ Fionn siedział tuż naprzeciwko niej i wiosłował.

- Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o Seanie? - powiedziała cicho Mairead.

-Tak.

- Słyszałam, że polubił Rowan.

- Doprawdy? - Rebecca spojrzała na córkę.

- Paddy mówił, że się zmienił. Nawet Siobhan twierdzi, że zrobił się dużo miłszy.

-Cóż... ostrzegałam Rowan, żeby trzymała się od niego z daleka. Jest w nim coś nieprzyjemnego i doświadczyła tego pierwszego dnia po przyjeździe. To tylko kwestia czasu, zanim to się powtórzy.

Rebecca spojrzała na Fionna skapanego w purpurowym świetle. Ciągnął wiosła ze wzrokiem utkwionym w dnie łodzi. Wokoło słychać było tylko, jak uderzają o wodę, oraz szum oceanu. - Żeby zrozumieć, dlaczego Claire odeszła, trzeba najpierw zrozumieć, dlaczego w ogóle została - podjęła Mairead.

- Wiem dlaczego - rzuciła Rebecca zimno.

- Naprawdę? Dlaczego?

Rebecca spojrzała na zachód, zaciskając zęby i myśląc o malinowym sorbecie oraz zielonej dzierganej sukience, ale nie wydusiła z siebie ani słowa.

- Matthew, Joe, Liam i Brendan - kontynuowała Mairead. - Różnica wieku między Joe a Liamem wynosiła osiem lat. Z tego sześć przypadło na wojnę. W ciągu pozostałych dwóch Claire trzy razy urodziła martwe dzieci. Trzy razy. I wszystkie to dziewczynki.

Rebecca pogładziła włosy córki.

- Moja mama mawiała, że Sean to tyran. Tak nazywały go z Claire. Na początku ją to dość bawiło, bo kiedy się ożenił, chciał, żeby wszystko było tak, jak powinno. Pragnął dla niej wszystkiego, co najlepsze, tak ją kochał. Potem urodzili się Matthew i Joe. Z każdym dzieckiem robił się coraz bardziej nieustępliwy. Z jego chłopców mieli wyrosnąć mężczyźni, mężczyźni zaś muszą być twardzi. Tak wychowywał go ojciec, kiedy jego matka umarła; Sean był wtedy jeszcze dzieckiem.

- Przecież to nieprawda - stwierdziła Rebecca.

- Tak, Becky. Claire o tym wiedziała. Ale Sean miał inne zdanie. Jego ojciec był bardzo surowy. Claire mówiła, że starał się nie upodabniać do niego, ale kiedy na świat przyszli chłopcy, Sean stał się tyranem. Z każdym dzieckiem mu się to nasilało, jak już mówiłam. Kiedy urodził się Brendan, Claire nawet nie mogła nas odwiedzać. Sean trzymał ją krótko, tak samo jak chłopców. Zamienił w koszmar nasze wizyty u niej. Gdy wychodziliśmy, robił jej tyle wyrzutów, że więcej nas nie zapraszała. Postępował dokładnie tak, jak jego ojciec: trzymał rodzinę z daleka od innych. Jedynym dniem, kiedy Claire mogła się zobaczyć z ludźmi, była niedziela, po mszy. W końcu, dzięki Bogu, Matthew ożenił się z Mary. Claire poweselała od czasu, gdy dziewczyna się do nich wprowadziła.

- Mieszkali razem w tym domu?

- Mieli w planach wybudowanie obok drugiego, po narodzinach dziecka.

Rebecca obejrzała się i popatrzyła na Mairead.

- Dlaczego mi o tym wszystkim mówisz? - spytała, uzmysławiając sobie, że niektóre elementy opowieści Mairead nie mają nic wspólnego z Claire.

- Żebyś lepiej poznała Seana. - Mairead znów spojrzała w morze. - Kiedy znaleźli Matthew i rozpoznali go po swetrze, przyszedł ojciec.

- Jaki ojciec?

- Ojciec Michael. Przyszedł, odprawił ostatnie namaszczenie i ochrzcił dziecko imieniem Claire, tak jak chciała Mary.

- Ale przecież mała Claire umarła.

- Tak, umarła, a Mary niedługo potem. Są pochowane obok Matthew na cmentarzu w centrum wyspy. Powinnaś tam pójść. Na starych krzyżach jest mnóstwo wzorów. Po splotach można rozpoznać rodzinę, są takie same jak na gansejach.

W tej chwili Rebeki nie obchodziły już dzianiny. Chciała wiedzieć, dlaczego Mairead opowiada jej tyle o Seanie.

- Dlaczego muszę lepiej poznać Seana? - Bardzo chciała się tego dowiedzieć.

- Po pogrzebie oszalał - ciągnęła jak gdyby nic Mairead.

- Mairead! - syknęła Rebecca.

-1 Claire go zostawiła. Nie minął dzień od pogrzebu Matthew, Mary i ich córeczki, gdy odeszła. Popłynęła curragiem Seana, wyrzuciło ją na plaży O'Flahertych, ale nie została tam. Dotarła do Blake'ów i ubłagała Padriga, żeby zabrał ją do Gal-way swoim trawlerem. Gdy Sean się o tym dowiedział, pojechał za nią.

- I niemal ją udusił - wtrącił Fionn senior.

-Aye. Prawie ją zabił. Ale ponieważ był jej mężem, a ona go zostawiła bez słowa wyjaśnienia, nie zamknęli go. Tak to wtedy było w tym kraju. Rozwodów nie uznawano aż do dziewięćdziesiątego szóstego roku. Wtedy rodzina wysłała ją potajemnie do Derry. Nikt oprócz nas nie wiedział, gdzie przebywa, i przez wiele lat Sean dawał nam to odczuć. Tam zamieszkała. Z czasem Sean uspokoił się jak morski sztorm. Nic nie może wiecznie trwać, nawet przeklinanie nas za trzymanie w tajemnicy miejsca pobytu Claire.

Rebecca obróciła głowę na południe, szukając wzrokiem wyspy. Chciała już wysiąść z łodzi.

- Umarła w Derry i pochowano ją wraz z kuzynami. Nie wiedzieliśmy, jak Sean by zareagował, gdybyśmy pogrzebali ją tutaj. Nie chcieliśmy, żeby znów zaczął szaleć. To tyle, jeśli chodzi o życie Claire.

Rebecca spojrzała na Fionna, który się w nią wpatrywał. Jego oczy emanowały spokojem, jak o poranku.

- Becky? - rzuciła Mairead. -Tak?

- Ten sztorm wydarzył się czterdzieści lat temu. To długo jak na przeżywanie w kółko jednego i tego samego. Ale tyle to trwało w przypadku Seana. Czterdzieści lat milczenia i samotności w mroku, nieumiejętności dostrzeżenia wyciągniętej przyjaźnie dłoni.

Rebecca przycisnęła do siebie Rowan, chowając twarz we włosach dziewczynki.

- A teraz widzi rękę Rowan. Po raz pierwszy od tak długiego czasu wreszcie kogoś widzi. Ty masz ją. A my mamy ciebie.

Pośród purpurowych cieni narastał huk przyboju. Fionn odłożył wiosła, wszedł w wodę i wyciągnął łódź na brzeg. Kiedy curragh był już na piasku, Fionn senior podszedł do Rebeki z otwartymi ramionami.

- Ja poniosę Rowan - powiedział cicho.

Rebecca wzięła głęboki oddech i z wielkim wysiłkiem puściła dziecko. Fionn senior podniósł dziewczynkę, a Rebecca wygramoliła się z łodzi. Nie patrzyła na Mairead ani na Fion-na, kiedy szła za nimi w milczeniu.

Znała Claire. Zbyt dobrze rozumiała jej sytuację. Ale z jakiegoś powodu w tej rozmowie Rebecca czuła, jakby zmieniała się w Seana. Przez tych sześć lat ona też żyła w ciemności. Czy ktoś wyciągnął do niej przyjazną dłoń? Nie miała czym żyć, unosiła się na wietrze - wściekłym, ogłuszającym wicherze szalejącym od tamtego Święta Dziękczynienia.

Fionn pomógł Mairead wspinać się po schodach. Rebecca wdrapała się na pierwszy wysoki stopień, a kiedy postawiła stopę na drugim i oparła się o skałę, poślizgnęła się.

Krzyknęła, tracąc równowagę, ale w tej samej chwili Fionn odwrócił się i złapał ją za ramię. Spojrzała w jego twarz, która pociemniała w gasnącym świetle dnia.

- Mam cię, Becky - powiedział, a jego głos zdawał się uciszać wiatr.

Lekcja Liama

Lekcja Liama (Szablon 3, Wzór 3, Barwnik 22), część środkowa. 1. Trzy warkocze, środkowy z wkomponowaną w połowie potrójną spiralą splotu celtyckiego. Po obu stronach części środkowej maté bąbelki z angory, dalej wykonać pas pojedynczych zygzaków ze ściągaczem. Na krawędziach mech. Kolor morelowy. 2. Stworzenie.

R. Dirane, *Sploty miłości*

Sean stał na swojej plaży w sobotni wieczór. Uśmiechał się na myśl o chwilach spędzonych z Rowan i Siobhan, przy jolce starego Dirane a na południe od miasteczka. Posiedziawszy w łodzi, wyszli na głazy i wtykali palce w ukwiały. Kiedy pierwszy z nich strzyknął wodą, Rowan pisnęła i odskoczyła. Sean zaśmiał się i ją złapał. Kraby chodziły bokiem, co rusz wyglądały z jeziorzek swoimi paciorkowatymi oczkami, szukając schronienia przed słońcem i dziwnymi, rozedrganymi cieniami. Muszle, piach i szerniałe, wysuszone krasnorosty, podobnie jak chmury na niebie, tworzyły zarysy koni i ptaków.

Tyle czasu minęło, odkąd Sean patrzył na świat oczami dziecka. Nasłuchiwał dźwięku fujarki. W sercu czuł wciąż żywy ból po stracie synów. Fale biły o brzeg, rozlewając się i sięgając aż do nosków jego butów, łaskocząc go i prowokując,

by podszedł bliżej. Nie zamierzał jednak tego robić. Chociaż wydawały się przyjazne, pełzając po plaży, w okamgnieniu mogły zabrać mu piasek spod nóg.

W falach zdawała się zaszyfrowana jakaś wiadomość. Gdy Sean obserwował, jak słońce znika za horyzontem, odbijając purpurowo-złote światło w chmurach, pomyślał o Liamie i dniu, kiedy chłopiec poznał, co to woda.

- Tato! Chodź na słońce! - zawołał sześciolatek Liam, chwytając ojca za palec, by razem z nim podziwiać wschód.

- Widzisz, chłopcze, tamte chmury? - Sean wskazał setki obłoczków rozrzuconych po różowo-morelowym niebie.

-Aye.

- Mój tata powiadał, że gdy niebo tak wygląda, to Wszechmogący zbiera swoją trzódkę.

Słońce zamigotało w zdziwionych oczach chłopca. Sean uśmiechnął się, wspominając dzień, kiedy jego ojciec mu o tym powiedział.

-Jesteśmy gotowi, tato! - zawołał Matthew z curragh, w którym stał razem z Joem. Obaj wyrosli na wysokich i silnych nastolatków. Bez jego pomocy odcumowali łódź i rozłożyli sieci.

- Matthew, Joe i ja obrócimy teraz curragh i przygotujemy go na dziś. Ty zostań tu, na brzegu. Nie podchodź do fal. I pamiętaj - Sean chwycił Liama za podbródek - nigdy nie obracaj się plecami do morza. Mamy tutaj nie ma, żeby cię pilnować, i już jej nie będzie. Miejsce kobiet jest w domu, a mężczyźni na morzu. Jesteś już wystarczająco duży, żeby się samemu pilnować. Pilnuj się jak mężczyzna, którym uczysz się być.

Chłopiec przytaknął hardo, obracając głowę ku wschodowi, by ujrzeć wstające słońce i stadko różowo-złotych owiec. Sean odszedł na zachód, w kierunku chłopców, oceanu i łodzi. Pchając mocno, trzech mężczyźni obrócili curragh, kładąc go delikatnie na kilu.

- Joe, naprawiłeś sieci? - spytał Sean, chwytając za wiosła. -*Aye*. Razem z Liamem. Na środku ciągle jest rozdarcie, ale już się nie pruje.

- Trzeba nam więcej sznura na linę - dodał Matthew, stękając, kiedy razem z bratem ciągnął sieć do curraghu.

Sean potrzebował nowych lin i sieci. Ale połowy w tym sezonie znów były marne i nic nie zapowiadało poprawy.

- Niech spojrzę.

We trójkę rozciągnęli sieć na piasku. Na środku widniała płatanina sznurków.

- Skąd to? - zapytał Sean.

- Nie wiem na pewno, ale porządnie się rozdarło - powiedział Joe.

- Tato - zaszeptał Matthew.

-*Aye*. - Sean ostrożnie przeszedł po sieci.

- Gdzie wysłałeś Liama?

- Nigdzie.

Sean kucnął, by przyjrzeć się rozdarciu.

- Nie ma go na plaży...

Sean wyprostował się i spojrzał na brzeg.

- Liam! - zawołał.

- Liam! - zawtórował Joe, biegnąc w kierunku domu. -Liam! Gdzie jesteś?

- Gdzie się podział ten chłopak?! - warknął Sean, schodząc z sieci.

- Tato! - wrzasnął Matthew, pędząc w stronę morza. - Jest w wodzie!

Sean rzucił okiem w tamtą stronę i dojrzał białą plamę, unoszącą się na różowo-złotyach falach. To był Liam w swoim ganseju.

Sean obrócił się na pięcie, owijając sobie sieć wokół nogi. Upadł.

- O co chodzi?! - zawołała Claire z domu. - Gdzie Liam? Sean wygrzebał się z sieci, rozrywając ją i patrząc, jak Joe i Matthew wskazują do niesamowicie zimnej wody.

- Czekajcie! - zakomenderował. - Czekajcie! Uwolniwszy się, pobiegł za nimi, wiedząc, że wystarczy

kilka chwil, żeby zimna woda swoimi lodowatymi palcami zatrzymała serca jego synów. W początkach kwietnia ocean był równie zimny co kamienne mury w styczniu, co sama śmierć.

- Liam! - krzyknęła Claire.

Sean wpadł do wody, wyprzedził chłopców i pchnął ich z powrotem w kierunku brzegu.

- Weźcie curragh! - krzyknął, czując, jak przeraźliwie zimna woda odbiera mu dech.

Zanurzył się i popłynął. Palce miał jak z lodu, ale nie dbał o to, bo widział swojego synka unoszącego się na tafli bez życia zaledwie dziesięć metrów dalej. Dziesięć, dziewięć, potem osiem. Serce mu waliło, nogi dopadał skurcz.

- Liam! - zawołał z trudem. Chłopiec był oddalony tylko o siedem metrów. Usłyszał za sobą wiosła.

- Tato! - krzyknął Joe.

- Wyciągnijcie go - wychrypiał Sean, czując, że curragh go wyprzedza.

Matthew rzucił wiosła, złapał Liama za gansej i wciągnął do łodzi. Joe patrzył na ojca, który unosił się w wodzie.

- Matthew, zawracamy! - krzyknął. Razem z bratem natarli na wiosła.

Sean patrzył, jak wiosłują, jak gdyby całe życie to robili. Woda przesączała mu się przez sweter, stracił czucie w rękach. Widząc zbliżających się synów, Sean ujrzał także swego ojca.

Mówiłem ci, Sean, pilnuj sieci.

Tak, tato - szepnął Sean.

- Tato! - krzyknął Joe i w chwili, kiedy Sean patrzył na pochyloną nad nim twarz ojca i zagłębiał się w wodę, czyjaś ręka złapała go za prawe, a druga za lewe ramię.

- Pomóż nam, tato! - zawołał Matthew rozpaczliwie. - Przerzuć nogi!

Sean wiedział, że ma nogi, ale ich nie czuł. Starał się skoncentrować na nich całą swoją uwagę.

- Mamy cię, tato. Mamy cię - wychrypiał Matthew, wciągając ojca do łodzi.

Sean padł na dno jak balast.

- Tato! - zawołał Joe.

- Wiosłuj - polecił Matthew.

Ojciec Seana zniknął, pozostało tylko wspomnienie Liama oddalonego o sześć metrów.

- Liam - szepnął.

- Nie oddycha - zaszlochał Joe.

- Zamknij się i wiosłuj! - nakazał Matthew.

Krew wracała do kończyn Seana, wywołując kłujący ból. Curragh uderzył miękko w piasek. Sean ujrzał nad sobą twarz Claire.

- Liam - wydusił.

Claire wzięła nieruchome ciało Liama. Jej mąż próbował z trudem się podnieść.

- Przyciśnij mu piersi - wychrypiał na czworakach. Matthew i Joe wyciągnęli łódź na brzeg i pomogli ojcu wyjść. Stojąc na drżących nogach, Sean patrzył, jak Claire na-

ciska piersi leżącego na boku chłopca, patrzył na sweter syna o płaskich, ciasno zbitych ściągach. Wszyscy mężczyźni z rodu Morahanów takie nosili, ponieważ w przekonaniu Seana oraz jego ojca i dziadka najlepiej opierały się zimnu i wilgoci na morzu, i dawały szansę przeżycia tym, którzy wypadli za burtę. Zimna woda potrafiła zabić szybko jak mało co.

Liam zakasłał.

- Żyje - szepnął łamiącym się głosem Joe.

Claire pomogła chłopcu się przewrócić na bok. Zakrztusił się i wypluł wodę. Gdy zaczęła trzeć mu plecy, rozplakał się.

- Co się stało? - spytał go Sean.

- Sean, proszę. - Claire wzięła Liama w ramiona.

- Fala mnie złapała - wyszlochał Liam. - Złapała i nakryła. Krzyczałem, ale byłem pod wodą.

- Nie widziałeś, jak się zbliża?

Liam potrząsnął głową, wypluwając słowa, jak gdyby były słońcą wodą, ale nie miały żadnego sensu.

- Stałeś plecami do morza - skonkludował Sean. Usta Liama zadrżały, gdy przytaknął.

- Przecież ci powiedziałem, żebyś patrzył na morze. Liam znów skinął głową.

- Więc czemu nie posłuchałeś?

- Patrzyłem na boże owieczki.

Sean przeciągnął palcami po włosach i się obrócił. Spojrzał na czerń wody i przez chwilę, krótką jak trzepot skrzydeł mewy, poczuł złość. Złość na Liama, że obrócił się plecami do oceanu, złość na Claire, że patrzyła na niego w ten sposób, na Matthew i Joego, że wskoczyli do wody, zamiast wziąć łódź. Spojrzał na sieć, która leżała na piasku splątana bezładnie, i poczuł złość na Boga, poczuł gniew, że życie jest tak ciężkie, że musiał kazać chłopcom naprawiać sieć o czwartej rano, patroszyć ryby o piątej i wsiadać do łodzi przed szóstą, aby wy-

płynąć na morze i żeby się nie bali, potrafili łowić ryby i mogli przeżyć.

Ale wszystko to w jednej chwili przeminęło. Świt był morelowy, a małe obłoczki zapowiadały ciepły, słoneczny dzień. Sean spojrzął w niebo. Wiedział, co powinien zrobić.

Był przemoczony, Joemu szczękały zęby, Matthew cały drżał, a Liam - Sean wiedział o tym, choć nie spojrzął - miał zsiniałe wargi. A mimo to powinien kazać mu wstać, pomóc rozplątać sieć i wsiąść do curraghu. Tak właśnie postępował jego ojciec, kiedy Sean wpadł do morza, ponieważ rybak nie może bać się wody. Na stół trzeba podać jedzenie, potrzeba nowych lin oraz wełny na okrycie. Nawet bardzo zziębnięty, chory, przemoczony czy wystraszony rybak powinien być w stanie łowić ryby.

Patrząc teraz w niebo, Sean przypomniał sobie, jak sam dziwił się bożym owieczkom, jak przyglądał się rybakom i chciał im towarzyszyć, chociaż złudzenie duszków albo krab sunący przez głązy potrafiły odciągnąć jego uwagę od łodzi i sieci równie łatwo co wołanie matki. Pamiętał, jak sam był mały, i chociaż wychowywał mężczyzn, teraz przypomniał sobie, że jego synowie to tylko chłopcy.

- Claire?

- Tak, Sean?

- Weź Liama do domu i wysusz go.

- Chcę z wami! - krzyknął najmłodszy. - Łowić ryby! Sean spojrzął na jego twarz. Chłopiec miał sine usta.

- Synu, jutro spróbujemy znowu. I pojutrze. Dziś jest późno, ale Matthew, Joe i ja musimy złowić coś na kolację. Ty popłyniesz jutro. Dzisiaj... tylko się przygotowywałś.

- Chcę płynąć - jęknął Liam.

- Wiem. Jutro już będziesz suchy i wtedy spróbujemy.

Sean podszedł i dotknął głowy syna.

- Jutro popłynę.

- *Aye* - przytaknął mężczyzna i spojrzął na żonę. W jej spojrzeniu zobaczył ulgę. Skinął głową. Kobieta wzięła Liama w ramiona i ruszyła do domu.

- Teraz jest nam zimno - powiedział Sean do chłopców, patrząc, jak Claire wchodzi po pochyłości - ale kiedy zaczniemy się ruszać, za pół godziny będziemy spoceni. Te ganseje są niezwykle, kiedy przemokną, zaczynają nas ogrzewać.

-*Aye* - potwierdził Matthew. Sean spojrzął na synów.

- Matthew, masz już siedemnaście lat. Potrzebujesz odpowiednich ubrań, tak samo jak nam wszystkim trzeba nowych sieci i jedzenia. Musimy wypłynąć.

- *Aye* - zgodził się Joe, szcękając zębami. Przechodząc obok synów, Sean przycisnął ich do piersi.

- Dobrze z was chłopaki - szepnął i pocałował każdego w głowę. Potem szybko ich puścił i podszedł do sieci. Z oczu lały mu się łzy i dziękował Bogu, że jego synowie zrobili to, czego ich nauczył. Troszczyli się o siebie nawzajem i dzięki temu wiedział, że przeżyją.

Niebo morelowej barwy i obłoczki niczym owieczki. Sean patrzył i rozmyślał, ale ponieważ wiatr nie przyniósł dźwięku piszczałki, obrócił się plecami do oceanu, pozwalając, by morze zmyło jego wspomnienia.

Zygzak z pojedynczymi bąbelkami

Zygzak z pojedynczymi bąbelkami. 1. Zygzak składający się z pojedynczych bąbelków. 2. Nieplanowana podróż z kimś nieoczekiwanym. 3. Dirane - wyspiarska rodzina, zwykle wykorzystująca ten ścieg w swoich gansejach. Dirane'owie to miejscowi bazarze, których w Irlandii określa się mianem seanchai.

R. Dirane, *Sploty miłości*

W niedzielę Rebecca poszła z Liz do ogrodu ojca Michaela. Tego poranka nie było mgły i pąki zaczynały się otwierać, zwracając kolorowe twarze ku niebu i uśmiechając się radośnie do przechodniów. Rebecca odwzajemniła uśmiech i nachyliła się ku brzoskwiniowej róży. Kwiat pachniał owocem, co sprawiło, że ucieszyła się jeszcze bardziej.

Kiedy weszła po schodach do jasnej kuchni księdza, stwierdziła, że jest tam cieplej niż na zewnątrz. Zdejmując płaszcz, zobaczyła na stole bardzo stary sweter. Podeszła i przyjrzała się ścięgom, podczas gdy Liz wlewała gorącą wodę do imbryka.

- Myślałam, że zajrzemy na strych.

- Becky, nie można nawet otworzyć tego strychu. Zanim cię tam weźmie, ma sporo pracy do wykonania.

- Wiesz, czyj to sweter? - spytała Rebecca.

- Mojego dziadka - odpowiedział ojciec Michael, który właśnie zajrzał do kuchni.

- Bardzo piękny.

Liz postawiła imbryk na stole i zwróciła się do Rebeki.

- Rowan i Siobhan zostaną rano u mnie i Rose. Annie zaczęła już uczyć je prząść i będziemy to kontynuować. Wpadnij, kiedy skończysz. Mamy sporo do opowiedzenia. A potem u Annie zjemy świeżą rybę na kolację. Myślisz, że dziewczynki nauczą się prząść tak sprawnie, jak łowią ryby?

- Mam nadzieję - przytaknęła Rebecca.

- Ojcie, w sumie w piątek złapały dziesięć ryb. A to pierwszy raz Rowan. - Liz potrząsnęła głową z niedowierzaniem.

-Aye. Siobhan mówiła o tym po mszy. Twierdziła też, że to dlatego, że siedziały w łodzi Starego Diranea - odpowiedział ojciec Michael.

Liz wyszła, śmiejąc się do siebie.

- Kto to jest Stary Dirane? - spytała Rebecca.

- Pradziadek Mairead ze strony ojca. Wspaniale gawędził. Ludzie mówią, że jego łódź też opowiada historie.

- Aha. Łódź, która opowiada - powtórzyła zdumiona Rebecca, czując, że w Irlandii bajanie nie ma końca. Po tym, co usłyszała poprzedniego dnia o Seanie Morahanie, nie była pewna, czy chce wiedzieć więcej. Ale z drugiej strony, czy nie po to właśnie tu przybyła? Żeby dotrzeć do opowieści o swetrach i zamieścić je w książce?

- Tak się mówi. A słyszałem, że Jim Fitzgibbon przeżył swój pierwszy dzień jako... jak to się mówi?

- Samodzielny tata. - Rebecca uniosła kąciki ust.

- Aye. Właśnie. Trochę pomogły mu jednak Liz i Rose. Wiesz, przyszedł na mszę sam, jak kołek w płocie, nie licząc siedmiorga dzieci, które zresztą zachowywały się bardzo grzecznie.

Ojciec Michael usiadł, a Rebecca, śmiejąc się, nalała mleka do dwóch filiżanek.

- Nie cicho, ale to nic nowego.

- Wszystkiego się nie da załatwić. - Amerykanka mrugnęła do niego.

- Zapewne nie. Ale z Jimem ci się naprawdę powiodło.

- To był właściwie pomysł mojego dziadka. - Rebecca rozlała herbatę do naczyń.

- Należy pamiętać to, co mają nam do przekazania starsi ludzie. Choćby ten gansej tu, na stole. To prezent ślubny od mojego dziadka. Miał go na sobie w dniu, kiedy się ożenił.

- Wie ksiądz, co znaczą te ściegi?

- Nie jestem pewien. Może „nie znosi wody”? - Ojciec Michael wybuchnął śmiechem.

- Księdza dziadek nie lubił wody? Nie był rybakiem?

- Z czasem nim został, ale wychowywał się na rolnika. Chcesz o nim posłuchać?

Rebecca nie miała przy sobie sprzętu nagrywającego. Znowu! Zacisnęła zęby i syknęła.

- Coś nie tak?

- Nie przyniosłam kamery.

- To może ci tę historię najpierw opowiem? Przekazywano ją z pokolenia na pokolenie jak ten sweter, więc może być zużyta i posiadać wartość tylko sentymentalną. Może nie warto jej zapisywać, ale jeśli uznasz to za stosowne, przyjdiesz znów i opowiem ją jeszcze raz.

Rebecca skinęła głową i usadowiła się obok swetra. Ojciec Michael dolał herbaty.

- Mój dziadek nie pochodził z wysp. Nie potrafił pływać. Jego rodzina hodowała owce. Tak poznał moją babkę.

- Jak ją poznał? - spytała zdezorientowana Rebecca.

- Jego rodzina pędziła owce na sprzedaż do Galway. Rodzina mojej babki przybyła z wysp kupić jagnięta. Moi dziadkowie poznali się nad wodą. Ona zaczęła opowiadać o oceanie. Wtedy mój dziadek, który nigdy nie zanurzył się w morzu, przyznał, jak bardzo się go boi. „Uwielbiam szum fal o świcie, kiedy się budzę” - powiedziała mu. „Ja uwielbiam ciszę poranka, wypełnioną tylko świergotem ptaków” - odpowiedział. Przekazywali sobie, jak to jest mieszkać nad brzegiem oceanu i w głębi lądu. Pochłaniały ich te opowieści, tak odmienne. Siedzieli na przystani, dzień mijał, ich ojcowie zajmowali się interesami, a kiedy nastał wieczór, moja babka wróciła do swojego curraghu i odpłynęła z dwoma jagniętami i wspomnieniem niekończących się pól zieleni, rozkołysanych w letnim wietrze.

Ojciec Michael umilkł i skosztował bułeczki z rodzynkami. Oczyszczył stół z okruszków i wyrzucił przez okno.

- Spotkali się kolejny raz... - podpowiedziała Rebecca. Ojciec Michael potrząsnął głową.

- Wracając do gospodarstwa, jak dziadek sam opowiadał, po prostu zatrzymał się w pół drogi. Jego nogi nie chciały nieść go ani kawałek dalej na wschód. Spojrzał na swoje buty, a potem na ojca, który oparł się o wóz i wyciągnął z kieszeni fajkę oraz tytoń. Nie zamienili ani słowa. Jego ojciec zapalił. Dziadek zapamiętał płomyk zapalniczki w gasnącym świetle dnia. Żarzący się tytoń, fioletowoszary dym unoszący się w niebo. Patrzył na ojca, a ojciec patrzył na niego i kiedy słońce dotknęło zachodniego horyzontu, nogi same obróciły dziadka w drugą stronę. Ruszył z powrotem do Galway, machając na pożegnanie ojcu, który również machał, śmiał się i odprowadzał go wzrokiem.

- Dlaczego go nie powstrzymał? To był jego syn! - Rebecca zmarszczyła brwi.

- Jego syn dokonał wyboru. Choć dziadek powiedziałby, że wcale go nie miał. Odkrył swój dom. Spędziwszy całą noc na

przystani, pokonał strach przed wodą, a rankiem wsiadł do małego curraghu z pewnym rybakiem i dotarł do mojej babki na podwieczorek.

- Musiał ją zaskoczyć.

- Wcale nie. Już rano nakryła dla niego do śniadania, a jej matka upiekła dodatkowe ciasto na podwieczorek. Nie były pewne, czy przyjedzie do nich rano, czy po południu, więc przygotowały się na obie ewentualności.

Rebecca podniosła do ust placuszek, patrząc na sączącego herbatę księdza. Na twarzy miał ten sam wyraz co Rowan, gdy opowiadała o psie burmistrzowi. W oczach Rebeki było to coś bardzo irlandzkiego. Nie miała pewności, czy opowieści te są prawdziwe, czy też całkiem zmyślone. Czowała się jak pierwsza naiwna, a dziś nie miała na to wcale ochoty.

- Czy ksiądz sobie ze mnie żartuje?

- Dlaczego miałbym to robić?

Rebecca odłożyła racuszek i wzruszyła ramionami. Z powrotem zwróciła uwagę na sweter.

- Jest uszkodzony. Mole.

- Czas nie oszczędza niczego.

- Czy mogę wziąć go do siebie? Spróbowałabym go wyczyścić i naprawić. Trzeba będzie inaczej go przechowywać, jeśli ojciec chce się nim jeszcze trochę cieszyć.

- Zrobisz to? - spytał ojciec Michael z błyskiem w oczach.

- To moje zajęcie.

- Wspaniale. Chodź ze mną - powiedział, wstając nagle.

- Dokąd idziemy? - spytała, podążając za nim niechętnie.

- Na strych.

- Liz mówiła, że tam jest bałagan.

- Czasem tu sprząta. Uważa, że jestem niezorganizowany - szepnął konfidencko ksiądz, wiodąc Rebeccę po stromych, wąskich schodach. Kiedy dotarli na górę, pchnął drzwi

i weszli oboje w półmroczny, zakurzony chaos mebli, pudeł i toreb.

- Liz wie, co mówi - mruknęła do siebie Rebecca. Ojciec Michael uśmiechnął się szeroko.

- To, czego szukam, jest chyba za tą szafką. - Wskazał dużą etażerkę. Rebecca uniosła brwi.

- Nie jest tak ciężka, jak się wydaje - dodał szybko.

- Pewnie. - Chwyciła półkę, żeby pomóc księdzu przesunąć mebel na lewo. Z tyłu znajdowało się okno, a poniżej duża skrzynia z tego samego drewna co etażerka.

-Ha!

- Znaleźliśmy to, czego szukaliśmy? -Tak.

Ksiądz odsunął zasuwę i uniósł wieko. Kurz wzniósł się w powietrze jak setki maleńkich pszczołek fruujących w snopie światła wpadającego przez okno.

- Patrz. - Wyciągnął kamizelkę. Wyglądała na tweedową i miała cztery brązowe guziki.

Rebecca podniosła ją do światła. Robota tkacka była przednia, a na wełnie widniały nieregularne guzki.

- To jest ręcznie tkane. -Aye.

- Przędza też ręcznej roboty?

- Zawsze.

Rebecca popatrzyła na księdza i przekrzywiła głowę.

- Ostatnie ubranie mojego dziadka - wyjaśnił ojciec Michael, wydobywając krótki płaszcz. - Wszyscy rybacy na wyspie noszą takie stroje. Ręczna robota. Takie najlepiej opierają się wodzie.

- Nosili to w czasie połowów?

- W tamtych czasach takie rzeczy nosiło się codziennie.

- Naprawdę? - Rebecca zwróciła uwagę na wystrzępione partie tkaniny w zagięciach. - Myślę, że ten, kto to pakował, nie zadbał odpowiednio o usunięcie soli.

- Spójrz tylko. - Ksiądz wy dostał długie pasmo koronki. -Ooo!

- To mojej matki.

- Obrus?

- Suknia ślubna. Rebecca się zdumiała.

- Suknia ślubna? - powtórzyła, odkładając kamizelkę do skrzyni i sięgając po koronkę.

- Zrobiła ją z pomocą swojej matki.

- Jak to się stało, że to ksiądz ją ma?

- Bóg dał mym rodzicom tylko jedno dziecko. Rebecca spojrzała mu w oczy.

- Chyba nie spodziewa się ksiądz córek? -Nie.

Koronka zżółkła przez te wszystkie lata, ale była doskonałej roboty.

- Musiało im być ciężko przyjąć do wiadomości, że syn zostanie księdzem. Ze nie wybrał przyszłości. To znaczy...

- Wiem, co to znaczy. Ale miłość wzywała mnie gdzie indziej.

Rebecca skinęła głową, na krótko marszcząc czoło.

- Ciekawe, czy mnie na to stać? - mruknęła do siebie.

- Na co?

- Na to, by pozwolić Rowan być... kim chce.

- Miłość uwalnia i zarazem nakłada więzy. Rodziców ona zniewala, bo z wielu swobód trzeba zrezygnować, a wybór jest coraz bardziej ograniczony. Przez wzgląd na miłość i szacunek

dla potrzeb dziecka żaden rodzic nie może robić stale tego, na co ma ochotę. Zawsze łączy go z dzieckiem silna więź, prawda? Ale ono musi być wolne, by samodzielnie kształtować swoje życie. Na tym polega posiadanie potomstwa. Czasem rodzice myślą, że mają je po to, by czegoś je nauczyć. Ale Bóg obdarza dziećmi, by nauczyć czegoś rodziców. Dać im najjaśniejszą lekcję, lekcję miłości. Jak myślisz, na czym ona polega?

Rebecca spojrzała sceptycznie na ojca Michaela. Obawiała się, że próbuje przekazać jej jakąś wiedzę religijną, ale nie była tego pewna. Pochylił się nad skrzynią, w której wciąż grzebał.

- Na tym, żeby samemu będąc zniewolonym, dać wolność? - spróbowała.

- Tak. Właśnie tak. Spójrz, znalazłem spodnie.

- Nie wiem, czy mnie na to stać - wyszeptła, przesuwając koronkę w palcach.

- Może polega to też na tym, by patrzeć, jak Rowan popełnia te same błędy co ty?

Ksiądz wstał. Rebecca przyjrzała mu się bacznie. Otrzepał spodnie z kurzu.

- Masz jakieś dwadzieścia lat, żeby się tego nauczyć. Poradzisz sobie.

- Tak myślę. - Zrobiła krok w tył, składając koronkę. Może powinna zmienić temat?

- Jak poznać, że miłość wzywa? - spytała.

- Ciebie dotąd nie wezwała? Potrząsnęła głową.

- Zorientujesz się. Nogi same cię poprowadzą.

- Jak dziadka księdza. - Uśmiechnęła się. - Aye.

Od strony schodów dobiegło głośnie stukanie.

- Kto to może być? - spytał ojciec Michael. Wziął ubrania dziadka i ruszył w dół.

Rebecca potknęła się o jakąś skrzynkę i zeszła po stromiż-nie. Stojąc w kuchni, wciąż trzymała w rękach suknię ślubną. Kiedy ksiądz otworzył drzwi, ujrzał w nich Fionna i jego ojca.

- Dzień dobry.

- Dobry, ojcze. Becky, czas na nas - powiedział Fionn wesoło.

- Słucham?

- Sharon rodzi. Pora jechać do Dublina - wyjaśnił Fionn senior.

-Ale... ale ja nie mogę jechać do Dublina. Co zrobię z Ro...

- Sharon prosiła, żebyś przyjechała. Nie martw się, zajmiemy się Rowan - obiecał Fionn senior, po czym wziął Rebeccę pod rękę i łagodnie wyprowadził z domu. - Moja żona już cię spakowała. Fionn ma plecak na motocyklu. Powinniście się spieszyć. Poród już się zaczął, ale jak wiesz, z tym bywa różnie.

Róże zdawały się machać Rebecce na pożegnanie, gdy opuszczała ogród księdza. Fionn zapuścił silnik.

- Nie jadę tym!

Podkreślił obroty i mrugnął do niej.

- Przystań jest tuż za rogiem - powiedział Fionn senior, odbierając od Rebeki suknię ślubną.

- Ale potem trzeba przejechać całą Irlandię!

- Sharon cię potrzebuje. Minęło sześć lat, a ona będzie miała pierwsze dziecko. Czy naprawdę prosimy cię o tak wiele? - spytał Fionn, patrząc jej w oczy i poklepując siedzenie.

Rebecca się wzdrygnęła. Nie lubiła, kiedy ją popędzano.

- Można się tam dostać w jakiś inny sposób? - mruknęła. Gdy Fionn senior zakładał jej kask, ona próbowała protestować.

- Tak, ale nie dość szybko - odpowiedział.

- Ale moja książka - zaprotestowała. - Kiedy ją napiszę?

- Po powrocie. - Pomógł jej usiąść na motocyklu za swoim synem.
 - Po powrocie - powtórzyła.
 - *Aye*. Wszyscy dalej tu będziemy, kiedy wrócisz. Tak jak od se...
 - .. .tek lat - dokończyła. - Wiem. Nie pożegnałam się z Rowan.
 - Ona wie, dokąd jedziesz. Bardzo się podekscytowała. Nic jej nie będzie.
 - Wy tutaj nie macie zbyt dobrego słuchu!
 - „My tutaj” to znaczy kto? - spytał Fionn.
 - Nieważne...
 - Do widzenia, Rebecca. - Ojciec Michael pomachał jej od drzwi. -
Wszystko będzie dobrze.
- Fionn ruszył tak gwałtownie, że Rebecca musiała złapać go w pasie, żeby nie spaść.
- Wy tutaj zawsze to powtarzacie! - krzyknęła przez ramię.

Podwójny zygzak z mchem

Podwójny zygzak z mchem. 1. Podwójny zygzak z mchem pomiędzy. 2. Patrzeć na kogoś przez pryzmat miłości, być zapatrzonym.

R. Dirane, *Sploty miłości*

Bardzo powoli jechali w kierunku promu. Turyści wylegli na ulice i Fionn musiał prowadzić z najwyższą ostrożnością. Rebecca nigdy nie lubiła motocykli - odziedziczyła to po ojcu. W życiu nie zamierzała na nich jeździć, więc teraz, siedząc na takim właśnie dwukołowcu ze świadomością, że czeka ją podróż przez całą Irlandię, czuła, że aż ją skręca.

- Fionn, wysadź mnie na przystani, poradzę sobie.

- W niedzielę kursują tylko trzy promy i musiałabyś złapać autokar w Doolin. Do Dublina daleka droga. I kosztowna. Masz niewielki grant, od początku nie mogłaś pozwolić sobie na odwiedziny u Sharon.

- Nie znoszę motocykli. Są niebezpieczne.

- Jak curraghy na morzu?

- Hej, Fionn! - zawołał ktoś.

Rebecca spojrzała ponad ramieniem kierowcy. Zobaczyła Iollana. Stał na przycumowanej łodzi. Minęli pustą przystań

promową i przyspieszyli. Rebecca zobaczyła metalową kładkę między nadbrzeżem a łodzią.

- Trzymaj się - nakazał Fionn i skręciwszy nagle w lewo, wjechał na pokład. Zatrzymał motocykl tuż przed Iollanem.

- Becky, dobrze cię widzieć. - Iollan uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Dzięki - mruknęła.

- Rzucić cumy!

Najwyżej siedemnastoletni chłopak odwiązał linę i rzucił ją Iollanowi, a potem skoczył na trzydziestostopowy trawler i z pomocą Fionna wciągnął ciężki trap na pokład. Fionn z Iollanem przymocowali motocykl przy burcie, gdzie - ku zdumieniu Rebeki - stworzono miejsce specjalnie z myślą o tym pojeździe.

- Często tak pływasz? - spytała Fionna.

- W ten sposób dostaję się na wyspę.

- Nie promem?

- Nieee, nie wsiadam w Doolin, tylko w Galway.

- Dlaczego?

- Bo moim portem jest Galway - odpowiedział Iollan.

Rebecca wzruszyła ramionami i obejrzała się za siebie. Przynajmniej nie martwiła się o Rowan. Gotowa była uwierzyć, że córka jest zadowolona i bezpieczna, śpiąc u nowej najlepszej przyjaciółki. Rebecca miała teraz inne zmartwienia.

- W Galway wsiadę do autokaru - poinformowała Fionna, gdy trawler oddalał się od brzegu. Westchnęła i ruszyła w swoją stronę. Przy bakburcie znalazła ławkę i usiadła, żeby się zastanowić, jak to się stało, że przybyła na wyspę odnaleźć spokój, pomyśleć nad swoim życiem i napisać książkę, a zamiast tego angażowała się w rzeczy, których nie chciała robić, które nie miały nic wspólnego z jej zamiarami. Polubiła ludzi, których poznała, i lubiła im pomagać - w pubie, w rozwiązywaniu pro-

blemów rodzinnych, księdzu z tkaninami. To ostatnie wiązało się przynajmniej z jednym z jej celów. Ale teraz wyjeżdżała do Dublina. Tego nie miała w planach. Spędziła dwanaście dni w Irlandii, a wciąż czuła, że nie rozpoczęła na dobre pracy. Znow westchnęła.

W połowie drogi przysiadł się do niej Fionn z dwoma kubkami herbaty i puszką herbatników. Popijali w milczeniu. Rebecca była zbyt sfrustrowana, żeby rozmawiać, a Fionna pochłaniała książka. Kilka razy czuła, że powinna coś powiedzieć, ale on siedział tylko, całkowicie ją ignorując.

Kiedy dotarli do Galway, na brzeg wyłożono trap i Fionn wyjechał na przystań, a Rebecca powoli przeszła piechotą.

- Dzięki za podwiezienie - powiedziała do Iollana, a potem spojrzała na Fionna. - Idę do autokaru. Podaj mi, proszę, plecak.

- Becky, autokar będzie się włókł całą wieczność.

- Nie słyszysz, co mówię. Nie lubię motocykli. Nie chcę na nim jechać.

- Wiesz co, spróbujemy tylko kawałek. Wyjedziemy z Galway i jeśli w Athlone nadal nie będzie ci się podobało, poszukamy autokaru.

- Gdzie jest Athlone?

- W pół drogi do Dublina. Chodź. - Podał jej kask.

- Mój tata nie znosił motocykli - mruknęła, biorąc kask i wkładając go sobie na głowę.

- Bo nigdy nie jechał ze mną. - Fionn klepnął siedzenie.

Machając, zostawili za sobą Iollana, jedynego członka załogi, łódź, miasto i ruszyli na wschód, do Dublina. Rebecca trzymała się uchwytu za plecami. Wiedziała, że jazda do Dublina zajmie jakieś trzy godziny i po raz pierwszy pomyślała o Sharon i o tym, co jej powiedzieć.

Nie widziały się od sześciu lat, chociaż rozmawiały przez telefon co tydzień. Tyle czasu minęło od tamtej okropnej nocy.

Nigdy o niej nie dyskutowały, a teraz, jadąc na wschód, Rebecca poczuła, jakby spadał na nią przytłaczający ciężar. Pola, kamienne murki i małe miasteczka Irlandii połyskiwały w słońcu wczesnego lata, ale Rebecca ich nie dostrzegała, zatopiona myślami w przeszłości.

Fionn zatrzymał się w wiosce tuż pod Athlone i w paru słowach poleciał Rebecce, by usiadła na trawie, podczas gdy on kupi coś do jedzenia. Rebecca opuściła dom ojca Michaela tuż przed obiadem. Nic tam nie zjadła, bo nieoczekiwanie poszli na strych. Teraz czuła głód.

Niedługo Fionn wrócił z dwiema kanapkami, dwoma jabłkami i kilkoma butelkami wody. Usiadłszy obok, odpakował kanapkę, ugryzł i otworzył znów książkę. Rebecca podziwiała jego rude włosy połyskujące w słońcu. Były piękne. Patrząc tak na niego, uświadomiła sobie nagle, że bardzo się jej podoba. Szybko spojrzała na kanapkę w schludnym opakowaniu. Poczowała się nieswojo, siedząc tak obok w milczeniu.

- Dobra książka? - rzuciła, aby wypełnić ciszę.

- Słucham? Ach, tak. Coś czeka na mnie w pracy i muszę to rozgryźć, zanim wrócę.

Odpakowała kanapkę.

- Czym się zajmujesz?

Spojrzał na nią z otwartymi ustami.

- No co? - spytała.

- Nie wiesz, czym się zajmuję?

- Nie. - Odchyliła się.

- Pracuję z Johnem. O nim chyba coś wiesz?

- Ma studio nagrań.

- Mamy studio nagrań. Sharon ci nie wspominała?

- Nie pamiętam wszystkiego, co mi mówiła. Dużo rozmawiamy. - Rebecca ugryzła kanapkę. Teraz, kiedy jej to powiedział, przypomniała sobie, ale nie chciała się z tym zdradzić.

- Zajmujemy się muzyką irlandzką.

- Lubię ją.

-Aye. Szczególnie skrzypce.

Wolno pokiwała głową, patrząc na niego z ukosa. Skąd on to wiedział?

- Sharon mi powiedziała. Uważnie jej słucham, gdy wspomina o tobie.

Rebecca zmrużyła oczy, przypominając sobie, jak Rowan spytała Fionna, czy gra na skrzypcach. Spojrzała w jego czarne tęczówki i poczuła w ustach suchość tak wielką, że z trudem przełknęła kęs kanapki.

- Ja też jej słucham. - Odłożyła kanapkę i sięgnęła po wodę.

- Naprawdę? - Uśmiechnął się.

- Naprawdę - powtórzyła, naśladowując wyraz twarzy mężczyzny.

Wzruszył ramionami i wrócił do lektury.

- Więc czego potrzebujesz do pracy?

- Kończymy właśnie sesję nagraniową i zespół poprosił mnie o pomysły na okładkę. Naprawdę ich lubię, przypominają mi o domu.

- Domu twoich rodziców czy tym, którego jeszcze nie znalazłeś?

- Rzeczywiście słuchasz, kiedy mówię.

- Ja zawsze słucham uważnie, Fionn, cokolwiek byś o mnie myślał. - Znów ugryzła kanapkę.

- Świetnie! Chodzi o ten, którego jeszcze nie mam. Ten zespół bardzo przypomina mi wyspę, samotną, ze zmienną pogodą, ale także ciepłą i łączącą ludzi. Jesteśmy razem, więc nie ma się czego bać.

Rebecca spojrzała w słońce. Czowała jego ciepło nad sobą.

- Dlatego właśnie mam tę książkę z reprodukcjami obrazów do pomocy.

Rebecca zamknęła oczy, wczuwając się w dotyk słońca na plecach, w zapach trawy i rozmyślając o tym, o czym mówił. Śpiewać i nie bać się - tego pragnęła.

- W krzaku jeżyn pod naszą sypialnią mieszka taki ptak, który śpiewa w czasie burzy.

- Paszkot.

- O, właśnie. -No i?

- Ten ptak bardzo pasuje do Irlandii i Irlandczyków.

- Naprawdę?

- Może na okładce powinien być właśnie paszkot?

Rebecca spojrzała na Fionna i uśmiechnęła się, patrząc w jego czarne oczy. Odwzajemnił uśmiech. Poczula, jak skręca ją w żołądku i odwróciła wzrok.

- Dlaczego tylko do Irlandii? - Fionn spytał łagodnym tonem.

- Bo jest esencją irlandzkości.

- Naprawdę? Jesteś Irlandką?

Kątem oka widziała, że wciąż na nią patrzy. Wolałaby, żeby zwrócił wzrok w inną stronę.

- Nie, ale dzięki pobytowi na wyspie uświadomiłam sobie, co to oznacza, poczułam zapach irlandzkości.

-Awcześniej, jaki zapach był ci najbliższy? Rebecca spojrzała nań niepewnie. Wciąż wbijał w nią wzrok, gdy wiatr unosił jego rude loki. Przełknęła ślinę. -Noo?

- Może taki mieszany, amerykański.

- To dobry zapach.

- Myślisz?

- Mmm. Potpourri.

Roześmiał się. Nie zrozumiał jej, ale przez to mogła uniknąć mówienia o pewnych sprawach, więc zawtórowała mu. Potem wgrzyła się znów w kanapkę i spojrzała na drogę.

- Znalazłeś w tej książce jakiś pomysł na okładkę? - spytała.
- Tylko jeden.
- Mogę zobaczyć?

Fionn przerzucił kartki, znalazł stronę i podał jej książkę. Kaszlnęła. Był to obraz zupełnie nagiej kobiety w wannie. Rebecca wywróciła oczami.

- Wszystko się zgadza - mruknęła. -Co?
- Goła baba.
- Czemu wszystko się zgadza?
- Nieważne.
- Co masz na myśli?

Spojrzała na Fionna. Nadal patrzył na nią, ale teraz jego oczy były równie nieruchome co wtedy, kiedy przepraszała go za zatrzaśnięcie mu drzwi przed nosem.

- Jesteś facetem, a to jest goła baba. -I?

Wzruszyła ramionami.

- Nie wszyscy mężczyźni są tacy sami. - Wstał.
- To jest obraz nagiej kobiety. Co mam o tym myśleć?
- Nie zapytałaś mnie, co ja o tym myślę. To coś, co przypomina mi o domu, pamiętasz?

- Okej. Więc dlaczego przypomina ci to o domu?

- Nieważne - rzucił, odchodząc.

Rebecca szybko pozbiierała jedzenie. Była wściekła.

- Nie możesz tak postawić sprawy, a potem sobie odejść!
- Jakie to uczucie? - Odwrócił się do niej. Przystanąła.
- Zdenerwowałaś się, co? Jest ci niemiło. Ale takie są rozmowy z tobą. Rebecca poruszała bezgłośnie ustami.

- Teraz moja kolej. Ten obraz przypomina mi o domu nie dlatego, że widać na nim nagą kobietę w wannie, ale z powodu tego, kto ją namalował. W miarę upływu lat ta kobieta coraz więcej czasu spędzała w wannie. Nie była w pełni władz umysłowych, ale on ją kochał i chciał z nią być, więc siedział przy wannie i malował. Nie można poznać, czy ma dziewiętnaście lat, czy sześćdziesiąt, chociaż ciało widać wyraźnie. A wiesz dlaczego? Ponieważ malarz widzi ją taką, jaka była, kiedy się poznali. Dla niego tak właśnie wygląda. Oto całe jej piękno widziane przez pryzmat miłości. Bez tego malarza widzielibyśmy w wannie po prostu starą kobietę niespełna rozumu. -Odkręcił się na pięcie i ruszył do motocykla. - Znam takiego mężczyznę. Jego żona jest przy zdrowych zmysłach, ale wiem, że i on patrzy na nią sercem. Tego chcę ja i kiedy to zdobęde, odnajdę swój dom.

Rebecca stała na trawie niezdolna się poruszyć ani wykrztusić słowa. Wbrew rozsądkowi mogłaby przysiąc, że jego włosy z rudych stały się czerwone. Nie wiedziała, czy to słońce, czy jego złość. Powoli postąpiła naprzód, unosząc ciężkie stopy z objęć zielonej trawy, i skierowała się do motocykla. Poczula mdłości, więc wyrzuciła jedzenie do kosza na śmieci. Żałowała, że nie może pójść w swoją stronę. Chciała uciec od Fionna, ale wydostać się stąd mogła tylko z nim.

- Fionn? - spytała cicho, podchodząc. Spojrzał na nią. -Kim jest ten mężczyzna?

- To mój tata. Zawsze patrzy na mamę przez pryzmat miłości. Nie zauważyłaś?

Rebecca skinęła głową. Zauważyła.

- Tego właśnie pragnę, Becky. I żeby to zdobyć, muszę mieć otwarte oczy, uszy oraz mówić wprost. Prochy przeszłości mogą pokrywać moje ubranie, włosy, buty, ale nie powinny być w moich oczach, uszach i ustach. Zastanawiam się, czy bę-

dziesz potrafiła rozpoznać oczy pełne miłości, gdy na ciebie spojrzą, czy też prochy twojej przeszłości wszystko ci przesłonią.

Zapuścił silnik i podał Rebecce kask. Usiadła i złapała uchwyt. Chciała być teraz wszędzie, tylko nie na motocyklu z Fionnem.

Jechali w milczeniu. Rebecca czuła, że jej serce bije jak szalone. Trzecia po południu, a ona jechała na motocyklu z obcym człowiekiem przez obcy kraj. Co będzie, jeśli zdarzy się wypadek? Czy Sheila spakowała jej paszport? Czy ktokolwiek będzie wiedzieć, kim jest, jeśli zginie na irlandzkiej drodze? Co się stanie z Rowan?

Puściła uchwyt i chwyciła poły skórzanej kurtki Fionna. Po kwadransie wjechali na przedmieścia Athlone. Fionn się zatrzymał.

- Wciąż chcesz jechać autokarem? - spytał spod kasku.

- Nie, dziękuję - odpowiedziała niepewnie. - Wszystko w porządku.

- Widzisz, Becky, ja cię słucham.

Przejechali uliczkami małego miasta i ruszyli dalej przez irlandzką prowincję. Im bardziej zbliżali się do Dublina, tym więcej pojawiało się samochodów. Wraz z zagęszczaniem się ruchu ulicznego, Rebecca czuła narastający niepokój. Od tak dawna nie widziała Sharon i nie była pewna, czy jeśli staną twarzą w twarz, uda się uniknąć rozmowy o tamtym Świącie Dziękczynienia. Kiedy przekraczali granice miasta, obejmowała już Fionna za tors, opierając się policzkiem o jego plecy. Jego rude loki uwolniły się spod kasku i łaskotały ją w nos. Zamknęła oczy, trzymając go mocno i wdychając zapach jego włosów. Jej serce biło już znacznie wolniej, gdy jechali ulicami miasta. Gdy się zatrzymali, rozejrzała się.

- Gdzie jesteśmy?

- Przy domu Sharon i Johna.
- Nie w szpitalu?
- Tu się dowiemy, co się dzieje - odparł.

Rebecca zsiadła i zobaczyła, jak drzwi domu otwierają się i staje w nich matka Sharon. -Peg?

- Chodźcie, chodźcie. Tak długo na was czekałam, że zdążyłam przygotować podwieczorek dla całej wyspy! - zawołała, załamując ręce.

Rebecce to rozbawiło, jednak gdy spojrzała na Fionna, zobaczyła, że się uśmiecha, ale oczy ma wciąż tak ponure jak wtedy, kiedy ruszali w drogę dwie godziny wcześniej. Sięgnął do lewej sakwy i wyciągnął plecak. Zarzucił go sobie na ramię.

- Co z Sharon? - spytała Rebecca, odwracając szybko wzrok od Fionna i idąc po schodkach ku drzwiom.

- Zaczęło się wczoraj po południu. Jest ciężko. Przyplłynęłam wczoraj promem i musiałam poprosić Danny'ego, żeby mnie tu podwózł. Ale oni chcą, żebyśmy czekali w domu.

- Jakiego Danny'ego? - spytała Rebecca.

- Mojego młodszego brata - odpowiedział Fionn, zamykając za sobą drzwi. - Jeszcze tu jest?

- Wyszedł rano. Częstujcie się. - Peg skierowała się do kuchni. Jak wcześniej uprzedziła, czekał na nich podwieczorek, ale zupełnie inny od tego, do jakiego Rebecca się przyzwyczaiła. Ich oczom ukazały się ciastka cytrynowe i babeczki, kanapki z łososiem i octem słodowym ułożone na tacy obok kanapek marchewkowo-imbirowych, na stole były też małe porcje wieprzowiny zapiekanej w cieście i paszteciki oraz dwa dzbanki parującej herbaty.

- Dobry Boże! - jęknęła Rebecca.

- Wiem, wiem... Jedzcie.

Rebecca była głodna. Nie tknęła kanapki podczas lunchu i teraz, kiedy towarzystwo Peg dało jej szansę na oderwanie uwagi od Fionna, postanowiła usiąść i jeść z nadzieją, że humor mu się poprawi.

Gdy tak się posilali, Peg opowiadała o porodach Maggie, która miała już dwóch chłopców. Rebecca wiedziała, iż Peg -choć utrzymywała, że ma nadzieję po prostu na zdrowe dziecko - tym razem wołałaby wnuczkę. Tak powiedziała Sharon, zaraz zanim Rebecca opuściła Stany. Rebecca zauważyła na blacie brązową papierową torbę. Sharon przywiozła taką samą z sobą do Kalifornii, kiedy urodziła się Rowan. Znajdował się w niej gansej *seanchai*. Kiedy tylko przyszła jej do głowy ta myśl, westchnęła.

- Wszystko w porządku? - spytała Peg.

- Hę? O, tak. To tylko ten podwieczorek...

Peg spojrzała na brązową torbę i wyciągnęła z za niej długie pudełko opakowane w papier w kalifornijskie maczki.

- Proszę. - Podała je Rebecce. - Od Sharon. To nic wielkiego.

Uchyliwszy wieczko, Rebecca zobaczyła paczkę kaczidetek.

- Czy to sztuczne ognie? Peg wybuchnęła śmiechem.

- Nie! - zawołała. - To kaczidetka!

- To wcale nie było śmieszne. Mogłam spalić dom.

- Och, daj spokój. To było śmieszne i dobrze o tym wiesz.

- Rowan się podobało - wtrącił Fionn.

- Skąd wiesz? - spytała Rebecca.

- Tak mi powiedziała. Myślisz, że rozmawia tylko z tobą? Rebecca westchnęła. Powinna zadzwonić i sprawdzić, co u córki.

- Ominie cię w tym roku - powiedziała Peg.

- Tak. - Rebecca wzruszyła ramionami.

- Co cię ominie? - spytał Fionn.
- Dzień Niepodległości. Uroczystość u Rebeki.
- Doprawdy? Lubię świętować - ogłosił.
- To jest impreza nad imprezami, no nie, Becky?
- Jak to? - spytał Fionn.
- Och, mój tata miał na tym punkcie bzika. Inni ludzie obchodzili Święto Dziękczynienia albo Gwiazdkę. My też, ale nie tak jak Dzień Niepodległości. Zamykaliśmy naszą uliczkę i wszyscy wyciągali grille. Ciągłe tak robią. Razem z Rowan jeździmy tam co roku. Dzięki temu czuję się, jakby moi rodzice wciąż żyli.
- Uwielbiam grilla - oświadczył Fionn. - Co grillujecie?
- Kurczaka według przepisu mamy.
- A co jest szczególnego w tym kurczaku?
- Marynata i sos.
- Jaka marynata?
- Hm... Brązowy cukier, papryka, taka wędzona hiszpańska, tymianek, sól.
- A sos?
- Fionn! - Peg pokręciła głową. - Rany...
- No uwielbiam grilla!
- Ketchup, sos worcestershire, brązowy cukier, czerwona papryka, trochę sosu sojowego.
- A do czego ten sos?
- Dobry Boże, Fionn! - zdziwiła się Peg.
- Do sałatki z ziemniaków. - Rebecca się zaśmiała. Fionn się rozpogodził i to ją cieszyło.
- A z czego ta sałatka?
- Z ziemniaków, jajek, ogórków konserwowych, kwaśnej śmietany, cebulki dymki, boczku i pikantnego sosu Luizjańskiego.
- A co to za sos Luizjański?
- Fionn, przestań! - Peg chwyciła się za głowę.

Rebecca uśmiechnęła się do niego, a on odwzajemnił jej uśmiech.

- Amerykańskie potpourri.

- Tak. No więc pływamy w basenie Hernandezów, a potem wieczorem bawimy się w poszukiwaczy skarbów. Tata był strażakiem, więc mogliśmy używać tylko zimnych ogni, ale ustawialiśmy na ulicy krzesła ogrodowe i oglądaliśmy pokaz fajerwerków nad miastem. Potem tata wyciągał konstytucję i każdy na ulicy po kolei czytał kawałek. Później wznosiliśmy toast za kolejny rok wolności. Wciąż to zresztą robimy. - Rebecca łyknęła herbaty, czuła się już lepiej, bo Fionn znowu był sobą.

- Dzień Niepodległości wypada w czwartek za dwa tygodnie - zauważyła Peg.

- A ja mam sztuczne ognie! - odpowiedziała Rebecca. Peg uśmiechnęła się szeroko.

- Na mnie już czas. - Fionn wstał. - Wiesz, Becky, rozmawiałem z przyjacielem w Trinity i możesz przyjść skorzystać z biblioteki, jeśli chcesz. Zobaczymy, jak jutro będzie się czuła Sharon. I może skoro już tu jesteś, moglibyśmy tam pójść.

- O tak, z przyjemnością.

- No, to wpadnę jutro. - Wyszedł z kuchni. Rebecca i Peg ruszyły za nim. Otworzył drzwi i wyszedł na deszcz.

- Do zobaczenia jutro. - Peg pocałowała go w policzek. Rebecca patrzyła, jak wsiada na motocykl.

- Fionn! - zawołała, idąc za nim. Podchodząc, wetknęła dłonie w kieszenie i spuściła wzrok.

- Przepraszam.

- Za co?

- Za... za to, co powiedziałam o mężczyznach. Nie powinnam była... nie zasłużyłeś na to. Bardzo mi przykro.

Fionn przekrzywił głowę, uśmiechając się lekko. Potem podniósł się, nachylił i pocałował ją w policzek.

- Lepiej już wracaj, kochana. Pada. Do jutra. - Założył kask na głowę, zapuścił silnik i zjechał na jezdnię.

- Becky! - zawołała Peg od drzwi. - Rowan dzwoni! Rebecca odwróciła się, by odebrać telefon, ale zaraz spojrzała za siebie i patrzyła, jak Fionn znika we mgle.

Kratka z bąbelkiem

Kratka z bąbelkiem, t. Wzór przypominający kratkę z bąbelkiem w środku każdego rombu. 2. Wspólnota ludzi oplakujących stratę, pogrążonych w żałobie.

R. Dirane, *Sploty miłości*

Sean stał nad uschniętymi krzakami róż. Na ich gałązkach nie było nawet kolców, miotany wiatrem piasek zdarł z nich nawet ciernie. Rośliny zmarniały, mimo że regularnie przesadzał je w ciągu ostatnich czterdziestu lat. Kopał nawet doły w tych samych miejscach, gdzie z Claire sadzili pierwsze krzaki, tuż po wprowadzeniu się do chaty zmarłego trzy miesiące wcześniej ojca. Claire mówiła, że dom potrzebuje róż. Uwielbiała je.

Słońce wznosiło się wysoko, gdy w niedzielę Sean wyszedł na zewnątrz. Światło rozpraszało się w szarawej mżawce. Pół nocy zeszło mu na próbach otrzymania koloru morelowego. Nie udało mu się stworzyć odcienia dość ciepłego, by dorównał wschodowi słońca Liama, ale przypadkiem udało mu się uzyskać pomarańczowy odcień złota, który przypominał mu o ulubionej róży Claire. To odciągnęło jego myśli od trzeciego syna i zmusiło do wyjścia, by ocenić stan różanej rabatki.

- Claire, cóż, zostawiłaś mnie z niczym.

Jak tylko wypowiedział te słowa, usłyszał niesione przez wiatr dźwięki fujarki Joego. Paszkot przemknął tuż obok. Zaskoczony Sean odwrócił się szybko i ujrzał, jak ptak siada na stępce curragha. Westchnął, chwytając się za serce i patrząc na kołyszącą się na szaroniebieskiej toni, znikającą w oddali małą czarną łódź.

Wyspa rozpościerała się przed nim w całej okazałości. Na szczycie wzgórza, gdzie znajdował się cmentarz, zgromadziło się chyba więcej żywych, niż pochowano tam nieboszczyków. Przynajmniej tak zdawało się Seanowi, który stał na południe od grobowca rodziny O'Tlahertych i patrzył, jak Padrig Blake i Fionn O'Tlaherty kończą zasypywać kamienistą ziemią grób Mary. Claire stała obok i płakała cicho, gdy ziemia z łopat spadała mokrymi od szarej mżawki grudkami. Zbierało się na ulewę, Sean wyczuwał to w podmuchach wiatru.

- Claire, idziemy - rzuciła Ina. - Pub już zamknięty, jedzenie czeka.

- Mamy dość jedzenia w domu. - Sean zwrócił wzrok ku świeżej ziemi przykrywającej grób najstarszego syna.

- Sean, to brzemie trzeba nieść razem - wtrącił ojciec Michael. Sean ocenił, że ksiądz ma dwadzieścia kilka lat. Co taki młodzik mógł o tym wiedzieć?

- Sami je poniesiemy - odparł. - Nie potrzeba nam pomocy.

- Sean - wyszeptała Ina.

- Claire jest moja. - Obrzucił Inę zimnym spojrzeniem orzechowych oczu.

Odwróciwszy się od grobów i ludzi, których znał całe życie, poprowadził Claire obok grobowca rodziny Dirane i przez furtkę w kamiennej ścianie cmentarza.

Morahan.

Sean odwrócił się i zamarł, widząc Starego Dirane'a. Bazarz stał przy własnym grobie i palił fajkę, nie zwracając przy tym uwagi na mżawkę.

- Sean? - szepnęła Claire.

- Widzisz go? - sapnął i zamrugał powiekami. Znajdował się w szarej mgiele i czekał, aż jego zjawa zniknie.

Masz coś do opowiedzenia? - Stary Dirane wypuścił dym z ust.

- Co się dzieje? - spytała Claire.

- Zamknij się - mruknął Sean i popchnął ją w dół zbocza. Z lewego ramienia zsunął się jej szal. W połowie drogi na dół Morahan przystanął i niechętnie spojrzął przez ramię. Na skraju cmentarza zobaczył Padriga Blakea i księdza. Patrzyli na niego. Starego Dirane'a nigdzie nie było widać.

Puścił dłoń Claire i w ciszy przerywanej tylko jej łkaniem i hukiem fal ruszyli do domu. Żwir chrzęścił im pod stopami. Kobieta otworzyła drzwi, zanurzyła palce w muszelce z wodą i przeżegnała się. Za nią wszedł Sean. Również zanurzył palce w muszli.

- Niech Bóg błogosławi - mruknął. Nikt nie odpowiedział. - Claire!

Żona aż podskoczyła.

- Niech Bóg błogosławi - powtórzył.

- Witaj w domu, kochany - powiedziała cicho, ciągnąc za frędzel szala. - Napijesz się herbaty?

- Chętnie. - Spojrzał na nią spod przymrużonych powiek. Weszła do kuchni, a on zbliżył się do paleniska. Położył

dwie kostki torfu na szarym popiele; drobiny popiołu wzbiły się w powietrze.

- Przynieś mi zapałki - polecił.

Popiół opadł na podłogę i buty Seana. Z kuchni dobiegało brzęczenie naczyń. Odwrócił się na pięcie i wszedł do kuchni.

- Słyszałaś, co mówię?

Claire odwróciła ku niemu głowę i pokręciła nią.

- Powiedziałem, żebyś przyniosła mi zapałki - powtórzył ze złością.

Łzy, które od trzech dni nieprzerwanie spływały po jej policzkach, teraz zaczęły się łać obficie.

- Obwiniasz mnie! - syknął.

- Nie. - Kobieta westchnęła, próbując złapać oddech. Sean się skrzywił.

- Przecież widzę! Myślisz, że ich zabiłem. - Zbliżył się do żony. Cofnęła się.

- To był wypadek - wykrztusiła, ale jej oczy mówiły coś innego.

- Kiedy proszę o zapałki, masz mi je przynieść. Jeśli o coś proszę, oczekuję, że zostanie to zrobione. Moi synowie to rozumieli! Czemu ty nie rozumiesz?

Sean skoczył do żony. Potknęła się o nogę kuchennego stołu i upuściła dzbanek, który roztrzaskał się głośno o kamienną podłogę.

- Jezu Chryste! - wrzasnął i chciał ją złapać, ale nie zdążył, bo wybiegła kuchennymi drzwiami.

- Wracaj tu! - zawył i ruszył za nią, ale poślizgnął się na odłamkach dzbanka. Odzyskawszy równowagę, pobiegł do salonu. Drzwi wejściowe były otwarte, po Claire nie został nawet ślad. Wypadł na zewnątrz.

- Claire! - zawołał. Rozejrzał się, ale nigdzie jej nie zauważył. Pokuśtykał niezgrabnie w lewo, skręcił za róg i ujrzał, jak Claire spycha curragh na fale. - Zostaw tę łódź!

Podnosiła już wiosła, gdy biegł po plaży. Widział ból na jej twarzy, gdy zmagala się z falami. Wbiegł do wody i prawie złapał rufę curraghu, ale woda wymyła mu piasek spod nóg i padł na kolana.

- Wracaj! - wrzasnął. Podniósł się i ruszył przeciwko falom, ale były w niego niczym wielkie i zimne pięści. - Claire!

Nie mógł jej dosięgnąć. Z trudem ciągnęła wiosła, zmierzając na północ, byle dalej od domu i męża.

- Sean!

Znieruchomiał. Spojrzał na dno curragh i wiosła. Rozglądając się zamglonym wzrokiem, czuł, że poci się pod gansejem. Siedział w swojej łodzi i oddalił się sporo na północ od krasno-rostów. Wiatr niósł dźwięk piszczałki.

- Sean!

Słyszał głos Rowan i spojrzawszy w kierunku plaży, na której łowili O'Flaherty'owie, zobaczył, jak Rowan i Siobhan podskakują i machają do niego z fujarkami w rączkach.

- Tutaj! - zawołała Rowan.

Fionn senior stał przy swoim curragh. Jego ruda czupryna lśniła w słońcu jak miedź. Zawróciwszy łodzią, Sean ruszył do brzegu. Ramiona i plecy bolały, zmuszone do wysiłku, choć nie pamiętał nawet, jak wsiadł do łodzi. Fala poniosła go ku brzegowi, a kiedy wylądował na piasku, cała trójka wyciągnęła ją na brzeg. Przesuwając czapkę na tył głowy, zobaczył, że Siobhan ma na sobie te same dziwne ogrodniczki, w których paradowała Rowan.

- Twoja mama uszyła je dla Siobhan? - spytał.

- Pożyczyłam je od Rowan.

- Patrz! Patrz! - zawołała Rowan, unosząc prawą stopę i pokazując but. Na małej stópce miała prawdziwy *pampootie* przywiązany zgrabnie do kostki.

- Aaa, buty tutejszych rybaków. - Stary się uśmiechnął.

- Annie je dla nas zrobiła. - Rowan wskazała bliźniacze *pampooties* Siobhan. - Ściągałeś się z nami?

- To znaczy? - Sean przekrzywił głowę.
- Płynąłeś za nami - podpowiedział Fionn senior.
- Aaa... Nie. Po prostu szukałem lepszej ryby.
- My też byliśmy na rybach - pochwaliła się Rowan.
- Złapałeś coś? - Sean spytał Fionna.
- Tylko słońce. Jedziemy na podwieczorek. Jesteś zaproszony.
- Mm... Powinienem już wracać.
- Proszę - nalegała Rowan.

Spojrzał na jej twarzyczkę i chociaż wiedział, że nad głową ma białoszare niebo, to w jej oczach zupełnie się ono nie odbijało. Były w nich tylko odcienie ziemistego brązu. W pamięci nie miał takiego koloru. Jedyne wspomnienie z nim związane dotyczyło Rowan.

Skinął głową. Prostując się, poczuł, że w kręgosłupie i kolanach mu strzyka. Od wielu lat nie postawił nogi na plaży O'Flahertych i kiedy lewą stopą dotknął brzegu, piersi rozsadzał mu ból.

- Szybciej, bo przepadną nam ryby! - krzyknął Emmet i popchnął Seana, który wypadł za burtę. Jak w zwolnionym tempie Sean patrzył, jak jego starsi bracia, Emmet i Ronan, odwracają się i widzą, jak wpada do wody. Sieć, którą trzymali w rękach, oplotła nogę Seana.

- Nieee! - krzyknął Ronan.

Sean zaczepił kolanami o burtę i curragh się wywrócił. Słyszał, jak jego bracia wpadają do wody, ale ich nie widział. Przedzierając się przez czarną toń ku światłu, wychynał na powierzchnię, aby złapać powietrza. W tym momencie poczuł, jak coś mocno szarpie go za lewą nogę. Sieć ciągnęła go na dno. Zanurzając się, zobaczył przewrócony curragh, więc podpłynął

i złapał się go. Znow wystawił głowę nad powierzchnię. Sieć szarpała go i ciągnęła.

- Nie! - krzyknął, łapiąc za dno łodzi, odwrócone teraz ku niebu. Paznokciami wczepił się w burzę, szukając szczeliny w spojeniach, ale łódź należała do ojca, dlatego nie miało prawa być tam żadnych szpar.

- Tato! - krzyknął i się zanurzył. Kierując wzrok ku światłu, próbował utrzymać się blisko powierzchni. Nie mógł ani nabrać, ani wypuścić powietrza. Otaczała go lodowata woda. Jego oczy to dostrzegały. Jego ręce i nogi to czuły. Jego umysł o tym wiedział. Mimo to jego płuca wciąż domagały się tlenu. Sean znieruchomiał i zaczął tonąć, ciągnęła go ciężka sieć.

„Być może - przemknęło mu przez głowę - powinienem zaczerpnąć powietrza”.

Miał już to zrobić, gdy zobaczył nad sobą ojca. Sięgnął ku niemu ręką. Ojciec złapał go i wyciągnął z oceanu.

- Mówiłem, żebyś uważał na sieć - warknął ojciec. Sean jęknął, gdy Peter Dooley złapał go za sweter.

- Emmet mnie popchnął - wykrztusił, trzymając się łodzi Dooleya. Nogę miał wykrzywioną w złą stronę. - Ałaaa! -krzyknął, gdy kolano przeszył mu ból.

- Co to było? - spytał Dooley.

- Sieć - wrzasnął, wierzgając nogą, żeby się wyplątać. Kolano go paliło.

- Gdzie twoi bracia? - spytał ojciec.

- W wodzie - mruknął Sean, wciąż konwulsyjnie poruszając nogą.

- Gdzie?

- Nie widziałem. Emmet mnie popchnął! Wpadłem pierwszy. ..

Seanowi w końcu udało się wyplątać skórzany but z sieci. Choć miał wtedy zaledwie czternaście lat i szczupłą budowę

ciała, impet, z jakim to zrobił, sprawił, że razem z Dooleyem i ojcem przewrócili się na curraghu.

- Gdzie twoi bracia?! - krzyknął znowu ojciec.
- W wodzie - jęknął Sean, trzymając się za kolano.
- Nie widzę ich.

Sean spojrział na ojca i kiedy ich oczy się spotkały, zamarł.

- Są w sieci! - zawołał ojciec.
- Kto? - dobiegło od bakburty.
- Emmet i Ronan są w sieci...

Sean wyprostował się, patrząc w kierunku głosu. W curraghu po lewej stronie siedział stary Fionn O'Flaherty i jego nastoletni synowie - Tadhg, Nial i Fionn junior.

Tadhg i Nial zdjęli swetry oraz buty i skoczyli do wody. Byli urodzonymi pływakami, więc Sean się o nich nie martwił. Minutę czy dwie później wynurzyli się, walcząc z ciężarem sieci.

- Emmet! - Ojciec Seana wyrwał sieć Nialowi. - Emmet... W końcu wyciągnęli sieć. W środku byli Emmet i Ronan, biali jak morska piana.

- Nie - szepnął Sean.

Martwy wzrok Emmeta spoczął na Seanie, który aż się cofnął.

- Do wiosła! - krzyknął ojciec Seana. Nie patrząc w martwe oczy brata, Sean chwycił za wiosła.

Gdy łodzie płynęły, ojciec Seana rozpaczliwie wydobywał synów z sieci, a potem zaczął uciskać ich klatki piersiowe, by oczyścić płuca z wody, ale na próżno. Kiedy curragh wylądował na plaży O'Flahertych, ojciec Seana był równie nieruchomy i milczący jak jego obaj synowie. Osiemnastoletni Emmet i zaledwie siedemnastoletni Ronan nie żyli.

Tadhg, Nial i młody Fionn pomogli wyciągnąć ich z curraghu. Sean siedział z bolącym kolaniem i oczami piekącymi od soli, powstrzymując łzy, których nie śmiał uronić przed ojcem.

- Sean. - Stary Fionn przytulił chłopca. - To nie twoja wina.

- Zostaw mnie! - syknął chłopak, strząsając jego dłonie. Wyczołgał się z łodzi i ruszył po plaży. W kolanie czuł rozdzierający ból. Biegł boso po schodach, a potem prosto przed siebie, aż otoczył go tylko szum wiatru w krzewach i śpiew ptaków. Tam padł, przyciskając twarz do ziemi.

- Emmet, nienawidzę cię! Nienawidzę! Nienawidzę! Nienawidzę!

Jako najmłodszy, Sean zawsze padał ofiarą starszych braci. Bili go, kopali, a ojciec nie robił nic. „Będziesz twardszy”, mówił tylko. Teraz Sean wiedział, że ojciec obwini go za ich śmierć.

Czyjaś dłoń dotknęła go w ramię.

- Zostaw mnie - warknął.

- Sean, to ja, Claire.

- Zostaw mnie.

Dotknęła jego głowy i pod jej palcami Sean poczuł, że w jego piersi wzbiera ból promieniujący aż do gardła.

- Wszystko w porządku - powiedziała.

- Zepchnęli mnie z łodzi.

- Zawsze tak robili. Każdy o tym wie. To nie twoja wina.

- Tata będzie myślał, że moja.

Claire przytuliła jego głowę, przycisnęła do siebie. Łzy wypływały mu spod powiek. Nie chciał płakać, ale przy Claire... Pochodziła z rodziny Dooleyów, chociaż w jej objęciach Sean wyczuwał serdeczność, którą dziewczyna odziedziczyła zapewne po prababce. Ta część jej osobowości cechowała się współczuciem dla najniezwyklejszych i sympatią dla najpodlejszych. To właśnie sprawiało, że potrafiła ujrzeć prawdziwe wnętrze Seana. Tylko ktoś z O'Flahertych był do tego zdolny.

- Moi bracia nie żyją - szepnął. - Ojciec nigdy mi nie wybaczy. Zaczepili się o moją nogę, a ja ich zrzuciłem.

- Nie wiedziałaś, że tam byli.

- To nieważne. Nie rozumiesz?

- Seanie Morahanie, rozumiem jedno. Ludzie giną na morzu, gdy nie trzymają się razem. To największa z prawd i każdy na wyspie ją zna. Oprócz twojego ojca. Może ojciec cię obwi-ni, ale powinieneś wiedzieć, że to, co się wydarzyło, to wina twojego ojca. Kiedy doczekamy się synów, przypomnisz sobie o tym dniu i dopilnujesz, żeby trzymali się razem. To jest właśnie prawda, Seanie Morahanie.

Sean znał Claire i wiedział też, że tylko ją chce za żonę. Chodziło o to, że w rodzinie O'Flahertych wszyscy byli zżyci i darzyli się szacunkiem oraz miłością. Dlatego przez te wszystkie lata Sean tak bardzo chciał stać się jej członkiem. Jego ojciec wiedział o tym i chociaż Morahanowie i O'Flahertybwie łowili razem, dorastającemu Seanowi nigdy nie wolno było spędzać z nimi czasu. Nie powstrzymywało go to jednak. Chciał kochać, jak oni kochali, i dokonał tego. Pokochał Claire.

Mała rączka owinęła się wokół palca wskazującego Seana. Potrząsnął głową, chcąc odgonić wspomnienia, i zobaczył nad sobą Rowan. Od strony morza dobiegał odgłos fujarki.

- Morahan, wszystko w porządku? - spytał Fionn senior, marszcząc czoło.

Sean spojrzał na brązowowłosego mężczyznę - nie urodził się jeszcze, kiedy bracia Seana zginęli. Był synem młodego Fionna, a teraz sam miał wnuki. Sean odwrócił się do oceanu. Muzyka umilkła.

- Coś wisi w powietrzu - mruknął cicho.

- Nic nie czuję. - Fionn senior rozejrzał się po białoszarym niebie.

- Sean, chodź, zgłodniałam - nalegała Rowan.

Sean wyszedł z curraghu. Siłą woli starał się ukoić ból w piersi. Wlokąc się po piasku, czuł, jak malutki kciuk Rowan gładzi go po palcu. Jej dotyk działał na niego pogrzejajaco. Kiedy puściła jego dłoń, by wspiąć się po kamiennych stopniach do domu O'Flahertych, zadrzał w obawie, że znów pogrąży się we wspomnieniach. Szybko, ale delikatnie Sean wziął całą jej rączkę w dłoń i razem wspięli się po klifie.

Romb z drzewem życia i ściągaczem

Romb z drzewem życia w środku i ściągaczem na zewnątrz. 1. Środkowa część wzoru z dużymi rombami i jednym drzewem życia w każdym. Po obu stronach, w rogu, gdzie stykają się dwa romby, wykonuje się ściągacz. 2. Historia narodu.

R. Dirane, *Sploty miłości*

Następnego ranka John zadzwonił z informacją, że u Sharon ciągle bez zmian. Lekarze rozważali cesarskie cięcie, jeśli sytuacja nie zmieni się w ciągu doby. Jednak to wbrew życzeniu Sharon, która wołała urodzić siłami natury.

Peg powitała Rebecę tymi wieściami, gdy ta zeszła na śniadanie. Mama Sharon miała rzeczywiście pełne ręce roboty

- śniadanie składało się z jajek na kielbasie, kaszanki, tostów, pomidorów i herbaty. Rebecca roześmiała się i doszła do wniosku, że jeśli przyjaciółka wkrótce nie urodzi, to Peg będzie musiała otworzyć restaurację.

Fionn zawitał o dziesiątej. Wymusił na Peg obietnicę, że zadzwoni, jeśli coś się zmieni, i zabrał Rebecę do biblioteki. Na miejsce dotarli o jedenastej. Gdy weszła do budynku, poczuła się najbardziej „jak w domu”, odkąd przybyła do Irlandii. Biblioteki miały swój szczególny zapach - zapach dawnych czasów

- i to tu właśnie Rebecca czuła się najlepiej. Biblioteka Trinity

College była starsza od wszystkich, do których dotąd trafiła, i woń budynku mieszała się tu z zapachem książek, tworząc idealne dla niej środowisko. Poczła się szczęśliwa.

W dziale informacji Fionn podał bibliotekarce karteczkę od przyjaciela, wykładowcy uniwersyteckiego, który udzielił Rebecce zezwolenia na korzystanie z miejscowych zasobów. Gdy tylko kobieta skinęła przyzwalająco, Rebecca zapytała, gdzie znajdzie książki o tekstyliach, sztuce i irlandzkiej historii. Kierując się tam, spostrzegła, że Fionn podąża za nią.

- Nie musisz iść do pracy?

- Dopiero wieczorem. -O.

Rebecca spędziła w bibliotekach wiele samotnych godzin, studiując rękopisy, ślęcząc nad laptopami, robiąc notatki. Grant był przedsięwzięciem jednoosobowym i nikt nigdy nie pomagał jej w pracy. A teraz miała u boku Fionna, który towarzyszył jej w podróży w nieznaną zakamarki wiedzy. To też sprawiało, że czuła się zadowolona z życia.

Znalazłszy dział poświęcony zachodniej Irlandii, Fionn zaczął ściągać książki z półek. Sprawiał wrażenie, że lepiej od Rebeki orientuje się, po które dzieła warto sięgnąć w pierwszej kolejności. Gdy kładł je na stole, Rebecca wyciągnęła z plecaka laptop, notatnik i pudełko ołówków. Fionn usiadł obok i nie pytając o pozwolenie, przysunął do siebie notatnik oraz ołówki i otworzył książkę.

Czytali razem w milczeniu; Fionn skrzypiał ołówkami, a Rebecca go obserwowała. Sama nie pisała. Chciała wiedzieć, co on notuje. Po godzinie wstał, zabrał książkę oraz przybory i odszedł, nawet nie pomachawszy jej na pożegnanie. Kręcąc głową, patrzyła za nim.

- Nie całkiem z nim w porządku - wymamrotała i odchyliła się na krześle.

Od kiedy przyjechała do Irlandii, czyli trzynaście dni temu, nie udało się jej osiągnąć żadnego z wyznaczonych celów. Miała bardzo mało materiału do filmu o swetrach, kilka historii Rose i Liz o ściegach, które stosowały, i tylko parę zdjęć. Większość czasu spędziła z miejscowymi. A jednak w jakiś sposób im lepiej ich poznawała, tym częściej jej myśli wracały do przeszłości z Dennisem. Nie przybyła aż tutaj po to, by rozpamiętywać najgorsze chwile życia. Jeżeli już, to uwolnić się raz na zawsze od tych wspomnień. Potrzebowała uwiecznić na papierze i kliszy historię życia wyspiarskiej społeczności. Miała grant i zobowiązania.

- Nie mam nic - wyszeptała.

Wyprostowawszy się, otworzyła książkę leżącą po jej lewej stronie. To była historia Irlandii - nie zachodniej, ale całej, wersja skrócona, jedynie tysiąc stron z obrazkami. Rebecca dobrze wiedziała, że historia Irlandii jest obszerna - tak powiedziała Sharon. Książka otworzyła się na rysunku wykonanym tuszem, przedstawiającym Wielki Głód: płacząca kobieta klęczy przed kamiennym murem z sześciorgiem dzieci i niemowlęciem w ramionach; w tle widnieli angielscy żołnierze przetrząsający jej dobytek.

- Mam wszystko. - Westchnęła, dotykając kartki. Wróciło do niej wspomnienie.

Sharon siedziała na łóżku w ich pokoju w akademiku, patrząc, jak Rebecca robi ostatni rząd.

- Jak to teraz zakończyć? - spytała Rebecca, wyciągając w stronę przyjaciółki swój pierwszy zrobiony na drutach kapeć.

- Musisz zamknąć oczka.

- To znaczy?

- Umocowujesz oczka, żeby wiedziały, gdzie ich miejsce. Tak to się robi w moich stronach.

- Pokaż mi. - Rebecca podała Sharon druty.

- Jest takie miejsce, tylko dla ciebie. Nie czujesz tam, że unosisz się z wiatrem, że jesteś samotna, wiesz? Zawsze znajdzie się ktoś, kto cię przytrzyma, nawet jeśli podróżujesz, tak jak ja. Ja mam takie swoje miejsce. Czeka na mnie, kiedy wracam do domu, a kiedy mnie tam nie ma, to mam je w sercu.

- Też tak chcę.

- Pewnego dnia będziesz je mieć, zobaczysz.

- Unoszę się z wiatrem, Sharon.

Rebecca zamknęła książkę i wstała od stołu. Przechodząc do sekcji ze sztuką, rozejrzała się za Fionnem. Nie było go. Przeszła do tekstyliów, lecz tam też go nie znalazła.

- Muszę popracować - upomniała samą siebie i przeniosła się z laptopem i plecakiem na resztę dnia do działu z tekstyliami. Szukała czegoś o robieniu na drutach i wełnie, ale zamiast tego znalazła książki na temat koronek. Przypomniała sobie o ślubnej sukni matki ojca Michaela i ignorując znów cel swojego pobytu tutaj, czytała o koronkach. Gdy podniosła wzrok na okno, uświadomiła sobie, że słońce chyli się już ku zachodowi.

W tej chwili wrócił Fionn, uśmiechając się szeroko zza brody.

- Gdzie się podziewałeś? - spytała Rebecca.

- Szukałem czegoś. Skończyłaś?

- Skończyłam - odparła, po czym zamknęła leżącą przed nią książkę.

- Świetnie. Umieram z głodu. Nic dzisiaj nie jadłem. Wyszli z biblioteki i skierowali się w stronę motocykla.

Fionn nie mówił nic - ani o tym, gdzie spędził cały dzień, ani

o tym, co znalazł i dlaczego był taki zadowolony. Gdy podawał jej kask, włosy rozwiał mu wiatr. Rebecca rzuciła mu gniewne spojrzenie. Czasami nie potrafiła go rozgryźć.

Po krótkiej jeździe zatrzymali się pod pubem, a kiedy weszli do środka, kilka osób siedzących przy stolikach i barze pomachało im na powitanie. Usiedli w boksie pod oknem i Fionn rzucił na stół swój notes.

- Po pincie piwa i cydru, kochaniutka! - zawołał do kobiety za barem, a potem odwrócił się do Rebeki. - Czytałem rano książkę, w której była mowa o wyspiarskich swetrach. Podobno niektóre z tych wzorów można znaleźć w *Księdze z Kells*.

- Ach! Zapomniałam, że w Trinity jest *Księga z Kells*! - zawołała. W końcu nie myślała o pracy...

- Wiedziałaś o tym?

- Tak, jest w niej rysunek przedstawiający mężczyznę w czymś, co wygląda jak gansej.

- Och, tak czy inaczej nie to znalazłem.

- A co? - Rebecca uniosła brew.

- Zgadnij.

- Oj, przestań...

- Co, nie lubisz się droczyć? Kelnerka postawiła na stole piwo i cydr.

- Mary, kochana, dasz nam jakąś kolację?

- Dla ciebie, Fionn, wszystko. Uśmiechnął się i odwrócił do Rebeki.

- Patrz.

Otworzył notes. Rebecca zobaczyła piękny rysunek ołówkiem przedstawiający irlandzki splot. Był kwadratowy, w środku tworzył jak gdyby trójkąt. Już to wcześniej widziała.

- To przecież...

- Aye. Gansej *seanehai*.

- Pięknie rysujesz.

W tej chwili rozdzwoniła się komórka Fionna. Wyciągnął ją z kieszeni, żeby odebrać.

- Peg - rzucił. - Ach... - Przez chwilę milczał. - Czyli jeszcze nic?

Rebecca zmarszczyła brwi.

- No to przyjedzie ze mną.

- Gdzie przyjedzie? Czy z Sharon w porządku? - spytała Rebecca.

- Dobrze, kochana, dobrze. Do zobaczenia później. - Rozłączył się.

- Co się dzieje?

- John jedzie do domu się wykapać, a Peg pojedzie do szpitala posiedzieć przy Sharon.

- My też powinniśmy pomóc...

- Nie zaprosili nas. Mamy czekać. Ale teraz możesz jechać ze mną - powiedział wesoło.

- Do pracy?

- Posłuchasz zespołu.

- Wydawało mi się, że musisz pracować.

- To jest moja praca. To ten zespół, wiesz, mówiłem ci o nim. W składzie mają troje skrzypiec. - Fionn mrugnął porozumiewawczo. - Mówisz, że ładnie rysuję?

-Tak.

Przerzucił kilka stron notesu. Rebecca ujrzała jeszcze więcej misternych celtyckich wzorów naszkicowanych ołówkiem. Jej oczy otworzyły się szeroko, bowiem kilka z nich wyglądało jak te z ganseja dziadka ojca Michaela! Fionn otworzył notes na rysunku, który nie pochodził z *Księgi z Kells*. Wzór wyglądał na japoński.

- To ptak. - Dotknęła ołówkowych smug przedstawiających wiatr, muskających otwarty dziób ptaka.

- Paszkot.

- Piękny...

- Dzięki. Myślisz, że spodoba się kapeli?

- O, na pewno! - Rozpromieniła się.

Fionn uniósł kącki ust, wpatrywał się w nią czarnymi oczyma. Ku uldze Rebeki na stole pojawiła się kolacja. Kobieta spojrzała na paszkota i przypomniała sobie, jak przytulała Rowan w czasie burzy, kiedy patrzyły, jak ptaszek śpiewa w krzaku jeżyny.

- Znasz numer Annie?

- Chcesz porozmawiać z Rowan?

Przytaknęła. Fionn wziął komórkę i wybrał numer. Ucieszyła się, słysząc głos córki i same dobre wieści. Rowan dobrze bawiła się z Siobhan. Cały deszczowy dzień spędziły na ćwiczeniu przedzenia. Kiedy się zegnały, Rowan wydawała się trochę smutna, ale Rebecca wiedziała, że jest szczęśliwa i bezpieczna i że to przykre uczucie wkrótce minie dzięki pobytowi u nowej przyjaciółki.

Po posiłku wsiedli na motocykl i ruszyli mokrymi ulicami Dublina, połyskującymi w zachodzącym słońcu i świetle ulicznych latarni. Fionn zatrzymał się przed szeregiem domów, zaparkował i przerzucił przez ramię plecak Rebeki.

Stamtąd przeszli pięć przecznic do klubu. Rebecca nie mogła pojąć, dlaczego Fionn zaparkował tak daleko. Na pewno przed pubem znalazłoby się miejsce dla jego motocykla. Już miała go o to zapytać, ale weszli do środka i zanim zdołała cokolwiek powiedzieć, stała już w napierającym tłumie. Ludzie przeciskali się, żeby podać dłoń Fionnowi i się z nim przywitać.

Wchodząc wraz z innymi do ciemnego wnętrza, Rebecca poczuła, jak jej serce bije coraz szybciej. Jako samotna matka rzadko gdzieś wychodziła, a jeśli już, to przeważnie na spokojne kolacje ze współpracownikami. Dawno już nie była w klubie

i tłok trochę ją zaniepokoił. Odwróciła się i zaczęła przepychać do wyjścia. Fionn złapał ją za rękę.

- Muszę wyjść - powiedziała cicho.

- Co?! - zawołał Fionn, przekrzykując gwar. Rebecca zbliżyła usta do jego ucha.

- Rzadko chodzę do...

- Wszystko w porządku - odpowiedział jej do ucha. Zbliżył się tak bardzo, że poczuła jego oddech. Barman zawołał Fion-na po imieniu, a mężczyzna podał mu dłoń oraz plecak Rebeki na przechowanie.

- Nie mogę oddychać, taki tu tłok.

Fionn złapał ją w talii i poprowadził w głąb klubu.

- Mówię poważnie.

- Jesteśmy prawie na miejscu - zapewnił.

Rebecca miała już uwolnić się z jego objęć i obrócić, gdy tłum zrzędł. Chwyciła się za pierś i rozejrzała wokół. Stali na parkiecie.

- Zatańcz ze mną.

- O, ja... nie... tańcz...

- Spróbuj, Becky. Przypomnij sobie. Wiem, że kiedyś było inaczej, Sharon mi mówiła.

Fionn przycisnął ją do piersi. Zaczęli się powoli kołysać w przód i w tył.

- Słyszę, jak bije ci serce - szepnął, ruszając się w rytm skrzypiec.

- To ten tłum.

- Jesteś pewna? - spytał. Odsunął się lekko i spojrzał jej w oczy.

Skinęła głową.

- Tylko sobie tańczymy i słuchamy muzyki.

- Wcale nie tańczymy. Kiwamy się tylko wte i wewte. - Uśmiechnęła się, rzucając spojrzenie w kierunku skrzypiec.

- Na jedno wychodzi.

Potem ucichli, poruszając się razem w rytm muzyki. Kiedy utwór dobiegi końca, Fionn ją przytulił.

- Chodź, napijemy się.

Przy końcu baru znaleźli puste krzesło. Rebecca usiadła i kilkoma dużymi łykami opróżniła szklanę cydru. Od razu stanęła przed nią druga.

- Spragniona? - Jej towarzysz się roześmiał, sącząc piwo.

- Niestety, wciąż czuję niepokój.

- Dlaczego?

Przez chwilę patrzyła mu w oczy.

- Nie... Nie jestem do końca pewna. Może chodzi po prostu o to, że nie chodziłam z... nie chodziłam w takie miejsca od bardzo dawna.

- Przecież to tylko ja. Ten, który nauczył cię, jak przesadzać kamienne murki z wprawą godną rodowitej wyspiarki.

Rebecca się roześmiała.

- Miło słyszeć twój śmiech.

Wzruszyła ramionami, patrząc na swoje kolana. Słuchała skrzypiec, siedząc obok Fionna. W trakcie wieczoru podeszło do nich kilka osób i przedstawiło jej się, ale nikt nie został, żeby porozmawiać dłużej. Wszyscy słuchali muzyki. Od czasu do czasu Fionn delikatnie dotykał jej dłoni albo gładził włosy. Kilka razy sama chciała go dotknąć, ale się powstrzymała. Właśnie wtedy odwróciła uwagę od dźwięków i skierowała ją na własne wnętrze. Zastanawiała się, co jest nie tak. Gdyby problemem był Dennis i przeszłość, to po prostu nie chciałaby, by ktokolwiek ją muskał w ten sposób. Przynajmniej tak jej się wydawało. Ale lubiła dotyk Fionna, nie potrafiła go tylko odwzajemnić.

Gdy muzycy skończyli, Fionn poprowadził Rebecę do wyjścia. Tłum był tak samo gęsty jak wcześniej, ale nie miało to

już dla niej znaczenia. W środku czuła ciepło cydru oraz muzyki. Barman oddał jej plecak i wyszli z klubu w noc, trzymając się za ręce.

- Podobała ci się muzyka? - spytał Fionn.

- Tak - odpowiedziała cicho, uwalniając dłonie.

- Rzeczywiście grali jak paszkoty? Rebecca myślała przez chwilę.

- Nie wiem. Nie było burzy.

Fionn wzruszył ramionami i schował dłonie w kieszeniach. Ruszyli w kierunku motocykla. Rozdzielala ich mżawka.

- No, to dotarliśmy - powiedział wreszcie. Motocykl lśnił w świetle lamp.

- Siedzenie jest mokre.

- Nie wsiadamy.

- Jak to?

- Mieszkam tu. - Wskazał drzwi za swoimi plecami.

- Nie będę spała u ciebie. - Rebecca zamrugła. - Muszę wracać do Sharon.

- Becky, daj spokój. - Fionn otoczył ją ramieniem w pasie i tanecznym krokiem powiódł do drzwi.

- Fionn, nie będę u ciebie spała!

- Piłem alkohol, ty jeszcze więcej, drogi są mokre, pada deszcz. Peg i John są pewnie w szpitalu. Więc w czym problem?

- Po prostu... Nie chcę, żeby coś między nami zaszło.

- Na przykład? - Przytulił ją. Nie spojrzała mu w oczy.

- Nic nie zajdzie.

- Wszyscy tak mówicie.

- A chcesz, żeby coś się wydarzyło? - Puścił ją i włożył klucz do zamka. -Nie.

- Więc tak będzie. No, chodź.

- Będę spała na kanapie.

- To raczej niemożliwe. - Wchodził po schodach. Drzwi zatrzasnęły się za plecami Rebeki.

- Czemu?

Rebecca poszła za nim na drugie piętro, gdzie znajdowały się drzwi do mieszkania. Był to tylko jeden pokój. Z dużego okna rozpościerał się widok na oddalone wieże kościoła. Pod oknem stało łóżko. Na prawo od drzwi zobaczyła małą umywalkę, lodówkę i kuchenkę na dwa palniki, a po prawej komodę, wieżę CD i setki płyt na regale przy ścianie.

- Nie ma sofy - zauważyła.

- Uważasz pewnie, że mieszkanie jest małe.

- No cóż. - Wzruszyła ramionami.

- Nie potrzebuję nic większego. - Włożył klucze do komody. - Mieszkam sam. Dzięki temu nie gromadzę także zbędnych rzeczy. Często się przenoszę.

-Tak? -Aye.

- Ja też.

- Słyszałem o tym. Też szukasz swojego domu? Rebecca zmarszczyła brwi i się rozejrzała.

- Będę spała na podłodze.

- Będziesz spać ze mną w łóżku. Do niczego nie dojdzie. Rebecca westchnęła.

- Nic ze sobą nie wzięłam. -Nic?

- Piżamy, koszuli nocnej, wiesz...

Fionn sięgnął do szuflady i podał jej T-shirt.

- Łazienka jest tam. - Wskazał drzwi na prawo. Rebecca poszła się przebrać. Kiedy wróciła do pokoju, zaparło jej dech w piersiach. Na łóżku leżał Fionn, rozwalony

na poduszkach, z rękami splecionymi za głową i skrzyżowanymi nogami. Miał na sobie tylko bokserki, ale za to szeroki uśmiech. Rebecca przełknęła ślinę, patrząc na niego. Rude włosy miał nie tylko na głowie i brodzie, ale także na torsie. Był taki piękny. Przeniosła wzrok na lampę, lekko przekrzywioną, co sprawiało wrażenie działania zaplanowanego na to, by znalazł się w „świecie jupiterów”. Uśmiechnęła się cierpko.

- Śpię jednak na podłodze?

- Nie. Tu ze mną, proszę.

- No to się posuń.

Uśluchał. Rebecca szybko podeszła do łóżka, wskoczyła pod kołdrę, zgasiła światło i zwinęła się w kłębek. Serce waliło jej jak szalone. Zamknęła oczy i zwolniła oddech, starając się uspokoić.

- Zamknij oczy - powiedziała.

- Skąd wiesz, że są otwarte? - Delikatnie dotknął jej pleców.

- Śpij- Zgadnij, co literuję.

- Fionn, śpij już...

- Becky, proszę. Zagrajmy. Zgadnij, co literuję.

- Boże! - jęknęła nerwowo Rebecca.

Otworzyła oczy i skoncentrowała się na własnych plecach.

- G-R-A-M? -*Aye*.

- N-A S-K-R-Z-Y-P-C-A-C-H.

Rebecca zerwała się i włączyła światło. Fionn także usiadł. Wyszczrzył zęby.

- O co ci chodzi?

- Gram na skrzypcach.

- Co to ma do rzeczy?

- Powiedziałaś, że twój przyszły mąż będzie miał rude włosy i będzie grał na irlandzkich skrzypcach.

- Kto ci to powiedział?

- Sharon.

- Nigdy nie powiedziałam Sharon nic takiego.

- Nie, ale wspomniałaś o tym Rowan, która przekazała jej to podczas rozmowy telefonicznej w zeszłym roku.

Rebecca zmarszczyła brwi.

- Nikt wcześniej tak jasno nie dopominał się o mnie. Wiem, że to prawda, bo Rowan zapytała o to pierwszego dnia po przyjeździe. - Fionn zachichotał.

- Nigdy nic takiego nie mówiłam. - Rebecca na powrót wyłączyła światło i się położyła. Wiedziała, że Rowan doniosła Fionnowi o jej słabości do skrzypiec, ale nie sądziła, że córka dodała coś więcej. Na myśl, że ta rozmowa okrążyła pół świata i trafiła do mężczyzny o rudych włosach, który do tego gra na skrzypcach, poczuła zakłopotanie. Skuliła się, podciągając kołdrę pod brodę.

Łóżko skrzypnęło i Fionn wstał.

- Gdzie idziesz?

- Po skrzypce.

Usłyszała dźwięk wysuwanej szuflady i metaliczny stukot - Fionn otwierał futerał. Górne światło rozbłysło.

- Co ci zagrać?

- Fionn...

- Becks, zgódź się.

Rebecca obróciła się, gotowa zaprzeczyć, by kiedykolwiek mówiła o wyjściu za rudowłosego irlandzkiego skrzypka. Ale słowa uwieźły jej w gardle, bo Fionn naprawdę był najpiękniejszym mężczyzną, jakiego spotkała. Patrzyła, jak wsuwa skrzypce pod brodę, a jego rude włosy lśnią w świetle lampy.

- Co ci zagrać? - powtórzył cicho.

Nie odpowiedziała. Nie potrafiła. Fionn przyłożył smyczek do strun i ze skrzypiec popłynęła melodia. To była *My Lagan*

Love, piosenka, którą śpiewai jej, kiedy pokonywali ocean na małej łodzi - melodia, którą Rowan grała tak ładnie na fujarce. Patrząc na niego, czuła fizyczny ból. Ścisnęło ją w gardle, jakby zaraz miała się rozpłakać, a w piersi ją gniotło, jakby miała się udusić. Ale nie odwróciła wzroku. Nie potrafiła.

Fionn skończył i usiadł na łóżku. Położył skrzypce na podłodze, po czym zbliżył się po pościeli do Rebeki.

- Grasz na skrzypcach każdej przyprowadzonej tu kobiecie? - spytała cicho.

- Nigdy wcześniej nie był to warunek, od którego spełnienia zależało, czy będzie można się kochać.

- To my się kochamy?

- O tak. Uważasz, że jestem piękny.

- Ty na pewno nie masz co do tego wątpliwości - szepnęła, dotykając jego brody.

- Jestem rudy od czubka głowy po palce u nóg i wszędzie pomiędzy. Z przyjemnością ci pokażę.

Rebecca zachichotała.

Zygzak ze ściągaczem

Zygzak ze ściągaczem. I. Zygzak ze ściągaczem; wzór przypomina fale zbliżające się do wysokiego brzegu. 2. Sny.

R. Dirane, *Sploty miłości*

Tej nocy sen wrócił.

Było zimno. Mgła niczym całun spowijała błyskającego koguta na dachu radiowozu. Rebecca zauważyła sweterek Rowan zwieszający się z barierki przy autostradzie numer 1 wysoko nad oceanem.

- Rebecca! - zawołał Dennis. - Pomóż mi.

- Rowan? - Rebecca zbliżyła się do swetra. - Gdzie jest Rowan?

- Myślisz, że potrafisz ją uratować? - Dennis się zaśmiał. Jego głos słyszała tuż za sobą. Obróciła się z bijącym sercem, ale zamiast Dennisa ujrzała Sharon z wyciągniętą ręką.

- Mam cię, Becky - powiedziała.

- Rowan?! - zawołała Rebecca. Sharon objęła ją w talii.

- Nie puszczę cię. Mam cię teraz.

Rebecca poczuła, jak Dennis chwyta ją za szyję od tyłu i zaczyna dusić.

- Pomocy! - krzyknęła, ale kiedy się odwróciła, nie znalazła nikogo. Tylko noc i sweterek Rowan ześlizgujący się z barierki. - Neeee!

- Skoczyła ku barierce, ale było za późno. Sweterek zniknął. - Rowan!
- krzyknęła w czarną otchłań wody. - Rowan!
- Mam cię, Becky! - zawołała Sharon, a jej słowa rozbrzmiały echem

we mgle.

- Becky! Becky!

Rebecca otworzyła oczy i ujrzała rękę trzymającą ją w talii. Serce biło jej jak oszalałe. Szare światło przesączało się przez okno. Dniało.

- Puść mnie - wybąkała, drżąc pod ciężkim dotykiem Den-nisa.

- To ja - szepnął jej Fionn do ucha.

- Dennis?

- Nie, Becky. To ja, Fionn.

- Gdzie Rowan?

- Bezpieczna. U Paddy'ego i Annie na wyspie, pamiętasz?

- Rowan jest bezpieczna?

- Tak. Wszystko w porządku.

Rebecca ukryła twarz w poduszce. Pachniała Fionnem.

- Cała się trzęsiesz. Miałaś koszmar?

Nie odpowiedziała. Wciąż czuła na szyi palce Dennisa.

- Chcesz o tym porozmawiać? - Fionn przyciągnął ją do siebie.

- On tu jest - wymamrotała w poduszkę.

- Nie ma go tu. Ja jestem.

Rebecca zacisnęła powieki. Fionn pocałował ją w skroń.

- Tak mi trudno. Nie potrafię.

- Becky, nic się nie dzieje. Wszystko w porządku. Możesz zostawić przeszłość.

- Nie wiem jak.

- Obróć się.

- Nie potrafię, nie potrafię. - Próbowwała się odsunąć.

- Chodź do mnie. - Fionn pociągnął ją z powrotem na łóżko, przytulił delikatnie i położył jej głowę na swojej owłosionej piersi.

Rebecca bywała już wcześniej wciągana do łóżka i przytrzymywana brutalnymi, zaborczymi rękami. Wciąż czuła te ręce na swym gardle. Zesztywniała, zasłaniając dłonią usta. Ale leżąc tutaj, usłyszała pomruk Fionna. Był to niski dźwięk wibrujący pod jego skórą, łaskoczący ją w policzek. Mężczyzna gładził ją po plecach i włosach, nucąc *My Lagan Love*.

- Fionn, jestem zgnębiona życiem. Jak kobieta w wannie na tamtym obrazie - szepnęła.

- Ona nie była zgnębiona życiem, tylko przygnieciona kłopotami.

- Więc jestem przygnieciona kłopotami.

- Nie. Sprawiasz ich wiele, ale nie jesteś nimi przygnieciona - powiedział z uśmiechem.

Również się uśmiechnęła, patrząc, jak jego pierś wznosi się i opada, a on znów zanucił pieśń, która brzęczała jej w uchu. Łagodnym ruchem odgarnął jej włosy z twarzy. Zamknęła oczy, wczuwając się w dotyk i wsłuchując w melodię.

- Ładnie śpiewasz - powiedziała.

- Lepiej radzę sobie ze skrzypcami.

Spojrzała na niego. Uśmiechał się. Odpowiedziała tym samym i położyła lewą dłoń na jego piersi, patrząc, jak jej palce igrają z jego włosami.

- Prawda? - spytał.

- Pięknie grasz na skrzypcach.

- Wiem. I do tego mam rude włosy. Wszędzie. Zachichotała. Jego śmiech zadudnił jej w głowie. W tym momencie obok łóżka rozdzwoniła się jego komórka. Rebecca zamknęła oczy i przytuliła się do niego. Odebrał.

- Halo? O, cesarskie cięcie. Świetnie! Chłopak czy dziewczynka?
Rebecca podniosła się na łokciu.

- Dziewczynka! Einin Margaret Fitzpatrick. Jak się ma Sharon?

- Einin Margaret - powtórzyła Rebecca, odwracając się i sięgając po T-shirt.

- Sharon ma się świetnie. He? Dlaczego powtarzam wszystko na głos?

Rebecca okręciła się i potrząsnęła głową. Fionn energicznie pokiwał, ale ona zmarszczyła brwi i stanowczo pokręciła raz jeszcze.

- Po prostu lubię dźwięk własnego głosu, kochana Peg. Wiesz co, skoczę teraz po Becky i przyjedziemy zobaczyć Einin. Świetnie! To pa.

Rebecca zerknęła na Fionna. Leżał bez ruchu, patrząc na nią.

- Mogę wziąć prysznic?

- Może weźmiemy razem?

- Wolalabym sama. - Podniosła ubrania z podłogi i weszła do łazienki.

- Żadna przyjemność. - Fionn wzruszył ramionami, wstając. - Ty umyjesz mnie, a ja ciebie.

Rebecca zagłębiła się w łazience, patrząc, jak Fionn się zbliża. Łazienka była tak mała, że kiedy zamknął drzwi, przycisnęli się do siebie.

- Nie wiem, jak to zrobić - powiedziała cicho.

- Nie trzeba nic robić.

Odkręcił wodę, zdjął ubrania Rebeki z jej ramion i pchnął ją lekko do kabiny. Ciepła woda obmyła ich ciała. Powoli zaczęli się wzajemnie namydlać. Szorując Fionna, Rebecca patrzyła, jak jego rude włosy ciemnieją pod wpływem wody.

- Nie wiem, czemu w ogóle mnie znosisz - powiedziała, płucząc mu włosy. - Sprawiam same kłopoty.

Roześmiał się.

- Ponieważ, skarbie, z tego, co słyszę od lat, jesteś bardzo wrażliwą osobą. Jesteś czuła wobec córki i Sharon, chociaż tak po prawdzie, nie wiem dlaczego.

Rebecca zachichotała.

- Z tego, co widzę, jesteś czuła wobec Maggie, Rose, Liz, moich rodziców. Pomogłaś Jimowi Fitzgibbonowi. Lubisz mojego psa.

Fionn zakręcił wodę i wziął dwa ręczniki.

- Jesteś czuła dla każdego oprócz siebie.

Rebecca spojrzała mu w oczy, biorąc ręcznik. Patrzył prosto na nią i chciała odwrócić wzrok w obawie, co może w niej zobaczyć - może coś z tamtego Święta Dziękczynienia? Ale jeśli nawet zobaczył w niej taką potworność, nie spuścił wzroku.

- Dlatego ja jestem czuły wobec ciebie, bo sama sobie mnie wybrałaś, pamiętasz? Rude włosy? Skrzypce?

Uśmiechnęła się.

Fionn pocałował ją w policzek i wyszedł z łazienki.

- Zapomniałem ubrań, spiesząc się pod prysznic z tobą. - Zamknął za sobą drzwi.

Rebecca wytarła się i ubrała. W drugim pomieszczeniu zastała Fionna z kubkiem herbaty. Podał go jej i znów ucałował w policzek, a następnie sam wszedł do łazienki.

Odstawiła herbatę i pościeliła łóżko. Na nocnym stoliku zobaczyła notatnik z jego rysunkami. Usiadła na poduszkach i sącząc herbatę, przerzucała strony. Fionn skopiował z *Księgi zKells* miniatury. Rebecce przyszło na myśl, iż spiralne, poskręcane wzory wyglądają, jak gdyby malujący je mnisi celebrowali życie, tańcząc w tuszu. Podczas swoich badań znalazła tylko

jedno odniesienie do wyspiarskich gansejów z *Księgi z Kells*. Nie chodziło tyle o pochodzenie wzorów, ile o rzeczywisty rysunek mężczyzny, który wyglądał, jak gdyby miał na sobie taki właśnie sweter. Zastanawiała się, czy Fionn znajdzie czas, aby wrócić do Trinity, bo po wizycie w bibliotece miała tylko jego rysunki. Na kolejnej stronie znalazła paszkota. Dotykała kartki, gdy Fionn stanął w drzwiach.

- Głodna? - Potrząsnął włosami i wciągnął T-shirt przez głowę.
- Trochę.
- Zjemy coś po drodze do szpitala.
- Mogę to zatrzymać? - zapytała Rebecca.
- Teraz to twój notes, Becky.
- Miałam na myśli tylko tę kartkę z paszkotem.
- A, to dla ciebie. Twój Irlandczyk.
- Mój Irlandczyk - powtórzyła, odłożyła notatnik i włożyła buty.

Na ulicy stwierdzili, że wraz z nastaniem świtu ukazało się przejrzyste dublińskie niebo. Zza okna dobiegały świergot ptaków oraz warkot samochodów i motocykli. Rebecca uświadomiła sobie, że na wyspie zdążyła zapomnieć o miejskiej wrzawie. Nie tęskniła za tym. Przyłgnęła mocniej do Fionna, denerwując się jazdą na motocyklu po ulicach miasta. Po krótkim przystanku na kawę i rogaliki skierowali się prosto do szpitala, po drodze kupując od ulicznego sprzedawcy bukiet kwiatów. Weszli do budynku razem. W windzie Rebecca puściła rękę Fionna i wbiła wzrok w ziemię. Minęło sześć lat, odkąd ostatni raz widziała Sharon. Ich rozmowy przez telefon dotyczyły pracy i życia - robienia na drutach i codziennych obowiązków. Teraz, gdy winda pięła się w górę, Rebecca poczuła na barkach ciężar tamtej nocy sprzed sześciu lat, ciężar przytłaczający

i bezlitosny. Z jednej strony bardzo chciała zobaczyć Sharon, z drugiej zaś równie mocno chciała wsiąść na motocykl i wrócić na wyspę.

Rozbrzmiał dzwonek windy, drzwi otworzyły się, ale Rebecca ani drgnęła.

- Chodź - powiedział Fionn.

- Nie mogę - wyszeptała. - Nie widziałam jej, odkąd...

- Pomogę ci.

Podniosła wzrok i zobaczyła, jak wyciąga do niej prawą rękę; w lewej niósł kwiaty.

- Wszystko będzie dobrze.

Rebecca ujęła jego dłoń. Krew łomotała jej w uszach, gdy szli korytarzem. W drzwiach do pokoju Sharon stała Peg, tuląc małe, żółte zawiniątko; sześć lat temu Peg tak samo trzymała Rowan.

- Sharon, przyszła Becky! - zawołała.

Rebecca zwolniła kroku, ściskając mocno rękę Fionna. Wciągnął ją do środka. Niepewnie spojrzała na łóżko i ujrzała Sharon. Czarne włosy spływały jej w nieładzie na ramiona. Wyglądała na zmęczoną. Była blada, ale jej błyszczące, czarne oczy emanowały takim spokojem i pewnością jak wtedy, gdy widziały się ostatnio. Rebecca przyłożyła dłonie do ust, dławiąc okrzyk wyrrywający się jej z piersi. Sześć lat łez popłynęło z jej oczu, a ból rozdzierał serce.

- Chodź, Becky. - Sharon wyciągnęła rękę.

Rebecca podeszła do łóżka, nachyliła się i przytuliła Sharon. Płakała, mocząc ramię przyjaciółki. Ta jednak nie uroniła ani jednej łzy. Rebecca wiedziała dlaczego. Pamiętała, jak Sharon mówiła jej, że niektóre uczucia ludzi z wysp są tak głębokie, że nie można ich wyrazić ani płaczem, ani śmiechem, ani rozmową. Rebecca wiedziała, że Sharon czuła teraz to wszystko, i właśnie do tych uczuć się przytulała, bo od sześciu lat spadała

w pustkę i dopiero teraz wracała do kogoś, o kim wiedziała, że posiada dość siły, by ją złapać.

- Wszystko w porządku, Becky. Mam cię. No chodź, połóż się wreszcie.

Rebecca pokręciła głową i się cofnęła.

- Nie boli cię nic? - wymamrotała przez łzy.

- Czuję się dobrze. - Sharon poprawiła się, krzywiąc usta.

Rebecca nie chciała się kłaść, ale nie chciała też, by Sharon marnowała energię na przekonywanie jej do tego. Nagle przypomniała sobie, po co tu przyszła. Niechętnie weszła na łóżko.

- A gdzie dziecko? - spytała.

- Mamo, połóż Einin między nas - poprosiła Sharon. Rebecca patrzyła w zdziwieniu, gdy Peg układała żółte zawiniątko. Ze środka wystawała kępka czarnych włosów.

- Czy pamiętasz, jak ostatni raz tak leżałyśmy? - spytała Sharon.

- Nie chcę pamiętać... - Łzy wciąż kapały Rebecce z policzków na poduszkę.

- Pamiętaj, Becky.

Rebecca zamknęła piekące powieki, siłą woli odganiając wspomnienie. Sharon pogładziła ją po policzku tak delikatnie, jak zrobiła to z Rowan w dniu, kiedy się narodziła.

- To musi być coś mocnego i magicznego - wyszeptała Peg, patrząc przez szpitalne okno na szarobłękitne niebo jesiennego poranka w Los Angeles.

- Nic jeszcze nie wymyśliłam - odparła Rebecca, gładząc palcami miękkie, kasztanowe włosy córki.

- W porządku. Wrócimy jeszcze do imienia dla dziecka - powiedziała pielęgniarka. - A nazwisko ojca?

Rebecca spojrzała na stojącą przy łóżku Sharon. Wyglądała na równie zmęczoną co ona. Poród trwał trzydzieści osiem godzin, ale razem dały radę.

- Ojca nie ma - odpowiedziała Sharon uśmiechem.

- Nie ma? - Pielęgniarka rzuciła szybkie spojrzenie w kierunku Peg.

- No cóż, był taki jeden chętny podjąć się tego zadania, ale wcale nie lubił irlandzkich skrzypiec tak bardzo, jak twierdził na początku.

- Nie wiem, kim jest ojciec - potwierdziła Rebecca. Tak naprawdę to nie było kłamstwo. Wiedziała, że to Dennis jest mężczyzną, z którym spędziła noc, kiedy dziecko zostało poczęte, ale nie miała pojęcia, kim stał się przez te dwa lata, jakie upłynęły od chwili, gdy się poznali.

- W porządku - powiedziała pielęgniarka, skrobiąc głośno długopisem po akcie urodzenia w cichym pokoju.

- Rowan! - zawołała Rebecca.

- Rowan? - Pielęgniarka podniosła wzrok.

- Drzewo mocne i magiczne - ciągnęła Rebecca. - Tak jak chciałaś, Peg! To Rowan!

- Dobrze irlandzkie miano, jak powiedziałby mój ojciec - rzuciła Sharon z mocnym, śpiewnym akcentem.

Rebecca zachichotała, dotykając idealnie okrągłej głowy córki.

- Nazywa się Rowan Moray.

- Proszę nas zostawić na chwilę. - Sharon uśmiechnęła się do pielęgniarki.

Kobieta przytaknęła, wzięła akt urodzenia pod pachę i wyszła. Gdy drzwi zamknęły się za nią, Sharon westchnęła.

- Wszystko w porządku, Becky.

- Naprawdę? Nie mam rodziców, nie mam domu, męża, nie mam ojca dla Rowan, nie mam nic.

- Masz piękne dziecko - wtrąciła Peg.
- Masz mnie - dodała Sharon.
- Ty wrócisz do Irlandii, tak jak po college'u.
- Pojedziesz ze mną.
- A co będę robić na wyspie? Teraz wykładam na uniwersytecie.
- Będziesz badać swetry. Zawsze chciałaś to robić. Rebecca przewróciła oczami.
- Znajdziesz swój dom, a może nawet męża dla siebie i ojca dla Rowan.
- Jej ojciec jest tutaj.
- Gdzie? - Sharon rozejrzała się po pokoju. - Na pewno nie na tym akcie urodzenia. Nic cię tu nie trzyma.
- Wniósł o uznanie ojcostwa. Zrobią testy, a wiemy, jaki będzie rezultat.
- Jeśli wyjedziemy...
- On już złożył papiery. Mam zakaz opuszczania kraju. Sharon znów westchnęła.
- Nie powinnam mu mówić, że nie wpisujemy go do aktu urodzenia - wymamrotała, obracając się do matki. - Ten mój temperament. Przepraszam, Becky.
- To nie twoja wina. - Rebecca wzięła rączkę Rowan. Dziecko leżało beztroskie i nieświadome burzy, jaka szalała wokół. Rebecca spojrzała na Sharon i zaczęła płakać.
- Przytulisz mnie? - wychlipała.
- Sharon położyła się na łóżku. Rowan leżała między nimi, bezpieczna. Sharon pogładziła ją po policzku, a potem położyła rękę na brzuchu Rebeki.
- Nie jesteś sama, Rebecco Moray. Trzymam cię mocno i nie puszcę.

Rebecca szlochała, dotykając piegowatego policzka Sharon.

- Jakoś się trzymam - szepnęła Sharon.

Rebecca przytaknęła, odsuwając żółty kocyk z twarzy Einin. Dziecko popatrzyło sennie w oczy Rebeki.

- Nie ma piegów - zauważyła.

- Na razie.

- Ma zielone oczy - powiedział Fionn.

Rebecca spojrzała przez ramię i ujrzała, że stoi przy niej.

- Jak wszyscy z rodu Dooleyów, prawda, John? - spytał Fionn.

- Ja się w to nie mieszam - mruknął John z kąta sali.

- Ma jasne oczy, tak jak wszystkie dzieci - wyjaśniła Fionnowi Rebecca.

- O'Flaherty'owie mają zielone oczy - powiedziała Sharon.

- Becky, nie mieszaj się w to - ostrzegł ją John.

- O'Flaherty'owie mają czarne oczy - odparł Fionn.

- Dooleyowie mają czarne oczy i ciemne włosy - powiedziała Sharon.

- Dooleyowie mają zielone oczy - zaprotestował Fionn. Rebecca przeniosła wzrok z Fionna na Sharon. Oboje mieli czarne oczy. Już wcześniej to zauważyła, ale nie zdała sobie dotąd sprawy z łączącego ich podobieństwa. Ich oczy - oczy, którym ufała najbardziej na świecie - były identyczne.

- O'Flaherty'owie mają orzechowe oczy i rude włosy. Wszyscy to wiedzą. A Dooleyowie mają czarne włosy i czarne oczy - powiedziała Sharon.

- Jesteście spokrewnieni? - spytała Rebecca, patrząc to na Sharon, to na Fionna, i ze zdziwieniem odkrywając, że ich oczy były tego samego koloru i kształtu.

- Babka twojej babki miała czarne oczy i była O'Fla... - zaczął Fionn.

- Twój prapradziadek ożenił się z Dooleyówną i to stąd O'Flaherty'owie mają czarne oczy.

- Oni tak zawsze? - spytała Rebecca Peg, siadając na krawędzi łóżka.

- Zawsze. Fionn pojawił się pierwszy. Był spokojny do czasu, aż ona się urodziła, i od tamtej pory tak się żrą. Nie było spokoju na wyspie, dopóki nie wyjechali.

Rebecca się roześmiała. Einin ziewnęła i pisnęła.

- No masz - odezwał się John. - Obudziliście mi córkę. Rebecca podniosła Einin. Dziecko wiło jej się w ramionach.

Włosy miała czarne, oczy jasne, usta zaś wypukłe jak ptasi dziobek. Stopniowo na czółku pokazała się zmarszczka. To właśnie ten zmartwiony wyraz buzi sprawił, że Rebecca pokochała córeczkę przyjaciółki. Zrozumiała, że to dziecko zawsze będzie także jej dzieckiem.

- Sharon, ona jest piękna. -Aye.

Samotna łza skapnęła z policzka Rebeki na Einin, a następnie wsiąknęła w kocyk. Nie była to łza cierpienia, tylko zachwyty.

- Tak dawno nie płakałam, a teraz patrzcie, nie mogę się powstrzymać...

Sharon się uśmiechnęła. Pod oczami miała cienie. Mars na czółku Einin pogłębił się, a ptasie usteczka wykrzywiło niezadowolenie. Rebecca przypomniała sobie podobny wyraz buzi Rowan. Tęskniła za córką, ale wiedziała także, że właśnie przytula swoje drugie dziecko. Gdy spojrzała na Sharon, ta miała zamknięte oczy.

- Powinniśmy już iść. Sharon, wyglądasz na wycieńczoną. Wrócimy później.

-Aye - szepnęła Sharon. - Będę tu jeszcze do jutrzejszego wieczora. Bardzo mi pomożecie, jeżeli zostaniecie aż do mojego powrotu.

- Oczywiście. - Rebecca odwróciła się i zobaczyła, że Fionn stoi tuż za nią.

- Chcesz ją potrzymać?

Einin otworzyła buzię i uderzyła w płacz.

- Widzisz, Sharon. Fionn wpływa na naszą córkę tak samo jak na ciebie - podsumował John.

Wszyscy się roześmieli. Fionn wziął dziecko.

- No proszę, wykapana mama, co? Nie będzie już spokoju, tylko awantury do samego końca.

- Chyba jest głodna - stwierdziła Rebecca.

-Aye. - Fionn pochylił się i położył Einin na łóżku, całując Sharon w policzek. - Jest śliczna.

- Dziękuję - odpowiedziała Sharon.

- Wrócimy później - zapewnił. Rebecca ruszyła do drzwi.

- Bardzo mnie tym ucieszycie - powiedziała Sharon. - Aha, Becky?

Rebecca się odwróciła.

- Potrzebujesz kluczy do domu?

- Słucham? - Rebecca przekrzywiła głowę.

- Jak weszłaś wczoraj do domu? Mama i John byli tutaj. Rebecca uniosła brwi, przeskakując wzrokiem od Sharon

do Peg, która uśmiechała się chytrze. John zaśmiał się pod nosem, wstając z krzesła. Sięgnął do kieszeni, wyciągnął klucze i zadyndał nimi.

- Nie musisz odpowiadać na to pytanie. Fionn wziął klucze i powiodł Rebecę za drzwi.

- On ma rude włosy! - krzyknęła Sharon za nimi.

- Zagrał ci na skrzypcach? - dorzucił John.

Śmiech z pokoju Sharon poniósł się echem po szpitalnych korytarzach. Dzięki Bogu drzwi windy stały otworem.

Następny dzień Fionn i Rebecca spędzili w bibliotece oraz w szpitalu, a wieczorem pomogli Sharon wrócić do domu. Rebecca przebywała u nich dwa dni, rozmawiając z Sharon o dzieciach, karmieniu piersią, spaniu i cesarce.

W piątek rano Fionn zajechał przed dom zabrać ją z powrotem na wyspę. Ze łzami w oczach Rebecca siadła na motocykl, czując smutek, że opuszcza Sharon, ale zarazem radość, że wraca na wyspę i do Rowan. Przytulając twarz do pleców Fionna, westchnęła z ulgą, bo chociaż była z Sharon trzy dni, temat Dennisa i Święta Dziękczynienia nie został przez nią poruszony. Choć wspomnienia ciążyły jej na sercu, to ulgę przyniosła myśl, że nie musi już obawiać się spotkania z Sharon.

Magia Joego

Magia Joego (Szablon 5, Wzór 2, Barwnik 1), część środkowa. 1. Węzeł celtycki i drzewo życia. Wewnątrz potrójna spiralka na jednej trzeciej i dwóch trzecich wysokości wzoru. Po obu stronach części środkowej, mech przy kolumnie półksiężyców (u góry każdego półksiężycyca spuszczone oczko przypominające wielorybią fontannę), dalej pojedynczy warkocz. Na krawędziach ścieg koszykowy. Kolor niebieski. 2. Zrozumienie tego, czego nie widać.

R. Dirane, *Sploty miłości*

Niebieskofioletowe niebo nie było dziś przyczyną udreki Seana, gdy szedł do miasteczka po barwnik. Umysł miał wypełniony kolorem mahoniowym. Nie potrafił stworzyć tego koloru, nie miał farby, która mogłaby oddać szczególny odcień brązu oczu Rowan. Uśmiechnął się, wspominając, jak bardzo się rozzłościła, kiedy spotkali się po raz pierwszy. Cieszył się, że miał szansę z bliska zobaczyć jej wyrażające pewność siebie oczy. Śmiejąc się pod nosem, wkroczył do miasteczka. Tego piątkowego południa słońce świeciło mocno.

Gdy przechodził przez ulicę, obok przemknęły rowery. Czuł pragnienie, ale nie chciał wstępować do mrocznego pubu O'Flahertych. Skręcił przy wypożyczalni Hernona i zobaczył długą

kolejkę turystów. Zmęczony upałem i marszem przysiadł na krawędzi kamiennego kwietnika stojącego przy kościele.

- Przepraszam!

Podniósł wzrok. Dwóch młodych rowerzystów zatrzymało się na prawo od niego.

- Aye? - Przesunął czapkę na tył głowy.

- Może nam pan powiedzieć, jak dojechać do fortu?

- Prosto tą ulicą, potem w lewo przy Dooleyach, potem w prawo i prosto na południe. Znajdziecie bez trudu.

- Dzięki. Odjechali.

- Dzień dobry, Sean.

Morahan spojrział w lewo. Ojciec Michael stał w bramie.

- Dobry.

- Napijesz się lemoniady? Liz zrobiła. W taki dzień nie ma nic lepszego.

Sean na nowo poczuł pragnienie.

- Bardzo chętnie. - Wstał i podszedł do księdza. Za bramą znalazł leżące na ścieżkach ogrodu odcięte gałązki róży i chwasty. - Czyścimy rabatki?

- We wtorek mam pokaz róż i nie wiem, które pąki wybrać. Zawsze kiedy już postanowię, jakie kolory najbardziej pasują do moich doniczek, przychodzę na rabatę, ale nie mam serca ścinać róż. Zamiast tego podcinam tylko niektóre gałązki i wyrywam chwasty. Siądź tutaj. - Postawił krzesło przy małym żelaznym stoliku.

- Z czego są te donice?

- Z mosiądzu. - Ojciec Michael podszedł do drzwi kuchennych. - Zaraz wracam.

Sean zdjął czapkę. Stolik stał w cieniu pod drzewem. Drapiąc się po głowie, rozejrzał się po ogrodzie. Pąki róż otwierały się pod wpływem słońca, ukazując kolorowe płatki. Od bramy

wiat wietrzyk, niosący, niczym szepty, ich zapach. Mężczyzna z zamkniętymi oczami rozparł się na krześle i zaczął rozmyślać, kiedy po raz ostatni tak siedział i nie robił nic poza wachaniem kwiatów. Jedno było pewne - minęło dużo czasu. Po tym jak odeszła Claire, nie umiał poradzić sobie z pielęgnacją róż.

- Ojczy?

Sean otworzył oczy. W bramie stała Maggie OFlaherty z wy-mizerowaną twarzą.

- O! - zawołała na widok Seana. - Dzień dobry.

- Dzień dobry - odpowiedział, wstając.

- Co się dzieje? - Ksiądz wyszedł z kuchni z dwiema szklankami lemoniady w dłoniach.

- Widział ojciec Rowan i Siobhan? - spytała. -Nie.

- Zgubiły się? - Morahan podszedł do Maggie.

- Powiedziały Annie, że idą zbadać rybackie sekrety. Szukałyśmy wszę... - zaczęła Maggie.

- Sprawdźcie jolkę starego Diranea? - Sean się uśmiechnął.

- Anne Hernon poszła na skały, ale nie widziała ich. Musiała iść do Fitzgibbonów...

- A tam co się dzieje? - spytał ksiądz.

- Mairead rodzi.

- Chrzest! Coś, co lubię!

- Razem z Annie muszę pomóc Liz i Rose przy porodzie. Anne zostawiła wypożyczalnię, żeby iść po dzieci Fitzgibbonów. Paddy i Eoman są w Galway i zadzwoniliśmy, żeby przywieźli lekarza. Liz mówi, że ten poród będzie krótki. Muszę znaleźć dziewczynki.

- Idź. - Sean dotknął Maggie w ramię. - Ja ich poszukam.

- Sean? - spytała Maggie, patrząc na jego ciepłą dłoń spoczywającą na jej ramieniu.

- Tylko w jednym miejscu można odkryć sekrety łowienia. -
Uśmiechnął się. - Nie trzeba się denerwować.

Sean wyszedł na ulicę, zostawiając w ogrodzie ojca Michaela i Maggie. Uśmiechnął się szerzej, uświadamiając sobie, że wie więcej od innych o tym, co robią Siobhan i Rowan. Kiedy obejrzał się przed zakrętem, zobaczył, że Maggie i ksiądz patrzą za nim, a ich usta poruszają się w górę i w dół jak spławiki na falach. Zachichotał.

Zbliżył się do przystani. Otoczył go tłum turystów sunących do miasteczka z promu. Pochylił głowę i parł naprzód, niczym łosoś płynący pod prąd. Skręciwszy za róg, usłyszał czysty dźwięk fujarki Rowan. Czyli miał rację. Nagle stanął jak wryty.

W oddali widział zarys jolki starego Diranea na skałach na południu, tam gdzie zawsze. Ale tuż przed nim stał sześciolatek Joe i grał na maleńkiej cynowej fujarce.

-Joe?

Syn Seana opuścił fujarkę i spojrzał w twarz ojca przerażonymi oczami.

Tato, coś jest nie tak.

- Niemożliwe - szepnął Sean i złapał się za pierś, bo poczuł kołatanie serca.

Było ciemno. Jesień nadeszła niczym wiatr z południa, zabierając ze sobą Starego Dirane'a i głośny śmiech *seanchai*. Sean czuł, że będzie mu go brakować, zwłaszcza po powrocie z zimowego połowu. Spojrzał w kierunku morza i ujrzał Joego, który miał nieco ponad sześć lat i był niewiele wyższy od latarni, którą trzymał w ręce. Stał w bezruchu na brzegu za domem.

- Tato! - zawołał chłopczyk przez ramię.

-Aye.

- Ciemno. -Tak.

- Jak znajdziemy drogę?

- Kiedy będziesz już taki duży jak ja, nie będzie ci potrzebne światło. Poznasz morze jak własną duszę.

Było to najbardziej szczere wyznanie, na jakie tego dnia Sean mógł sobie pozwolić. Gdyby miał zdradzić chłopcom wszystko, co czuł, wspomnieliby, że przez ostatnie osiem dni był na wodzie trochę zagubiony. Szlaki żeglugowe frachtowców zmieniły się od czasów wojny, a ciężki i gorzki zapach ropy zalegał na falach, maskując woń morza i ładu. Pozostałości chaosu wojennego. Ludzie wciąż starali się ułożyć sobie życie na nowo, bo wojna skończyła się niecały rok wcześniej. Opowieści o okropnościach wszelkiego rodzaju nadal pojawiały się na łamach gazet, wzbudzając głęboko zakorzeniony, trwały strach, wyrosły ze świadomości, jaki los może zgotować człowiek człowiekowi.

Rybak jednak nie mógł pozwolić sobie na lęk - zwłaszcza cudzy lęk. Strach wzbudzał panikę, panika przynosiła chaos, a ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował rybak, była nieprzewidywalność. Ryby to stworzenia proste i płochliwe. Żeby je znaleźć, morze i pogoda muszą pozostać niezmiennie. Sean był rybakiem. Nie potrzebował żadnych zmian, zwłaszcza teraz, gdy nadchodziła zima, a on musiał wyżywić rodzinę.

- Tato, coś jest nie tak - upierał się Joe. - Fale źle uderzają o piasek.

Sean spojrział na brzeg, ale widział tylko ciemność.

- To przez światło latarni.

- Boję się.

- Niepotrzebnie, synu.

Lekki wietrzyk rozwał włosy Joego. Kiedy podmuch dotarł do Seana, poczuł zapach synka i specyficzny, ziemisty aromat.

To nie wróżyło dobrze. Obróciwszy się ku północy, Sean zamknął oczy, ale nie wyczuł niczego w wietrze.

- Nie bój się - powtórzył.

Matthew doskoczył z tyłu, pogryzając rybę.

- Zepchnijmy curragh na fale.

Z latarnią w maleńkiej rączce, Joe podszedł do spoczywającej na stepce łodzi, gotowej do zmierzenia się z morzem. Sean wsadził Joego do środka, a starszy syn zepchnął ją na wodę. Sean i Matthew chwycili wiosła i ruszyli w ciemność.

- Tato, coś jest nie tak.

- O czym ty mówisz, Joe? - Matthew przykładał się do wiosłowania, aby dotrzymać tempa ojcu. Jako ośmiolatek musiał pracować ze zdwojoną siłą.

- Zostaw go, Matthew. Jest ciemno. On jeszcze nie był w takiej ciemności.

- Nie o to chodzi, tato.

- Cicho, chłopcze - polecił Sean.

Rybak kierował curragh na północny zachód. Podczas ostatniego nowiu makrele płynęły z tego kierunku i Sean planował dotrzeć do nich przed Doolejami, Diraneami i OFlahertymi. Złowił ryby dzięki temu, że zaobserwował miesiąc wcześniej, jak zmieniły trasę. Pozostali rybacy nie wiedzieli tego, zatem w przeciwieństwie do nich wrócił z pełną siecią. Zdawał sobie sprawę, że będą go teraz pilnować i podążać za jego latarnią.

- Tato! - Joe zerwał się, wrywając Seana z zamyślenia.

- Siadaj, Joe! - krzyknął Matthew.

- Obaj bądźcie cicho!

- Słyszę je!

- Siadaj!

- Nie słyszycie? Są pod nami!

- Kto? O czym ty mówisz?! - wrzasnął Sean.

- Wie... - Zanim jego syn dokończył słowo, coś potężnego uderzyło w łódź od spodu, podrzucając curragh w powietrze i posyłając Seana, jego synów i latarnię do morza.

- Tato! - wrzasnął Joe.

- Tato! - krzyknął Matthew.

Sean wpadł pod wodę; coś śliskiego dotknęło jego palców. Znalazł się na powierzchni.

- Mam curragh! - krzyknął Matthew. - Gdzie jesteś, tato?!

- Pomocy - wybełkotał Joe niedaleko Seana.

- Tutaj, Matthew! Tutaj! Szybko! - krzyknął Sean.

- Są pode mną! - zawołał Joe głosem pełnym przerażenia.

- Trzymaj się, chłopcze! - Morahan płynął w kierunku głosu młodszego syna. - Gdzie jesteś?

Joe nie odpowiedział.

- Joe! - wołał Matthew.

- Pomocy! - krzyknął Joe.

Sean płynął, czując, jak lodowata woda przesącza się przez jego koszulę. Po lewej stronie usłyszał plusk. Wyciągnął rękę i złapał syna.

- Tato! - krzyknęło dziecko, chwytając się ganseja ojca.

- Matthew? Gdzie jesteś?!

- Tutaj! Gdzie wy jesteście?

Fala wzburzona przez curragh zakołysała Seanem. Złapał za burzę.

- Nie wywróciła się - sapnął Sean, wsadzając Joego z wysiłkiem do środka.

- Mam tylko jedno wiosło - odezwał się Matthew, w ciemności łapiąc ojca za nogi i pomagając mu wejść do łodzi. Sean położył się na plecach, patrząc w czarne niebo i w milczeniu dziękując Bogu. Joe podczołgał się i położył obok ojca, płacząc.

- W porządku. Już wszystko w porządku. - Morahan go przytulił.

- Słyszysz je jeszcze? - spytał Matthew pośród ciszy. -Nie.

Joe drżał w ramionach ojca. Sean wiedział, że synowie powinni się teraz dużo ruszać, bo byli przemoczeni i zziębnięci. Ich drobne ciała nie magazynowały ciepła tak dobrze jak duże i łatwiej ulegały chorobom, a Sean nigdy nie pozwoliłby, żeby morze albo choroba odebrały mu synów.

- Joe, wszystko w porządku. - Sean usiadł, trzymając syna w ramionach.

- Boję się.

- Ale nie słyszysz już wielorybów? -Nie.

- Więc wszystko w porządku. Musimy znaleźć wiosła. Sean posadził Joego obok siebie na ławce. Przy odrobinie

szczęścia inni rybacy zobaczyli ich latarnię, zanim zgasła, ale Sean nie wierzył w szczęście. Wolał sam się o nie zatroszczyć.

- Matthew, skąd nadpłynąłeś?

- Chyba z północy. - Ręka Matthew zarysowała się na tle horyzontu; nadchodził świt. Chłopak wskazywał na południe.

- To jest południe.

- Czyli z południa. Stamtąd.

- Nie widziałeś wiosła?

- Tylko to jedno.

- Musimy znaleźć pozostałe. Joe, idź na dziób i obserwuj wodę przed nami. Matthew, patrz po bokach. Niech nikt nie wstaje.

Siedząc na rufie, Sean skierował łódź na południe za pomocą jednego wiosła. Jeśli mieli coś dziś złowić, potrzebowali ich więcej. Mężczyzna patrzył na głowę Joego, która w mroku panującym przed świtem wydawała się jedynie cieniem. Wyczuwać morze nauczył Seana ojciec, a jego z kolei jego ojciec i tak

dalej. Joe wyczuł wieloryby w wodzie z brzegu, a Sean wiedział, że nie nauczył go tego. Być może to przypadek, ale Joe usłyszał także wieloryby pod łodzią. Pierwszy raz spotkał się z czymś takim.

- Tędy, tato. - Joe wskazał na wschód.

- Widzisz wiosła?

- Nie, ale tam są.

Matthew obrócił się do ojca; Sean ledwo widział jego oczy. Uniósł brwi i wzruszył ramionami.

- No to w porządku. - Skierował curragh na wschód. Rzeczywiście trzy wiosła unosiły się na falach.

- Dobrze mieć go na łodzi - zauważył Matthew, wyciągając je z wody.

- Prawda, tato?

Sean skinął głową.

Joe uśmiechnął się w ciemności.

Joe zniknął nagle, tak jak jego fujarka. Seana bolało serce. Powłócząc nogami, podszedł do skał. W jolce znalazł Siobhan i Rowan. Zasnęły w ciepłych promieniach słońca.

Sean wszedł do łodzi, usiadł na ławeczce i ukrył twarz w dłoniach, jakby chciał schować się przed własną przeszłością.

Splecione zygzaki

Splecione zygzaki. I. Dwa przecinające się zygzaki wykonane bezpośrednio obok siebie w taki sposób, że jeden skierowany jest w dół, a drugi w górę. Czasami zygzaki zamieniają się miejscami. 2. Trud zrozumienia.

R. Dirane, *Sploty miłości*

Fionn zadzwonił do Iollana. Umówili się w Galway po południu. Ciesząc się, że Fionn nie wspomina o Sharon i jej uwagach na temat rudych włosów, Rebecca przytulała się do niego, pozwalając lokom, wystającym spod kasku, łaskotać ją w nos.

Dotyk małego ciała Einin był dla niej całkiem nowym doznaniem. Czowała, jakby wciąż trzymała w ramionach tę małą, bezbronną istotkę o miękkich włosach i jasnych oczach, owiniętą bezpiecznie w kocyk. Nagle w jej myśli o dziecku wdarło się wycie syreny. Rebecca zamknęła oczy, ale błysk koguta przebijał się przez jej powieki.

Klęcząc na połyskującym asfalcie, Rebecca słyszała cichutkie jęki dobywające się z małych ust Rowan. We mgle pulsowały czerwone i niebieskie światła.

- Becky. - Głos Peg dobiegi jakby z oddali. - Becky, spójrz na mnie. Rebecca wpatrzyła się we mgłę. Peg kuciała tuż przed nią.

- Daj Rowan ratownikowi.

Rebecca podniosła wzrok na młodego mężczyznę w uniformie, który wyciągał ręce po dziecko.

- On ją zabierze - szepnęła Rebecca.

- Musi ją obejrzeć. My też pójdziemy. Ty i ja. Daj Rowan ratownikowi.

Peg powoli wyjęła dziecko z zaciśniętych ramion Rebeki. Przekazała je mężczyźnie, a potem objęła Rebecę i pomogła jej wstać. Razem ruszyły do karetki i gdy Rebecca weszła do środka, ujrzała, że Sharon rozmawia z policjantem. Kiedy Sharon popatrzyła na przyjaciółkę, jej czarne oczy połyskiwały od pulsujących świateł. Stała nieruchoma jak skała, podczas gdy fale Pacyfiku huczały daleko w dole. Sharon uśmiechnęła się lekko. Rebecca zmarszczyła brwi.

W karetce usiadła naprzeciwko dziecka, którego maleńkie ciało okrywała tylko pieluszka. Ratownik delikatnie badał zębra Rowan.

- Wyskoczył jej staw biodrowy - powiedziała cicho Rebecca.

- Który?

- Prawy.

Założył stetoskop i dotknął biodra. Rowan jęknęła. Leżała tam z zamkniętymi oczkami, oddychając słabo. Karetka ruszyła.

- Jest wychłodzona - dodała Rebecca. - Sweter ją ocalił. - Spojrzała na Peg. - To magia.

- *Aye.*

Dublin został daleko w tyle, zanim Rebecca oderwała wreszcie twarz od pleców Fionna, a myśli od przeszłości. Zajechali do tego samego miasteczka, gdzie sześć dni wcześniej jedli lunch. Fionn zatrzymał motocykl.

- Jestem głodny - powiedział.
- Ale... ale ja chcę wracać do Rowan.
- Wiem, ale powinnaś też coś zjeść.
- Muszę jechać - powiedziała, czując, że zbiera jej się na płacz.

Chciał ją objąć, ale cofnęła się, potrząsając głową. Fionn westchnął ciężko.

- Co się dzieje?
- Po prostu nie mogę.
- Czego nie możesz?

Rebecca oderwała wzrok od jego czarnych oczu i spojrzała w czyste irlandzkie niebo. Wiedziała, że jest piękne, ale czuła tylko pustkę w sercu.

- Fionn, czuję się zgnębiona życiem. Naprawdę - szepnęła.
- Nieprawda. Cierpisz z powodu czegoś, co przeminęło, czego już nie ma, po prostu wciąż do tego wracasz.
- Nie potrafię się uwolnić.
- Wiesz co, przynieś nam coś do zjedzenia. Mam sprawę do załatwienia.

Przeszli razem przez ulicę i skręcili za róg. Rebecca otarła po drodze policzki z łez. Zatrzymali się przy sklepiku z czerwonymi drzwiami. Fionn zamachał przez okno kobiecie za ladą, a ona z uśmiechem odwzajemniła gest.

- Idź tam po lunch. Ja wrócę za parę minut. Dla mnie pita z gruszką i serem. - Pocałował Rebecę w policzek i odszedł. Gdy otworzyła drzwi, rozległ się cichy dzwonek. Stała naprzeciwko kobiety za ladą.

- Wszystko w porządku?
- Tak, tak. Yyy... Proszę dwie pity z gruszką i serem.
- Dobry wybór.

Rebecca obróciła się, patrząc na irlandzkie pamiątki rozstawione na półkach przy drzwiach. Były tam bluzy oraz breloczki do kluczy z czterolistną koniczyną. Ramki na zdjęcia ze wzorem z Claddagh i irlandzkim błogosławieństwem stały przy figurkach świętego Patryka. Obok złożonych w modlitwie dłoni zobaczyła kilka uplecionych z trawy krzyży o szerokości sześciu cali. Dotknęła, by sprawdzić, czy trawa jest prawdziwa. Była.

- Krzyż świętej Brygidy - powiedziała sprzedawczyni.

- Świętej Brygidy? - powtórzyła Rebecca.

-Aye. Jest matką nas wszystkich. Przynajmniej była, przed świętym Patrykiem. - Kobieta spuściła wzrok, krojąc gruszkę.

- Przed nastaniem katolicyzmu - zauważyła Rebecca. -Aye. Wtedy po raz pierwszy próbowano nas zmienić, nie

bacząc na to, kim naprawdę jesteśmy. Katolicyzm miał nam dać tylko „Ojca, Syna i Ducha Świętego”. Ale my wiedzieliśmy, że mamy Matkę. Matki nie można nikomu odebrać. Dlatego zmieniliśmy ją w coś, co mogliśmy zachować. To samo zrobiliśmy z Anglikami. Udaliśmy, że jesteśmy kimś, kim nie jesteśmy, żeby się odczepili i dali nam czas wymyślić, jak się ich pozbyć. - Roześmiała się. - Zawsze jednak wiedzieliśmy, kim jesteśmy.

Rebecca skinęła głową i odwróciła się, czując, jak ściska ją w gardle. Od tak dawna nie płakała, a teraz wszystko ją do tego prowokowało. Westchnęła sfrustrowana. Kiedy podniosła wzrok, zobaczyła nad drzwiami krzyż świętej Brygidy.

- Rozdroża nigdy nie są przyjemne - powiedziała kobieta.

- Słucham?

- Rozdroża. Znaleźć się w centrum spraw, poczuć się odsłoniętym ze wszystkich stron, dopóki nie podejmie się decyzji, jaką drogę wybrać. To bardzo nieprzyjemne. Dobrze mieć taki krzyż dla ochrony. Krzyże świętej Brygidy to właśnie takie skrzyżowania, rozdroża. Wieszamy je nad drzwiami i przybijamy do belek stropowych dla ochrony.

- Dlaczego do belek?

- Trzeba mieć coś, co nas ochroni, kiedy iskry wylatują kominem, a na dachu strzecha. - Uśmiechnęła się i położyła kanapki na ladzie.

- Ojej. Zostawiłam pieniądze przy motocyklu. Zaraz wra...

- Proszę nie płacić.

- Nie płacić?

- Jest pani z Fionnem.

- On nie płaci?

- Zwykle przywozi mnie, mojemu mężowi i dzieciom coś z Dublina.

To taki handel wymienny.

- Rozumiem. - Rebecca uśmiechnęła się i wzięła torbę z lady.

- Dołożyłam też ciasto z jeżynami. Nie jest wprawdzie pierwszy lutego, czyli Dzień Świętej Brygidy, ale skoro o niej rozmawialiśmy, pomyślałam, że was poczęstuję.

- Je się wtedy ciasto z jeżynami?

- Tak, w dzień Brygidy je się wszystko z jeżynami. Przepraszam, świętej Brygidy. Skoro już o niej mówimy, trzeba uczcić jej pamięć.

- Dziękuję.

- Do zobaczenia.

Rebecca rozejrzała się po ulicy, ale nie zobaczyła Fionna. Stała przez chwilę, zastanawiając się, co mogło zabrać mu tyle czasu w tak małym mieście. Postanowiła postawić się na jego

miejscu. Nie było to łatwe, ale nagle podekscytowana ruszyła ku następnej ulicy. Uśmiechnęła się szeroko, gdy znalazła go tuż za rogiem. Siedział na trawie w tym samym miejscu, gdzie jedli poprzednio.

- Trochę ci zeszło - powiedział.

- Słuchałam o Brygidzie.

- Świetnie. Siadaj. - Poklepał trawę obok siebie. Usiadła, otworzyła torbę i sięgnęła po kanapkę.

- Proszę. - Wyciągnął ku niej małe pudełko. Rebecca osłupiała.

- No, śmiało.

Potrząsnęła głową. Niezrażony Fionn wziął od niej torbę z jedzeniem. -Ale ja... nie...

- Przyda ci się. - Patrzył na nią ze spokojem i pewnością.

- Przyda się - szepnęła.

Skinął głową. Rebecca powoli wzięła prezent. Fionn zajrzał do torby i wyciągnął kanapkę. Otworzywszy pudełko, Rebecca zobaczyła w środku złoty krzyżyk świętej Brygidy. Zaczęła płakać. Fionn się roześmiał.

- Masz oczy na mokrym miejscu, co? - spytał. Wyciągnął naszyjnik i otworzył zapięcie.

- Na to wygląda - wychlipała.

- Miałem wrażenie, że może ci się przydać. Gdy wyjeżdżaliśmy z Dublina, trzymałaś mnie tak mocno, że ledwo mogłem oddychać. Pomyślałem więc, że potrzeba ci takiej ochrony. -Założył jej naszyjnik. Uniosła włosy, gdy zamykał zapięcie. - Widzę, że jesteś na rozdrożu, tym bardziej więc tego potrzebujesz. Przyda ci się, żeby albo zapomnieć, albo nie. Nie znajdziesz domu, jeśli będziesz wciąż unosić się na wietrze. -Pocałował ją w szyję.

Wpatrzyła się w jego czarne oczy, czując, że z jej własnych płyną łzy. Nie chciała już się tak poddawać emocjom, ale nie wiedziała, jak przestać.

- Trzeba oddychać, żeby przestać płakać. Tutaj. - Fionn dotknął jej brzucha. - Wypchnij go, biorąc oddech. Mój tata mówi, że to najlepszy sposób, żeby nabrać powietrza. Pływając w curraghu podczas sztormu, należy oddychać głęboko. Tak właśnie robią rybacy.

Rebecca wypchnęła brzuch, wciągając powietrze.

- To trudne.

- Ale potrafisz to zrobić.

Rebecca oddychała, a Fionn znów zajrzał do torby i się uśmiechnął.

- Moje ulubione ciasto z jeżynami.

Zajadając, nucił coś pod nosem. Rebecca też trochę spróbowała, ale bardziej była skupiona na oddychaniu. Za każdym razem, gdy patrzyła na Fionna, zaczynała płakać i nie miała pojęcia dlaczego. Kiedy odłożyła zaczęta kanapkę, podniósł ją i podał jej, gestem nakazując skończyć. Nie nalegał jednak, kiedy powiedziała, że nie chce ciasta. Zjadł oba kawałki, po czym wstał, podając jej dłoń. Ujęła ją z wdzięcznością i razem wsiedli na motocykl. Rebecca znów przytuliła się do jego pleców, a jej myśli pomknęły do Kalifornii, tamtego Święta Dziękczynienia, syren i dzieci. Od czasu do czasu Fionn chwycił jej dłoń, spoczywającą mu na piersi, i całował palce, przywołując ją w ten sposób z powrotem do Irlandii. Potem wkładał jej rękę do swojej kieszeni i trzymał tam chwilę, żeby się rozgrzała.

Do Galway dotarli późnym popołudniem. Łódź Iollana czekała na przystani. Gdy podjechali, tylko Rebecca zsiadła z motocykla.

- Nie płyniesz na wyspę? - spytała Fionna.

- Muszę wracać do pracy. Oddała mu kask.

- Czas na nas. - Iollan wziął plecak Rebeki.

- Fionn?

- Tak, Rebecco?

- Dziękuję za... krzyżyk.

- Przyda ci się.

Skinęła głową i ruszyła do łodzi, ale zatrzymała się i odwróciła, przełykając ślinę.

- Oddychaj - powiedział.

Wzięła głęboki oddech, a potem jej nogi zamiast ku łodzi poprowadziły ją z powrotem ku niemu. Pocałowała go i przytuliła. Objął ją mocno.

- Dziękuję, że ze mną byłeś - szepnęła.

- Mam cię - wymruczał jej w ucho.

Szybko oderwała się od niego i podbiegła do trawlera. Iollan i jego współpracownik podnieśli trap.

- Fionn, trzymaj się.

- Ty też, Iollan.

Fionn spojrzał na Rebeccę bez uśmiechu.

- Pa, Fionn.

- Pa, Becky.

Łódź oderwała się od przystani. Rebecca zamachała, Fionn również. Podeszła do ławki i usiadła. Wiatr zmierzwił jej włosy. Krzyk mew nad głową przyciągnął jej uwagę ku niebu. Coś było nie tak, bardzo nie tak. Poczwała w piersi rozdzierający ból. Chwyciła się za serce i zerwała, aby podbiec do rufy. Wyjrzała na brzeg. Na przystani wciąż stał Fionn. Zamachała mu znów, a on odwzajemnił gest.

Patrzyła, jak sylwetka Fionna coraz bardziej się zmniejsza, aż wreszcie stał się maleńką, rudą kropką w oddali. Rebecca nie odeszła od rufy, nawet kiedy Fionn i brzeg zniknęli jej

z oczu. Dłonią przyciskała krzyżyk do serca. Trawler zmierzał na zachód, a Rebecca wciąż patrzyła na wschód i przetykała łązy.

Romb z koszykiem

Romb z koszykiem. 1. Wzór w romby ze ścięciem koszykowym w środku. 2. Sytuacja wywołana dobrymi intencjami, która ma przykre konsekwencje. 3. Przeprosiny. 4. Moraha-nowie - wyspiarska rodzina, zwykle wykorzystująca ten ścieg w swoich gansejach.

R. Dirane, *Sploty miłości*

Fale oceanu uderzały o skały. Już tylko maleńkie rzeki słonej wody zasilają pozostałe po przyptywie jeziorka, omywając żywe istoty, które znalazły tam bezpieczne schronienie. Sean siedział dłuższą chwilę, patrząc na śpiące dziewczynki. Kiedy wreszcie nie mógł dłużej znieść pragnienia, wyciągnął rękę i potrząsnął Rowan. Obróciła się i spojrzała na niego.

- Widziałam tatę - powiedziała sennym głosem.

- Naprawdę?

- *Aye*. Śpiewał razem z paszkotem...

Zaczęła płakać. Sean patrzył na łzy płynące z jej zaczerwienionych oczu.

- Na pewno wszystko z nim w porządku - zapewnił ją cicho.

Rowan wdrapała się Seanowi na kolana. Cofnął się nieco, kiedy zarzuciła mu ręce na szyję. Złapał za ławkę, żeby zacho-

wać równowagę, nie tyle z powodu ciężaru, ile z powodu własnych uczuć. Nikt nie przytulał go od ponad czterdziestu lat. Ostrożnie podniósł lewą rękę i pogładził Rowan po plecach.

-Już dobrze... Już dobrze. Nie ma się o co martwić. Tata pewnie właśnie kupuje ci lalkę i czeka, aż wrócisz.

- Raczej nie - wymamrotała Rowan.

- Każdy tata tęskni za dziećmi, kiedy ich przy nim nie ma. Rowan podniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Tęsknisz za synami?

Sean przełknął ślinę i pokiwał głową.

- Co wam powiedział Stary Dirane? - zmienił temat.

- Siobhan go słyszała. Powiedział, że południowy wiatr jest magiczny. Bo właśnie to on ściągnął go tu, na te znajome skały.

Południowy wiatr zabrał Seanowi synów.

- To znaczy, że południowy wiatr jest kapryśny.

- Co to znaczy kapryśny?

- Czasami jest przyjacielem, a czasem nie. Chce mi się pić. Myślisz, że możemy obudzić Siobhan? Powinniśmy już iść.

Rowan zeszła z jego kolan.

- Siobhan, zbudź się - szepnęła przyjaciółce do ucha. Dziewczynka ziewnęła, usiadła i zaczęła mrugać we wczesnopopołudniowym słońcu.

- Jestem głodna - ogłosiła.

- No to chodźcie.

W trójkę wyszli z podniszczonej łodzi i ruszyli w kierunku miasteczka. Nie wiedział dokładnie, dokąd iść, ponieważ wszystkie kobiety były u Fitzgibbonów, a Tom musiał mieć w pubie niezłą menażerię, jeśli Anne Hernon wróciła już do miasteczka z siedmiorgiem Fitzgibboniątek.

Obok nich przemknęły rowery, gdy skręcali za róg. Sean wziął Rowan i Siobhan za ręce i powiodł do ojca Michaela.

Kiedy weszli do ogrodu, ksiądz właśnie nachylał się nad malinową różą.

- Znalazłeś je. - Wyprostował się.

-Aye. Zastanawialiśmy się, czy ojciec ma coś do jedzenia i picia.

- Oczywiście. - Ksiądz odłożył sekator.

- Siadźcie. - Sean wskazał dziewczynkom stolik z kutego żelaza.

Ojciec Michael ruszył schodami do kuchni.

- Panie Morahan, co my tu robimy? - spytała Siobhan.

- Odpoczywamy. Mairead rodzi.

- Mogę potrzymać dziecko? - spytała Rowan, siadając naprzeciwko.

Policzki miała zaróżowione od słońca.

Sean uśmiechnął się, rozglądając się po ogrodzie.

- Mairead na pewno ucieszyłaby się z pomocy - powiedział. - Tak to już jest na tej wyspie. Wszyscy sobie pomagają.

Umilkł, wsłuchując się w słowa, które padły przed chwilą z jego ust. Tak zawsze mówiła ich synkom Claire. Tak ją wychowano. Z kolei ojciec Seana pilnował tylko swojego nosa. Czy kiedykolwiek powiedział coś takiego synom? Nie potrafił sobie przypomnieć.

- Skoro ksiądz jest dla nas tak miły, że nas częstuje, powinniśmy pomóc mu posprzątać w ogrodzie - zauważył.

Ojciec Michael wrócił z lemoniadą i kanapkami na tacy.

- Niestety, do kanapek miałem tylko ser.

- W porządku. Razem z dziewczynkami postanowiliśmy pomóc w ogrodzie. Po jedzeniu posprzątam, a ksiądz zajmie się doniczkami.

- Wspaniale. - Ojciec Michael podniósł szklanekę lemoniady. Przyłożył ją do ust, nie spuszczać wzroku z Seana.

- Coś nie tak? - Sean również się napił.

- Nie. Wszystko w najlepszym porządku.

Zjedli w milczeniu, a potem zabrali się do pracy. Morahan pielł grządki, a dzieci zamiatały ścieżki. Zbierały liście i gałązki, aby wrzucić je do kosza. Ksiądz wyszukiwał najlepsze róże.

Cały ten czas Sean patrzył na Rowan. Obserwował, jak przygląda się robakowi, jak się śmieje, jak rozmawia, jak chodzi po ogrodzie, sprząając i badając wszystko wokół. Skupiał się zwłaszcza na jej oczach. Mahoniowy odcień jej tęczówek zmieniał się, gdy przechodziła ze słońca do cienia i z powrotem - był bardziej brązowy, kiedy mrużyła oczy, a bardziej czerwony, gdy otwierała je szeroko. Kiedy słońce zniżało się ku zachodowi, Sean wstał, czując, że łupie go w krzyżu.

- Powinienem już iść do domu - stwierdził. - Co zrobić z dziewczynkami?

- Wezmę je na kolację do pubu. Tom będzie wiedział, kiedy Paddy wraca.

- Dobrze. - Sean podniósł szklanke i dopił lemoniadę, a potem odstawił naczynie. - Bądźcie grzeczne - powiedział, wychodząc.

- Cześć, Sean - odparła Rowan.

- Do widzenia, panie Morahan! - zawołała Siobhan. Sean zamachał przez ramię i ruszył na południe. Minęła

go grupa dwudziestu paru rowerzystów, zmierzających w tym samym kierunku. W oddali widział, jak z naprzeciwka nadjeżdża inna grupa, udająca się na północ. Mrucząc pod nosem, Morahan zszedł z drogi i ruszył do domu przez środek wyspy. W miarę jak słońce chyliło się ku zachodowi, niebo przybrało barwę niebieskofioletową, przywołując wspomnienia o Matthew i jego rowerze. Sean jednak cały dzień spędził z Rowan i jego uwagę bardziej zaprzętały jej mahoniowe oczy oraz rozmyślenia, jak odtworzyć ten kolor. Wspiąwszy się na niewiel-

kie wzgórze, ruszył na południe. Stał jak wryty, gdy usłyszał za sobą fujarkę.

- Joe? - Obrócił się na pięcie.

Ale Joego tam nie było. Teraz dźwięki nadpływały z południa, znowu zza jego pleców, więc po raz kolejny się odwrócił. Fajarka nadal grała, a Sean ruszył szybko grzbietem klifu z nadzieją, że znów ujrzy syna. Kiedy przekroczył jedyną asfaltową drogę na wyspie, przecinając ją ze wschodu na zachód, poczuł podmuch powietrza i usłyszał kilka przekleństw, gdy nadjeżdżający rowerzyści skreśliли gwałtownie, żeby go wyminąć. Uwagę miał jednak zaprzątniętą innymi sprawami, więc nie zatrzymał się, aby odpowiedzieć im po swojemu, tylko wbiegł do rowu obok drogi i wspiał się na kolejne skaliste wzgórze, pokonując bez wysiłku kamienny murek. W głowie wciąż słyszał melodię. Kiedy przeskakiwał kolejną przeszkodę, zaczepił stopą o kamienie i padł na ziemię.

Sean leżał na plecach i patrzył w niebo, mrugając. Zastanawiał się, kiedy ostatni raz upadł. W końcu przetoczył się na bok i podkurczył nogi. Spojrzał w lewo. Wtedy pośród traw i kwiatów zobaczył w popołudniowym świetle kamienny krzyż.

Pospiesznie wstał. Znajdował się na cmentarzu.

Minęło czterdzieści lat, odkąd ostatni raz odwiedził zmarłych. Cmentarz leżał pośrodku wyspy, a Sean lubił bliskość morza. Trzymał się brzegu, żeby uniknąć cmentarza, gdzie dopadały go bolesne wspomnienia.

Kiedy ujrział po lewej groby Dooleyów, szybko odbił w prawo. Nie chciał się do nich nawet zbliżyć. Teraz wokół niego rozciągały się groby Dirane'ów. Stary Dirane zachichotał, kiedy Sean minął jego splachęć trawy.

Seanie Morahanie, dawno cię ani nie widzieliśmy, ani z tobą nie rozmawialiśmy. Siądź, a opowiem ci coś.

- Nie chcę z tobą gadać - szepnął Sean z wytrzeszczonymi oczami.

Opuszczając cmentarz, próbował iść najkrótszą drogą. Nagle uderzył o nagrobek. Obejrzawszy się, odkrył, że stoi nad grobem starego Fionna O'Flaherty'ego. Każde pokolenie ma swojego Fionna - ten należał do pokolenia ojca Seana. To on był świadkiem śmierci jego braci. Sean oparł się o krzyż; spirale i sploty wykute w kamieniu tworzyły cienie i złudzenie ruchu.

Sean, to nie twoja wina.

- Zostaw mnie! - Sean próbował odpędzić O'Flaherty'ego, ale na próżno. Stał pośród grobów O'Flahertych, w miejscu gdzie trawa wolna była od chwastów, lecz nie od polnych kwiatów, a nagrobki świeciły jasno w słabnącym słońcu.

Usiądź. Napij się herbaty.

Byli wszędzie wokół - jedni grali na skrzypcach, inni na fujarkach, ci wtórowali ptakom, a tamci śpiewali polnym kwiatom stare irlandzkie piosenki.

- Zostawcie mnie - warknął Sean, wycofując się szybko. -Cholerni O'Flaherty'owie. Zostawcie mnie! - zawołał, ale kiedy wreszcie się odwrócił, zamarł. Tam, gdzie teraz stał, chwasty sięgały kolan, nie rosły tu żadne kwiaty. Na najbliższym nagrobku Sean dojrzał imię Emmeta. Chciał odwrócić wzrok, ale mimo to kątem oka ujrzał jedyną plamę zieleni wśród chaszczy zarastających groby Morahanów. Nie śmiał spojrzeć w tamtą stronę.

- Proszę - szepnął. - Proszę, zostawcie mnie.

Skrzywił się na wspomnienie braci; widok nagrobków Emmeta i Ronana wywoływały w nim uczucie nienawiści. To przez nich ojciec nigdy mu nie wybaczył, to przez nich od czternastego roku życia nie miał żadnej rodziny. Zmieniło się to dopiero, gdy poślubił Claire. Kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Spojrzał w kierunku nagrobka Ronana - to wysoki chwast poruszał się

na wietrze. Miał kolor mahoni, a Seanowi wydawało się, jakby spośród uschłych, złocistych traw uśmiechał się do niego.

Morahan pomyślał o Rowan i o tym, jak próbowała mówić po irlandzku. Przypomnił sobie o dniu, w którym pocałował synów w głowy i pochwalił za uratowanie małego Liama. Westchnął, wspominając uczucie ciepła, którego doznawał, gdy jego głowa spoczywała na kolanach Claire. Jego bracia nie mieli takich wspomnień i zastanawiał się, czy stałyby się ich udziałem, gdyby żyli.

Chwast znów poruszył się na wietrze, Sean uśmiechnął się. Może wcale nie nienawidził braci? Opornie spojrział w prawo, gdzie spoczywali jedyni Morahanowie z domieszką krwi OFlahertych - jego syn, Matthew i mała Claire. Mary, choć nie należała do OFlahertych, spoczywała obok córeczki. Te trzy groby były równie zielone i zadbane, co wszystkie groby OFlahertych.

Sean spojrział znów w kierunku grobów braci.

- Przykro mi - mruknął do nich. Mijając grób Emmeta, wyszedł z cmentarza. Gdy przechodził obok, milczeli znacząco.

Ruszył w dół wzgórza, myśląc tylko o oczach Rowan i ich słonecznym mahoniowym kolorze. Idąc do domu, próbował odtworzyć w myślach ich barwę jak najwierniej. Nie potrafił do końca odgadnąć, czy to brązowy kolor na zewnątrz sprawiał, że tęczęwka miała czerwony odcień, czy też czerwone kółko nadawało oczom małej kolor mahoni. Ruszył po ścieżce do domu. Nie przestawał rozmyślać o tym, gdy nagle doznał objawienia.

- Ha! - obwieścił pustej drodze i wydłużającemu się cieniowi kamiennego murku. - Jarzębina!

Owoce jarzębiny były czerwone. Roześmiał się, gdy ujrział nagle ptaka, który przemknął tuż obok i wylądował na murku. Paszkot. Patrzył na niego. Sean cofnął się.

Tato?

Sean ujrzał na drodze Joego. Czoło chłopca przecinała zmarszczka będąca oznaką niepokoju. -*Aye, synu.*

Tato. Paszkot śpiewa już od tygodnia. Widziałem głuptaki nurkujące tam, gdzie nie ma łodzi".

Ptak zatrzepotał skrzydłami i zaczął śpiewać.

- Ni... niczego nie słyszałem. *Widziałeś głuptaki, tato?* -Nie.

Nadciąga sztorm.

- Synu, nie czuć zapachu ziemi na falach. *Boję się, tato.*

Sean oderwał uwagę od syna i przeszłości, spojrzął na morze. Na tle zachodzącego słońca widać było wielkie stado ptaków. Zmrużył oczy. Mewy czy głuptaki?

To głuptaki, tato.

Sean puścił się biegiem, zapominając o rozmowie ze zmarłym synem. Pędził tak szybko, jak tylko pozwalały na to jego umęczone starością nogi. Skręciwszy na żwirowy podjazd do swojego domu, poczuł, że spada mu czapka. Ale nie zatrzymał się, by ją podnieść. Nie spuszczał oczu ze stada ptaków, minął dom i dopadł brzegu. Zepchnął curragh na fale i wskoczył do środka.

Tato, nadciąga sztorm.

Joe siedział na ławce.

- Wiem, synu. - Sean chwycił za wiosła. *Boję się.*

- Wiem, synu - powtórzył dławiącym głosem. Tracił oddech, wkładając wszystkie siły w to, aby zbliżyć się do stada ptaków. Wiosłował i wiosłował, a kiedy wreszcie zatrzymał się i rozejrzał, ptaków nie było. Zdyszany, zmarł w bezruchu,

rozglądając się po fioletowym oceanie i lawendowym niebie, daremnie nasłuchując trzepotu skrzydeł. Ale wszystko milczało. Zamknął oczy, by wyczuć zapach ziemi, ale do jego nozdrzy doleciał tylko zapach morza.

- Czy to na pewno były głuptaki? - spytał, odwracając się w stronę ławki, na której siedział syn.

Była pusta.

Drzewo życia

Drzewo życia. 1. Ten ścieg przypomina gatąż wiecznie zielonego drzewa z pojedynczymi igłami. Wzory takie odnajdywano już na najstarszych malowidłach naskalnych w całej Europie. Malowidła te interpretowano niegdyś jako strzały i włócznie do polowania, bowiem wzór zazwyczaj pojawia się w otoczeniu zwierząt. Jednak niektórzy archeolodzy zrewidowali te opinie i stwierdzili, że ludzie prehistoryczni czerpali siłę życiową zarówno od zwierząt, jak i roślin, dlatego też zasługiwały one na uwiecznienie w uświęconej przestrzeni. Taka interpretacja jest zgodna z przekazywaną ustnie pradawną tradycją mieszkańców wyspy. Stąd nazwa tego ściegu - drzewo życia. 2. Tradycyjnie symbolizuje długowiecznych rodziców, silne dzieci i trwanie plemienia przez pokolenia. 3. Uporczywe trzymanie się życia ze wszystkimi jego radościami, smutkami, świętowaniem i wyzwaniem, ponieważ każdy dzień przynosi zachwyt istnieniem pośród czasu i stworzenia.

R. Dirane, *Sploty miłości*

Rebecę cieszył powrót na wyspę. Odebrała Rowan od Blake'ow i wszyscy zjedli kolację w pubie, rozmawiając o Mairead i jej dzieciach. Annie wspomniała, że Ina przybyła na wy-

spę pomóc córce i zaprosiła Rebecę, aby ją odwiedziła nazajutrz, by porozmawiać o gansejach i zobaczyć dzieci.

Łagodny wiatr wiał Rebecce i Rowan w plecy, kiedy jechały do domu. Fionn senior i Sheila zamachali im w progę, gdy zjechały z asfaltu na żwir. Pod drzwiami czekał na nie Trop. Wbiegł do domu za Rowan i klapnął na podłogę przy łóżku, od razu zapadając w sen, bo przecież wszyscy byli już w domu.

Rowan podczas przygotowań do snu mówiła o różach i jolce starego Diranea. Rebecca opowiedziała jej o dziecku Sharon. Rozmawiały także o odwiedzinach u nowych dzieci Mairead, chociaż Rebecca ostrzegła Rowan, że może nie uda im się zobaczyć ich pierwszego dnia. Potrafiła sobie wyobrazić tłumy, jakie zwałą się nazajutrz do domu.

Wreszcie Rebecca położyła się, otaczając córkę ramieniem. Słuchała szumu oceanu, oddechu Rowan i chrapania Tropa w oczekiwaniu, aż ogarnie ją senność. Była zmęczona.

Leżąc tak z twarzą w poduszce, miała dziwne poczucie, że czegoś brakuje, że coś jest nie tak. Czuła w sercu straszny ból i nie mogła się go pozbyć. Wreszcie zapadła w niespokojną drzemkę, a jej sny były pełne swetrów, ciasta jeżynowego i paszkotów śpiewających *My Lagan Love*.

Obudziła się w sobotni rano zmęczona, jak gdyby w ogóle nie zmrużyła oka. Zostawiła Rowan u Blake'ów i wciąż nieswoja, ruszyła na farmę Fitzgibbonów. Coś wciąż było nie tak.

Koła jej roweru toczyły się po drodze, a zmartwienie drażyło jej duszę. Dopiero kiedy usłyszała głośny śmiech, oderwała wzrok od asfaltu. Pośrodku drogi stała duża grupa turystów z rowerami. Rebecca zacisnęła dłonie na hamulcach i zatrzymała się pomiędzy nimi.

- Przepraszam. - Młoda kobieta z bladym uśmiechem odsunęła swój rower na bok.

Rebecca wzruszyła ramionami.

- Jesteś stąd?
- Raczej nie - odpowiedziała.
- Wiesz, gdzie jest fort?
- Prosto. Jakaś milę stąd.
- Patrzcie, on wypływa! - zawołał młody mężczyzna, podnosząc aparat fotograficzny.

Rebecca rozejrzała się i stwierdziła, że turyści stoją pod domem Seana.

- Jak nazywają się te łódki? - spytał ktoś.
- Jakies dziwne słowo - odpowiedział ktoś inny.
- Curragh - wyjaśniła Rebecca, patrząc, jak Sean przewraca łódź dnem w dół. Rozległ się dźwięk migawki. Rebecca poczuła na języku cierpki smak i zaczęła szukać dla niego właściwej nazwy. Jako archeolog uczęszczała także na zajęcia z antropologii. Patrząc wtedy na fotografie obrzędów plemiennych i grupowych posiłków przy ogniskach na nieskazitelnie białym ekranie, zastanawiała się często, jak to jest być przedmiotem zainteresowania antropologa. Jak to jest wiedzieć, że obcy przybysze obserwują nawet najbardziej intymny szczegół twojego życia w ramach badań naukowych?

Sean zepchnął łódź na wodę i wszedł do niej. Migawka znów cyknęła.

Obrzydzenie. To był właśnie ten smak. Nie pochodziła z wyspy, ale czuła się jej częścią, i chociaż nie lubiła Seana, brzydziło ją, że jakiś przybysz robił mu zdjęcie pod tytułem „Irlandczyk starej daty na curraghu”.

- Przepraszam - rzuciła. - Nie mogę się spóźnić.

Turyści odsunęli rowery i Rebecca ruszyła dalej. Jechała teraz wolniej, myśląc o turystach, aparatach i o Seanie wciągającym łódź na piasek. Koła jej roweru zjechały z gładkiej nawierzchni i gdy pokonała wzgórze, zobaczyła pod domem Jima.

Trzymał Tadhga, a wszystkie jego dzieci stały opodal. Grali w baseball.

- Jak tam pszczoły? - spytała Rebecca, uśmiechając się szeroko.

- Zabawne - odpowiedział.

Roześmiała się. Drzwi otworzyły się i wyszła Rose.

- Rose? Co tu robisz?

- Przyszliśmy z tobą pruć. Liz ma wełnę.

- Przyjechałam porozmawiać z Iną o gansejach. - Rebecca wyciągnęła z kosza aparat.

- Tak, tak. To też. A do tego zapraszamy na poczęstunek i przedzenie.

Rebecca westchnęła i wyminęła Rose. Pierwszy pokój był wysprzątnany, wszystkie abażury wisiały prosto. Uśmiechnęła się. Z kuchni wyszła Liz i wyciągnęła dłoń, by wziąć ją za rękę. Rebecca przekrzywiła głowę, uśmiechając się przy tym zagadkowo. Podążyła za Liz do kuchni i zobaczyła, że na stoliku po prawej postawiono herbatę i ciasta. Po lewej stronie, obok krzeseł, stały dwa kołowrotki, a na stole leżał sweterek. Kiedy się zbliżyła, poczuła ucisk w gardle. Zasłoniła usta i próbowała się cofnąć, ale Rose wątłym ramieniem otoczyła ją w talii.

- To właśnie Mairead zrobiła gansej Rowan - szepnęła Rose, powtarzając za Iną.

- Muszę iść - Rebecca wychrypiała zza dłoni.

- Zanim pójdziesz, chcesz potrzymać małą Sinead? - spytała Ina, nalewając herbatę. - A może małego Marka?

- Proszę, pozwólcie mi iść - szepnęła Rebecca, patrząc na sweterek identyczny jak ten, który spadł z mostu. Przełknęła ślinę, walcząc ze łzami.

- Pomyślałam, że będziesz chciała wiedzieć, co oznacza. Matka mojego męża i jej matka oraz babka robiły swetry z tym wzorem dla każdego dziecka urodzonego na wyspach. Sharon

jest twoją najlepszą przyjaciółką, a Peg moją, dlatego razem z Peg pomyślałyśmy, że także dla Rowan powinno się zrobić gansej *seanchai*.

Rebecca zadrżała, gdy wróciło do niej wspomnienie maleńkiego sweterka Rowan, który wpadł w czarną toń Oceanu Spokojnego. Rose i Liz popchnęły ją w kierunku kołowrotka.

- Pora prząść, Becky - powiedziała Rose. - Napij się herbaty, a potem weźmiemy się do pracy.

- Czas na herbatkę? - odezwała się Maggie zza pleców Rebeki.

- Becky właśnie siada do stołu. - Rose uśmiechnęła się naprzeciwko Amerykanki.

- Przyniosłam twoją kamerę z roweru. Zaraz ją włączę - zaofiarowała się Maggie.

- Nie - poprosiła Rebecca.

- Rzecz nie w tym, co ten gansej znaczy dla ciebie - zauważyła Liz - ale co on oznacza dla nas. Nastaw kamerę, Maggie, dobrze?

- We wzorze najistotniejsze są nie tworzące go pojedyncze oczka, tylko o to, co symbolizuje jako całość - wyjaśniła Rose.

- Rodzina mojego męża to byli *seanchai* tych wysp - zaczęła Ina. - Bajarze, gawędziarze, strażnicy przeszłości, historycy. Niektórzy mówią, że powstanie tych wzorów datuje się na początek dwudziestego wieku. Inni twierdzą, że robili je mężczyźni. Nie znam prawdy, ale faktem jest, że ten akurat wzór istniał, zanim jeszcze wypędzono nas z naszych ziem na te okruchy skał na zachodzie.

- Za Rzymian? - spytała Liz.

- Niektórzy sądzą, że aż tak dawno. Kiedy Celtów zepchnięto na wyspę Eire.

- Nagrywasz to, Maggie? - spytała Rose.

- Aye. Kamera działa.

- Wzór ten ma tylko jeden rozpoznawalny ścieg. Pozostałe nie są tak trójwymiarowe jak dzisiejsze ganseje. Są bardzo płaskie i proste. Widzisz? - Ina wskazała na sweter, ale Rebecca nie spojrzała.

- Taki sweter daje się noworodkom na tych wyspach. Jest to wspomnienie przeszłości pozostawione przez pokolenia, cierpiące za sprawą tych, którzy przepędzili ich z własnych ziem. Rzymianie, Normanowie, Anglicy, Szkoci, wszyscy tacy sami. Ale dajemy go naszym dzieciom i oznacza on, że jesteśmy teraz i tutaj, by wytrwać z nieustępliwą nadzieją, wierzyć, że jutro nadejdzie. Becky, śpiewamy, jak gdyby trwał właśnie najpiękniejszy dzień i żyjemy przepełnieni zachwytem. Nie ma to nic wspólnego z tą nową koncepcją twoich rodaków, którzy sądzą, że zachwyty łączy się z końcem świata i że w mgnieniu oka znikniemy z tej planety i znajdziemy się w ramionach Pana. Młodzi ludzie są prości. Amerykanie są młodzi. My jesteśmy starzy. W nas uniesienie wywołuje fakt, że budzimy się każdego dnia, wsiadamy do łodzi, karmimy rodziny, patrzymy na wnuki. Żyjemy w taki sposób, aby coś dla nich jeszcze zostało. A kiedy nadchodzi śmierć, wciąż jest jutro, wciąż jest dzień, w którym opuszczamy ten świat i odradzamy się w innym. Becky, wpadamy w zachwyty nawet z powodu śmierci. Zachwycamy się słodko-gorzkim życiem toczonym na tych wyspach, będących tylko skałami przynoszącymi nam trudy, ale i dającymi życie oraz miłość. Tym właśnie jest ten gansej i w tej właśnie postaci moja rodzina przekazuje swoją mądrość z pokolenia na pokolenie każdemu, kto tu się urodzi. Robi to w imieniu tych, którzy byli tu wcześniej.

Kiedy Rebecca spojrzała na Inę, nie potrafiła już dłużej powstrzymać łez. Poczowała ich palący dotyk na policzkach. Kątem oka widziała, jak Maggie nachyla się z kamerą nad swetrem.

- On to wszystko mówi, tak? - spytała Maggie. Kobiety się roześmiały Rebecca też. Wytarła łzy.

- Becky, wszystko w porządku. - Rose wzięła ją za rękę. -Dobrze to z siebie wyrzucić.

- To właśnie mówi. I dlatego Mairead przybyła na te wyspy.

- Myślałam, że przybyła z powodu Jima?

- Kto przy zdrowych zmysłach chciałby wyjść za Jima? -Wszystkie obróciły się i zobaczyły, że gospodyni stoi w drzwiach kuchni razem z dziećmi. Wybuchnęli śmiechem.

- Proszę, herbata. - Rose wstała, żeby wziąć dzieci od Mairead. Rebecca drżącą ręką podniosła filiżankę.

- Prawdę mówiąc, bardzo go kocham, w końcu jest Diraneem. - Mairead uśmiechnęła się, podając dziecko Rose.

- Zbłąkanym Diraneem - podsumowała Maggie. Starsze kobiety wybuchnęły śmiechem.

- Być może, ale to mimo wszystko Dirane. A kiedy zabrakło ciotki Claire, nie było nikogo, kto robiłby ganseje.

- Claire - szepnęła Rebecca znad herbaty.

- Potrzyмай dziecko. Te maluchy pomagają nabrać dystansu do życia.

- Rose ostrożnie podała Rebecce maleństwo ubrane w fioletowe powijaki. Poruszyło się, ale nie otworzyło oczu.

- To Sinead czy Mark? - spytała cicho Rebecca.

- Mark - odpowiedziała Mairead.

- Jaki on piękny.

Mark miał na sobie sweterek *seanchai*. Rebecca widziała teraz wyraźnie starożytne spirale i węzły. Wyglądały jak z rysunków Fionna. Jednak tylko jeden ścieg znała z nazwy. Było to drzewo życia.

- Wiesz, Sean bardzo się zmienił. - Maggie wyłączyła kamerę i odłożyła ją, a potem podniosła kubek z herbatą. - Właśnie byłam u ojca Michaela, szukając Rowan i Siobhan.

- Gdzie Rowan? - spytała szybko Rebecca.

- Ach, bezpieczna. Razem z Siobhan zawsze gdzieś chodzą po mieście. Nie pojawiły się, kiedy je wołałam, więc poszłyśmy ich szukać...

- Dlaczego nie przyszły? - wtrąciła Rebecca, zastanawiając się, dlaczego Rowan włóczy się po miasteczku pełnym turystów.

- Daj mi dokończyć.

- Przepraszam. - Rebecca przypomniała sobie, że musi oddychać i lepiej objęła trzymanego w ramionach Marka.

- Siobhan, Rowan i wszystkie dzieci w miasteczku - ciągnęła Maggie, patrząc bacznie na Rebecce - wyszły na dwór, bo było bardzo ciepło. Więc poszłam do ojca Michaela i wiecie, kogo spotkałam w ogrodzie?

- Seana? - spytała z niedowierzaniem Rose.

- *Aye*. A kiedy wspomniałam, że szukam Rowan i Siobhan, Sean wstał i powiedział, gdzie są.

- Skąd wiedział? - spytała Rebecca.

- Dużo czasu spędził z nimi u Blake'ów, ucząc je irlandzkiego i grania na fujarce - wyjaśniła Mairead.

Zaskoczona Rebecca podniosła wzrok. Napotkała spokojne oczy Mairead, ale i tak zmarszczyła brwi.

- Poszedł po nie i przyprowadził je do księdza na obiad. Zjedli razem we czwórkę!

Po słowach Maggie nastąpiła pełna zdumienia cisza. Rebecca wzniosła oczy do sufitu, żałując, że w ogóle wyjechała do Dublina.

- A do tego pomógł ojcu wysprzątać ogród.

- Nie! - wykrzyknęła Liz. - Pomógł komuś?

- Pomógł. Razem z dziewczynkami. Potem w porze kolacji poszedł do domu, a ojciec zaprowadził dziewczynki do Paddy'ego, który opowiedział o tym Tomowi, a Tom, nie do końca

w to wierząc, opowiedział mnie. Musiałam wszystko potwierdzić u księdza. Ina zagwizdała.

- *Aye* - przytaknęła Liz. - Ciekawe, co się mu stało?

Rebecca popatrzyła na Mairead, a ta na nią. Wszystkie milczały. Trzymając w ramionach śpiącego Marka, Rebecca aż kipiała ze złości, że Rowan się jej sprzeciwiła. Im dłużej jednak trzymała dziecko, tym jaśniej sobie uświadamiała, że nie od samej Rowan zależało, czy będzie się trzymała z dala od Seana. Nie zależało to także od Mairead czy kogokolwiek innego. Odpowiedzialna za to była wyłącznie ona.

Kiedy Liz wzięła od niej Marka, Rebecca dokończyła herbatę, a potem Rose pomogła jej prząść. Gdy kobiety rozmawiały o przeszłości, dzieciach i przemianie Seana Morahana, Rebecca pracowała w milczeniu, patrząc, jak chaos wełny zmienia się w przydatną przędzę.

Kiedy przyszła pora na lunch, Rebecca przeprosiła, mówiąc że stęskniła się za Rowan i chce spędzić z nią trochę czasu. Siadła na rower, pomachała Jimowi i jego siedmiorgu dzieciom, wciąż grającym w baseball, i ruszyła na wzgórze. Wjechawszy na asfalt, skręciła w kierunku miasteczka, ale nie miała wcale zamiaru jechać prosto do Rowan. Czując na twarzy wiatr, Rebecca ruszyła na północ, do domu Seana Morahana.

Jodelka z bąbelkiem

Jodelka z bąbelkiem. 1. Ścieg jodelkowy z pojedynczym bąbelkiem umieszczonym w zagięciu. 2. Ktoś, kto powoduje nagłą zmianę.

R. Dirane, *Sploty miłości*

Był sobotni poranek. Sean otworzył oczy. Coś było nie tak. Leżał w łóżku, słuchając własnego oddechu, czując kołatanie serca, powoli ruszając rękoma i nogami. Jeśli coś było nie tak, to na pewno nie z jego ciałem. Obrócił się, aby postawić stopy na kamiennej, zimnej podłodze. Znajomo zatrzeszczało mu w krzyżu.

Siedząc tak, oczekiwał kłopotów, ale słyszeć było tylko lekki wiatr w strzesze i pieśń paszkota. Wstał, włożył spodnie, granatowy gansęj i ruszył do drzwi. Boso wyszedł na zewnątrz, zamknął oczy i wciągnął w płuca wiatr. Czuł tylko woń soli morskiej i krzaków jeżyny. Zaglądając między gałązki, odkrył paszkota śpiewającego jak gdyby pośród sztormu.

- Głupiś - mruknął. Ptak odleciał.

Stary wrócił do środka, włożył skarpetki, buty i czapkę. W kuchni wrzucił dwa kawałki chleba i termos wody do płóciennego worka, wziął wędkę i wyszedł, nie wypiwszy nawet

herbaty. Podeszedł do curraghu. Patrzył, jak fale nadpływają od horyzontu jedna za drugą, rozbijają się o piasek i wracają do morza. Nic. Wszystko jak wczoraj, a jednak coś było nie tak. Zepchnął łódź na fale. W łodzi stary rybak złapał wiosła i zaczął oddalać się od brzegu. Kiedy tylko znalazł się na morzu, wstał i skierował wzrok na zachód. Słońce świeciło mu w plecy, gdy tak patrzył na wiecznie ruchomy ocean, próbując dostrzec zmiany barw i unoszącą się mgłę.

Daleko na południu znalazł to, czego szukał. Powiosłował w tamtą stronę ze wzrokiem utkwionym w wodzie. Kiedy przybrała kolor zielonkawej czerni, zatrzymał się i spojrzał w głębinę. Zobaczył tam migające kolory tęczy i niekiedy błyski srebra, gdy światło przenikało toń.

Wyciągnął fujarkę z rękawa i zaczął grać. Była to melodia przyzywająca to, co żyje pod powierzchnią, by przybyło do tego, co żyje powyżej. Ciche, wysokie dźwięki przypominały deszczyk, który pada na powierzchnię wielkiego oceanu, stukając delikatnie w niewidoczne drzwi, tak aby mieszkańcy zaciekawili się i sprawdzili kto to. Tak też się stało. Pojawili się w formie potężnego błysku srebra pod zielono-czarną wodą. Sean oderwał fujarkę od ust i patrzył. Przez kilka minut byli skonfundowani, bo nie było nic do zobaczenia, tylko duży czarny cień na tle światła. Błysk srebra powoli przygasł, jak się zawsze działo, zmieniając się tylko w migające kolory tęczy i z rzadka szary poblask.

Sean zdjął czapkę i podrapał się w głowę. Czuł, jak curragh unosi się na falach. Znał ocean od lat i widział, jak się zmienia. Ryb było dużo mniej niż czterdzieści, pięćdziesiąt lat temu. Ich obyczaje się zmieniły. Czasami Sean wyciągał z morza skamieniałą ropę, która skrzepla w słonej wodzie - podarki pozostawione przez platformy wiertnicze i frachtowce. Na morzu panował także dużo większy hałas, niż pamiętał z chłopię-

cych czasów, zwłaszcza odkąd zmieniły się szlaki żeglugowe. Wszystkie te transformacje były rozłożone w czasie, jedne następowały szybciej, inne wolniej. Ale tego dnia Sean nie znalazł na morzu niczego nowego. Westchnął i włożył na powrót czapkę.

- Coś jest nie tak - szepnął do wiosła i ruszył jeszcze dalej na zachód.

Wiosłował całe przedpołudnie wokół wyspy, ale letni dzień emanował spokojem. Zatrzymał się na godzinę, aby zjeść chleb i złowić ryby na lunch. Wreszcie zmęczony skierował się do domu.

Piasek łagodnie podrzucił curraghiem, gdy wciągał go na plażę. Wziął trzy złapane ryby, położył je na plaży i odwrócił łódź dnem do góry. Oskrobał i wypatroszył zdobycz, zostawiając wnętrzności dla krążących w górze mew, i wrócił do domu.

- Coś jest nie tak - mruknął, zapominając o przeżegnaniu się po zamknięciu drzwi. W kuchni postawił czajnik na piecu, wyciągnął z szuflady trzy ziemniaki, umył je i nastawił, aby się ugotowały. Gdy woda na herbatę zaczęła wrzeć, żeliwna patelnia już się rozgrzała. Nalał wody do imbryka i już miał kłaść ryby na olej, gdy rozległo się stukanie do drzwi.

Znieruchomiał, a potem obejrzał się przez ramię. „Coś nie tak” właśnie stuknęło do jego drzwi i miał nieprzyjemne uczucie, że to on jest teraz błyskiem srebra w głębinach, które coś przyzywa na powierzchnię. Stukanie rozległo się znowu. Wyłączył piec.

Krocząc cicho, chwycił zasłonę okna, ale znów znieruchomiał. Czego się bał? Nie był przecież tchórzem. Puścił zasłonę, chwycił klamkę i otworzył drzwi. Przed nim stała młoda kobieta o ciemnych włosach i cerze ciemniejszej niż skóra Irlandczyków oraz o oczach w charakterystycznym odcieniu brązu.

To jej oczy ją zdradziły, były bowiem mahoniowe, a Sean znał już ten kolor.

- Sean Morahan? - spytała. - *Aye*.

- Nazywam się Rebecca Moray i jestem matką Rowan.

- Wiem, kim pani jest.

- To dobrze. Proszę mi w takim razie powiedzieć, jakie ma pan zamiary względem mojej córki.

Sean otworzył szerzej oczy na to śmieszne pytanie.

- Jest dla mnie trochę za młoda, nie sądzi pani, pani Moray? - spytał, uśmiechając się przyjaźnie.

Nie odpowiedziała uśmiechem. Wręcz przeciwnie. Sean poczuł lodowaty podmuch.

- Nie jestem panią Moray, a pan wie, co mam na myśli. Chcę wiedzieć, czego pan od niej chce.

- Niczego od niej nie chcę.

- To dlaczego pan się koło niej kręci?

- Być może to ona kręci się koło mnie.

- Ona niczego od pana nie potrzebuje. To pan wymusza tę znajomość.

- Ona potrzebuje ojca. Może właśnie tego szuka? - Sean przyłożył dłoń do serca.

-Co?

- Rowan mówi o swoim tacie. I o pewnym ptaszku, którego nie ma w krzewie. - Uśmiechnął się. - Chce go zobaczyć. Może jeżeli zabierze ją pani do domu, nie będzie chciała spędzać tyle czasu ze mną?

Rebecca przekroczyła próg, Sean cofnął się o krok. Patrzył w jej mahoniowe oczy i czuł, jak ten sam lodowaty podmuch rozlewa się po jego ciele.

- Nie pan będzie mi mówił, czego potrzebuje moja córka. Zresztą, to nie pana interes, a ojciec Rowan nie żyje.

Sean uniósł brwi. Rowan o tym nie wspominała. Wrócił w myślach do rozmowy z dziewczynką - szukał jakiejś wzmianki o śmierci ojca. W tej chwili Rebecca podeszła jeszcze bliżej, przysuwając swoją twarz do jego twarzy.

Znalazł się w potrzasku. Nie mógł oddychać, nie mógł się ruszyć. Patrząc głęboko w brązowe oczy tej kobiety, poczuł to samo co wtedy, kiedy łowiąc z braćmi, wypadł z curraghu do morza. Ocean był zimny, martwy i szary, bez śladu życia. To pustka na dnie oceanu wciągała go ku sobie, w dławiącą ciemność.

- Znam cię - szepnęła matka Rowan. - Spotkaliśmy się wcześniej. Masz inne włosy, inny akcent i starszą twarz, ale znam cię dobrze. Widzę w tobie tę czarną dziurę. Wiem, czym ona jest. I proszę cię bardzo grzecznie, żebyś trzymał się z dala od mojej córki. Jeśli tego nie zrobisz, następnym razem, kiedy się spotkamy, nie będzie już tak miło.

Cofnęła się, trzymając Seana w potrzasku swych oczu, a potem odwróciła się i podeszła do roweru leżącego na ziemi.

- Miłego dnia, panie Morahan. - Nie obejrzała się za siebie. Potem wsiadła na rower i odjechała.

Sean stał bez ruchu, wiodąc za nią wzrokiem. Nawet nie czuł, czy oddycha, więc kiedy matka Rowan dotarła do drogi i skręciła na północ, zaczerpnął głęboko powietrza. Potem powoli, z namysłem zamknął drzwi. Rozejrzał się, pewny, że przed wizytą coś zaczął robić, ale nie pamiętał co. Nogi mu drżały. Z trudem dotarł do kuchni, gdzie padł na krzesło. Wsparł łokcie na stole i wziął głowę w dłonie. Oddychał głęboko, próbując zapomnieć o tych mahoniowych oczach, głębiach oceanu i lodowatym powiewie.

- Bardzo nie tak - powiedział.

Romb z rombem

Romb z rombem w środku. 1. Kolumna rombów z podobnym wzorem w środku. 2. Tajemnica.

R. Dirane, *Sploty miłości*

Rebecca jechała do domu wściekła na samą siebie. Ten mężczyzna, o którym nic nie wiedziała, rozmawiał z Rowan o jej zmartwieniach. Rowan nigdy nie wspominała matce, że tęskni za ojcem. Nigdy też nie mówiła, że niepokoi się o paszkota. Dotąd jej pytania wydawały się Rebecce przejawem zwykłej ciekawości. Pedalując coraz szybciej, czuła, że córka wymyka jej się z rąk. Czy spędziła z nią dużo czasu tu, na wyspie? Do tego stopnia poświęciła się zbieraniu materiałów do książki, że nawet nie zabrała Rowan do fortu. Córka chodziła po miasteczku, bawiła się z Siobhan, znajdowała przyjaciół, podczas gdy jej matka... Rebecca się zatrzymała.

Przybyła na wyspę odkryć, jak stworzyć dom. To jej się udawało. Rowan poznała najlepszą przyjaciółkę. Wokół znajdowali się dorośli godni zaufania. Doświadczała tu wolności, bezpieczeństwa i mogła się bawić. Nawet kiedy Sean kręcił się w pobliżu, ktoś był obok. Rebecca potarła twarz, myśląc o ojcu Michaelu i jego strychu.

- Posiadanie dzieci to lekcja dla rodzica - powtórzyła myśl księdza.

Rzuciła spojrzenie w kierunku morza, wiedząc, że w tej chwili Rowan zapewne bawi się z Siobhan. Jeśli teraz je rozdzieli, unieszczęśliwi córkę.

- Boże, jakie to trudne...

Opuściła dłonie z twarzy na szyję i znalazła tam krzyż świętej Brygidy.

- Rozdroża nigdy nie są przyjemne. - Wspomniała Fionna i ciasto z jeżynami. Uśmiechnęła się. - Dokąd teraz? - zapytała samą siebie. Potrzebowała gansejów i opowieści. Obiecała także księdzu, że oczyści ubrania. Nacisnęła więc na pedały i skierowała się do kościoła.

Kiedy zajechała na miejsce, ojciec Michael zajmował się właśnie kwiatami. Przystanął, patrząc na nią w ten swój szczególny sposób - próbując dojść, czego ona szuka. Widząc, że jest zajęty, Rebecca poprosiła go tylko o suknię ślubną, ubiór rybaka i gansej, które ksiądz z radością jej przekazał. Wracając do domu, Rebecca rozmyślała o Rowan, ale tylko chwilami, bo jej umysł zaprzętała kwestia, kiedy po nią jechać. Myślała także o Seanie i była zadowolona, że z nim porozmawiała. Nauczyć się, że Rowan jest wolna, to jedno. Sean to drugie.

Gdy Rebecca wróciła na wyspę z Dublina, stwierdziła, że jest dokładnie tak, jak mówił Fionn senior. Wszyscy trwali na swoim miejscu, tam gdzie ich zostawiła, jak przez stulecia. Nikt jednak nie miał czasu porozmawiać z nią o gansejach, opowieściach rodzinnych i historii wyspy. Mairead rodziła. Większość kobiet na zmianę udawała się z pomocą do domu Fitzgibbonów. Wszyscy inni byli zajęci obsługiwaniem napływających wczasowiczów, bo lato rozpętało się jak wielkie, zielone tsunami.

Przez kolejne trzy dni Rebecca nie myślała zbyt wiele o turystach, Mairead czy lecie. Zaprzętało ją to, że chociaż wszystko było takie, jak zapowiadał Fionn senior, coś się zmieniało. Jej serce ogarnął smutek. Ale wyspa tętniła życiem, a Rebecca miała dużo zajęć. W pubie ciągle potrzebowano dodatkowych rąk do pracy, ponieważ Annie i Maggie pomagały w domu Fitzgibbonów. Dlatego Rebecca wieczorami zostawiała Rowan z Paddym i Siobhan, a sama ruszała pracować jako kelnerka. Za dnia zaś zajmowała się ubraniami księdza, a dziewczynki bawiły się wokół domu. Cały ten czas starała się ignorować ściskający jej serce żal.

Pracując, zapisała historię ganseja dziadka księdza. Choć była pewna, że pozwoliliby jej wrócić i nagrać jego słowa, postanowiła, że najlepiej będzie, jeśli po prostu przeleje na papier opowieść, którą wtedy usłyszała. Gansej nie należał przecież do księdza ani też nie on go zrobił. Nie wiedziała, czy wykorzysta ten gansej lub jego historię w swojej książce, ale i tak pstryknęła kilka zdjęć, zanim zajęła się oczyszczeniem starzejącej się wełny.

Dni wydawały się teraz łatwiejsze do zniesienia. Rebecca czuła, że najciężej pracuje wieczorami, bo mogłaby przysiąc, że cała Europa wali drzwiami i oknami, żeby napić się w pubie. Oddawała się pracy, by uśmierzyć ból, a ponieważ nie miała nikogo, kto pomógłby jej przy projekcie, bardzo się starała. Wyciągnawszy z walizki szczoteczki i pędzelki, pęsety, roztwory czyszczące i papier bezkwasowy, pracowała pilnie nad suknią ślubną i ubiorem rybaka. W środę do jej drzwi zapukała Sheila, pytając, czy poszłaby do Mairead. Oczywiście się zgodziła.

Z Rowan na ramie roweru pojechała do miasteczka. Dzień był słoneczny, cienie puchatych obłoczków wędrowały po kamiennych murkach niczym szare duszki pierzchające przed słońcem. Rebecca i Rowan śmiały się, ścigając cienie i krzycząc,

kiedy tylko o włos mijały przeszkody, przez które te zgrabnie przeskakiwały.

Przejeżdżając obok doków, Rebecca zobaczyła przycumowaną łódź Iollana. Serce zabiło jej mocniej; zatrzymała rower.

- Iollan! - zawołała.

-Aye? A, Becky, dobrze cię widzieć! Hej, Rowan!

- Cześć, Iollan! - zawołała Rowan. - Fionn jest z tobą? Rebecca chciała zadać to samo pytanie.

- Nie. Jestem sam. Przyjechałem do siostry i maluchów. Słońce odbijające się od okien kabiny Iollana oślepiło ją.

- Mam też specjalną przesyłkę. Jedziecie się zobaczyć z moją siostrą?

- Tak, teraz nasza kolej - przytaknęła Rebecca.

- Świetnie! - Iollan spojrzał na Becky i się roześmiał.

- Co? - Nie rozumiała, co go tak rozbawiło.

- Uważaj na rowery. - Wszedł z powrotem do kabiny, wciąż się śmiejąc.

- Z czego on się tak cieszył, mamo?

- Nie wiem, ale chyba coś kombinuje.

Rebecca ruszyła dalej na południe, obejrzawszy się tylko raz na łódź Iollana.

Dojechały w porze śniadania. Na miejscu zobaczyły Jima w kuchni z siedmiorgiem dzieci, piętnastoma jajkami, funtem bekonu, galonem mleka, dwoma bochenkami chleba Rose i miodem. Brakowało tylko herbaty, więc Rebecca postawiła czajnik na kuchence, a Jim przygotowywał posiłek.

Gdy skończył, poszedł na górę zjeść z żoną. Rebecca została z dziećmi.

- Ciaro, co myślisz o nowym rodzeństwie? - zapytała Rebecca jedną z dziewięcioletnich bliźniaczek.

- Niepodobne do Tadhga - odpowiedziała dziewczynka, wkładając sobie do ust kawałek bekonu.

- To chyba dobrze? - Rebecca się roześmiała.

-*Aye!* - Meara, druga z bliźniaczek, przewróciła oczami.

Tadhg, który zajął z zadowoleniem jajecznicę postawioną przed nim przez ojca, pisnął przenikliwie. Potem zakrztusił się i roześmiał. Reszta dzieci zawtórowała mu, co sprawiło, że znowu wrzasnął.

- Tylko bez takich, chłopcze - powiedział Jim, wchodząc do kuchni. - Używaj słów.

- Już! - Tadhg potrząsnął rączkami, rozrzucając resztki jajecznicy po kuchni.

- Becky, możesz już iść na górę. Ja tu posprzątam, a potem wszyscy wybierzemy się na łąkę.

- Rowan, odnieś talerz do zlewu. - Rebecca podniosła swoją filiżankę i podeszła do blatu. - Posprzątam później, kiedy wrócimy na dół. Ty idź teraz z dziećmi.

- Dobrze, Becky, dziękuję.

Rebecca i Rowan poszły na górę do pokoju Mairead i delikatnie zapukały do drzwi.

- Zmieniłam się w automat do karmienia - przywitała je Mairead. - Wejdźcie.

Rebecca zajrzała do środka.

- Czy Rowan też może?

- Pewnie!

Ociągając się, Rowan weszła za matką. Jedno z niemowląt ssało właśnie pierś, drugie leżało obok matki.

- Tym razem to chłopczyk i dziewczynka - wyjaśniła Rebecca córce.

-*Aye.* To Sinead. Rowan, chcesz ją potrzymać? Przytaknąwszy, córka Becky usiadła na łóżku. Rebecca położyła dziecko w jej ramionach.

- Musisz trzymać główkę wyżej. Sinead może się wiercić, ale to nie znaczy, że chce, żebyś ją puściła. Po prostu jest ruch-

liwa. Jeśli będzie czegoś chciała, to się rozplacze - powiedziała Rebecca.

- Jak się nazywa drugie dziecko? - spytała Rowan.

- Mark.

Rebecca uśmiechała się, patrząc na Rowan z noworodkiem w ramionkach.

- Mamo, Sinead ma rude włosy - zauważyła Rowan.

- Naprawdę? - zdziwiła się Rebecca. Wcześniej miała w ramionach Marka, ale nie Sinead, i teraz, gdy odciągnęła czapkę dziewczynki, ujrzała rude kosmyki.

- Mama lubi rude włosy. - Rowan spojrzała na Sinead. - Tak?

Rebecca wzruszyła ramionami, z powrotem nakładając dziecku czapkę. Mairead się roześmiała.

- Śmiejesz się jak twój brat - powiedziała Rowan.

- Czyżby?

- Śmiał się tak, kiedy rano mijaliśmy jego łódź - powiedziała Rebecca.

- Jak jest Sinead po angielsku?

- Najlepszym odpowiednikiem jest Janet. Nazwałam ją tak po najmłodszej siostrze Fionna. To jedna z moich najlepszych przyjaciółek.

- Jak to się stało, że Sinead została twoją przyjaciółką, skoro wychowywałaś się na innej wyspie? - chciała wiedzieć Rebecca.

Maggie i Mairead musiały się znać przez swoje matki, bo Ina i Peg były zaprzyjaźnione. Sinead pochodziła z OFlahertych, a nie z Dooleyów jak Peg.

- Poznałam Sinead w kościele, kiedy przyjechałam tam z tatą. Miałam sześć lat, ona cztery. To było dawno temu. Po wyjeździe czułam się tak, jakbym straciła siostrę. Bez przerwy płakałam. A potem pewnego dnia do brzegu przybił curragh

z Sinead. Okazało się, że płakała tak bardzo, że rodzice wsadzili ją do łodzi z Tomem i Fionnem, żeby przywieźli ją do mnie. Kiedy Fionn podrósł, przyplływali tylko on i Sinead. Płakałam zawsze, gdy wyjeżdżali.

- Będę tak płakała, kiedy stąd odjadę - wtrąciła Rowan.

- Naprawdę? - spytała Mairead.

- Kocham Siobhan. Ona jest jak moja siostra.

Rebecca pomyślała, że powinna coś powiedzieć, ale nie wiedziała co.

- Wrócimy tutaj, to miejsce Sharon - powiedziała.

- Obiecujesz? - spytała cicho Rowan.

- Tak. - Rebecca spojrzała na Mairead, która się uśmiechnęła.

- Dziecko nieładnie pachnie - mruknęła Rowan.

- Czas zmienić pieluszkę - ogłosiła Rebecca, ciesząc się, że mogą zmienić temat.

- Czyli Iollan jeszcze nie wypłynął? - spytała Mairead.

- Wyglądało na to, że wkrótce wypłynie. - Rebecca przeniosła Sinead na przewijak.

- Wpadł wczoraj. Ciekawe, co zatrzymało go na noc na przystani - zastanawiała się Mairead.

- Mówił, że ma specjalną przesyłkę - przypomniała Rowan.

- O! Chyba coś szykuje - zauważyła Mairead.

- Co? - spytała Rowan.

- Nie wiem, ale na pewno wkrótce się przekonamy. Reszta dnia upłynęła na myciu dzieci i praniu ubrań oraz

zmienianiu pieluszek. Mairead spała, kiedy tylko mogła, a nie miała ku temu okazji zbyt często, przynajmniej w opinii Rebeki. Któreś z bliźniąt zawsze chciało jeść.

O trzeciej Rebecca włożyła pieczeń do piekarnika. O czwartej nastawiła czajnik, a o czwartej trzydzieści Annie Blake

przyszła z pasztecikami, babeczkami i herbatnikami. Niewiele później przybył cały klan Fitzgibbonów.

Rozproszone po całym domu dzieci jadły podwieczorek, podczas gdy Jim, Annie i Rebecca rozmawiali o tym, co trzeba zrobić przed nocą. Po umyciu naczyń i przygotowaniu kolacji Rebecca i Rowan zaczęły szykować się do wyjścia. Kiedy wsiadały na rower, słońce właśnie zniknęło na zachodzie.

- Dzięki za pomoc - powiedział Jim.

- To nic takiego. - Potrząsnęła głową Rebecca. - Wskakuj, Rowan.

Rowan usiadła na kierownicy i pojechały.

- Do jutra! - krzyknęła za nimi Annie.

Rebecca pomachała jej i zniknęła po drugiej stronie wzgórza. Droga na północ była pusta. Cienie wydłużyły się, kiedy mijały dom Seana. Rebecca zauważyła nad kominem smużkę dymu przypominającą bladego, fioletowego duszka rozpluwającego się w wieczornym wietrzyku. Na plaży nie zobaczyła curragha i zapytała samą siebie, kto siedzi w domu przy ogniu i gdzie o tej porze przebywa stary.

W miasteczku wpadły w rowerowy zator. Turyści gromadzili się przed wypożyczalnią Hernona, chcąc zwrócić rowery przed ostatnim promem.

- Becky! - zawołała Liz z drzwi domu Rose. - Do jutra! Przyniosę ciasto!

Rebecca uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

- Nie mogę się już doczekać jutra! - krzyknął John Hernon, kiedy Rebecca przeciskała się obok jego sklepu.

- A co jest jutro? - szepnęła Rebecca, przystając naprzeciwko, owiana wonią róż z ogrodu księdza.

- Dzień Niepodległości? - podpowiedziała Rowan.

- Rebecca! Nie mogę się doczekać jutra! Mam przynieść coś specjalnego?! - zawołał ojciec Michael.

- Nie rozumiem. - Rebecca spojrzała na księdza.
- Co takiego?
- Co przynieść?
- Coś na grilla.
- Jakiego grilla?
- Jutrzejszego, z okazji Dnia Niepodległości.
- Nie robię żadnego grilla! - zawołała Rebecca.
- Dostałem zaproszenie.
- Jakie zaproszenie?

Ksiądz wszedł do domu i wrócił po chwili z białą karteczką. Czerwonym i niebieskim atramentem wypisano tam zaproszenie. Rebecca potrząsnęła głową.

- Co tam jest napisane, mammo?
- „Serdecznie zapraszamy na pierwszego grilla z okazji Dnia Niepodległości u Rebeki i Rowan! Kurczak, sałatka ziemniaczana i zimne ognie dla każdego! Prosimy przynieść ulubioną potrawę. Napoje zapewnia pub O’Tlaherty. Przyjęcie zacznie się o trzynastej, a skończy wraz z ostatnim zimnym ogniem. Prosimy zjawić się koniecznie!”.
- Robimy przyjęcie, mammo?! - podekscytowała się Rowan.
- Nie! Kto to dostał? - Rebecca oddała zaproszenie księdzu.
- Chyba każdy w miasteczku.
- Cholera!
- Mammo!
- Choroba... Co ja teraz zrobię?
- Nie wy wystosowałyście to zaproszenie? - zdziwił się ojciec Michael.

Rebecca pokręciła głową, a potem zamarła, przypominając sobie Iollana, jego śmiech i specjalną przesyłkę.

- To Iollan! - krzyknęła.
- Iollan? Ale dlaczego... - zaczął ksiądz.

- Fionn.
- Fionn?
- To robota Fionna. - Rebecca się skrzywiła.
- Czy aby na pewno? - spytał ksiądz.
- Rowan, trzymaj się - mruknęła Rebecca, wjeżdżając z powrotem na drogę.
- Co powinienem przynieść?! - zawołał za nią ksiądz.
- Szaty liturgiczne i ostatnie namaszczenie! - krzyknęła Rebecca przez ramię. - Zabiję tego sukin...
- Mamo!
- Przepraszam.

Romby z mchem i bąbelkami

Romby z mchem i bąbelkami w środku i na zewnątrz. 1. Kolumna rombów tworzących znak „x”, gdzie jeden romb styka się z kolejnym. W czterech rogach każdego „x” wykonuje się cztery bąbelki. Romby wypełnia się mchem. 2. Przyjęcie.

R. Dirane, *Sploty miłości*

Rebecca słyszała, jak Paddy Blake coś do niej woła, ale minęła go bez zatrzymywania się. Wiedziała, co powie. Pędząc drogą, myślała o Fionnie i jego zainteresowaniu sałatką jej matki. Czuli się naiwna. Nie znosiła tego.

Skręciła w żwirowy podjazd i zahamowała przed domem. Pod drzwiami stały brązowe worki ziemniaków i pomarańczowe cebul. Było też kilka skrzynek, a koło tego wszystkiego duży grill, obwiązany czerwono-biało-niebieską wstążką.

Rebecca stała jeszcze w chmurze pyłu wzbitego przez rower, gdy Rowan zeskokczyła i podbiegła do najbliższej skrzynki, z której wyjęła dużą butelkę pikantnego sosu luizjańskiego.

- Zabiję go.

- Becky?

Rebecca odwróciła się na pięcie i zobaczyła Fionna seniora, Sheilę, Maggie i Peg. Stali w bezpiecznej odległości, gdy piorunowała ich spojrzeniem.

- Becky, tylko się nie unoś - uprzedziła Peg.
- Co on, do cholery, wyrabia?!
- Mamo!
- Do licha, do licha... - poprawiła się Rebecca.
- Czasem tak robi - wyjaśniła Sheila.
- Nie ze mną!
- Ma za dużo pieniędzy i czasu - ciągnęła Sheila, wymijając Rebecę i podchodząc do ziemniaków. - Powinnaś tu być, kiedy pierwszy syn Maggie szedł do bierzmowania. Zaprosił wszystkich O'Flahertych z całej Irlandii.
- *Aye*. A do nas należy zaopatrzenie barku. - Maggie westchnęła.
- Pomożemy - zaofiarowała się Peg.
- Pomożecie? Całe pieprzone miasteczko się tu zwali!
- Mamo!
- Przekłete, przekłete - znów poprawiła się Rebecca.
- Oraz nasi goście.
- Turyści? - szepnęła Rebecca.
- Gdyby się ożenił i miał już dzieci, nie marnowałby pieniędzy na te bzdury. - Fionn senior potrząsnął głową, patrząc na Rebecę, jak gdyby to była jej wina.
- Poruszyła ustami, ale czując na sobie jego spojrzenie, nie wydusiła z siebie słowa. Kaszlnęła.
- Dlaczego tak mi się przyglądasz? - spytała.
- Kurczak jest w pubie - wyjaśnił. - Trzeba go pokroić.
- Fionn pojawi się jutro? - spytała Rebecca, próbując zachować spokój.
- *Aye*. Lubi być świadkiem swoich psot.
- Świetnie! - Uśmiechnęła się po raz pierwszy.
- Becky, chodź. Rowan może zostać u Sheili. Trzeba pokroić kurczaka
- powiedział Fionn senior.

Rebecca wsiadła do jedyne go na wyspie samochodu i ruszyli do miasteczka. Weszła za Fionnem seniorem i Peg do kuchni pubu, a kiedy otworzyła drzwi dużej lodówki, nogi się pod nią ugięły. Była pełna kurczaków.

Fionn senior bez słowa wyjął jedną tuszę.

- My będziemy kroić, a ty naszykuj marynatę - polecił.

- Macie składniki na marynatę? - spytała.

Fionn senior wskazał pudełko na podłodze obok pieca. Westchnęła ciężko. Nawet bez przerwy na herbatę pracowali w trójkę do wczesnych godzin rannych, przygotowując kurczaki i sos. Kiedy Rebecca dotarła wreszcie do domu, wstawał nowy dzień. Wzięła prysznic, osuszyła włosy i weszła do łóżka.

- Mamo?

Rebecca uniosła powieki. Przy łóżku stała Rowan z Tropem.

- Sheila czeka pod drzwiami.

- Dopiero co się położyłam...

- Sheila mówi, że czas wstawać. Jest już czwarty lipca, Dzień Niepodległości.

Wygramoliwszy się z łóżka, Rebecca spojrzała na białe zasłony. Dochodził zza nich śpiew.

- Rowan, czy drugi ptaszek wrócił? - spytała, żeby sprawdzić, czy Rowan zdradzi jej swoje niepokoje.

- Nie widzę.

Wziąwszy córkę w ramiona, Rebecca podeszła do okna i ostrożnie odsunęła zasłony. Głęboko w krzaku na gnieździe siedział tylko jeden ptak.

- Nie ma taty - powiedziała Rowan.

- Może poleciał po jedzenie?

- To samo mówiłaś ostatnio. - Zmarszczyła brwi Rowan.

- Może zaglądamy do krzaka akurat, kiedy go nie ma?

Rowan westchnęła.

- Może umarł?

- Tego nie wiadomo.

- Sheila mówi, że czas wstać. - Rowan uwolniła się z objęć matki.

Rebecca patrzyła, jak córka wybiega z pokoju. Włożywszy spodnie i bluzkę, podreptała do kuchni. Sheila nalewała wodę do czajnika.

- Gdzie Rowan?

- Poszła z Fionnem na łąkę. Mam pokroić bekon?

- Nie trzeba, sama to zrobię.

Gdy Rebecca kroила i smażyła bekon, Sheila umyła ziemniaki i wrzuciła je do wrzątku. Razem posiekały zieloną paprykę, cebulę, seler i ogórki konserwowe. Zza drzwi dobiegła jakaś wrzawa, ale Rebecca nie miała czasu sprawdzić, co się dzieje. Musiała przygotować sałatkę ziemniaczaną dla setek gości. Pracowała w milczeniu z Sheilą u boku.

Ludzie zaczęli się gromadzić około południa, akurat kiedy Rebecca kończyła mieszać śmietanę i sos Luizjański z przygotowanymi wcześniej składnikami. Sheila obrała i pokroiła w ćwiartki cały sagan ziemniaków. Potem dodała sos śmietanowo-bekonowy i wyszła z kuchni z pierwszą miską sałatki. Rebecca została, by dosmażyć bekonu. Właśnie przeklinała Fiona, krojąc ogórki, kiedy wszedł ojciec Michael.

- Dzień dobry, Rebecca.

- Tak, pewnie.

- Wszystkiego dobrego z okazji Dnia Niepodległości. - Napelnił czajnik wodą.

Rzuciła mu ostre spojrzenie.

- To sprawka Fiona. Podobno wcześniej wykręcił już taki numer. Jego matka wspomniała o synu Maggie.

- Tak, tamto bierzmowanie. Ale syn Maggie to siostrzeniec Sharon. Skąd wiesz, czy to tak naprawdę nie była sprawka Sharon?

Rebecca potarła bolące plecy.

- Nie wiem. Przyniósł ksiądz szaty, olejki i takie tam? Ojciec Michael się uśmiechnął. Rebecca nie.

- Coś czuję, że w tym roku nie będziesz tęskniła za świętowaniem w Redding. - Zachichotał.

Rebecca podniosła wzrok znad ogórków. Dotąd ani razu nie pomyślała o Redding.

- Raczej nie. Ciekawe, czy Rowan tęskni?

Nie widziała córki, odkąd wyszła rano z łóżka.

- Bawiła się z Siobhan, gdy wchodziłem. Udawały, że siedzą w curraghu i przywołują ryby. Nie wygląda na to, że tęskni za jakimiś przyjaciółmi w Redding.

Rebecca spojrzała z ukosa na ojca Michaela, który zaczął mieszać bekon.

- Chyba nie.

- To nie tak źle, że świętujecie tutaj, prawda?

- Mam dużo pracy - odpowiedziała.

- Dobrze zacząć kontynuować tradycje rodziców, jeśli chce się je zachować, nie sądzisz?

- Ojciec - zaczęła Rebecca, myjąc nóż - może rzeczywiście tak jest, ale nie planowałam tego, a to nie najlepszy moment, żeby pielęgnować tradycje rodzinne. Przyjechałam tu zbierać materiały do projektu, na który otrzymałam grant. Mam zobowiązania, książkę do napisania, terminy do dotrzymania...

- I to jedno przyjęcie w tym przeszkodzi?

- Jedno przyjęcie?! Jedno przyjęcie, jedna podróż motocyklem, problemy rodzinne Mairead, do tego trójka noworodków i dwie starsze panie, które zamiast przekazywać mi informacje,

uczą mnie prażyć. Od przybycia tutaj nie posunęłam się w pracy ani o krok. Co za to mam? Dwa swetry, ubranie księdza...

- O! Już się nim zajęłaś?

- Właśnie skończyłam. Leżą na sofie, może je ksiądz zabrać. A ja nie mam nic. - Padła na krzesło i zaczęła siekać cebulę. Była zmęczona, bolały ją plecy.

Ksiądz wyłączył palnik.

- Rebecca, masz wszystko - powiedział cicho. - Wszystko jest tutaj. Co zrobić z bekonem?

- Po odsączeniu wymieszać z warzywami w misce.

- A potem?

- Potem dodać śmietany i sos luizjański.

Ksiądz mieszał wszystko, gdy Rebecca obierała i kroїła kolejny sagan ziemniaków. Właśnie mieszała je z dipem, kiedy kątem oka zobaczyła, że ktoś wchodzi do kuchni - ktoś w skórzanej kurtce i z rudymi włosami. Zignorowała go.

- Wesołego Dnia Niepodległości - szepnął jej w ucho Fionn. - Spójrz.

W lewej ręce trzymał kilka małych amerykańskich flag. Zamachał nimi lekko. Rebecca podniosła miskę i minęła go bez słowa.

- Poradzi sobie ksiądz z sałatką? - spytała, wychodząc.

- Aye. Jeśli zobaczysz Liz, spytaj ją, czy przyniosła ciasto, dobrze?

- Jasne.

Wyszła z domu. Na widok tego, co zobaczyła za rogiem, oniemiała. Na podwórzu porozstawiano stoliki z krzesłami i kręciło się pełno dorosłych oraz dzieci. Rozlegały się śmiech oraz muzyka, wiele osób tańczyło. Nie pamiętała, kiedy po raz ostatni podczas przyjęcia czwartego lipca miała tylu gości.

- Becky, wspaniałe przyjęcie - powiedział z za jej pleców Fionn.

- Czyżby? - Podeszła do grilla, gdzie rządził Eoman.

- To jest tak, skarbie - mówił do pięknej blondynki - że wy obchodzicie Dzień Świętego Patryka, więc my tu, na wyspie, pomyśleliśmy, że wypada nam także świętować waszą niepodległość. - Mrugnął do przechodzącej Rebeki.

Wywróciła tylko oczami, chociaż powinna była chyba przestrzec blondynkę przed irlandzkim urokiem. Ale kto wie, może właśnie dlatego kobieta tu przybyła. Po co psuć jej spełnione marzenie?

Fionn deptał jej po piętach, kiedy kładła miskę sałatki na najbliższym stole i wtykała w nią łyżkę. Zawołał w kierunku tłumu:

- Proszę o uwagę!

Rebecca odwróciła się i spojrzała na niego groźnie.

- Chciałbym wznieść toast! - musiał krzyczeć, bo zgromadziło się jakieś sto osób, a do tego nieopodał szumiał ocean.

Wszyscy sięgnęli po szklanki i kieliszki. Fionn podał Rebecce pintę cydru z beczki stojącej po jej lewej stronie.

- Za Becky! Za jej rodzinną recepturę na udanego grilla! Wszyscy zawtórowali.

- Za niepodległość!

- Za Becky! - krzyknęli.

Rebecca spojrzała na Fionna święcie przekonana, że to wariat.

- Twoje zdrowie, Becky! - Pociągnął łyk piwa.

- Zwariowałeś? - spytała całkiem poważnie.

- Chodź zatańczyć. - Zabrał jej cydr z ręki i odstawił.

- Nie. Sprawiasz tylko kłopoty. - Cofnęła się.

- Tylko jeden taniec.

Wziął ją w ramiona. Pozostała w nich przez resztę wieczoru, także podczas kolacji, zapalania zimnych ogni i sprzątnia.

Jodelka ze ściągaczem

Jodelka ze ściągaczem w środku. 1. Ścieg jodelkowy ze ścięciem ściągaczowym zrobionym w zagięciu. 2. Nagła i niespodziewana zmiana.

R. Dirane, *Sploty miłości*

Kiedy Rebecca wyszła spod prysznicza około południa następnego dnia, usłyszała śpiew ptaka. Wciągając koszulę i spodnie, słuchała kwilenia i rozmyślała o Fionnie i jego ciągłym nuceniu. Tańcząc z nim poprzedniego wieczora, położyła głowę na jego piersi i słuchała, jak śpiewa, a wtedy spłynął na nią wielki spokój. Więcej niż spokój. Poczowała się, jak gdyby rzuciła kotwicę, jak gdyby znalazła swoje miejsce.

Patrząc teraz na siebie w lustrze, miała wrażenie, że opada na nią ciężar tak potężny jak ocean. Za sześć tygodni wróci do Stanów. Rowan będzie tęsknić za Siobhan, a Rebecca za Fionnem.

- Paszkot znowu śpiewa! - zawołała Rowan z sypialni. -Może jest smutny, że taty ciągle nie ma?

- Nie wiemy, czy właśnie to nie jest tata - odpowiedziała Rebecca, włączając suszarkę do włosów. Ciepły podmuch owionął jej twarz. Wiedziała, że Rowan utożsamiała swojego ojca z tym ptaszkiem. Nigdy nie rozmawiały o Dennisie. Re-

becca twierdziła po prostu, że odszedł. Uważała, że Rowan jest za mała, by udźwignąć brzemień śmierci ojca, ale wyglądało na to, że jest już dość duża i że pomijanie tego tematu może być problematyczne.

- Mamo, Sheila przyszła z twoim Fionnem! - krzyknęła Rowan. Rebecca wyłączyła suszarkę.

- To nie jest mój Fionn...

- Dlaczego? - wtrącił Fionn, wchodząc do łazienki. Rebecca spojrzała na niego w lustrze i wzruszyła ramionami.

- Proszę - powiedział. Obróciła się i ujrzała, że trzyma w rękach gansej. Cały z przekreślonych oczek.

- Matka go dla ciebie zrobiła - oświadczyła.

- Skąd wiesz? - Fionn podniósł sweter do twarzy, żeby mu się lepiej przyjrzeć. Rebecca zaśmiała się pod nosem. - Tak czy owak dziś należy do ciebie.

- Dlaczego? - spytała.

- Bo razem z tatą odwozimy Inę do domu. Czas, żebyś nauczyła się wiosłować.

- Wiosłować?

- *Aye*. Każdy musi się nauczyć. Nie martw się o Rowan. Matka pójdzie z nią i Siobhan na łąkę. Włóż to. Tata wziął już Inę na plażę.

Fionn wepchnął Rebecce gansej w lewą dłoń i zamknął drzwi. Stała przez chwilę oszołomiona, a potem posłusznie wciągnęła sweter przez głowę. Był duży i workowaty. Przyciągnęła kołnierz do nosa i się uśmiechnęła. Pachniał Fionnem. Kiedy wyszła z łazienki, dom był pusty. Szybko włożyła buty i wyszła. Pod drzwiami czekali na nią Sheila, Rowan i Trop.

- Piękny letni dzień. - Sheila spojrzała w niebo. - Nie martw się o Rowan, zajmiemy się nią.

Rebecca pocałowała córkę w policzek.

- Pamiętaj, żeby oddychać brzuchem - poinstruowała ją Rowan. - Tak mówił Stary Dirane.

Rebecca spojrzała pytająco na Sheilę. Kobieta roześmiała się i wzięła Rowan za rękę. Ruszyły po żwirze. Rebecca rozejrzała się i zobaczyła, że Fionn wyprzedza ją o trzy kamienne murki.

- Zaczekaj! - krzyknęła i przeskoczyła przez pierwszy murek. Kiedy dogoniła go przy stopniach, dostała już zadyszki. - Mogłeś poczekać - naburmuszyła się, ostrożnie schodząc ku plaży.

- Potrzebowałam rozgrzewki. Wiosłowanie to ciężka praca. Kiedy dotarli na plażę, Rebecca zobaczyła, że Ina siedzi już w curragh, a obok stoi Fionn senior. Poranne niebo było jasnoniebieskie i bezchmurne.

- Siądź z tej strony z przodu. - Fionn wskazał Rebecce lewą stronę curragh. - Ja siądę z tyłu z drugiej.

- Nadejdzie fala i uderzy w dziób - zaczął tłumaczyć Fionn senior, podchodząc do łodzi. - Trzeba dwóch fal jedna po drugiej, żeby odbić od plaży. Pierwsza fala uniesie łódź z piasku. Wtedy trzeba mocno pchać. Gdy opadnie, pomoże nam wciągnąć curragh dalej w wodę. Potem cofająca się fala uderzy w nadchodzącą, która się powiększy, i uderzając w curragh, podniesie dziób. Wtedy posuwasz się do przodu brzuchem naprzód. Musisz tak jakby się przetoczyć, żeby tyłkiem uderzyć w ławeczkę. - Fionn pokazał przednią ławkę łodzi.

- Ja jestem z przodu? - upewniła się Rebecca, patrząc na huczące fale. Serce waliło jej jak młotem.

-Aye. Masz patrzeć na Fionna i naśladować jego ruchy. Widzisz, jak wiosła siedzą w dulkach?

Rebecca podążyła wzrokiem za dłonią Fionna seniora. Zobaczyła, że dulki przymocowane są do burt.

- Kiedy siądziesz na ławce, musisz unieść wiosła wysoko, docisnąć je do dołu. Potem patrz na Fionna. Kiedy opuści swo-

je wiosła do wody, zrób to samo. Powinnaś je wtedy nachylić pod kątem czterdziestu pięciu stopni.

- Czterdziestu pięciu? -Tak.

Rebecca patrzyła chwilę w twarz Fionna seniora, a potem przeniosła wzrok na Inę.

- Wolałabym jednak zostać w domu. - Uśmiechnęła się, gdy Ina wybuchnęła śmiechem.

- To poważna sprawa - zauważył Fionn.

- A od kiedy ty jesteś poważny? - Rebecca wybuchnęła śmiechem.

- Od kiedy wiosłujemy razem. Musisz się przyłożyć.

- Pchnąć łódź, wciągnąć w wodę, wiosła pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Mam pamiętać to wszystko, podczas gdy wokół szaleje ocean? Jestem archeologiem, nie żeglarzem.

- Naucz się czegoś pożytecznego. - Fionn senior przytrzymał Rebecę za lewy łokieć i wykręcił ją twarzą do oceanu. Wzięła głęboki oddech i pochyliła się, chwytając łódź. - Patrz na mnie. - Złapał za burtę. Jego prawa ręka znalazła się naprzeciwko jej lewej i spoczywała na krawędzi burty. Rebecca naśladowała jego ruchy. - Nie. Stoisz po drugiej stronie. Z przodu powinna być twoja lewa ręka.

Rebecca zmieniła dłonie.

- W porządku, dziewczyno. Teraz czekamy.

Serce biło jej jak oszalałe, gdy patrzyła na fale i powtarzała w myślach polecenia. Zabolały ją łydki i miała już puścić curragh, żeby je rozmasować, gdy nagle Fionn popchnął łódź. Rebecca potknęła się o własne nogi i uderzyła lewym kolaniem o piasek. Trzymając kurczowo burtę, czuła, że jest wleczona do przodu.

- Stawaj na nogi! - wrzasnął Fionn. -Ale...

Pierwsza fala uderzyła w łódź i twarz Rebeki, wlewając jej do gardła słoną wodę. Zakaszła i zamknęła oczy, by je uchronić przed morzem i piaskiem. Woda sięgała jej do kostek, łódź sunęła równo.

- Otwórz oczy i pchaj! - nakazał Fionn senior.

Rebecca posłuchała i zobaczyła wielką falę sunącą prosto na nią. Wrzasnęła i wskoczyła do curraghu w to samo miejsce, które zajmował właśnie Fionn senior. Uderzyła głową o jego ramię.

-Ach! - krzyknął ponad hukiem fal. - Nie! Posuwaj się do przodu!

Pchnął ją w tamtą stronę. Odwracając się, uderzyła biodrem o ławkę. Padła plecami na dno łodzi, wymachując nogami w powietrzu i szukając czegoś, o co mogłaby je oprzeć, żeby wstać. Znalazła. Lewe ucho Fionna seniora.

- Aaa! - wrzasnął.

- Przepraszam. - Oparła stopy o jego pierś.

- Złaź! - krzyknął.

- Łap za wiosła! - rozkazał Fionn.

Rebecca obróciła się na kolanach i podpełzła do ławki. Złapała za wiosła akurat w chwili, gdy wielka zimna fala uderzyła w dziób.

- Unieś! - Senior ciągle trzymał się za ucho.

Rebecca nacisnęła drzewce. Były ciężkie i opadły z pluskiem w wodę.

- Unieś - powtórzył starszy mężczyzna. Zagryzając wargi, Rebecca nacisnęła drzewce.

- Pochyl się! - polecił Fionn senior. Usłuchała.

- Wiosła w wodę! Ciągnij!

Zrobiła, co kazał. Wiosła wpadły w wodę. Pociągnęła je, walcząc z oporem.

- Patrz na Fionna. - Kciukiem prawej dłoni wskazał za siebie, lewą wciąż trzymając się za ucho.

Fionn uniósł wiosła. Rebecca zrobiła to samo. Fionn pochylił się, odpychając wiosła do tyłu. Rebecca zrobiła to samo. Kiedy opuścił drzewce w wodę, naśladowując go, pociągnęła mocno. Patrzyła na niego, powtarzając wszystkie jego ruchy i wkrótce plaża zaczęła się oddalać. Huk fal ucichł i usłyszała nagle histeryczny śmiech. Rozejrzała się i zobaczyła czerwoną jak burak Inę, której oczy zmieniły się w fontanny łez. Sama się uśmiechnęła.

- Trzymaj wiosła równo, pod kątem i patrz na Fionna -mruknął Fionn senior, puszczać ucho.

- O, przepraszam. - Rebecca wyciągnęła rękę.

- Trzymaj wiosła i patrz na Fionna!

- Przepraszam - wymamrotała, cofając się i ciągnąc wiosła. - Sprawiam tylko kłopoty.

- Nie bardziej niż on. - Fionn znów wskazał syna kciukiem. Rebecca słyszała wciąż śmiech Iny.

Pokonywali ocean. Wiatr z północy wiał w plecy Rebeki, chłodząc rozgrzany dzięki gansejowi kark. Chociaż sweter był mokry i przez chwilę archeolożka marzła, w miarę wiosłowania robiło się jej coraz cieplej. Pot spływał jej po piersiach i plecach, skapywał z brwi, piekł w oczy. Bolały ją ręce i nogi, a płytki oddech napinał mięśnie między żebrami, sprawiając dotkliwy ból. Jęknęła.

- Oddychaj brzuchem - poradził senior.

- Wiosłuję brzuchem. - Rebecca zacisnęła zęby.

- Wiosłuj rękami i nogami.

- To właśnie robię - warknęła.

- Oddychaj tutaj. - Starszy O'Flaherty stuknął ją w przepoń palcem wskazującym prawej ręki. - Wydechaj powietrze, ciągnąc za wiosła, wdychaj, kiedy je unosisz.

Rebecca spróbowała, ale bez powodzenia. Wciąż walczyła z oddechem.

- Potrzebuję więcej powietrza - sapnęła.

- Więc zrób długi wydech, wyciągając wiosła z wody, a następnie szybko nabierz powietrza i ponownie zrób wydech, kiedy są w górze, potem weź głęboki wdech, gdy znów się zagłębiają. Wypuść wtedy z płuc całe powietrze i od nowa to samo.

Rebecca skupiła się i zrobiła, jak kazał, wydymając brzuch przy wdechu. Ból w piersiach zelżał, ale ramiona i nogi wciąż paliły.

- Zbliżamy się do wyspy. Fionn znajdzie odpowiednią falę. Wtedy rób, co każe. Kiedy usłyszysz wokół huk fal, wciągnij wiosła, wyskocz i złap za burtę. - Po chwili dodał: - I uważaj na moje uszy. - Ina zachichotała.

Rebecca patrzyła, jak Fionn się obraca. Uśmiechnął się do niej lekko, a potem spojrział w kierunku brzegu. Wyciągnął lewe wiosło i mocniej pracował z prawej. Rebecca zrobiła to samo. Curragh skręcił, teraz zmierzali na wschód. Rebecca spojrzała ku północy. Plaża pod domem Iny rozpościerała się przed nimi niczym wyciągnięte ramiona.

- Dlaczego po prostu nie podpłyniemy? - spytała. - Brzeg jest tuż-tuż.

- Musi znaleźć falę - powtórzył Fionn senior. - Nieodpowiednia fala może zmieść nas za bardzo w bok. Tam są skały, rozerwą curragh jak kartkę papieru.

- Teraz. - Fionn wyjął prawe wiosło z wody i zaczął pracować lewym.

- Wszyscy się módlmy.

Roześmieli się. Rebecca znów zaczęła naśladować Fionna. Curragh obrócił się i kiedy dziobem wymierzył w brzeg, Fionn pociągnął za wiosła. Rebecca zrobiła to samo, fala porwała łódź i zaczęła nieść ku brzegowi. Rebecca ujrzała wokół białe grzywacze. Jej serce zabiło mocniej.

- Wciągnij wiosła - nakazał Fionn senior.

Rebecca z jękiem wciągnęła wiosła do środka. Ina pomogła je ułożyć, a ojciec Fionna wstał.

- Wyskakujemy! - krzyknął i wykonał własne polecenie. Rebecca też próbowała, ale zahaczyła lewą stopą o burtę i uderzyła plecami w falę. Łódź przechyliła się, Ina wrzasnęła.

- Wyciągaj nogę z curraghu! - krzyknął senior.

Ale było za późno. Rozpędzona łódź się obróciła. Rebecca ujrzała, jak opada na nią ciemny podłużny kształt. Zobaczyła jeszcze, jak Fionn łapie Inę, a potem znalazła się pod wodą, razem z curraghiem sunąc do brzegu. Pośród pęcherzyków powietrza i szumu ujrzała, jak ławka, na której przed chwilą siedziała, unosi się nad jej głową. Złapała ją i wystawiła twarz w kieszeń powietrza pod łodzią.

W ciemności pod curraghiem usłyszała swoje imię powtarzane przez przestraszone głosy. Pod plecami poczuła piasek; woda opadła. Puściła ławkę i na leżąco wdychała smołowy zapach.

- Becky! - krzyczał Fionn. Curragh uniósł się i jasne irlandzkie słońce uderzyło ją w oczy.

- Jezu Chryste, Becky, wszystko w porządku? - Dotknął jej ręk i nóg, a potem głowy. Na tle nieba pojawiły się sylwetki Iny i Fionna seniora. W ich oczach widać było niepokój.

- Coś mi się zdaje, że za słabo się modliliście - wybełkotała. Fionn klapnął na piasek, odgarniając z twarzy mokre włosy.

- Chyba rzeczywiście - przyznał senior.

- Muszę się napić piwa. Dużego, ciemnego, gorzkiego, wstrętnego. Pintę albo dwie. - Uśmiechnęła się do Fionna. Potem usiadła i spojrzała na curragh. - *Michael, rowyour boat ashore...1* - zaczęła.

¹Pieśń religijna śpiewana przez czarnoskórych niewolników w okresie wojny secesyjnej (przyp. tłum.).

-*Alleluja!* - dokończył Fionn i wszyscy się roześmieli.

- Trzeba się tobą zająć. - Ina pomogła Rebecce wstać. - Potem pójdziesz do pubu. Powinnaś wziąć ze sobą obu Fionnów. Im też przyda się piwo.

Ina wynalazła stare dżinsy i T-shirt Mairead, żeby Rebecca mogła się przebrać. Wsadzili ubrania do suszarki, a sweter rozwiesili przy ogniu. Popijając herbatę, śmiali się, wracając w opowieściach do podróży łodzią. Gdy ubrania wyschły, Rebecca włożyła je, a potem wyszła wraz z Fionnami i Iną na zewnątrz. Drzwi zamknęły się, gdy słońce zniknęło za horyzontem. Mieli zjeść szybką kolację i napić się piwa przed powrotem na wyspę Sharon. Prawie bez słowa Fionn senior i jego syn postanowili, że teraz oni będą wiosłować.

Zmierzając do miasteczka, Rebecca czuła niemalże rozdzierający ból w każdym mięśniu. Wiedziała, że nazajutrz będzie jeszcze gorzej. Bolało ją nawet tam, gdzie nie sądziła, że w ogóle ma mięśnie. Skupiała uwagę właśnie na tych miejscach, zastanawiając się, czy to naprawdę mięśnie, czy też myśl, że przyjdzie jej opuścić wyspę i Fionna.

Pięć ptaków przeleciało na wschód. Fionn senior zatrzymał się, żeby im się przyjrzeć. Ina, Fionn i Rebecca także się zatrzymali. Znajdowali się tuż pod miasteczkiem na południowo-wschodnim krańcu wyspy Iny.

- Dokąd one lecą? - spytał Fionn senior.

- Kto? - Rebecca podażyła za jego wzrokiem.

- Te ptaki mają swoją skałę tam. - Wskazał północny zachód. - O tej porze nie powinny lecieć w drugą stronę.

W tej chwili wiatr się nasilił i zmienił kierunek; wiał teraz z południa. Horyzont przybrał pomarańczowy odcień.

- Dziwne. - Ina westchnęła.

- Czujesz coś, tato? - spytał Fionn, biorąc Rebecę za rękę.

- Nie, a ty?

-Nie.

- Ha - mruknął Fionn senior. - Chodźmy coś zjeść. Weszli do miasteczka. Rebecca ścisnęła dłoń Fionna. Kiedy obejrzała się na zachód, horyzont był jeszcze bardziej pomarańczowy, jak gdyby szalał tam pożar.

- Rowan - szepnęła, ścisnęła mocniej dłoń Fionna.

Zygzak falujący

Zygzak falujący. 1. Wzór uzyskany dzięki oczkom przekreślonym. Głębokie bruzdy przypominają diagonal, ale wykonuje się je z wielu zygzaków, przez co wyglądają jak fale na morzu. 2. Uświadomić coś sobie.

R. Dirane, *Sploty miłości*

Sean otrzymał w środę zaproszenie na czwartkowe przyjęcie z okazji Dnia Niepodległości w starym domu O'Flahertych, ale chociaż chciał znowu zobaczyć się z Rowan, postanowił się tam nie zjawić. Gospodynią miała być matka małej, a jej Sean nie chciał widzieć na oczy. Odkąd stanęła na jego progu zimna jak martwe dno oceanu, coś było bardzo nie tak. Do tego paszkot śpiewał od siedmiu dni, a Joe nawet teraz stał w drzwiach. Z jego powodu Sean cały dzień nie wychodził z łóżka. Przewracając się w pościeli, wyrzał za okno, gdy słońce piątkowego popołudnia wlało się do pokoju. *Tato, paszkot śpiewa od ośmiu dni.*

- Zaledwie siedmiu, chłopcze.

Od ośmiu. A nad morzem latają głuptaki.

- Mówię ci, że nie ma żadnych głuptaków.

Nie widział żadnych głuptaków, chociaż wyprawiał się na morze od siedmiu dni, za każdym razem okrążając wyspę. Nic

nie znalazł, a paszkot śpiewał dopiero od tygodnia. Sean spojrział na okno. Słońce odbijało się w szybie jak złota aureola. Zadumał się nad tym kolorem i uśmiechnął, przypominając sobie pierwsze kroki Brendana.

Nagle zerwał się i spojrział w kierunku drzwi. Joego nie było. Ptak siedział na ogrodzeniu, kiedy Sean wychodził z cmentarza w zeszły piątek. W sobotę śpiewał w krzaku jeżyn, a od tamtej pory słyszał go codziennie. A zatem nie śpiewał od siedmiu dni, tylko od ośmiu. Sean usłyszał dźwięk dochodzący od oceanu.

Odrzucając pościel, wypadł z domu w samych bokserkach. Obiegłszy róg domu, stanął jak wryty. Na morzu ujrzał stado ptaków. Nie widział ich wyraźnie. Serce waliło mu jak młotem, gdy zbiegał na plażę. Zaledwie dwieście metrów od brzegu głuptaki uwijały się jak chmara komarów.

- Paddy! - wrzasnął Sean i nie oglądając się za siebie, pobiegł z powrotem do domu. Ubrał się szybko, włożył buty i znów wypadł na zewnątrz, nie zamykając za sobą drzwi.

Niebo było czyste, jak to w ładne letnie popołudnie, a wiatr pachniał tylko wodorostami i solą. Ale Sean wiedział. Paddy powiedział mu w środę, że w piątek po targowisku w Galway przywiezie Iollanowi części do silnika. Jeśli Sean dobrze policzył, właśnie teraz Paddy zmierzał na wysepkę na północy. Jego łódź zawsze miała kłopoty.

- Przeklęty Iollan! - krzyknął, ale tak naprawdę tylko kaszlnął, bo bieg pozbawił go oddechu. W krzyżu mu skrzypiało i kolana go bolały, ale widział, jak słońce znika za horyzontem. Musiał dotrzeć do Paddy'ego.

Za sobą usłyszał nagle szum rowerów. Zeskoczył z drogi i wpadł do rowu. Grupa rowerzystów przemknęła obok. Już byli spóźnieni, ostatni prom odpływał za...

- Boże! - zawołał. Jego sterane życiem ciało chciało się zatrzymać, odetchnąć. - Nie! - Zmusił się do większego wysiłku. Gdyby mógł zapłakać, zrobiłby to, ale poczucie winy nie pozwalało mu się poddać. Trzymając się za pierś, wbiegł do miasteczka i skierował się ku przystani. Kiedy wypadł zza rogu, zobaczył, że Paddy i Eoman właśnie odbijają od brzegu.

- Stójcie! - krzyknął. - Paddy!

Wyminawszy kobietę pchającą wózek z dzieckiem w kierunku promu, popędził drewnianym nadbrzeżem. Fale były łagodne, ale wysokie. Zaczął wymachiwać rękami.

- Paddy! - wykrztusił, nie mogąc złapać oddechu. Eoman zawołał coś do Paddy'ego.

- Stójcie! - krzyknął stary. Paddy wyłączył silnik.

- Morahan?! - zawołał z pokładu, gdy Eoman brał w ręce ster.

- Nie płyńcie! - krzyknął Sean.

Paddy podrapał się po głowie i spojrzał w czyste niebo.

- Nie wypływajcie! - zawołał Sean, otaczając dłońmi usta. - Idzie sztorm! - Sean patrzył Paddy'emu w oczy. Jego stare ciało zaczęło drżeć; miał na sobie tylko wełniany płaszcz. - Paddy, proszę. - Potrząsnął głową. - Proszę, wracajcie.

- Eoman, wracamy! - krzyknął Paddy przez ramię. - Nie wypływamy dzisiaj.

Sean zakrył twarz rękami. Stał bez ruchu, czekając. Odgłos silnika łodzi narastał.

- Napiłbyś się piwa? - spytał łagodnie Paddy, kiedy postawił stopę na przystani.

Sean spojrzał w niebo. - Aye.

- Może pójdziesz do pubu, a ja z Eomanem zajmę się łodzią. Postawimy ci kolejkę.

- Musicie powiedzieć kapitanowi promu, żeby nie wypływał. - Sean wskazał drżącym palcem kolejkę turystów.

- Myślisz, że nie dotrą do lądu?

- Jeszcze jest czas, ale za mało.

- W porządku, powiem.

Sean pokiwał głową i powoli ruszył z powrotem. Nogi miał ciężkie, jak gdyby dopiero co wydzwignął się z lodowatego morza. Potrzebował się napić, żeby zagłuszyć ból w grzbiecie. Krzyż często mu dokuczał, ale ten bieg musiał poruszyć szrapnelem koło kręgosłupa, bo teraz paliło go aż do karku. Coś takiego zdarzało się rzadko, ale nie mógł tego ignorować. Trzymając się za bok lewą ręką, Sean otworzył drzwi do pubu i się rozejrzał. Zaskoczony stwierdził, że patrzy na niego przeszłość.

Dirane i Dooley z trójką synów siedzieli przy stolikach i pili. Młody Fionn nalewał sobie piwo przy barze. Sean rozejrzał się za synami.

- Wieczór, Morahan - przywitał go Fionn. - Przyszedłeś na pintę?

- Widział ktoś moich chłopaków? - Sean czuł, jak bolała go plecy od garbienia się nad maszyną przez ostatnią godzinę.

- Rzadko tu przychodzą - odpowiedział Dirane. - Nie pozwalasz im.

Dooley i jego synowie się roześmieli.

- Prawda. - Sean potrząsnął głową. - Ale wysłałem ich tu na kolację.

- Czyli będą wyruszać na morze? Naprawiłeś silnik? - zaciekawił się Dooley.

-Aye.

- Joe dobrze mówi? - spytał starszy syn Dirane'a.

- To znaczy co?

- Że nadciąga sztorm.

- Nie wyczuwam niczego - zauważył Dooley.

- Ja też nie - potwierdził Sean. - Może po prostu nie chce mu się dziś wypływać.

Dirane roześmiał się, ale jego syn powiedział całkiem poważnie:

- Joe mówi, że na morzu są głuptaki i paszkot śpiewa od ośmiu dni.

- Mnie też to powiedział, ale niczego nie widziałem ani nie słyszałem.

- Ani ja - zgodził się Dooley.

- Na północy będą makrele - powiedział do Seana Dirane. - Warto tam podpłynąć.

- Powiem chłopakom. - Morahan skinął głową i się odwrócił.

- Napijesz się, Sean?

Obejrzał się na młodego Fionna stojącego przy barze.

- Napijesz się, Sean?

Stary zamrugał. To nie był młody Fionn, tylko jego syn Tom, a Sean blokował przejście.

- O! - Zbliżył się do paleniska. - Aye, pintę.

- Robi się.

Sean powoli usiadł na skrzypiącym krześle najbliżej ognia. Tom postawił kufel na stoliku obok.

- Wszystko w porządku?

- Aye - odmruknął stary, ocierając pot z czoła.

Sączył piwo, patrząc w płomienie. Tuż nad żółcią ognia jaśniał szczególny odcień oranżu. Błyszczał jak słońce, wpadają-

ce do środka jego domu, jak pomarańczowy blask zachodzącego słońca rzucający poświatę na twarz Joego.

- Nie powinniśmy wypływać, tato - upierał się Joe. - Coś jest nie tak.

- Zaraz ci powiem, chłopcze, co jest nie tak. Sprzeciwianie mi się!

- Tato - zawtórował Matthew. - Joe się na tym zna. Mówi, żeby nie płynąć.

- Sean... - poprosiła Claire.

- Zamknij się.

- Masz do wyżywienia żonę i dziecko - przypomniał Matthew Sean.

- Poradzę sobie - wtrąciła Mary.

- Zamknij się. - Sean rzucił jej ostre spojrzenie. - Co to za mężczyzna, który każe brzemiennej żonie głodować?

- Wystarczy nam to, co mamy - szepnęła Claire.

Sean podszedł do żony, zaciskając wargi. Liam wszedł między matkę i ojca.

- Tato, nie - poprosił Brendan.

Sean uderzył Liama na odlew. Chłopak wpadł na kołowrotek, który złamał się pod jego ciężarem.

- Sean! - krzyknęła Claire.

Złapał ją za ramiona i zbliżył jej twarz do swojej.

- Nie zadzieraj ze mną, Claire! To nie twoja decyzja. Do kuchni, rób kolację! - Odepchnął żonę. - Ty też! - warknął do drżącej Mary, której łzy spływały po policzkach. Spojrzała na Matthew.

- Idź, kochanie - powiedział do niej łagodnie. Usłyszała.

- Myślisz, że lepiej czytasz niebo niż ja? - Sean przeszył Joego wzrokiem.

- Tato, niczego nie robię lepiej od ciebie. Po prostu widzę inaczej.
- Potrafisz czytać niebo lepiej ode mnie czy nie?! - wrzasnął Sean.
- Sean?

Podniósłszy wzrok, zobaczył Eomana i Paddy'ego. Siadali obok.

- Już wypieś - stwierdził Paddy. - Eomanie, przynieś trzy pinty.

- Łódź przycumowana? - spytał Sean.

-*Aye*. I daliśmy znać Iollanowi, żeby kazał znajomym nie wypływać.

- Dobrze, dobrze. A prom?

- Powiedziałem kapitanowi. Przekazał informację do Doolin. Sean skinął głową. Eoman wrócił z trzema kuflami. Nagły

podmuch wiatru uderzył w okno niczym pędzący ptak, a Sean podskoczył na krześle.

- Może powinienem iść - mruknął, patrząc przez okno na gorejące niebo.

- Napij się, a potem pójdziesz ze mną do domu na kolację. - Paddy poklepał starego po ramieniu.

- Nigdy nie widziałem, żebyś się tak przejął pogodą - powiedział Eoman, sącząc ale.

- Eomanie O'Connelly - szepnął Sean, patrząc w niebo - ja pamiętam. - Uniósł kufel.

Niebo przybrało barwę krwi.

Jodelka z koszykiem

Jodelka z koszykiem w środku, 1. Ścieg jodelkowy z koszykowym w każdym zagięciu jodelki. 2. Wichura.

R. Dirane, *Sploty miłości*

Wiatr miotał Seanem i Paddym na wszystkie strony ulicy, jak gdyby byli płatkami róży na ścieżce ogrodu księdza. Paddy musiał trzymać Seana za ubranie.

- Niebo jest czyste! - krzyknął.

- Nie na długo! - odwrzasnął Sean, żałując, że nie wrócił do domu wcześniej.

- Chodź - mruknął Paddy, popychając starego do środka.

- Paddy! - krzyknęła Annie, wypadając z pokoju.

- Co się dzieje, skarbie? - spytał Paddy, zamykając drzwi całym ciężarem ciała.

- Nie mogę znaleźć Siobhan i Rowan. Wołałam i wołałam. Nie ma ich w pubie, nie ma ich na skałach!

- Sprawdziłaś w jolce Starego Dirane'a? - spytał Sean, czując ucisk w piersi.

- Wołałam na skałach, usłyszałyby.

- Nie, jeśli spały. Tydzień temu tam zasnęły. - Sean wrócił do drzwi. Kiedy przekreślił gałkę, wyrwały mu się z ręki. Niebo

przybrało barwę krwistego oranżu, jak gdyby ogarnęła je pożoga, a Joe stanął przed Seanem z przerażonymi oczami. *Tato, coś jest nie tak.*

- Wiem - odpowiedział Sean.

- Co mówisz? - spytał Paddy, wychodząc za nim. Sean zamrugał, Joe zniknął.

- Nic. Musimy iść.

Cała trójka ruszyła ulicą, trzymali się razem. Niebiosa otworzyły się i prawdziwy wodosпад z hukiem uderzył w asfalt. Sean, mrużąc oczy, zobaczył grupę turystów biegnących od przystani do pubu. Wyglądali niczym morska piana niesiona falami do brzegu.

- Niebo było bezchmurne! - zawołał Paddy.

- Już nie jest! - odpowiedział Sean. Pot ściekał mu po szyi.

- Oby tylko promowi nic się nie stało - zatroskała się Annie.

- Prom nie wypłynął - wyjaśnił Paddy.

Ale Seana nie interesował los promu ani turystów. Interesowały go tylko Rowan i jej najlepsza przyjaciółka Siobhan. Mijając pub, za wszelką cenę próbował sobie wyobrazić, że dziewczynki wrócą ze skał. Już za chwilę wyłonią się z za rogu, trzymając się za ręce...

- Przekłęty południowy wiatr - mruknął.

Przechodzili przez ulicę obok kościoła. Paddy i Annie trzymali się razem, a Sean przytulił się do zimnego, brązowego kamienia. Lgnąc do muru, ruszył do skrzyżowania. Chciał ujrzeć Rowan, chciał zobaczyć, że trzyma za rękę Siobhan. Serce mu waliło, gdy zbliżył się do rogu budynku. Kiedy wyjrzał, południowy wiatr smagnął go z całej siły deszczem w twarz.

- Widzisz skały?! - zawołała Annie. Sean przed oczyma miał tylko deszcz.

- Siobhan! - krzyknął Paddy, ale słowa wróciły do niego wraz z podmuchem wiatru.

Trzymając się budynku przystani, Sean parł na południe. Deszcz bił go po twarzy i kłuł w oczy, ale dostrzegał już skały. To, co ujrzał, zaparło mu dech w piersi. Woda zalewała kamienie, wylewała się na drogę, wypełniała rowy. Po łodzi nie został nawet ślad. Fale musiały ponieść ją daleko na morze.

- Jezu Chryste! - krzyknął zrozpaczony.

- Nie ma łodzi! - jęknęła Annie.

- Może nie było ich w środku - podsunął Paddy. - Nie przeszukaliśmy wszystkich miejsc.

Sean odwrócił się na pięcie i złapał Paddy'ego za kołnierz. Czuł, że jego dusza i ciało płoną jak rozpościerające się nad nim irlandzkie niebo.

- Znajdź Eomana! - ryknął, tarmosząc rybakiem. Nagle przestał. Usłyszał dźwięk fujarki na wietrze. Dochodził z północy. Znow spojrzał na Paddy'ego.

- Są w jolce! Znajdź Iollana! Musicie wypłynąć i to już! Na północ!

Sean puścił Paddy'ego i pobiegł z powrotem do miasteczka. Potrzebował swojej łodzi. Odgłos łodzi motorowych zagłuszyłby fujarkę, a on musiał ją słyszeć, żeby znaleźć Rowan i Siobhan. Wiatr wiał mu w plecy, dopóki nie skręcił za róg, pędząc do pubu. Kiedy wybiegł z za rogu kościoła, skierował się na południe, choć wiatr spychał go na północ. Powoli minął dom ojca Michaela. John Herson chował właśnie rowery.

- Chowaj się przed wiatrem! - krzyknął Herson.

- Sean! - zawołał ksiądz od drzwi. - Chodź do środka!

- Ten sukinsyn zabrał mi synów! - Sean krzyknął w stronę księdza. Gniew i nienawiść popychały go naprzód. Fujarka Joego grała głośno w ryczącym wietrze. - Bóg nie zabierze mi moich dziewczynek!

- Tato, sztorm już blisko - szepnął Joe. Chłopak niedawno obchodził piętnaste urodziny. Siedział teraz obok ognia naprzeciwko czteroletniego Brendana i uczył go grać na cynowej fujarce. Sean z zamkniętymi oczami, rozluźniony, grzał nogi przy palenisku.

- Graj, chłopcze. Nie myśl o tym - powiedział.

- Nie słyszę fujarki przez tę burzę.

- Fujarka gra, czy ją słyszysz, czy nie.

- Chcę do mamy.

Sean otworzył oczy. Joe siedział z instrumentem w dłoniach, trzęsąc się, bo właśnie znów zagrzmiało.

- Jesteś mężczyzną czy dzieckiem? Usta Joego zadrżały.

- Mężczyzna nie potrzebuje mamy. Ma siebie. Błyskawica rozdarła półmrok pokoju. Po drugiej stronie ognia siedzieli Matthew i Liam, który poruszał małutkimi palcami tuż przy płomieniach. Szeroko otworzyli oczy ze strachu. Burza grzmiała im nad głowami.

- Chcę do mamy - powtórzył Joe.

- Nigdy nie będziesz mężczyzną.

- Nie chcę być mężczyzną.

- Mój syn tak nie mówi! - krzyknął Sean, wyrwał Joemu fujarkę i złamał ją na kolanie.

- Graj na fujarce, Joe. Przybywam!

Sean brnął na południe. Jeśli ciało bolało go po wcześniejszym biegu, to tego nie zauważał. Wiatr był wszędzie - w jego uszach, oczach, duszy. Nie wiedział, ile to trwało, ale kiedy dotarł do żwirowej dróżki, purpurowe niebo wciąż jaśniało. Wiedział jednak, że wkrótce zapadnie ciemność. Walcząc

z wiatrem, usłyszał nagle paszkota. Śpiewał słodko pośród potępiącego wycia wichury. Sean wszedł do domu, zapalił światło i wyszedł na plażę. Wiatr ciskał piachem w jego twarz i dłonie. Mrużąc oczy, odcumował curragh. Łódź poderwała się i obróciła kilem w dół.

Sean spojrział na wodę bijącą wściekle o plażę. Wiatr był po jego stronie. Wiedział, że fale także, ponieważ pamiętały, co się stało czterdzieści lat temu. Chciały, żeby do nich wyszedł. Czterdzieści lat czekały na wyrównanie rachunków.

- Dopiero kiedy uratuję moje dziewczynki - syknął. Wiatr wiał z prawdziwą furją, ale w Seanie też wzbierała gwałtowna burza. W tej chwili czuł się zdolny zmierzyć z każdym żywiołem natury. Napał na curragh, zepchnął go na kipiące morze, a ono wciągnęło go tak, jak oczekiwał. Usiadł i zaczął oddalać się od brzegu. Nie kierował się jednak ani na zachód, ani na południe. Dziewczynki w jolce musiały być na północy, nieopodal krasnorostów, blisko plaży O'Flahertych. Słyszał, jak wzywa go fujarka Joego. Joe się znał, Joe powie, jeśli coś będzie nie tak.

- Tato, niczego nie robię lepiej od ciebie. Po prostu widzę inaczej.

- Potrafisz czytać niebo lepiej ode mnie czy nie?! - wrzasnął Sean.

- Tato, nie mówię, że potrafię, po prostu mówię, że coś jest nie tak.

- Jesteś tchórzem - stwierdził Sean. - Wszyscy jesteście! Ja czytam niebo! Ja wiem najlepiej! Jeśli wy nie wejdziecie do łodzi, to wypłynę sam.

-Tato, nie! - Matthew stanął przed ojcem. - Silnik nie jest sprawny.

- Skąd wiesz? Naprawiłem go, kiedy biegłeś do mamy.
- Niemożliwe. Potrzebuje nowego...
- Najpierw pogoda, teraz silnik. Zejdź mi z drogi. Ktoś musi być w tej rodzinie mężczyzną.

Sean pchnął Matthew i podszedł do drzwi.

- Wypłyniemy, tato - szepnął Matthew.
- Co mówisz? - spytał Sean z krzywym uśmiechem.
- Wypłyniemy - powtórzył syn.
- Matthew! - zawołała Mary z kuchni.
- Zamknij się, dziewczyno! Matthew, nie boisz się sztormu, co? Potrzebujesz do mamy? - zadrwił Sean.

- Powiedziałem, że wypłyniemy - powtórzył Matthew, otworzył drzwi i wyszedł. Niebo było pomarańczowe.

Liam i Brendan złapali buty i poszli za starszym bratem. Sean odwrócił się i zobaczył, że Joe patrzy na niego ze złością.

- Zostajesz z kobietami? - spytał Sean. Joe wyminął ojca w milczeniu.
- Kocham cię, mamo! - zawołał w kierunku kuchni.
- Czytam niebo lepiej od ciebie - podjudził go Sean. Joe wyszedł i obrócił się powoli.

- Matthew zna się na silnikach, a ja na wodzie. Czy nigdy nie dasz nam swobody, żeby się przekonać, że jesteśmy już mężczyznami, na jakich nas wychowałeś?

Odwrócił się i wyszedł.

Sean wiosłował, a z czerwonego nieba lały się potoki deszczu. Fujarka Joego grała wyraźnie morskimi głębinami. Mówiła wszystkim ich mieszkańcom, że na powierzchni wnet rozpęta się piekło. Lepiej zostać pod powierzchnią, gdzie pośród zimnych wód jest spokojnie i bezpiecznie. Od lat Sean myślał

o zimnych, ciemnych głębinach. Jako rybak wiedział, że musi się z nimi zmierzyć, Bóg stworzył je samolubnymi, by odbierały mężów żonom, ojców synom.

Nagle znieruchomiał. Dźwięk fujarki się zmienił. Nie był już wyraźny ani spokojny. Grała *My Lagan Love*. Nie, nie jedna fujarka, ale dwie, piskliwe i przerażone.

Sean wrócił do wiosła i w tej chwili morze uniosło jego curragh, a potem opuściło ciężko na fale, jak gdyby rozzłoszczone jego uporem. Walczył z napierającymi wodami.

-Ty sukinsynu! - krzyknął do Boga. - Tylko nie moje dziewczynki!
Niebiosy zawirowały nad nim gniewnie.

- Graj dalej, Rowan! Przybywam!

Romb z zygzakiem

Romb spleciony z zygzakiem. 1. Wzór w romby przeplatany zygzakiem. Zygzak otacza romb z jednej strony, następnie biegnie równoległe do rogu rombu w taki sposób, że dwa wzory wydają się podwójnym zygzakiem w miejscu, gdzie romby przecinają się między sobą. Po przeciwnej stronie rombu zygzak ponownie otacza kraniec rombu i biegnie, podobnie jak wcześniej, niczym podwójny zygzak. 2. Poczucie winy.

R. Dirane, *Sploty miłości*

Rebecca wypła całą pintę przy burzy wiwatów rozlegających się w małym pubie, bo każdy już wiedział, że nie lubi piwa. Mimo że zaraz stanęła przed nią kolejna, nie wypła jej. Uporanie się z pierwszą utwierdziło ją tylko w przekonaniu, że nie lubi piwa. Postanowiła dla odmiany coś zjeść, bo wiosłowanie ją zmęczyło. Szybko okazało się, że jedna porcja ryby z frytkami to za mało, więc Fionn oddał jej połowę swojej. Przestał jeść, patrząc na pomarańczowe niebo. Razem z ojcem ucichli.

- Coś jest nie tak? - spytała Rebecca.

Nie zdążyli odpowiedzieć, bo do środka wszedł Iollan.

- Nie wróćcie dziś do domu - powiedział i odwrócił się do barmanki. - Pintę, Grace.

- Co się dzieje? - spytał Fionn senior, wstając.
- Dzwonił Paddy. Podobno z południa idzie straszna burza.
- Rowan - szepnęła Rebecca, prostując się na krześle.
- Nic nie wyczuliśmy. - Fionn położył dłoń na kolanie Rebeki.
- Nikt nie wyczuł - odpowiedział Iollan. - Tylko Sean. Stary przybiegł na przystań, jak gdyby ścigała go sama śmierć.

Grace podała mu piwo. Nie zdążył wypić, gdy jego współnik wpadł do środka.

- Musimy wypływać!
- Dopiero co usłyszeliśmy, że nie możemy wypływać. - Iollan odstawił kufel, który głośno stuknął o blat.
- Dwie małe dziewczynki zniosło na morze! Rebecca rzuciła Fionnowi spojrzenie. Wstał powoli.
- Jakie dziewczynki? - spytał Fionn senior.
- Córkę Paddy'ego i jej przyjaciółkę ze Stanów.
- Nie! - krzyknęła Rebecca i rzuciła się ku drzwiom. -Nie!!!
- Myślisz, że dasz radę sama wychować dziecko?! - krzyknął Dennis. Siedział na skraju mostu, daleko w dole ocean uderzał o skały.
- Dennis, proszę - powiedziała Rebecca przez łyżę. - Podaj mi Rowan.
- To by ci pasowało, co? Wziąć dziecko i uciec ode mnie? Nie dasz rady odjechać daleko! Nigdy nie będziesz wolna.
- Becky! - zawołała Sharon.
- Po prostu oddaj mi ją.
- Myślisz, że możesz wychować to dziecko beze mnie?

Na autostradzie numer 1 było zimno i ciemno, a z huczącego w dole Pacyfiku ku mostowi podnosiła się gęsta mgła.

Było Święto Dziękczynienia. Dennis nie wrócił z Rowan na czas i chociaż Sharon chciała zadzwonić na policję, Rebecca nalegała, by tego nie robić. Potem zadzwonił. Był zły, więc Rebecca zgodziła się spotkać z nim na autostradzie numer I na północ od Half Moon Bay. Poznali się tam dwa lata wcześniej, wtedy też naprawił jej samochód i poczęstował malinowym sorbetem.

Rebecca wyciągnęła błagalnie dłonie, patrząc na odzianą w irlandzki sweterek Rowan przyciśniętą do piersi ojca, siedzącego na krawędzi mostu.

- Pamiętasz, jak się poznaliśmy? - spytał. Przytaknęła, czując, że łzy płyną jej po policzkach.

- Stałaś taka przestraszona tutaj, z zepsutym samochodem. Pomogłem ci.

- Tak, pomogłeś. - Był wtedy tak miły, ofiarował jej wsparcie zupełnie bezinteresownie.

- Co się stało z tamtą dziewczyną, Becky? Z tamtą śliczną dziewczyną? Z tamtą mądrą dziewczyną, którą pokochałem?

- Ty się stałeś - szepnęła.

- Nie, Becky. Ta mądra, śliczna dziewczyna wciąż tu jest - Sharon zaprotestowała cicho z tyłu.

- Zamknij się, Sharon! Gdyby nie ty, ona by ze mną została. Głęboka, gorejąca nienawiść, którą Rebecca czuła do Denni-

sa, zmieniła się teraz w przerażenie. Chciała, by umarł, umarł i zostawił ją w spokoju, żeby nie musiała go już nigdy oglądać, żeby mogła się od niego uwolnić.

- Dennis, proszę. To tylko dziecko - szepnęła.

- Myślisz tylko o tym cholernym dziecku! Nigdy o mnie! O moich potrzebach, planach! Powinienem ją zrzucić!

- Proszę!

- Chyba ją puszczę! - Dennis się zaśmiał. Obrócił się do mrocznej otchłani i wyciągnął Rowan przed siebie.

- Nie! - krzyknęła Rebecca, doskakując bliżej.

- Becky, nie podchodź! - ostrzegła ją Sharon. Obróciwszy się, Rebecca zobaczyła, że jej przyjaciółka stoi

kilka jardów dalej, a Peg siedzi w samochodzie. Przyjechały, żeby nie była sama z Dennisem.

- Sharon, co mam zrobić? - spytała.

- Zamknij się, Sharon! To wszystko twoja wina, bo tu przyjechałaś! Gdyby nie ty, słuchałaby mnie! Jest moja...

- Przestań oskarżać wszystkich o to, co jest twoją winą. Becky nie wróciłaby do ciebie, nawet gdyby nie ja, bo jesteś draniem i nie zasługujesz na nią!

- Oddaj mi Rowan - prosiła Rebecca.

- Podaj mi rękę - zażądał Dennis, wyciągając dłoń. Rebecca postąpiła do przodu.

- Becky, nie. Trzymaj się z dala od niego! - zawołała Sharon.

- Jeśli podasz mi rękę, oddam ci Rowan.

- Oddasz mi ją?

- Becky, nie! - krzyknęła Sharon.

- Obiecuję.

Rebecca wyciągnęła drżącą dłoń, nie spuszczać wzroku z wełnianego zawiniątka leżącego w zgięciu prawego ramienia Dennisa.

- Obiecuję - powtórzył.

- Becky, nie rób tego!

Rebecca złapała rękę Dennisa prawą dłonią, a lewą chwyciła Rowan.

- Puszczaj ją! - ryknął.

Pchnęła go prawym łokciem, ciągnąc Rowan w swoją stronę. Chlasnął ją w twarz, tracąc równowagę na barierce.

- Kurwa! - krzyknął, osuwając się. Ale wciąż mocno trzymał Rowan.

- Dawaj ją - syknęła Rebecca, z całego serca życząc mu śmierci.

- Pomocy! - krzyknął. Kiedy spadał, Rebecca chwyciła Rowan za nogę. Zsuwając się z mostu, Dennis pociągnął ją za sobą, bo nie mogła pozwolić, by wisiał na Rowan.

- Nie! - krzyknęła, przesuwając się za barierkę. Nie wypuściła nogi Rowan z prawej ręki.

- Pomocy! - krzyknął Dennis z przerażeniem. Prawą dłonią próbował złapać kobietę. Przez ułamek sekundy tylko ciało Rowan i jej sweterek nie pozwalało mu spaść, a gdy ubranko się zsunęło, w bioderku dziecka coś chrupnęło. Z usteczek Rowan wydostał się krzyk, wprawiając noc w drżenie. Rebecca złapała sweter na piersi Rowan, biodrami opierając się o barierkę. Dennis trzymał się białego rękawka. Znów krzyknął.

Nagle czyjeś ramiona otoczyły Rebeccę w pasie, przykuwając ją do mostu i nie pozwalając jej złapać ręki Dennisa.

- Mam cię! - krzyknęła Sharon.

- Rowan! - wrzasnęła Rebecca, chwytając drugą nóżkę córeczki. Trzymała teraz obie w jednej ręce.

- Becky! Ratuj mnie!

Sweter zsunął się przez główkę dziecka.

- Sharon, puszczaj, mogę go złapać! - krzyknęła Rebecca. Dennis wisiał na lewym rękawku. Rebecca cały jego ciężar dźwigała tylko na swetrze, który prawie całkiem ześlizgnął się już z ciała Rowan. Z prawej ręki nie wypuszczała stopek Rowan.

- Nie złapiesz! Sama spadniesz! Nie puszczę cię! Mam cię!

- Becky! Pomocy!

Wciąż trzymając Rowan za stopki, Rebecca w okamgnieniu puściła sweterek, żeby złapać mężczyznę za rękę. Ubranko natychmiast zsunęło się całkiem z ciała dziecka, a Dennis zaczął spadać z pustym gansejem w rękach.

- Dennis! - krzyknęła Rebecca.

Widziała już tylko jego przerażone oczy, gdy nikał we mgle, spadając na skały w dole.

- Becky! - krzyknął Fionn.

Rebecca obróciła głowę, próbując się wyzwolić. Nagle znieruchomiła. To nie Dennis, to Fionn.

- Becky, to ja!

- Ona nie może być na morzu podczas sztormu. Musi być bezpieczna... - szepnęła Rebecca, ciągnąc go do drzwi. - Muszę iść.

- Iollan, idziemy z tobą - oznajmił Fionn.

- Z łodzią nie jest najlepiej - powiedział cicho Iollan.

- Musimy iść.

Iollan zostawił piwo na kontuarze i wyprowadził swojego współnika, Fionna seniora, Fionna i Rebeccę na zewnątrz. Wiatr uderzył w Rebeccę. Przytuliła się do Fionna. Widziała tylko maleńkie ciało Rowan w pieluszkach, leżące w karetce, i spadającego Dennisa.

Myślisz, że potrafisz wychować dziecko sama? Jesteś za głupia!

Pochyleni przeszli po metalowym trapie na łódź Iollana. Fionn wepchnął Rebeccę do kabiny, potem z ojcem odwiązali cumy, a Iollan uruchomił silnik. Fale sięgały burt, gdy ruszyli na morze rozciągające się pod czerwonym niebem.

- Wiedzą, gdzie szukać? - spytał współnika, kiedy do kabiny weszli przemoczeni Fionn senior i jego syn.

- Paddy i Sean mówili, że na północ od wyspy.

Silnik warczał, Iollan skreślił na południe. Rebecca wtuliła się we własne ramiona, patrząc, jak dziób mierzy w czerwone niebo, a potem w czarną toń.

Zanim mnie poznałaś, byłaś nikim! Powinienem ją zrzucić!

- Becky, chodź. - Fionn wyciągnął do niej rękę. Odsunęła się.

- Nic nie jest w porządku - szepnęła.

- To prawda. Możesz radzić sobie z tym sama, jak to robisz od sześciu lat, albo możesz pozwolić sobie pomóc.

Rebecca spojrzała na niego. Jego oczy emanowały spokojem i pewnością.

- Pozwól mi sobie pomóc - powiedział.

- To by się nie stało, gdybym była bardziej uważna...

- Rodzice muszą dać dzieciom wolność.

- Ona ma tylko sześć lat - odpowiedziała łamiącym się głosem.

Oczywiście wyobraźni ujrzała swoją córeczkę pośrodku oceanu, zapłakaną, wołającą o pomoc.

- To nie twoja wina - powiedział Fionn.

- Mylisz się, to wszystko moja wina.

Iollan skręcił na zachód. Kadłub jęczał i trzeszczał atakowany ze wszystkich stron przez fale. Wiatr pędzący z południa spychał łódź na północ i pędził wodę na wyspę Iny, po to tylko, by wróciła z powrotem do morza. Woda była pchana przez wiatr wprost na łódź, łomotała w nią nieubłaganie. Czas odmierzały kolejne uderzenia fal i minęło dwadzieścia minut, zanim ktoś się znów odezwał.

- Widzę światła! - zawołał nagle Iollan. - To inny statek.

- Paddy i Eoman. - Fionn senior wyjrzał za okno akurat w chwili, gdy wielka fala uderzyła w sterówkę. Rebecca cofnęła się od szyby. Gdy woda spłynęła, nachyliła się znów, patrząc na pojawiające się i znikające światła. A potem zmrużyła oczy, bo pośród rozkołysanego morza migotało wątłe światełko.

- Co to? - wskazała palcem.

- Curragh - powiedział spokojnie współnik Iollana.

- Gdzie tam! - prychnął Iollan.

- Curragh - potwierdził Fionn senior.

- Kto w taką pogodę wypłynąłby w curraghu? - zapytał z niedowierzaniem Fionn.

Rebecca spojrzała na Fionna seniora niewzruszenie patrzącego na chaos, który się rozpętał wokół suchej, przytulnej sterówki.

- Sean Morahan.

Drabina z koszem

Drabina z koszem. 1. Drabina Jakuba ze ścięciem koszykowym pomiędzy szczablami. 2. Modlitwa.

R. Dirane, *Sploty miłości*

W gasnącym świetle Sean ujrzał jolkę Starego Diranea. Kołysała się mocno, ale już samo to wystarczyło, żeby Sean się uśmiechnął. Stara, podniszczona łódź nie powinna w ogóle unosić się na wodzie, a zwłaszcza na falach, które stawały się coraz potężniejsze. Sean słyszał teraz, jak ktoś wymawia jego imię. To Rowan musiała zobaczyć lampę trzymaną przez niego w dłoni.

- Zaraz tam będę! - krzyknął, wiosłując z całych sił. Zapasowe wiosła leżały wzdłuż burt. Żałował, że nie ma przy sobie któregoś z synów, choć jednego. Najlepszy byłby pierworodny, Matthew.

Padrig Blake stał cały mokry pod drzwiami Seana z Fionnem O'Flahertym u boku i wiatrem szalejącym za plecami. Kątem oka Sean widział Mary przytuloną do Claire.

Niebo było przejrzyste; nabrało pomarańczowej barwy zaledwie dwie i pół godziny wcześniej. Paszkot śpiewał, ale w po-

wietrze nie czuć było zapachu ziemi. Sztorm nie nadszedł. Sean siedział przy ogniu, przedąc wełnę na strój dla Liama, bo ten właśnie skończył osiemnaście lat. Gdy włókna w jego prawej dłoni utworzyły trójkąt, a szpula wirowała, niebo przybrało barwę czerwieni. W strzechę uderzył istny wodospad. Sean wstał. W szumie wiatru nie słyszał wcześniej oddechu Mary ani Claire. A teraz po prostu stał, gdy cała wściekłość morza uderzała w jego drzwi.

- Psa by nie wygonił - mruknął. Serce biło mu jak oszalałe, z trudem oddychał.

- Znaleźliśmy... znaleźliśmy... - Oczy Padriga Blake'a były szeroko otwarte, twarz pobiadła.

- Morze wyrzuciło niedaleko nas ciało - powiedział Fionn.

- Nie mogliśmy go rozpoznać, ale...

- Ubrany był w to - dokończył Blake i wyciągnął zza pleców mokry gansej. W środkowej części widniało wielkie drzewo życia, a po bokach biegły podwójne zygzaki rozdzielone trójcą. Sean zrobił go dla najstarszego syna, kiedy dowiedział się, że Matthew zostanie ojcem; dopiero po czterech latach Mary zaszła w ciążę.

Mary stała za Seanem. Przytulona do Claire przysłuchiwała się całej rozmowie. Teraz krzyknęła, a jej jęk zagłuszył huk wiatru.

Sean stał nieruchomy.

- Twoi synowie są w domu, Morahan?

- Nie... - szepnęła Claire. - Wszyscy wypłynęli.

- Joe umie pływać - powiedział nieobecny głosem Sean.

- Joe jest najsilniejszy.

- Matthew! - podniosła lament Mary, trzymając się za brzuch. - Słodki Jezu! Tylko nie Matthew!

Claire objęła synową i pociągnęła ją w kierunku ognia, gdzie wcześniej siedział Sean.

- Poczekamy na resztę - powiedział Sean, patrząc na sztorm. - Joe ich przyprowadzi. Może wejdziecie na herbatę?

- Nie, dzięki. Najlepiej wrócimy do domu. Matthew zostanie w szopie, aż minie sztorm. Przykryliśmy go, zadaliśmy o niego. Modlimy się za ciebie. - Fionn skinął do Mary.

Nie podniosła wzroku. Trzymała się za brzuch, kołyszając się z bólu.

- Dziękuję wam - powiedział Sean.

Blake i O'Flaherty skinęli głowami i odwrócili się do wyjścia.

- Joe ich przyprowadzi - mruknął Sean, zamykając drzwi.

- Sean! - krzyknęła Rowan, trzymając się Siobhan. Były przemoczone, stara jolka nabierała wody. Wiatr wciąż pędził od południa, a Sean patrzył, jak zmierzają ku nim dwa trawlerzy. Iollan i Paddy.

- Już was mam!

Fale wznosiły się i opadały. Czasem widział Rowan przez ramię, czasem nie. Światło przygasło, a kiedy jego curragh zagłębiał się między fale, było tam cicho i ciemno jak w najbardziej nieprzeniknionych głębinach.

- Jeszcze nie...

Kiedy wspiął się na kolejną falę, ujrzał światła trawlerów kierujących się dokładnie na niego, a gdy się obrócił, zobaczył tuż obok siebie jolkę. Unosiła się na wodzie równolegle do następnej fali. Sean wycelował dziobem w falę i pociągnął wiosłami. Curragh dotknął burty jolki.

- Podajcie mi ręce! - krzyknął, wkładając do środka wiosło i sięgając ręką ku dziewczynkom. Złapała ją Siobhan. Kiedy ją wciągał, kolejna fala uderzyła w burtę jolki. Sean zabrał Siobhan do curraghu, ale gdy wznieśli się na następną falę, ujrzał,

że jolka zagłębia się w szczeliny utworzone przez napierającą wodę, a Rowan wypada do morza.

- Nie! - krzyknął Sean. Jolka i Rowan zniknęły. - Trzymaj się ławki! - poleciał Siobhan. Trawlery były już tak blisko, że Sean widział sylwetkę Paddyego. - Chwyć się mocno ławki i nie puszczaj! Twój tata już płynie!

Fala się oddaliła, Sean rozejrzał się za jolką i Rowan.

- Rowan - jęknęła Siobhan, przytulając się do ławki. Dziób jolki wyłonił się niecałe dziesięć jardów od curraghu.

Sean ujrzał Rowan - trzymała się dziobu. Iollan też musiał ją zobaczyć, bo jego reflektor omiół powierzchnię morza, oświetlając mierzące w niebo dno jolki. Wzrok Seana podążył za snopem światła; dojrzał Fionna i matkę Rowan. Patrzyła na niego ze zgrozą. Sean skoczył do wody.

Zanurzył się. Było zimno. Ciało miał słabe. Cały dzień dawał sobie wycisk, najpierw biegnąc do przystani, żeby ostrzec Paddyego przed sztormem, a potem wiosłując w curraghu w poszukiwaniu Rowan i Siobhan. Nawet jednak pośród tej słabości myślał tylko o tym, że w wodzie znajduje się Rowan bez ganseja. Jej życie wisiało na włosku.

Morze wyciągało po niego swoje dłonie, ale Sean przebił głową powierzchnię i reszką sił podpłynął do jolki. Próbował złapać Rowan; wciąż trzymała się wywróconej łodzi. Oczy miała zamknięte, a twarz ściągniętą i zmęczoną ciągłą walką ze sztormem. I wtedy zobaczył, że dziewczynka z cichym jękiem puszcza łódź.

- Nie! Rowan! - krzyknął, nurkując w ciemność. Reflektor Iollana przebił mroczną toń, oświetlając maleńką rękę. Sean złapał ją i wypchnął na powierzchnię. Wychynął tuż za nią, czując, że nogi nie chcą go już słuchać. Trzymając nieruchomą Rowan prawą ręką, młócił wodę lewą, starając się płynąć do curraghu.

- Siobhan! - zakaszła słabo, przyciągając Rowan do burty. Nad krawędzią pojawiła się Siobhan.

Ostatnim wysiłkiem woli stary podniósł Rowan. Siobhan złapała ją i wciągnęła do łodzi. Sean poczuł, że brak mu już sił. Leżał nieruchomo, zagłębiając się w wodzie, gdy wokół podnosiły się fale i dźwigały curragh ku niebu. Zobaczył, jak łódź Iollana z głośnym metalicznym zgrzytem uderza w łódź Paddy'ego. Ujrzał matkę Rowan - wbijała weń wzrok.

Claire płakała. Załamując ręce, chodziła wte i wewte po kuchni brata. Minął miesiąc, zanim Sean odkrył, dokąd Padrig Blake zabrał jego żonę. Sean poszedł na farmę Dirane'ów z żądaniem, by zdradzili mu miejsce pobytu Claire. To mała Ina O'Connelly, która przyszła wtedy z wizytą, się wygadała. Teraz stał przed żoną, a słońce wlewało się przez okna, rozświetlając każdy zakamarek. Ciepło letniego dnia nie ogrzewało jednak serca Seana, lodowatego jak zimowa fala. Patrzył na Claire, a ona spoglądała w jego oczy ze łzami spływającymi po policzkach.

- Nie ma ich - szepnęła. - Nie ma.

- Myślisz, że ich zabiłem - stwierdził głosem równie nieczułym, co jego serce.

- Nie, kochany. - Claire otarła twarz.

- Ależ tak. Myślisz, że ich zabiłem. Wszystkich - powtórzył. - Myślisz, że to moja wina, bo kazałem im wypłynąć w morze.

- To sztorm ich zabrał - szepnęła.

- Gdybym im nie kazał wypłynąć, staliby teraz w słońcu razem z Mary! Tak myślisz! - krzyczał, zbliżając się do niej.

- Sean, nie - powiedziała, cofając się z szeroko otwartymi oczami.

- Przestań tak na mnie patrzeć! To nie moja wina! Claire odwróciła wzrok i postąpiła w kierunku drzwi.

- Nie uciekniesz mi znowu!

- Po... potrzebuję powietrza - szepnęła, sięgając do drzwi. Złapał ją za rękę i obrócił.

- Nie! Sean!

Chwycił ją za gardło, patrząc jej w oczy, oskarżycielskie, przerażone niebieskozielone oczy. One znały prawdę, którą w nich teraz widział. Chciał, by zamknęły się na zawsze.

Serce biło mu coraz wolniej, gdy lodowata nicość morskich głębin objęła go za nogi. Nie słyszał już wycia wiatru ani szumu wody. Spokojem napępniało go spojrzenie matki Rowan, która patrzyła na niego z pokładu łodzi Iollana. Od tak dawna nikt nie patrzył na niego w ten sposób, jak na mężczyznę, który ocalił dzieci za cenę własnego życia. Chciał uśmiechnąć się do niej, ale było mu zbyt zimno i nie wiedział, czy jego twarz choć drgnęła.

- Ojczy, zaopiekuj się Rowan - szepnął - i jej matką.

Z tymi słowami Sean Morahan poddał się i zagłębił pod powierzchnię, we wszechogarniającą ciemność.

Kratka z bąbelkami

Kratka z bąbelkami. 1. Wzór w kratę, w którym na każdym przecięciu jest bąbelek. 2. Wspólnota ludzi jednoczących siły, by nieść pomoc innym. 3. Trzymanie się razem, by nikogo nie porwał wiatr.

R. Dirane, *Sploty miłości*

Rebecca widziała, jak Rowan wypada z łodzi i znika w wodzie. Chciała krzyczeć, ale wtedy usłyszała, jak Sean woła coś do Siobhan. Dziewczynka położyła się, kryjąc się przed wzburzonym morzem i wzrokiem Rebeki. A potem zobaczyła, że Sean patrzy w wodę. Podążyła za jego wzrokiem i kiedy Fionn pokierował reflektorem, Rowan wyłoniła się z głębin. Rebecca stanęła na palcach, rozpaczliwie starając się wymyślić, jak zejść z pokładu, wskoczyć do wody i uratować córeczkę. Ale trawler Iollana w jednej chwili wspinał się na fale, by w drugiej zapadać się między nie, jak gdyby zmierzając w głębinę. Miała już przekładać nogę przez poręcz, gdy Sean spojrzał w jej oczy ze spokojem i pewnością. A potem się zanurzył.

Rebecca patrzyła, jak walczy z oceanem, narażając własne życie, aby uratować jej córkę, podczas gdy ona - matka - stała bezpieczna i bezradna na pokładzie. W jej uszach huczał głos

Dennisa i wiatr. Oskarżenia o głupotę i słabość przetaczały się w myślach z taką samą intensywnością jak fale dookoła. Życie Rowan zależało teraz od czynów okrutnego człowieka. Kiedyś już przeżyła coś takiego. Wtedy miała nadzieję, że okrutnik oszczędzi małą, i chociaż go błagała, to w sercu czuła palącą nienawiść, pragnąc, aby ten człowiek zginął. Wtedy, świadomie próbowała go ratować, ale kiedy wyciągnęła rękę do Dennisa, czy to nie ta paląca nienawiść spowolniła jej ruchy i posłała go na śmierć, jednocześnie ocalając życie dziecka? Teraz Rebecca potrzebowała pomocy kolejnego okrutnika, aby uratować Rowan. Nienawidziła się za to, że prosi kogoś takiego o pomoc. Starła się ukryć to uczucie głęboko w sercu.

Na ułamek sekundy Rowan zanurzyła się, ale Sean jej dosięgnął. Brnął z nią przez rozszalałą wodę, a potem wsadził do curraghu.

W tym momencie silnik trawlera zawył głośniejsze. Iollan krzyknął coś niewyraźnie ze sterówki, a gdy kolejna fala sięgnęła burty, Rebecca poczuła, że łódź Iollana uderza o burtę Paddyego.

- Szlag by to trafił! - wrzasnął Fionn. - Becky, odsuń się od poręczy!

Łódź Paddyego cofała się, ale kolejna fala już nad nimi wisiała. Rebecca spojrzała na Seana. Uśmiechnął się do niej i zanurzył w wodzie. Krzyki z przeszłości i wszechobecny sztorm ucichły, gdy Rebecca zamrugała pod naporem kłujących rozbryzgów oceanu. Oczy Seana nie wyrażały wściekłości zmieniającej się w strach jak oczy Dennisa, gdy wpadał w otchłań. Wydawały się łagodne, nieomal miłe. Wspomnienie wyrazu oczu Dennisa, spadającego w przepaść, i Seana, znikającego w głębinach, przemknęły przez umysł Rebeki. Były jak przelatujący obok i trzepoczący skrzydełkami paszkot. Czy okrucieństwo mogło mieć inne oblicze?

Uczucie równie głębokie jak nienawiść, którą czuła wobec Dennisa sześć lat wcześniej, wezbrało w jej sercu. Wydawało jej się niezwykle żarliwe, niczym płomień. Rebecca stała rozgorączkowana i spocona na pokładzie. Nie potrafiła go nazwać. Przycisnęła krzyż świętej Brygidy do rozpalonego serca i spojrzała na curragh, tę nic nieznaczącą wobec potęgi morza drobinę. Siobhan skrzywiła się przerażona, przytulając bezwładne ciało Rowan. Niewiele myśląc, Rebecca przeskoczyła przez poręcz. Wzięła głęboki wdech i w absolutnej ciszy sztormu usłyszała, jak powietrze wypełnia jej płuca.

- Becky! - krzyknął Fionn. - Złaż stamtąd!

Rebecca zeskoczyła z łodzi Iollana, rzucając się w pustkę. Kiedy uderzyła w wodę, wszystko wokół poczerwieniało. Morze okazało się przeraźliwie zimne, zimniejsze niż jakakolwiek woda, w której Rebecca się kiedykolwiek zanurzyła. Poczowała, że fale ciągną ją w dół, gdy tuż obok przetoczyła się łódź Iollana. Wierzgając nogami i bijąc ocean pięściami, wynurzyła się, oddychając płytko.

Łódź Seana była blisko. Rebecca zaczęła płynąć, ale poczuła, że mięśnie jej tężeją w lodowatej otchłani. Gansej miała luźny, krępował jej ruchy i gdy tak płynęła bez końca w kierunku curraghu, spojrzała w dół, w ciemność. Światło reflektora przemknęło jej nad głową i tuż u swoich stóp ujrzała coś jasnego. Gansej Seana. Pośród czerni nie unosił się Dennis, tylko mężczyzna, który życie jej córki uznał za ważniejsze od swojego. A teraz pogrążył się w nicości. Biorąc głęboki oddech, Rebecca zanurzyła się w lodowatą wodę. Złapała lewą rękę Seana. Walcząc z jego ciężarem, ruszyła w kierunku powierzchni. Płuca domagały się tlenu, ale Sean ciągnął ją w dół. Nagle czyjaś ręka złapała ją i wyniosła ponad toń. Łapczywie zaczerpnęła powietrza.

- Mam Seana - wykrztusiła.

- Zamarzniemy na śmierć, jeśli nie wyjdziemy z wody! - krzyknął Fionn, sięgając po starego i wyciągając jego głowę nad wodę. We dwojkę pociągnęli go w kierunku curraghu.

- Siobhan! - krzyknął Fionn.

Dziewczynka wyjrzała zza krawędzi burty, płacząc histerycznie.

- Rowan się nie rusza!

Wspiął się do curraghu. Wokół morze rozstąpiło się, nadchodziła kolejna fala.

- Szybko! Rękę! - podał dłoń Rebecce.

- Jeszcze się ruszam, Sean pierwszy - jęknęła Rebecca, popychając starego.

Fionn, obracając zaniepokojone oczy na południe, z trudem wciągnął Morahana do łodzi. Z Rebeccą poszło mu łatwiej. Kobieta bez trudu wyskoczyła z wody. Szybko usiadł przy rufie i podniósł wiosła.

- Wiosłuj, Becky! - krzyknął, ciągnąc za lewe wiosło.

- Rowan! - Rebecca nachyliła się nad córeczką, ignorując Fionna.

- Musimy ustawić curragh prostopadle do tej fali albo wszyscy wylądujemy w wodzie, a curraghu już nie będzie! Wiosłuj!

Fionn patrzył na nią rozkazująco przez ramię. Nagle wytrzeszczył oczy, patrząc gdzieś za nią. Rebecca podążyła za jego wzrokiem. Ujrzała olbrzymią falę.

- Cholera! - krzyknęła i klapnęła na przednią ławkę. Patrzając na Fionna, naśladowała jego ruchy tak jak zaledwie kilka godzin wcześniej. Curragh ledwo zdążył się ustawić, gdy fala przetoczyła się pod nimi, uderzając kruchą łupinę swą olbrzymią dłonią.

- Wiosłuj! - ryknął Fionn.

Rebecca pociągnęła za wiosła. Siobhan leżała obok Rowan, obejmując ją z zamkniętymi oczami. Rebecca tak pragnęła

dotknąć córki, przekonać się, czy wciąż żyje, ale zdawała sobie sprawę, że jeśli nie dotrą do brzegu, śmierć pochłonie ich wszystkich - wiedziała to sama z siebie i nie trzeba jej było do tego przekonywać. Zmagając się z własnym umysłem i z morzem, nakazała sobie myśleć tylko o wiosłowaniu. Nie o zimnie. Nie o wietrze ani strachu, tylko o oddechu, wiosłach i morzu. Walcząc z oceanem, Rebecca patrzyła na wschód. Łodzie Paddy'ego i Iollana kolebały się na wodzie. Każda zawracała już w stronę własnej przystani. Tak przypuszczała Rebecca. Patrzyła na plecy Fionna, wiosłując w narzuconym przez niego rytmie. Czowała, że gansiej coraz bardziej ją rozgrzewa, a kiedy spojrzała w dół, zobaczyła w świetle lampy, że Rowan ma otwarte oczy. Jęknęła.

- Rowan - szepnęła, a do kropli deszczu na jej policzkach dołączyły łzy.

- Zgubiłam fujarkę - wymamrotała dziewczynka. Siobhan zaczęła płakać.

- Sprawimy ci nową - obiecał Sean.

Rebecca ujrzała, że z dna łodzi zerka na nią Morahan. Uratowała mu życie, choć uważała go za okrutnika. Ale teraz, gdy patrzyła na niego, znów ogarnęło ją to samo palące uczucie. Szukała słowa, by je nazwać, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Poczowała, jak wokół serca zaciska się jej gorąca obręcz.

- Musisz oddychać - rozkazał Sean - żeby móc wiosłować i żyć.

- Aye - odpowiedziała.

- Zimno mi. - Rowan podczołgała się do Seana i przytuliła do niego. Pociągnęła za sobą Siobhan i gdy Rebecca z Fionnem zmagali się z południowym wiatrem, dziewczynki tuliły się do starego w poszukiwaniu ciepła.

Rebecca czuła się tak, jak gdyby wiosłowali od wielu godzin, ale wreszcie Fionn uniósł lewe wiosło i wyprowadził curragh

na płaski, gładki brzeg. Padało i było ciemno, ale w końcu udało im się wyciągnąć łódź na piasek. Rebecca pomogła Rowan, a potem Siobhan wyjść z curraghu i wzięła je obie w ramiona, Fionn zaś asystował Seanowi.

- Gdzie jesteśmy? - Rebecca spytała Fionna.

- Pod moim domem - odparł Sean. - To jest jedyne miejsce na wyspie, gdzie można przybić do brzegu w czasie sztormu.

Kiedy dotarli do budynku, Sean i Fionn otworzyli drzwi. Rebecca weszła za nimi do środka, chowając się przed wiatrem. Sean puścił Fionna i oparł się o ścianę. Dotknął włącznika.

- Nie ma prądu - zauważył.

- Becky, rozpal ogień i rozbierz dziewczynki. Ja muszę zabezpieczyć curragh - powiedział w ciemności Fionn i wyszedł na dwór, zamykając za sobą drzwi.

- Zapalki są na kominku - poinformował ją Sean. - Torf na palenisku.

Powłócząc nogami, ruszył w głąb domu. Trzymał się ściany, a potem zniknął w przejściu po prawej. Rebecca ostrożnie podeszła do sofy i posadziła na niej Rowan i Siobhan. Pocałowała córkę w głowę, przez chwilę upajała się zapachem jej skóry. Omal jej nie straciła.

- Rowan, kocham cię - załkała.

- Ja ciebie też, mamó.

Odchyliwszy się, Rebecca ujęła twarz córki w dłonie. Nie była jednak w stanie dostrzec jej w ciemności. Obok popłakiwała Siobhan.

- Wszystko już dobrze - szepnęła Rebecca, całując Siobhan w głowę. Poczwała, że dziewczynka drży. - Jesteś przemarznięta. Muszę rozpalić ogień.

Ostrożnie zbliżyła się do kominka. Zapalki leżały tam, gdzie mówił Sean. Zapaliła jedną. W świetle płomienia ujrzała stos torfu i worek suchej trawy. Zbudowała mały wigwam

z torfu i zapaliła pod nim kępkę suszu. Wszystko zaczęło się żarzyć. Odwróciła się i spojrzała na córkę.

Tak niewiele brakowało, by ją dziś straciła.

- Pani Moray?

Odwróciła się i zobaczyła, że Sean stoi w przejściu po prawej, ociekał wodą. W dłoni trzymał muszlę z palącym się knotem.

- Skoro ogień się już pali, dziewczynki mogą iść do łóżka. Trzeba tylko to i owo przenieść.

- Najpierw trzeba je osuszyć. Jest tu jakieś ubranie, które mogłyby założyć? - spytała Rebecca.

Sean pokiwał głową i odwrócił się w stronę kuchni.

- Zaraz wrócę - powiedziała do dziewczynek.

Wstąpiła ostrożnie na kamienną podłogę kuchni, mokrą od wody ściekającej z nich obojga. Zza ramienia gospodarza Rebecca ujrzała palące się w drugim pokoju światło. Kiedy tam weszła, zaparło jej dech w piersiach.

Pomieszczenie oświetlały stare lampy olejne, niektóre ze szkła i metalu, inne z muszelek. Na podłodze w stertach leżała puszysta wełna, a w rogu stał kołowrotek ze szpulą przędzy na wrzecionie. Na drewnianych wieszakach przybitych do ścian wisiały liczne motki kolorowej przędzy. Wielki, drewniany, podniszczony stół z prawej strony zastawiono pojemnikami i woreczkami barwników, ale najbardziej zdumiała ją cztery wielkie stosy gansejów pod przeciwległą ścianą, rozsypujące się po podłodze jak lawina. Obok kominka stało krzeselko, a pod jego nogami mnóstwo porzuconych brązowych próbek.

Sean obrócił się i spojrzał Rebecce w oczy.

- To - wskazał ganseje - są moi synowie.

Powoli, w milczeniu Rebecca rozejrzała się po pokoju.

- Rowan i Siobhan potrzebują czegoś suchego - szepnęła.

- Aye.

Z najbliższej sterty Sean wyciągnął żółty sweter i podał go Rebecce. Był jasny jak letni dzień, z małymi kółeczkami niczym aureole bizantyjskich świętych i ścięciem, który przypominał okienne szybki. Rebecca przybliżyła gansej do świecy.

- To są paluszki u stopek. Tamtego dnia mój najmłodszy synek postawił pierwszy krok.

Rebecca czuła, że jej serce bije coraz szybciej, gdy Sean podchodził do następnej sterty. Wyjął z niej morelowy gansej. Wzięła go i potarła dzianinę palcami. Miała kolor świtu. Środkowa część składała się z trzech grubych warkoczy z puszystymi bąbelkami. Po bokach znajdowały się drzewa życia, a obok nich duże i zakrzywione fale, spływające wzdłuż całego ganseja.

- To pierwsza lekcja Liama dotycząca morza: nigdy nie odwracaj się plecami do oceanu. Weź te ganseje i przebierz dziewczynki. Ja zaparzę herbaty.

Rebecca wyszła, Sean podążył za nią. Skierowała się do salonu. Rowan i Siobhan siedziały przy ogniu.

- Chcę do mamy! - powiedziała Siobhan, patrząc na Rebecce przerażonymi oczami. Z zewnątrz dochodziło wycie sztormu.

- Już wszystko dobrze. - Kobieta uklękła obok. Wzięła obie dziewczynki w ramiona, kołysząc się z nimi, aby je uspokoić. Burza szalała na zewnątrz, ale w jej głowie rozbrzmiewały tylko słowa Dennisa: była głupia, nie potrafiła sama wychować Rowan. Jego głos mówił, że ich córka prawie umarła. Ale nawet słysząc to oskarżenie, Rebecca nie puszczała Rowan. Miała ją w ramionach. Żywą. Sama ją uratowała. Pośród wścieklej burzy na oceanie uratowała córkę oraz Seana: wydarła potępieńca ze szponów śmierci. Dziewczynki drżały.

- Na zewnątrz wciąż wieje, moja kochana Siobhan. Musimy poczekać. Przebierzcie się i zaraz zrobi się wam lepiej - poleciła cicho.

- Chcę do taty - szepnęła Siobhan. Paddy był wciąż na morzu, w kołyszącej się, poobijanej łodzi.

- Wiem - jedynie to mogła jej odpowiedzieć. Pomogła dziewczynkom się przebrać. Sean wszedł właśnie z dwiema filiżankami gorącej herbaty, gdy w drzwiach stanął Fionn.

- Musimy posprzątać łóżko - powiedział do niego Sean, podając Rebecce herbatę. - Pomożesz mi. Mama Rowan powinna zostać z dziewczynkami.

Rebecca podała herbatę dziewczynkom, a potem ściągnęła mokry gansej i weszła między nie, żeby je przytulić. Siedziała, patrząc w płomień, i słuchała, jak wiatr tarłosi strzechą, a paszkot śpiewa.

Sean wszedł kuchennymi drzwiami z naręczem kolorowych gansejów i położył je na krześle obok paleniska. Kiedy wyszedł, do salonu wszedł Fionn. Spojrzawszy mu w twarz, Rebecca zobaczyła, że jest zaskoczony.

- To on robi na drutach? - spytał cicho. Rebecca skinęła głową.

- Kto by pomyślał - szepnął.

- Myślisz, że nikt nie wie?

- On z nikim nie rozmawia. A przynajmniej nie rozmawiał, dopóki nie poznał Rowan.

Pojawił się Sean z nowym naręczem swetrów. Fionn się cofnął. Patrząc na nowe ganseje, które teraz nie mieściły się na krześle, Rebecca zwróciła uwagę na ciemnoszary sweter z dużymi, krzyżującymi się wiosłami w części środkowej. Po obu stronach znajdowały się pojedyncze zygzaki, a obok półkoliste kształty ponad ukośnymi pasami ze ściegu pończoszniczego.

Podniosła go i zbliżyła do ognia. U góry każdego półkola ujrzała małe dziurki.

- Wieloryby. - Sean rzucił kolejne swetry na krzesło. - Długo myślałem, zanim wpadłem na ten ścieg.

- A ten? - Rebecca wskazała gansej w pięknym fioletowo-niebieskim kolorze.

- To dzień, kiedy mój pierworodny nauczył się jeździć na rowerze.

Sean miał nieobecny wzrok, gdy Fionn wszedł i położył z boku kolejne naręczce gansejów.

- Przewrócił się. - Sean rzucił na Rebecce przenikliwe, zimne spojrzenie. Rebecca wstrzymała oddech. Gdy tak na nią patrzył, przypominał jej Dennisa. - Kazałem mu wstać - szepnął. - Miał złamaną rękę, a ja kazałem mu wsiadać z powrotem na rower.

Dennis spadł i zniknął w oceanie.

Sean odwrócił się i wrócił do pokoju synów, stąpając przy tym ciężko.

- Co z dziewczynkami? - spytał Fionn.

Rebecca nie spojrzała na niego. Patrzyła, jak Rowan wtula się w lekcję Liama. Oczyma wyobraźni widziała czarną otchłań, która pochłonięła Dennisa.

- Wszystko w porządku - powiedziała cicho.

- No to zanieśmy je do łóżka. - Dotknął jej włosów.

- Możesz wziąć Siobhan? - spytała.

Fionn podniósł dziewczynkę. Rebecca wstała i przytuliła Rowan, we wspomnieniach widząc, jak Dennis spada w otchłań. Poszła za Fionnem przez kuchnię do pokoju synów Seana. Stary garbił się nad kominkiem, dorzucając torfu do wciąż wątlego ognia.

-Powinno wystarczyć na chwilę - powiedział. Rzucił Rebecce ostrożne spojrzenie i uśmiechnął się, a potem powoli wyszedł.

Dwa łóżka zostały oczyszczone z zalegających na nich gan-sejów. Na każdym leżały teraz schludnie złożone, trzy ręcznie robione koce w różnych kolorach. Fionn położył Siobhan na jednym z łóżek i opatulił ją. Gdy Rebecca kładła Rowan na drugim, dziewczynka potrząsnęła głową, zeskoczyła i wdrapała się na łóżko Siobhan.

Żal ścisnął jej serce. Tak pragnęła przytulić córkę, chciała uwolnić się od poczucia winy za śmierć Dennisa. Leżenie w łóżku z Rowan zawsze pomagało rozproszyć mrok czający się w duszy.

Jesteś za głupia, żeby wychowywać ją sama.

Mało brakowało, aby wydarzenia tamtej nocy legły u podstaw nowej opowieści z wysp, przekazywanej z pokolenia na pokolenie przy torfowym ogniu. Oto dwie małe dziewczynki zasnęły w łodzi *seanchai*, którą południowy wiatr zepchnął na morze, ku magicznej krainie i nigdy więcej ich nie widziano. Byłaby to irlandzka opowieść z tragicznym i jakże baśniowym zakończeniem. Tak mogło się stać. I gdy Rebecca rozmyślała o tym, uświadomiła sobie także, że traci córkę. Rowan nie chciała już spać z matką, chciała spać z Siobhan.

- Becky - powiedział łagodnie Fionn. - Nie płacz. Rebecca spojrzała na niego i dotknęła policzków. O dziwo, znalazła na nich łzy.

- Ona mi się wymyka - szepnęła.

- Jesteś jej mamą, mamy nigdy nie tracą dzieci. Delikatnym ruchem ściągnął Rebecce przemoczony gansej przez głowę.

- Tracą, jeśli one umierają. - Pociągnęła nosem.

- Rowan nie umarła. - Fionn położył Rebecę na łóżku i pomógł jej ściągnąć buty.

- Ale niewiele brakowało - odpowiedziała, zsuwając mokre spodnie.

Kładąc się, pomyślała, jak wielkie były fale, a jak mała łódka, która bezpiecznie dowiozła ich do brzegu. Poduszka leżąca na łóżku zamokła od łez, gdy Rebecca przypomiwała sobie chwilę, kiedy zabrano Rowan do karetki pogotowia. Wyobraziła sobie również córkę i jej przyjaciółkę przytulone do siebie w jolcie Starego Diranea. Jak to się stało, że Rowan nie spadła z autostrady numer 1? Jak to się stało, że razem z Siobhan tak daleko dotarły na starej łodzi?

- Rowan nie umarła. Dlaczego ciągle wracasz do tamtych wydarzeń, zamiast skupić się na teraźniejszości?

Rebecca spojrzała na twarz Fionna. Jego rude włosy w blasku ognia zdawały się tańczyć niczym płomienie.

- Jakiej teraźniejszości?

- Takiej, że ty, Becky, skoczyłaś do morza w czasie sztormu. Nigdy nie spotkałem kogoś, kto odważyłby się na coś takiego. Przepłynęłaś ocean w czasie burzy, uratowałaś Seana, weszłaś do curraghu i powiosłowałaś do bezpiecznej przystani.

Rebecca patrzyła na niego, a potem zbliżyła się i położyła głowę na jego piersi. Tak, skoczyła do wzburzonego morza. Jakim cudem się na to zdobyła? Skoro potrafiła zrobić coś takiego, jak to się stało, że Dennis zginął?

Przytuliła się do Fionna jeszcze mocniej, starając się w ten sposób uciec przed prawdą o Świącie Dziękczynienia. Wtedy nie chciała uratować Dennisa. Pragnęła, by umarł. To przeważało sprawę.

Wróciła myślami do morza i sztormu. Tak, skoczyła do wody. Jej uczucia względem Seana, gdy widziała, jak tonie, były inne niż te, które żywiła w stosunku do Dennisa. Zdumiała się własną odwagą i podniosła głowę.

- Nie zrobiłam tego sama. Skoczyłam z łodzi, ale ty skoczyłeś za mną. Resztę, Fionn, zrobiliśmy razem.

- To prawda.

Rebecca patrzyła, jak blask ognia migocze na rudych włosach porastających tors Fionna. Zamknęła oczy, myśląc o tym, czego dokonała tej nocy, czego dokonała razem z Fionnem.

- Nieźle sobie razem radzimy - szepnęła sennie.

- *Aye*, to też prawda.

Rebecca zasnęła wreszcie, opatulona ciepłem jego ramion, wsłuchana w bicie jego serca, po raz pierwszy czując, że ciemność się rozprasza, choć nie ma Rowan u boku.

Drabina z mchem

*Drabina z mchem. 1. Drabina Jakuba z mchem pomiędzy szczablami.
2. Łaska.*

R. Dirane, *Sploty miłości*

Sean zostawił Fionna, Rowan, jej matkę i Siobhan w pokoju synów i przez kuchnię dostał się do salonu, gdzie wziął z kominka nietkniętą herbatę Rowan i pociągnął łyk. Był przemoczony i zmarznięty. To w tym miejscu siadywał, grzejąc nogi, podczas gdy chłopcy grali na fujarkach po długim dniu łowienia. To tu Claire w zimowe wieczory przynosiła im kolację, żeby wszyscy się rozgrzali. Wiele lat minęło, odkąd po raz ostatni siedział w ciepłe rodzinnego ognia, a teraz czuł, jak jego serce przenika smutek.

Patrząc w filiżankę, wrócił myślami do wydarzeń tej nocy - swojej walki ze sztormem, curraghu pośród fal, narażania życia dla dzieci.

- Gdybym tylko wtedy wiedział - wyszeptał w kierunku żaru. Ale czterdzieści lat temu nie sądził, że jego synowie mogą mieć kłopoty. Zrozumiał dopiero, gdy pojawił się Padrig Blake z gansejem Matthew.

- Myślałem, że naprawiłem silnik-wymamrotał. Przez lata słyszał w głowie głos Joego, mówiący, że Matthew zna się silni-

kach. To jedne z ostatnich słów, jakie Joe wygłosił przed śmiercią. I przez te wszystkie lata Sean myślał, że to właśnie silnik zawiódł. Było to dla niego równie oczywiste jak to, że w morzu pływają makrele. Ale nagle, siedząc teraz przed ogniem i wspominając Rowan i Siobhan stojące w podniszczonej jolce, zniesionej daleko na północ od skał, nie miał już takiej pewności. Ta jolka powinna zatonać. W takim sztormie powinna zatonać dużo wcześniej, zanim dotarła tam, gdzie znalazł ją Sean. Ale tak się nie stało. Ściągając mokre buty, zastanawiał się, jak to możliwe, że jego synowie, rybacy, zginęli, podczas gdy dwie dziewczynki w starej łodzi przetrwały.

Poczuł ból. Łamało go w krzyżu. Jego ciało chciało się położyć, zrzucić brzemię wysiłku.

- Mężczyźni dźwigają ciężar świata - szepnął. Tak mówił synom. *Trzeba siły, żeby tego dokonać.* Gdy ta myśl przeszła mu przez głowę, usłyszał głos Joego.

Czy nigdy nie dasz nam swobody, żeby się przekonać, że jesteśmy już mężczyznami, na jakich nas wychowałeś?

Odkładając filiżankę drżącą ręką, Sean ujrzał zagniewane oczy syna. To on kazał im wypłynąć w morze. To on podjął decyzję i im ją narzucił. Nie po raz pierwszy ukrył twarz w dłoniach, chcąc uciec przed prawdą. Silnik czy nie silnik, sztorm czy nie sztorm, jego synowie wypłynęli w morze, bo tak im kazał.

Joe jest najsilniejszy. Joe ich przyprowadzi.

Samotna łąza wpadła do filiżanki, tworząc na powierzchni herbaty kręgi sięgające brzeżków naczynia. Sean wziął głęboki oddech. Przypomniał sobie wyraz oczu Claire podczas ich ostatniego spotkania - objawiła się w nich prawda o tamtym wieczorze Teraz znów widział tę samą zgrozę; do filiżanki wpadła kolejna łąza. Potem ujrzał matkę Rowan. Obserwowała go z pokładu łodzi Iollana. Żył, ale tylko dzięki Rebecce. Zo-

stal wyrwany z objęć zimnej, czarnej śmierci, która wezwała go niczym syrena z minionej epoki. Poczul jej zew. Posluchal przywolejacej pieśni, poddal sie jej objęciom po to tylko, by obolalym i zmarzniętym znalezc sie w curraghu obok Rowan i Siobhan. Otrzymal kolejna szanse - nie byl pewien dlaczego, ale wiedzial, ze ja otrzymal. Patrzac, jak matka Rowan rozglada sie po pokoju jego synow, jednoczesnie poznajac ich zycie, Sean wiedzial, ze to ona wydarla go morskim odmetom. Jej oczy patrzyly nań, gdy sie zanurzal, tak samo jak kiedyś patrzyła na niego Claire. Tu nie chodzilo o miłosc. Tu chodzilo o szacunek. Uratowal jej cõreczkę, poniewaz nie mógł inaczej postapic. I dlatego wlasnie matka Rowan uznala go za czlowieka wartosciowego i godnego szacunku. Wyrwala go z objęć śmierci, dala mu zycie, tak jak kiedyś jego zona. Claire wyszla za niego, wybawiajac go od rozgoryczenia, tak typowego dla wszystkich Morahanow. Obdarowala go radością zycia i miłoscia O'Flahertych i Dooleyow, oraz wszystkim tym, co dobre w kazdej innej rodzinie na wyspie, ktorej krew krązyla w jej zyłach.

- Co mam zrobic? - spytal ognia.

Bolalo go serce, ciało i dusza. Zostal calkiem sam. Zwykle, gdy tak sie czul, wchodzil do pokoju synow i robil na drutach

- tworzil kolejna z ich opowieści. Ale teraz w domu przebywal ktos jeszcze; ktos, kto nie pozwatal mu wrõcic do robõtek i synow. Był zmeczony, ale nie chcial nawet myslec o snie. Otrzymal kolejna szanse. Nadal zyl. Nagle Sean spojrzal na drzwi swojej sypialni. Minelo wiele lat, odkad po raz ostatni otworzil szafe i dotkнал najwyzszej polki. Wiedzial, co musi zakonczyc. Cos, co zaczynal i przerywal przez lata. Gansej

- prawie gotowy, ale Seanowi wciąz brakowalo determinacji, by przerobic ostatnie rzadki. Wstal powoli i poszedl do sypialni. Põszedl do szafy na palcach, jak gdyby nie chcąc obudzic

duchów, i otworzył ją. Macał po górnej półce, aż wreszcie dotknął pary drutów przebijających zawiniątko z rybackiej sieci. Zamknął szafę i wrócił do pokoju. Tam usiadł i rozwinął sieć.

Spomiędzy jej sztywnych splotów wyciągnął niedokończony sweter, kłęb niebieskozielonej przędzy. Położył jego części na podłodze. Chłodną, głęboką barwę podsycił blask ognia. Podniósł ukończony w połowie przód. Przeciąwszy nić, która trzymała wszystko razem, nasunął oczka na drut. Za drzwiami, niczym poczucie winy w jego duszy, szalał sztorm. Sean usiadł przy ogniu i zrobił coś, czego nawet nie próbował podjąć się przez minione czterdzieści lat. Siedział w milczeniu, spędzając czas z żoną.

Prucie

Prucie. 1, Spruwanie z powodu popełnionego błędu. Do tego bardzo drastycznego posunięcia należy uciekać się tylko w przypadku popełnienia poważnego błędu we wzorze albo gdy dzianina sama się pruje. Prucie wymaga zsunienia robótki z drutów i pociągnięcia włóczki, a co za tym idzie, rozplecenia robótki. W przypadku początkujących dziewiarzy zaleca się skorzystać z pomocy bardziej doświadczonych osób, gdyż wtedy jest większa szansa, że nie cała praca pójdzie na marne. Doświadczony dziewiarz może dostrzec, gdzie popełniono błąd, i spruć robótkę tylko do tego miejsca. 2. Dostać dobrą radę. 3. Książkę.

R. Dirane, *Sploty miłości*

Coś zastukał do drzwi. Sean otworzył oczy. Przez okna wpadało światło poranka. Leżał bez ruchu. Kiedy się przeciągał, czuł rozdzierający ból w każdym mięśniu. Przekręcił się z jękiem i spróbował wstać z łóżka, ale zmienił zdanie, bo obok niego leżała żona - cała jej miłość zaklęta była teraz w niebie-skozielonym ganseju. Stukanie się nasiliło.

- Morahan! - zawołał zza drzwi ojciec Michael. Sean podniósł się, ignorując skargę grzbietu, że znów trzeba dźwigać ciężar.

- Chwileczkę! - zawołał i zakaszłał. Wstał i zobaczył, że wciąż ma na sobie ubranie, które nosił w nocy. - Już idę - mruknął. Wziął „żonę” z łóżka i otworzył drzwi do kuchni. Nagle stanął jak wryty. Spostrzegł matkę Rowan. Była ubrana tak samo jak on, miała nawet taki sam wyraz twarzy, wyraz, który świadczył tylko o jednym - o wycieńczeniu. Próbował się uśmiechnąć, ale nie potrafił, bo nie miał pewności, czy oczy Rebeki Moray pozostaną tak samo puste, czy też coś się w nich zmieni. Byłby szczęśliwy, gdyby spojrzała na niego jak na człowieka godnego szacunku. Gdyby zaś jej wzrok wyrażał pustkę, tak wielką jak ocean, padłby trupem na miejscu. Skinął więc tylko i odwrócił głowę na wypadek, gdyby dała po sobie poznać, co o nim myśli.

- Siobhan?! - zawołała zza drzwi Annie.

- Mamo! - krzyknęła Siobhan i wystrzeliła zza pleców Rebeki do drzwi. Otworzyła je na oścież. Na progu stali ksiądz i Annie Blake. Kobieta podniosła córeczkę ubraną w żółty sweter Brendana i z płaczem weszła do środka. Za nimi podążał Paddy, który - objąwszy żonę i córkę - wtulił twarz w ich włosy.

- Tato... - Siobhan zapłakała.

Do domu weszli też Sheila i Fionn senior z dużym kartonowym pudłem.

- Synu! - zawołał mężczyzna, kładąc pudło na podłodze.

- Tato! - odezwał się Fionn, drapiąc się po rudych włosach i mijając Rebecę. Objął ojca i się roześmiał.

Sean poczuł ucisk w klatce piersiowej. A potem pojawiła się Rowan w morelowym gansaju Liama i złapała matkę za rękę.

- Rowan! Tak się cieszę, że cię widzę! - Fionn senior puścił syna i wziął dziewczynkę od Rebeki, a potem zakręcił się trzymając ją w objęciach i całując w policzki. Sean patrzył na śmiejącą się Rowan i jego pomarszczoną twarz wykrzywioną

w uśmiechu. Kiedy Fionn senior zatrzyma! się wreszcie, spojrzał spokojnymi, czarnymi oczami na Seana. Morahan się cofnął!

- Sean, dokonałeś nie byle czego.

- To nic takiego - mruknął.

- Nie można tak powiedzieć, gdy ktoś wypływa w curraghu na sztorm - wtrąci! Paddy.

- Ty natomiast, Rebecco Moray, wyskoczyłaś z łodzi, a mój syn musiał za tobą podążyć! - krzyknął Fionn senior.

Rebecca otworzyła szeroko oczy; potrząsnęła głową. Fionn objął ją w pasie i musnął nosem jej szyję.

- Poradziła sobie, jakby urodziła się z wiosłem w ręku - ocenił. - Paddy, szkoda, że jej nie widziałeś.

Roześmiali się. Annie puściła córkę i męża, po czym podeszła do Rebeki i mocno ją objęła.

- Dziękuję, że uratowałaś moją córkę.

Puściła Rebecę i podeszła do Seana. Objęła go za szyję i pocałowała w szorstkie policzki. Nie wiedział, co zrobić, więc tylko poklepał ją po ramieniu, czując, że serce podchodzi mu do gardła.

- Dziękuję, że uratowałeś Siobhan. - Cofnęła się.

- I Rowan - dodał Fionn senior.

Stary pokiwał głową i spojrzał na szary popiół paleniska.

- P... powinienem rozpalić ogień - wymamrotał.

- Przynieśliśmy śniadanie - ogłosiła Sheila, całując Rowan w policzek i zmierzając do kuchni. - Synu, weź to pudło.

- Piękny gansej - powiedziała Annie, patrząc na sweter Claire zawieszony na ramieniu Seana. - Powinieneś pokazać go Becky.

Paddy, Annie, Siobhan i Rowan weszli za O'Flahertymi do kuchni. Sean położył gansej na oparciu sofy, nawet nie patrząc na Rebecę. Pochylił się i wziął dwie kostki torfu.

- Czyj to gansej? - spytał go ksiądz.

Sean wyprostował się, ignorując ból w krzyżu. Nie uświadamiał sobie do tej pory, że ksiądz tam stoi. Wiatr zdążył się już uspokoić. Powiewy dolatujące przez otwarte drzwi łagodnie igrały z włosami ojca Michaela. Za postacią duchownego Sean ujrzał błękitne, radosne irlandzkie niebo. Można by przysiąc, że nie było żadnego sztormu.

- To moja żona - powiedział cicho Sean, gdy ksiądz podszedł i dotknął swetra.

- Twoja żona go zrobiła? - spytał ksiądz.

- Nie - odpowiedzieli razem Rebecca i Sean. Morahan popatrzył na nią. Obrzuciła go spojrzeniem swoich mahoniowych oczu, a potem spuściła wzrok.

- Nie? - dopytywał ksiądz.

- Ja go zrobiłem - wyjaśnił Sean.

- To ty robisz na drutach?

- Ina mówi, że kiedyś to mężczyźni robili ganseje - wyjaśniła Rebecca.

- Kobiety przygotowywały przedzę.

- Naprawdę? - Ojciec Michael potarł palcami gansej. - Nie wiedziałem. Czyli to dla twojej żony.

-Aye. - Sean odwrócił się do ognia.

- Mam wam dwojgu coś do pokazania. - Ojciec Michael ciągle patrzył na gansej. Sean odwrócił się do niego. - Musicie to zobaczyć. Pójdziecie ze mną na krótki spacer przed śniadaniem? Poczekam na zewnątrz, aż włożycie buty.

Ksiądz wyszedł na zewnątrz. Stary spojrzał na Rebecę. Odpowiedziała pytającym spojrzeniem. Wzruszając ramionami, poszedł do sypialni po obuwie, a potem wrócił do salonu i wyszedł na dwór. Kobieta zaraz do niego dołączyła.

- Chodźmy więc. - Duchowny przerzucił sobie gansej Claire przez ramię i ruszył po żwirowej drodze.

- Może zostawi ksiądz ten gansej? - zaproponował Sean.

- Nie, biorę go ze sobą.

Rebecca szła tuż przed Seanem. Odwróciła się i spojrzała na niego z tym samym pytającym spojrzeniem. Stary znów wzruszył ramionami. W trójkę przeszli przez drogę, pokonali rów i przesadzili murek.

-Byłem zaskoczony, kiedy usłyszałem, że uratowałaś Seanowi życie - zagał ojciec Michael.

- Topił się - odpowiedziała.

- Czyli jednak zaryzykowałaś życie dla kogoś takiego jak on?

Zatrzymała się. Sean również. Wstrzymał oddech, czekając na jej odpowiedź.

- Uratował moją córkę. Widziałam, jak... jak tonie. Widziałam, jak jego gansej znika pode mną.

- Rozumiem - odpowiedział ksiądz.

Sean zaczerpnął powietrza i podjął marsz. W głowie miał obraz przytulonych do siebie Siobhan i Rowan w jolce Starego Diranea.

- Zawsze rzuciłbym się na ratunek dziecku, jeśli tylko bym mógł. - Minął wciąż stojącą nieruchomo Rebecce.

- Naprawdę? - spytał ojciec Michael. - Zdziwiasz mnie. Sean znów się zatrzymał.

- Morze zabrało mi synów. Nie mogłem pozwolić, by zabrało mi też te dziewczynki.

-*Aye*, wczorajszy sztorm był potężny. Taki zdarza się raz na czterdzieści lat. Dorównywał tamtemu, gdy zginęli twoi synowie.

- Tak - przyznał Sean.

- Zastanawiam się, dlaczego nie wypłynąłeś wtedy za synami.

Sean patrzył zdumiony, jak ksiądz idzie w górę zbocza, nie oglądając się za siebie.

- Myślałem o tym w nocy - przyznał. - Nie wiedziałem, że mają kłopoty. Nie wiedziałem, że trzeba im pomóc.

- Rozumiem. W końcu Eoman i Paddy wrócili wczoraj bezpiecznie. Silnik Iollana szwankował, a ich łódzie się kołysały. Mężczyźni, dojrzały rybacy, potrafią się o siebie zatroszczyć.

-Aye.

Kobieta wyminęła Seana. Ojciec Michael wysforował się sporo przed nich, więc stary musiał przyspieszyć kroku, żeby nadążyć.

- Dokąd idziemy? - spytała Rebecca.

- Zobaczycie.

Sean ujrzał głaz wystający zza grzbietu wzgórza. Zrównawszy się z towarzyszami, zwolnił. Razem pokonali wzniesienie i weszli na cmentarz przez dziurę w kruszejącym murze.

- Ktoś to musi naprawić - powiedział cicho ksiądz, idąc pośród kamieni i złotej trawy. Sean chwycił się za serce, czując nieznośny ucisk. Nie chciał tu iść. - Dawno nie byliśmy tu razem - zwrócił się do niego ksiądz.

Sean skinął głową, patrząc na Starego Diranea, który opierał się o swój nagrobek i palił fajkę.

- Proszę. - Ksiądz wyciągnął rękę z gansejem Claire. - Może zanieziesz go synowi? Pokaż mu, jak postrzegasz jego matkę.

- Boję się - szepnął stary.

- Czy mężczyzna może się bać własnego syna? - spytał ksiądz.

Sean spojrział na księdza, a potem na Starego Dirane'a. Drżąc, wziął gansej.

- Chcesz, żebym poszedł z tobą?

- Nie - odpowiedział cicho.

Mijając nagrobki, Sean ujrzał wszystkich - Dirane'ów, Dooleyów, O'Flahertych. Stali w milczeniu pod błękitnym, porannym niebem. Nie patrzył w kierunku grobów Morahanów,

bo nie chciał urzeć ojca ani słuchać jego połajanek i drwin. Spojrzał za siebie i zobaczył stojących pod cmentarnym murem duchownego oraz bardzo pobladałą Rebeccę. Popatrzył jej w oczy. Potrzęsnęła głową.

- Od bardzo dawna patrzysz tylko wstecz, w przeszłość - odezwał się ksiądz.

- Od bardzo dawna sztorm nie przybył od tamtej strony - odpowiedział Sean.

- Rybak musi patrzeć przed siebie, nawet w czasie sztormu.

- To prawda. - Morahan kiwnął głową, a potem odwrócił się i dech mu zaparło, bo piętnaście jardów od niego stał Matthew.

- Sean?! - zawołał ksiądz.

- Umieram - odpowiedział Sean.

- Nie. Żyjesz.

Rude włosy Matthew migotały w porannym świetle. Sean nie pamiętał, żeby kiedykolwiek aż tak się błyszczały. *Tato.*

Spojrzał w czarne oczy syna. Tyle miał w sobie z O'Flahertych. Stary otworzył usta, ale nie był w stanie wykrztusić słowa.

Niesiesz bardzo ciężkie brzemie, tato.

- Co mogę zrobić? - szepnął Sean.

Rozejrzyj się. O'Flaherty'owie. Diraneowie. Dooleyowie. Ilu synów zginęło na wojnie, w której brałeś udział?

- To co innego.

Żądać od młodych, by ruszyli w burzę zatroszczyć się o rodzinę - nieważne, czy to morze, czy bitwa. Tak się robi od tysięcy lat.

- Ale byliście moimi synami. Joe powiedział... - głos Seana załamał się. Szeroko otworzył wilgotne od łez oczy. - Powiedział, że jesteście mężczyznami, ale ja tego nie widziałem. Zawsze byliście dla mnie chłopcami, moimi synami.

I od tamtej pory ten błąd zatruwał każdą radosną chwilę twojego życia. Naprawdę sądzisz, że Joe chciałby, abyś tak żył?

- Przeze mnie stracił życie.

Czy on chciałby, żebyś ty stracił życie przez niego?

- Nie, nie on.

Ale to z jego powodu zmarnowałaś czterdzieści lat.

Sean mrugnął oczami, gdy niebieskofioletowe światło rozświetliło postać Matthew.

Nie pomyślałaś o tym, prawda, tato?

Sean znów zamrugnął. Czy to miało sens?

Tak pracowicie odtwarzaliście tę jedną noc, że wszystkich nas: Matthew, Brendana, Liama, Joego, moją żonę, córkę, matkę, wszystkich zatrzymałaś przy sobie po tej stronie wieczności. Zamiast żyć swoim życiem, przez nas je traciłaś. Musisz pozwolić przeszłości odejść, żebyśmy mogli udać się do domu.

- To zbyt proste - szepnął Sean. *Kochamy cię, tato. To jest proste.*

Na prawo od Seana błysnął niebieskozielony cień, a kiedy odwrócił się w tę stronę, wstrzymał oddech. Obok nagrobka Mary stała Claire z dzieckiem. Wyglądała dokładnie tak, jak Sean ją zapamiętał, kiedy w początkach ich małżeństwa czekała na zamglonej plaży, aż wróci ze wzburzonego morza. Spojrzał na jej suknię, a potem na sweter, który trzymał w dłoni. Wypróbował tyle barwników, by stworzyć ten kolor, i myślał, że mu się udało, ale suknia Claire była nieco bardziej zielona, niż zapamiętał, więc sweter nie całkiem pasował.

- Claire? - powiedział cicho.

Podniosła wzrok. Łzy ciekły z jej pięknych, niebieskozielonych oczu. Sean padł na kolana.

- Claire, przepra...

Potrząsnęła głową i odwróciła się plecami. Zobaczył, że jej ramiona trzęsą się od płaczu.

- Claire, muszę...

Znów pokręciła głową. Musiał z nią porozmawiać, powiedzieć, że żałuje. Chciał, żeby go wysłuchała. Starał się wymyślić, co zrobić, by ją do tego przekonać. Gdy obejrzał się przez ramię, ujrzał, że biała jak ściana Rebecca, spogląda na niego. Znów odwrócił się do Claire i położył sweter na trawie porastającej grób Mary.

- Claire, zrobiłem dla ciebie gansej, popatrz. Są tu wszyscy twoi synowie.

Claire z ociąganiem obróciła głowę i spojrzała na sweter.

- Z przodu jest Matthew. Widzisz te koła? Pamiętasz tamten dzień? Kiedy Matthew uczył się jeździć na rowerze? Niebo miało wtedy ten odcień błękitu.

Niebieskofioletowy.

- *Aye.* Dlatego zdecydowałem się na ten kolor. Twój sweter ma kolor twoich oczu. *Trochę się wtedy poobijał.* Sean spuścił wzrok.

- To prawda. Ale zmusiłem go, żeby wsiadł z powrotem na rower. Dużo myślałem o tamtym dniu.

I co wymyśliłeś, Seanie Morahanie?

- Że odważniejszy jest ten mężczyzna, który potrafi przyznać przed samym sobą, że nie da rady czegoś zrobić, a nie ten, który zawsze chce pokonać przeszkodę. Matthew o tym wiedział.

Aye. Wiedział.

Sean skinął głową i obrócił sweter.

- A to Brendan. Widzisz te aureole? Tamtego dnia nauczył się chodzić.

Przyszedł do ciebie.

- Tak zrobił. Wciąż widzę jego ramionka. *I co jeszcze widzisz?*

Sean spojrział na Matthew.

- Każdy nowy dzień jest jak pierwszy krok. - Stary westchnął. - Niektóre dni i kroki są trudniejsze niż inne.

Kto jest na lewym rękawie?

- Liam. Pamiętasz dzień, kiedy chcieliśmy wypłynąć z nim na morze?

Patrzył na owieczki Pana. Claire się uśmiechnęła. Co to jest lekcja Liama?

- Nasze dzieci zaczynają od słów, Claire. Każde słowo, które wypowiadamy w rozmowie z nimi, sprawia, że stają się takie, jakie chciałyby być. To z naszych słów bierze się ich przyszłość.

Tylko dobre słowa oraz łagodne napomnienia powinny wypełniać uszy dziecka.

- Aye - szepnął Sean.

Popatrzył na rękaw Joego, poczuł, jak ze wzruszenia ściska go w gardle.. Spojrział na Claire. Łzy spływały jej po policzkach, błyszcząc w irlandzkim słońcu.

A Joe?

Sean potrząsnął głową, szlochając. *A Joe?*

- Claire - wychrypiał Sean. - Zabiłem twoich synów. *Joe.*

- Widzisz te wieloryby? - wykrztusił Sean. *Wtedy wyrzuciło cię z curraghu.*

Sean nie potrafił nic powiedzieć. *Coś było nie tak.*

Skinął głową, zasłaniając oczy. *Znalazł wiosła. Wiedział, gdzie dryfowały.*

- On wiedział takie rzeczy - szepnął Sean. - A ja go nie słuchałem.

Co to jest „lekcja Joego”?

Sean spojrział w niebieskozielone oczy Claire.

- Joe był prawdziwym mężczyzną, nie mogłem się z nim równać, ponieważ to twój syn. Musiałem go uwolnić, by mógł podążać własną drogą.

Uwolnij ich wszystkich, kochany.

- Tęsknię za nimi. - Sean zapłakał. Podniósł гансеј i przycisnął go do twarzy.

Po prostu powiedz, że ich kochasz.

- Kocham. *Teraz jesteś wolny.*

- Naprawdę? - wymamrotał.

Przenieś mnie tutaj, pogrzeb obok Matthew, Mary i Claire. A kiedy twój czas nadejdzie, połóż się koło mnie i bądź ze mną na wieczność. Sean załkał, a potem wyszeptał:

- Claire, kocham cię. *A ja... ciebie.*

Sean wyciągnął rękę i gdy dotknął rąbka jej sukni, irlandzkie słońce na moment przesłoniła chmurka, a Claire zniknęła.

Splecione romby

*Splecione romby. 1. Kolumna rombów ustawionych jeden na drugim.
2. Spojrzenie z nowej perspektywy na przeszłość, a co za tym idzie - także na terażniejszość.*

R. Dirane, *Sploty miłości*

Rebecca stała za murem, patrząc na cmentarz. Rozpoczęła ten dzień zdezorientowana i nadal się tak czuła.

Rano, kiedy obudziło ją stukanie do drzwi, głowę miała pełną wspomnień dotyczących pierwszej wizyty Dennisa. Nie wiedziała, gdzie jest ani jaki to dzień, ale w tym zamęcie nagle ciepła dłoń dotknęła jej ręki, a wtedy świat wokół przestał wirować. Zobaczyła, że leży bezpieczna obok Fiona, a tuż obok są Rowan i jej przyjaciółka Siobhan.

Do domu przyszli Blakebwie i O'Flaherty'owie, przynosząc ze sobą radość i śniadanie. Ale dopiero kiedy Annie przytuliła Rebecę, ta przypomniała sobie, czego dokonała poprzedniej nocy. Spojrzała na Seana stojącego w objęciach mamy Siobhan. Zauważyła, że nie nawykł do czułego dotyku i serdeczności. A teraz klęczał przed nagrobkiem i płakał. Rebecca nigdy nie widziała, by mężczyzna płakał tak jak teraz Sean.

- Uwolnił się - powiedział ksiądz.
- Coś za łatwo - zauważyła.

- Czy łatwo przeżyć czterdzieści lat tak jak on? -Nie.

- Uratowałeś go.

Te same słowa ksiądz wygłosił, wchodząc na wzniesienie. Rebecca ujrzała wtedy znów, jak wyciąga rybaka i jego biały sweter z czarnej otchłani. Za każdym razem, kiedy ratowała Seana, widziała równocześnie, jak Dennis pogrąża się w otchłani, trzymając się tylko małego, białego gansejka. Skoczyła, by ocalić Seana. Potrafiła uratować kogoś takiego jak on.

- Rebecca, jak długo zamierzasz jeszcze tak żyć? Czy sześć lat nie wystarczy? Dlaczego oddalasz się od Sharon?

- O czym ksiądz mówi?

- Co zrobiła Sharon, żeby zasłużyć sobie na takie traktowanie?

- Nie traktuję jej źle. - Rebecca spojrzała księdzu w oczy.

- Ale oddalasz się od niej. Nie jesteście już tak bliskie jak kiedyś.

- Skąd ksiądz wie?

Ojciec Michael wskazał bez słowa koloratkę. Rebecca odwróciła wzrok.

- Naprawdę sądzisz, że zabiłeś Dennisa?

- Proszę mnie zostawić.

- Chciałeś, żeby nie żył, więc go zepchnęłaś do oceanu. Sharon mówi, że w to właśnie wierzysz.

- Powiedziałam, proszę mnie zostawić.

- Co zrobiła Sharon?

- Trzymała mnie! - wypaliła Rebecca. Zobaczyła, że Sean ogląda się przez ramię.

- Nie powinna?

- Nie mogłam go dosięgnąć - wycedziła Rebecca. - Żyłby nadal, gdyby mnie nie przytrzymała.

- Czyli nie chciałeś, żeby umarł?

- Nie... Gdyby nie Sharon, nie musiałabym żyć z brzemieniem jego śmierci.

- Czyjej śmierci? - spytał Sean, wyrastając jak spod ziemi. Rebecca poczerwieniała ze złości i rzuciła księdzu gniewne spojrzenie.

- Ojca Rowan, Dennisa - wyjaśnił duchowny. - Rebecco, ale wypadłaś za barierkę.

- Co ją powstrzymało? - chciał wiedzieć Sean.

- Przestańcie. Obaj!

- Sharon ją złapała. Gdyby nie ona, zginęłabyś razem z Rowan, Rebecco.

- Mogłam go uratować!

- Skoro chciałaś, żeby ojciec Rowan umarł, dlaczego sięgnęłaś za balustradę, żeby go uratować? - spytał Sean.

- Pró... próbowałam uratować córkę.

- A twoja najlepsza przyjaciółka cię złapała nie po to, żebyś nie mogła uratować ojca dziecka, ale dlatego, że nie chciała pozwolić, abyś razem z Rowan spadła z mostu. Nie ma w tym nic złego, prawda? - spytał ksiądz.

- Ale ja go pchnęłam - szepnęła kobieta, ocierając płonące policzki.

- Złapałaś swoje dziecko. On cię uderzył i stracił równowagę.

- Pragnęłam, żeby umarł.

- Może wcześniej - włączył się Sean. -Co?

- Chciałaś, żeby umarł, zanim próbowałam go uratować.

- Chwilę w... wcześniej, kie... kiedy siedział na moście - zająknęła się Rebecca.

- Ale nie w tej chwili, kiedy spadał. Wtedy go ratowałaś. Skupiasz się na niewłaściwej chwili - podsumował Sean.

Wstrząśnięta Rebecca cofnęła się o krok.

- Nie myślałaś o tym w ten sposób, prawda? Potrząsnęła głową, wracając w myślach do tamtej chwili. *Becky! Ratuj mnie!*

- Nie mogę - szepnęła, odchodząc jeszcze dalej od księdza i starego.

- Czego ty chcesz, Becky? - spytał cicho ojciec Michael.

- O co księdzu chodzi? - odpowiedziała pytaniem. Nie mogła złapać oddechu.

Dennis uderzył ją i stracił równowagę.

- Czego chcesz od życia?

- Nie wiem.

Dennis, gdy spadał, miał strach w oczach. Spadał tak bez końca. Ale Seanowi udawało się wydobyć z otchłani, za każdym razem.

W jej piersiach rozszalał się pożar jak poprzedniej nocy, gdy stała na pokładzie łodzi Iollana i patrzyła, jak Sean tonie.

- Ależ wiesz. Pamiętasz naszą pierwszą rozmowę przy herbacie?

Becky, ratuj!

- Rebecco? - naciskał łagodnie ojciec Michael.

- Zmarnowałam życie - wykrztusiła. - Jestem w tej wannie.

- Jakiej wannie? - spytał Sean.

- Chcę - powiedziała ochryple - dostawać koszyki jeżyn i całusy w blizny.

- Rebecco, przypomnij sobie, o czym rozmawialiśmy w mojej kuchni. Chcesz więc domu i...?

- Ogrodu, dzieci, psa i... - Rebecca rzuciła księdzu spojrzenie.

-1 czego?

- I grilla w Dzień Niepodległości.

- Tak. - Duchowny się uśmiechnął.

- Fionn...

- Tak. Tego też chcesz. On się stara dać ci to, czego pragniesz. Nie zauważyłaś, prawda?

Rebecca wbiła wzrok w ziemię. Zaparło jej dech w piersiach, a serce biło jak szalone.

- Musisz zapomnieć o ojcu Rowan i przyjąć to, co Fionn chce ci dać - podsunął Sean. - Nie można mieć dwóch mężczyzn.

Spojrzała na niego, a z oczu pociekły jej łzy zaskoczenia. Potrafiła już nazwać to palące uczucie i kiedy Sean stał tak przed nią, poczuła, że w jej sercu coś wzbiera. Złapała go i objęła, płacząc mu w ramię. Trzymał ją mocno, przytulając do swego steranego ciała.

- Dziękuję, że uratowałeś moją córkę - szepnęła.

- Dziękuję, że uratowałaś mnie.

Rebecca odsunęła się i ujęła jego starą, pomarszczoną twarz w dłonie.

- Nie mogę mieć dwóch mężczyzn naraz.

- Moi synowie mówią, że trzeba pozwolić zmarłym odejść. Patrzyła w jego orzechowe oczy, czując, że jakieś słowo ciśnie mu się na usta.

- Seanie Morahanie, miłość łączy. Jestem teraz z tobą.

- A ja z tobą - szepnął.

Skinęła głową i się cofnęła. Spojrzała na księdza, a potem spuściła wzrok. W następnej chwili biegła po zboczach. Głowę miała pełną wspomnień: Fionn jedzie na motocyklu, je kanapki i macha maleńkimi amerykańskimi flagami, ocieka wodą we mgle i gra na skrzypcach. Drapie się po rudej czuprynie...

- Muszę iść do domu! - zawołała i pobiegła.

Pędziła ze wzgórze z szybkością ptaka. Przeskoczyła rów i ruszyła w kierunku domu Seana. Otworzyła z impetem drzwi, przemknęła przez salon i stanęła jak wryta w drzwiach

kuchni. Paddy, Annie, Fionn senior, Sheila, Siobhan i Rowan jedli śniadanie.

- Fionn? - wysapała. -Aye? - odpowiedział senior.

- Nie ty! Mój Fionn!

- Pojechał do twojego domu. Powiedział, że czegoś zapomniał.

Rebecca wypadła na dróżkę i popędziła na północ, w kierunku miasteczka. Kiedy wreszcie dotarła, brakło jej już tchu. Oddychając ciężko, oparła się o bramę prowadzącą do domu księdza.

- Becky? - John Hernon podniósł się spomiędzy rowerów.

- Potrzebuję roweru. - Zakaszłała.

- Wszystko w porządku?

- Tak, tylko się spieszę.

- Weź ten czerwony. Mogę ci jakoś pomóc?

- Nie. Nie. - Skoczywszy na siodło, Rebecca ruszyła. -Nie można mieć dwóch mężczyzn jednocześnie - rzuciła jeszcze za siebie.

Naciskała na pedały, wiatr miotał jej włosami po twarzy. Skręciła na zwirowy podjazd. Zeskoczyła z roweru, podbiegła do drzwi i otworzyła je. Kiedy zatrzymała się w salonie, Fionn kładł właśnie na palenisku następną kostkę torfu. Podniósł wzrok.

- Becky?

Rebecca potrzęsnęła głową i pochyliła się, próbując złapać oddech. Chciał się do niej zbliżyć, ale powstrzymała go gestem.

- Byłam w tej wannie! - jęknęła, trzymając się za żebra.

- Jakiej wannie?

- Jestem jak ta kobieta na obrazie z wanną.

- Aaa... na obrazie. - Pokiwał głową.
- Nie widziałam cię. Tylko...
- Pójdę po farby - powiedział cicho.

Rebecca patrzyła z niedowierzaniem. Chociaż oczy Fionna były równie czarne co tamta noc nad autostradą numer 1, nie znalazła w nich odbicia Dennisa, tylko nocne irlandzkie niebo rozświetlone iskrami torfowego ognia. Zapragnęła już zawsze przeglądać się w tych oczach.

- Mogę mieć tylko jednego mężczyznę - powiedziała przez łzy.
- Aye*. - Podszedł powoli.
- Kocham cię, Fionnie.
- Pewnie. Myślisz, że jestem piękny.

Zachichotał, ale Rebecca położyła mu palce na ustach. Był najpiękniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziała.

- Ożenisz się ze mną? - spytała.

- Spójrz w dół - wymamrotał przez jej palce. Spuściła wzrok i na otwartej dłoni Fionna zobaczyła prosty złoty pierścionek. - Becky, jesteś dla mnie wszystkim.

Fionn uniósł jej podbródek i pocałował ją. W tej chwili Rebecca otoczyła jego szyję ramionami. Zatapiając palce w rudych włosach, zrozumiała, że będzie z nim aż do śmierci.

Ściągacz zebrany

Ściągacz zebrany. 1. Ściągacz podwójny, zebrany razem co kilka rzędów. Zazwyczaj powstaje przez naprzemienne przerobienie dwóch oczek prawych i dwóch lewych po dziesięć w dziesięciu rzędach. Następnie te dziesięć oczek, które tworzą ściągacz, przekłada się na drut pomocniczy, trzykrotnie owija włóczką, a wszystkie dziesięć oczek przekłada się z powrotem na drut. Wzór ten przypomina kolumnę ściągacza zebranego poziomo co dziesięć rzędów. 2. Wysoka i sucha trawa, cięta i wiązana w połowie w łatwe do przenoszenia snopy, przeznaczona na strzechę. 3. Tworzenie ogniska domowego.

R. Dirane, *Sploty miłości*

Nazajutrz Rebecca jechała powoli na czerwonym rowerze do miasteczka. Napięcie już z niej zeszło, bo nie musiała wyjeżdżać, miała też dużo spraw do przemyślenia. Jak powiedzieć Rowan o Fionnie i małżeństwie? Jak ułatwić córce pogodzenie się z przeprowadzką do Dublina, daleko od Siobhan? Jak dokończyć książkę, mieszkając poza wyspą? Myślała o tym wszystkim, ale niczym się nie martwiła. Czując promienie słońca na plecach, wracała pamięcią do parującego imbryka

z herbatą, który zobaczyła, gdy obudziła się tego poranka bez Fionna u boku.

Skrećając w kierunku wypożyczalni Hernona, ujrzała księdza stojącego przy bramie ogrodu.

- Dzień dobry, Rebecco! Spóźniłaś się na mszę.

- Nie chodzę na msze, ojciec - odparła z uśmiechem. - Widział ojciec Fionna?

- Być może. Słyszałem, że się pobieracie.

- A więc tu był.

- Aye. Zjawił się bardzo wcześnie. Wypowiadał się i uczestniczył we mszy.

- Wypowiadał się?

- Czuł się nieswojo z myślą o tym, co robiliście ostatniej nocy.

- Co?! - wykrzyknęła Rebecca.

- Chcesz się wypowiadać?

- Nie jestem katoliczką. Co on księdzu naopowiadał o... naszych prywatnych...?

- Nie czuł się z tym dobrze. Czyli ślub w następną sobotę?

- Nie... jeszcze nie ustaliliśmy daty... - zająknęła się.

- Na zaproszeniu figuruje przyszła sobota.

- Na jakim zaproszeniu? - Rebecca potrząsnęła głową. Ojciec Michael cofnął się do kuchni i wrócił po chwili z karteczką. Podał ją Rebecce, ale nie wzięła.

- Nie przeczytasz? - spytał.

- Nie. - Westchnęła. - Już przez to przechodziłam.

- Powiedział, że tobie zostawi wyjaśnienie wszystkiego Rowan.

- Dziękuję. - Rebecca nacisnęła na pedały.

- Czyli przyszła sobota! - zawołał za nią ksiądz. - Tutaj, w kościele.

Rebecca zatrzymała się i obejrzała przez ramię.

- Nie mam zamiaru brać ślubu w kościele - powiedziała otwarcie, patrząc księdzu w prosto w oczy. Nie odwrócił wzroku.

- Zatem odprawię mszę na stopniach wiodących do kościoła. Dobrego dnia, Rebecca. - Duchowny odwrócił się i ruszył do kuchni.

- Ojciec! - zawołała za nim. Przystanął. - Proszę, mów mi Becky. Tak zwraca się do mnie rodzina.

- O! - Uśmiechnął się. - Zatem do przyszłej soboty, Becky.

- Na stopniach kościoła.

Roześmiał się i zniknął w drzwiach. Rebecca patrzyła chwilę na pustą bramę, a potem podniosła wzrok ku krystalicznie czystemu irlandzkiemu niebu. Na tle nieskazitelnego błękitu nie pojawiła się najmniejsza chmurka. Zaśmiała się pod nosem i ruszyła do Hernona. Drzwi otworzyła Maggie.

- Wychodzisz za mąż. -Tak.

- Za O'Flaherty'ego.

- Miasteczko jest małe, nie ma dużego wyboru. Roześmiały się. Rebecca znów spojrzała w niebo.

- Becky? -Aye?

- Na co tak patrzysz?

- Czuję, że muszę zacząć kontrolować sytuację.

- Czyli?

- Co dziś robisz?

- To co zwykle.

- Jedź ze mną do Galway. Muszę kupić prezenty dla gości.

- Prezenty?

- Upominki od państwa młodych. Coś mi mówi, że się bez nich nie obejdziesz.

- Co masz na myśli?

- Jedź ze mną do Galway.

- W porządku. Poproszę mamę, żeby zajęła się dziećmi.

- Możesz je zabrać. Ja zabieram Rowan. Do zobaczenia na promie.

Rebecca oddała Maggie rower i ruszyła do domu Blake'ow. Kiedy skręciła za róg, zobaczyła, że Siobhan i Rowan biegną ku niej, trzymając się za ręce. Z tyłu szli Annie i Paddy.

- Zostajemy! Zostajemy! - wołała Rowan, śmiejąc się jak słońce.

-Tak!

Rowan i Siobhan padły Rebecce w ramiona. Spojrzała na Annie i Paddy'ego, ponad ich główkami.

- Przepraszamy. Siobhan otworzyła zaproszenie, zanim się zorientowaliśmy, że wsunięto je pod drzwiami.

Rebecca wzruszyła ramionami.

- Muszę jechać do Galway - powiedziała do Annie. - Wybierzecie się ze mną?

-Aye. Chcesz kupić suknię? Rebecca puściła dziewczynki.

- Nie. Prezenty.

- Prezenty?

- Upominki od młodej pary. Miałam nadzieję, że Paddy mnie zabierze. Annie spojrzała na męża.

- Pewnie. Mam coś do przywiezienia przy okazji.

- No, to ustalone. - Annie skinęła głową. - A co to za prezenty?

- O, na pewno będą przydatne. - Rebecca znów spojrzała w niebo. - Bo wiecie, temu nie można ufać.

- Czemu? - Annie podążyła za wzrokiem Rebeki.

- Temu! - Rebecca wskazała błękitne irlandzkie niebo. Już w Galway w kilku miejscach Rebecca znalazła farby akrylowe w odpowiednich kolorach. Kupiła też pędzle, a po-

tem zajrzeli jeszcze do czterech sklepów, żeby zdobyć dość prezentów, które zamierzała pomalować. Przed powrotem zjedli lunch. Wracając, Rebecca patrzyła na morze. Przez ramię obserwowała rozmawiające Annie i Maggie oraz dzieci biegające po pokładzie. Pierwszy raz w życiu mogła powiedzieć o sobie, że czuje się, jakby wracała do domu.

- Becky, to ci się przyda! - zawołała Rose, gdy Annie i Maggie z dziećmi zeszły z łodzi Paddy'ego. Rebecca obróciła się i zobaczyła, że Rose i Liz idą szybkim krokiem z dużymi papierowymi torbami.

- Nie spieszcie się tak - powiedziała, podchodząc do nich. Maggie podążyła za nią.

- Podobno wychodzisz za męż. - Liz się uśmiechnęła.

- Zgadza się. - Roześmiała się.

- Proszę!

Rebecca wzięła podane jej torby. W środku znalazła gotową przedzę.

- A to co?

- Wełna, którą uprzedłaś na gansej dla Fionna. - Teraz obie uśmiechnęły się szelmowsko.

- Ksiądz ostrzegał, że nie można wam ufać. Roześmiały się.

- Jakie ścięgi zastosujesz? - spytała Rose.

- Jeszcze o tym nie myślałam...

- No to myśl. My ci pomożemy. Do ślubu nie zostało dużo czasu. Miłego wieczoru! - pożegnała ją Liz i obie starsze panie ramię w ramię ruszyły do domu Rose.

Samochód był zaparkowany przed domem Peg. Kiedy Maggie weszła do środka po klucze, Annie pomogła Rebecce ułożyć wełnę i podarki na tylnym siedzeniu. Rowan i Rebecca wsiadły do samochodu i ruszyły powoli w kierunku domu.

- Mamo?

-Tak?

- Czy muszę nazywać Fionna tatą?

- Możesz go nazywać, jak chcesz.

- Nigdy nie miałam taty.

- To prawda.

Rowan opuściła szybę w oknie.

- Chyba zapytam Fionna, czy chce, żebym tak do niego mówiła.

- Jeśli tego pragniesz. - Rebecca patrzyła, jak brązowe włosy Rowan tańczą na wietrze.

- Mamo? -Tak?

- Nie będę sypać kwiatków.

- Dlaczego nie?

- Bo wolę grać na fujarce. -O!

- Kiedy będziesz szła do ołtarza.

- Rowan, ślub nie odbędzie się w kościele. -O!

Rebecca włączyła migacz i wjechała na żwirową dróżkę.

- To gdzie?

- Na stopniach do kościoła.

- Czemu?

- Trudno to wyjaśnić.

- Mogę grać na fujarce, kiedy będziesz szła po schodach? Rebecca zatrzymała samochód, patrząc na drzwi domu.

Oparto o nie dwie papierowe paczki. Wyłączyła silnik.

- Potrzebuję fujarki.

- Dobrze, Rowan, dobrze - odpowiedziała machinalnie Rebecca, wysiadając z auta.

- Czy Sean i Siobhan mogą grać ze mną?

- Chyba tak - mruknęła matka, podchodząc do drzwi. Pochyliwszy się, podniosła jedną z paczek. Była kwadratowa, wielkości małej poduszki. Rowan podniosła drugą, długą i wąską jak pudełko na biżuterię.

- Tu jest moje imię! - zawołała Rowan podekscytowana. Na paczce, którą trzymała Rowan, napisano: „Dla ciebie, Becky, oraz Rowan i następnych!”.

- Mogę otworzyć?

- Pewnie.

Rowan rozdarła papier i otworzyła pudełko. W środku znajdowała się srebrna fujarka.

- Fujarka! - krzyknęła i wyciągnęła z pudełka karteluszek. - Co tu jest napisane?

- „To dla ciebie, Rowan. Ta fujarka należała do Joego. Podarowała mu ją matka, kiedy poprzednią stracił z powodu mojego gniewu. Srebrnej fujarki nie można złamać. Przechowywałem ją, a teraz wiem, kto powinien ją dostać. Joe zgodziłby się ze mną” - przeczytała Rebecca.

Rowan rzuciła pudełko i zagrała grę.

Rebecca delikatnie oderwała taśmę owijającą drugi pakunek. Pod brązowym papierem ujrzała białe koronki owinięte bezkwasowym papierem, zawinięte dokładnie tak, jak przekazała je ojcu Michaelowi.

- Co to jest? - spytała Rowan.

- Moja suknia ślubna - szepnęła Rebecca.

Podwójny zygzak z koszykiem

Podwójny zygzak z koszykiem w środku. L. Podwójny zygzak z wypełnieniem koszykowym. 2. Ślub.

R. Dirane, *Sploty miłości*

Słońce świeciło mocno. Rebecca stała w kuchni ojca Michaela, przeglądając się w lustrze. Koronkowa suknia matki księdza była odrobinę za szeroka w talii i o cal za krótka, ale Rebecca nie przejmowała się tym. Morelowy jedwab pod spodem ocieplał biel koronki, a ciemne włosy miękko spływały jej na ramiona. Rebecca nigdy w życiu nie czuła się równie piękna.

- Wiesz, że nie musisz teraz... - odpowiedział Paddy. Rebecca rozciągnęła usta w uśmiechu.

- Dobrze chociaż, że ktoś wie, czy on w ogóle żyje. Nie widziałam go, odkąd mu się oświadczyłam. Gdyby nie to, że każdy dostał zaproszenie, pomyślałabym, że przysnął.

- On się nigdzie nie wybiera - wtrąciła Maggie. - Nie chce po prostu znów się spowiadać. Nie znosi tego.

Rebecca się roześmiała.

- Niebo jest dziś cudownie niebieskie. - Paddy wyjrzał za okno.

- No pewnie. - Rebecca się uśmiechnęła.

- Jesteś gotowa?

- Jak nigdy w życiu.

Maggie otworzyła drzwi. Zstępując po schodach, Rebecca zauważyła, że przez furtkę wchodzi Annie.

- Niezła widowia - zauważyła.

Kiedy Rebecca wyszła z ogrodu ojca Michaela, ujrzała tłum turystów po przeciwległej stronie ulicy, przy wypożyczalni Hernona. Uśmiechnęła się pod nosem. Idąc ulicą, usłyszała, jak Sean, Rowan i Siobhan zaczynają grać *My Lagan Love*.

Skręciwszy za róg, zobaczyła, że całe miasteczko ubrało się odświętnie, każdy trzymał swój podarek i uśmiechał się szeroko. Rebecca spojrzała na stopnie wiodące do kościoła. Po prawej stały Sharon i Maggie, uśmiechnięte od ucha do ucha, a po lewej Fionn, którego piękne, rude włosy lśniły w słońcu. Obok stał jego brat Tom i najlepszy przyjaciel John. Powiew wiatru zwiewiał mu włosy w oczy, ale ani na moment nie spuścił wzroku z Rebeki. W górze przemknął jakiś cień. Rebecca uśmiechnęła się do niego, a potem do Rowan, która razem z Seanem i Siobhan grała na fujarce.

- Becky? - szepnęła Liz, stojąca za Rowan. - Co mamy zrobić z tymi prezentami?

- Nie otwierajcie, póki nie przyjdzie pora.

Liz kiwnęła głową, wzruszyła ramionami i przekazała informację stojącej obok Mairead. Potem powiedziała Jimowi i tak wiadomość dotarła do wszystkich mieszkańców miasteczka.

- Kto oddaje tę kobietę temu mężczyźnie? - spytał ojciec Michael.

Rebecca podniosła wzrok i uśmiechnęła się krzywo.

- No cóż - odezwał się Paddy. - Wygląda na to, że oddaje się sama, ale nikt z nas nie wie, czemu wybrała akurat Fionna.

Wszyscy się roześmieli. Fionn powoli zszedł ze schodów i zanim ujął dłoń Rebeki, ona dotknęła jego swetra. Kolumny zebranego ściągacza biegły wzdłuż rombów wypełnionych

mchem. Przy ukośnych bruzdach widniały podwójne zygzaki łączące przód z tyłem ganseja. Rękawy składały się wyłącznie z ukośnych bruzd. W części środkowej Rebecca umieściła celtyckie sploty, pomiędzy którymi znajdowały się spirale, a w nich z kolei ptaszki. Rebecca dotknęła jednego z paszkotów.

- Ładny gansej - powiedziała. - Zona ci go zrobiła. Powiał silniejszy wiatr.

- Uważasz, że jestem piękny - szepnął Fionn, prowadząc ją po stopniach.

- To ty uważasz, że ja jestem piękna - poprawiła go Rebecca.

- O tak.

- Fionn, do tego jeszcze nie doszliśmy - stwierdził ojciec Michael i odciągnął rękę Fionna od Rebeki. Spojrzała na niego.

- Jesteśmy tak blisko, Becky. - Obejrzał się na drzwi kościoła. Potem znów popatrzył na Rebecę i uniósł brwi.

- Niech się ksiądz pośpieszy. Sharon nie wygląda najlepiej. Dopiero co urodziła i przebyła całą Irlandię, żeby tu się zjawić. - Rebecca się uśmiechnęła.

- W takim razie w porządku.

Niebo pociemniało. Ksiądz spojrzał w górę, a potem na mszał. Rebecca zobaczyła, jak kropla uderza w stronicę księgi.

- Coś mi się wydaje - zaczął ostrożnie duchowny - że sam Pan zaprasza cię do Domu Bożego.

Kropla uderzyła w czubek głowy Rebeki.

- Wszystko w porządku. Dostał ksiądz swój prezent? Rebecca kiwnęła głową na Johna, wzięła od niego upominek, otworzyła parasol i podała księdzu.

Zamykanie oczek

Zamykanie oczek 1. Wiązanie jednego oczka z drugim w celu zakończenia robótki i zsunięcia jej z drutu. 2. Koniec i początek.

R. Dirane, *Sploty miłości*

Sean patrzył na Rebeccę stojącą na stopniach kościoła w sukni o barwie przypominającej morelowy wschód słońca. Jego uwagę zwrócił brązowy cień, który koronka rzucała na jedwabną podszewkę. Widział to już wcześniej.

- Sean, patrz - szepnęła Claire. Przesunął się i zobaczył, że Matthew ssie pierś matki. Morelowy wschód słońca rozświetlał skórę jego żony, rzucając brązowy cień na policzek jego nowo narodzonego syna.

-Je? -*Aye*.

Sean zaczął płakać. Łzy spadały na poduszkę, gdy dotykał główki syna.

- Wszystko dobrze - powiedziała łagodnie Claire, dotykając policzka męża. - Matthew nie wiedział, co zrobić, a ja nie potrafiłam mu pomóc. To wszystko.

- Tak cię kocham, Claire - szepnął Sean. - Jesteś biciem mego serca.

- A ty mego.

- Sean? - Stary spojrział w dół i zobaczył Rowan. - Liz chce coś od ciebie.

Sean zobaczył, że Liz trzyma aparat.

- Możesz zrobić zdjęcie? Stoisz najdalej.

Kropla deszczu spadła na obiektyw. Sean zmarszczył brwi i się rozejrzył. Zaczerpnął powietrza, wziął szybko aparat i przebiegł przez ulicę w kierunku dużej grupy turystów, którzy zgromadzili się w deszczu.

- Niewiarygodne - mruknął jakiś mężczyzna, robiąc zdjęcie własnym aparatem.

Sean odwrócił się i przyłożył aparat do oka.

- Nie wyczułem deszczu - wymamrotał pod nosem. Wycelował obiektyw. Na schodach kościoła stali wszyscy

mieszkańcy wyspy, z parasolami w dłoniach pomalowanymi na zielono, żółto, czerwono, morelowo i fioletowobłękitno. Były to kolory gansejów Seana.

- Kocham Irlandczyków. - Jakaś kobieta westchnęła. Sean wywrócił oczami i uśmiechnął się pod nosem.

Od autorki

Rebecce udało się spełnić marzenia i ukończyć książkę w ramach grantu. Była to jednak inna książka niż ta, którą planowała stworzyć, kiedy przybywała na wyspę. Napisała *Zamykanie oczek: dzianiny i rybackie melodie Seana Morahana*, gdzie zebrała całość jego dorobku. Kiedy ukończyła ten projekt, poświęciła się kolejnemu dziełu swojego życia - rodzinie założonej wspólnie z Fionnem.

Cytaty na początku każdego rozdziału pochodzą z książki *Sploty miłości* autorstwa córki Rebeci, Rowan, którą napisała i wydała już jako osoba dorosła. Praca ta bada ściegi stosowane na wyspie i dzieje jej mieszkańców. Rowan poznała je wszystkie doskonale, ponieważ jest w końcu kobietą z zachodnich wysp. Ale to już zupełnie inna historia...

Rozmowa z Nicole R. Dickson

- Czy wyspa opisana w książce istnieje naprawdę?

- *Traktuję miejsce akcji jak osobną postać. W książce mamy zatem trzech głównych bohaterów: Rebecę, Seana i Wyspę. Ponieważ archipelag Aranów składa się z trzech wysp, trudno byłoby mi pisać tylko o jednej z nich. Dlatego tworząc moją Wyspę, zaczerpnęłam elementy pochodzące z dwóch innych. Jest ona tak duża jak średnia wyspa archipelagu - Inis Meáin, a fort w rzeczywistości znajduje się na Inis Mór. Potem wyobraziłam sobie, jak by to było przebywać na skrawku lądu mierzącym się z żywiołem Atlantyku. Tak właśnie powstała książkowa Wyspa.*

- Książka podejmuje kwestię przemocy domowej. Dlaczego zdecydowałaś się na taki temat?

- *Moją intencją podczas pisania powieści było raczej zgłębienie fenomenu miłości: tego, czym jest i czym nie jest. Miłość jest wiążąca, ale nie wiąże. Jest oswobadzająca, ale nie swobodna. A pierwsza zasada miłości? Miłość nigdy, przenigdy świadomie nie rani myślą, słowem ani uczynkiem. Nie oznacza to jednak, że miłość nie przynosi ze sobą cierpienia. Ludzie nie są doskonali. Najważniejsze, by nie krzywdzić drugiej osoby. Gdy myślę o przemocy domowej, widzę, że wtedy właśnie ta podstawowa zasada zostaje wypaczona. W losach Seana i Rebeki przewija się motyw przemocy domowej. Mam na myśli wymuszony i zaborczy związek z drugą osobą. Sean i Rebecca są jak dwie strony tej samej monety. Poszukują miłości, patrząc w przeszłość. Tam jednak jej nie znajdują. Oboje muszą zwrócić się ku teraźniejszości, aby doznać spełnienia.*

- Skąd wziął się pomysł nadania córce głównej bohaterki imienia Rowan?

- *Rowan to drugie imię mojej córki i jednocześnie irlandzkie nazwisko. Posłużyło mi jako imię robocze dla tej postaci. Pasowało też do sceny, w której Sean mówi córce Rebeki, że nie jest to prawdziwe imię. Zbierając materiały do tej powieści, trafiłam przypadkiem na pracę o irlandzkich zwyczajach. W tradycyjnych wierzeniach rowan - jarzębina - posiada pewne magiczne właściwości. Dlatego wyrabiano z jej drewna różdżki. Długo myślałam o jarzębinie oraz o postaci dziewczynki. To ona, niczym różdżka, sprawia, że w życiu głównych bohaterów dokonują się zmiany. Imię idealnie pasowało, więc je zostawiłam. To był szczęśliwy traf.*

- Robisz na drutach?

- *Tak, matka mnie nauczyła. Była doskonałą szwaczką i złotą rączką, chociaż sama na pewno by tak siebie nie określiła. Powiedziałyby raczej, że po prostu robi różne rzeczy.*

- Przędziesz?

- *Nie. Ale spędziłam wiele godzin na targu w Puyallup w stanie Waszyngton, przyglądając się, jak robią to inne kobiety. Grupy prądek urządzają tam pokazy. Lubiłam obserwować je i słuchać ich rozmów. Potem odchodziłam, kupowałam sobie kukurydzianego hot doga i spacerowałam, a potem wracałam znów na nie popatrzeć. Nie chciałam, żeby pomyślały, że jestem dziwna, ponieważ tylko patrzyłam i słuchałam, ale nigdy nie odważyłam się z nimi porozmawiać. Chyba i tak nic z tego by nie wyszło.*

- Dlaczego Fionn ma rude włosy?

- *Rebecca powiedziała córce, że wyjdzie tylko za rudego skrzyпка. Do dziś myślę, że to bardzo zabawne. Czasami tak trudno zakończyć rozmowę z dzieckiem. W tym przypadku bohaterka próbowała tym ar-*

gumentem zakończyć dyskusję. Jak wiadomo, niewielu jest na świecie rudowłosych Irlandczyków, którzy grają na skrzypcach. Myślała, że to koniec tematu i nie przypuszczała, że pozna właśnie kogoś takiego! Kiedy jednak ten mężczyzna się pojawia, okazuje się, że wie o wypowiedzianych przez nią słowach. Może to potraktować jako udany początek związku. Przyznam jednak, że nieraz napytałam sobie biedy przez ten fragment książki. Przyglądałam się każdemu rudemu mężczyźnie, na którego się natykałam, żeby znaleźć najwłaściwszy odcień dla włosów Fionna. Kilka razy mężczyźni ci nieoczekiwanie odwzajemnili spojrzenie - to była wpadka. Raz spojrzenie odwzajemniła żona - jeszcze większa wpadka!

- O czym będzie twoja kolejna powieść?

- Pracuję nad kilkoma. Proszę zaglądać na moją stronę internetową www.nicolerdickson.com.